

Jim C. Hines

Wojna Goblina

Przełożyła Dominika Schimscheiner

fabryka słów

Lublin 2009



W ŚWIECIE GOBLINA:

1. Zadanie Goblina
2. Droga Goblina
3. Wojna Goblina

Dla Jamiego

Podziękowania

Zapytajcie jakiegokolwiek autora, jak według niego wyglądałoby spotkanie z którymś z jego bohaterów. W większości przypadków konsekwencje mogłyby okazać się nad wyraz... nieprzyjemne. My, autorzy, nie jesteśmy zbyt miłymi stwórcami.

Jestem pewien, że gdyby tylko Jig miał okazję, wsadziłby mi ognistego pająka do skarpetek, podłożył jaszczurnika pod prześcieradło, a moje szczątki rzucił kotom tunelowym na pożarcie.

I trzeba przyznać, że biedak ma wystarczające powody, żeby mnie nie cierpieć. Zmusiłem go do przeżycia nie jednej ani nawet dwóch, ale trzech pełnowymiarowych przygód, nie wspominając o kilku pomniejszych luźnych przygódkach. Niemalże razem przeszliśmy i nie zdziwiłbym się, gdyby Jig chciał odplacić mi pięknym za nadobne.

Oczywiście, nie byłbym jedynym obiektem jego gniewu. O nie, po załatwieniu porachunków ze mną, prawdopodobnie pofatygowałby się do mojego agenta Steve'a Mancino. To za sprawą Steve'a moje książki ujrzały światło dzienne, zrozumiałe więc, że Jig pragnąłby posiekać go na kawałeczki i przybrać nimi pizzę stevejską.

Następnie, jak sądzę, skierowałby swe kroki do biur wydawnictwa DAW w Nowym Jorku. Tam dopiero miałby się na kim mścić, począwszy od Sheili Gilbert, poprzez Debrę Euler, po resztę całego zespołu ludzi, którzy tak wiele pomogli mi przy książkach o nim. Choć z drugiej strony, biorąc pod uwagę to, z czym na co dzień mają do czynienia wydawcy, zapewne daliby radę jednemu goblinowi z jednym ognistym pajakiem.

Melowi Gratowi, [Twórca oryginalnej, amerykańskiej okładki (przyp. tłum.)] grafikowi, który zaprojektował okładki, pewnie by się upiekło. Bo czyż Jig mógłby chować urazę do kogoś, kto tak wspaniale rysuje goblina?

Ale nie uszłoby na sucho moim beta readerom, których uwagi i sugestie były dla mnie nieocenione. Dlatego też, korzystając z okazji, chciałbym z góry złożyć wyrazy współczucia Teddi Baerowi, Catherine Shaffer, Billowi Rowlandowi, Heather Poppink, Mike'owi Jasperowi, Nicole Montgomery and Anthony'emu Haysowi.

Jig nie odpuściłby na pewno mojej rodzinie. Nie napisałbym tych książek bez miłości, wsparcia, zachęty i cierpliwości mojej żony Amy oraz dwójki cudownych dzieci. I tu, śmiem twierdzić, kampania odwetowa Jiga zakończyłaby się gwałtownie, gdyż znając moje pociechy,

córka zaraz próbowałaby złapać Ciapka do słoika, synek zaś świsnąłby biednemu goblinowi okulary, a potem zaczął go tarmosić.

Uwielbiam Jiga, choć ten ani chybi nie dałby moim zapewnieniom ani krztyny wiary. Dzielenie się tym sentymentem z czytelnikami było naprawdę wspaniałym przeżyciem. Dziękuję Wam bardzo. Mam nadzieję, że spodoba Wam się trzecia księga przygód Jiga Smokobójcy.

Hymn o Jigu Smokobójcy

*(autorstwa goblinki Relki, matki założycielki
Zgromadzenia Dzieci Ciemnogwiazdego)*

Relka: Na początku był marny, mierny syfiarz imieniem Jig.

Gobliny: Zabieraliśmy mu jedzenie, rzucaliśmy w niego szczurami.

Relka: Ale przeznaczenie przywiodło do naszej sadyby poszukiwaczy skarbów z powierzchni i oto Jig ruszył do boju z tymi tak zwanymi bohaterami.

Gobliny: Lepiej on niż my.

Relka: Była to wspaniała walka, mordercza i krwawa, aż Jig kopnął księcia prosto w rodowe klejnoty.

Gobliny: Taki los winien spotkać wszystkich bezbożników.

Relka: Choć znów go uwięzili, Jig nie zląkł się oprawców.

Gobliny: Oby przepaska jego biodrowa po wsze czasy niezmoczone pozostała.

Relka: Jig wywiódł ich w mrok. Tam to rzucił na kolana hobgoblina, zgładził Nekromantę, a także smoka Strauma, i wszystko to z pomocą li tylko zdezelowanego noża kuchennego.

Gobliny: Chwała cudowi obłuzowanego ostrza.

Relka: Zwycięski Jig powrócił w chwale, pobłogosławion przez Tymalouisa Ciemnogwiazdego darem leczenia ran naszych, boć tak wiele z nich nieostroźnie zadajemy sobie sami. Lecz oto nie wszyscy święcili z Jigiem jego triumfy. Zdradziecka wódz Kraik wysłała Jiga na śmierć i nikt nie śmiał się jej sprzeciwić.

Gobliny: Albowiem wielka była ona i straszna, i wiele broni miała.

Relka: Wiedziony blaskiem Ciemnogwiazdego, Jig zstąpił w trzewia góry. A w czeluściach odkrył czającą się groźbę.

Gobliny: Głupie chochliki!

Relka: Tak to Jig i jego towarzysze powrócili, by stanąć na czele goblinów i poprowadzić ich do bitwy. Kraik wiary im nie dała. Sprzeciwiła się i poległa.

Gobliny: A dla Jiga nauka z tego wynikła taka: nigdy nie odwracaj się plecami do

hobgoblina.

Relka: Jig poszedł, by przywieść chochlikom zniszczenie, lecz byli i inni niedowiarkowie. Podkuchenna próbowała skraść chwałę jego.

Gobliny: Tak oto Jig rozpruł ci brzuch.

Relka: Lecz Jig Smokobójca litości jest pełen. Gdy wrócił triumfujący z bitwy, gdy wypił już morze Makowego piwa, uleczył me rany, napęlniając mię życiem, wlewając w żyły światło Ciemnogwiazdego.

Gobliny: Cześć i chwała Jigowi Smokobójcy, najwyższemu kapłanowi Tymalouza Ciemnogwiazdego. Oby po wsze czasy leczył nasze rany i wrogów naszych zwyciężał.

Rozdział 1

Tymalous Jesiennogwiazdy przesuwiał dłońią po ścianie swej świątyni. Srebrna zaprawa błyskała w świetle gwiazd, czarny kamień rozgrzewał się pod jego palcami, a powierzchnia zmieniała się nieustannie, odtwarzając modlitwy i dary jego wyznawców.

W kamieniu utrwał się każdy wizerunek stworzony ku jego czci, każdy hold, jaki mu kiedykolwiek złożono. Po prawej mieniły się intensywną czerwienią, wilgotne nawet po tysiącach lat, krwawe malowidła Xantocków, wojowniczego plemienia elfów. Powyżej wily się skomplikowane ryty rozwlekłych modlitw krasnoludzkiego Klanu Spodgórskiego.

W ciągu tych wszystkich lat świątynia rozrosła się ponad miarę, nabierając obcości.

Małe dzwonki na rękawach zadźwięczały, gdy bóg dotknął symbolu gwiazdy, wydrapanego w błocie przez jakąś dziewczynkę. Kamień odtworzył go tak wiernie, że widać było każdy zawijas, każdy ślad palca na miękkim gruncie. Koślawe hieroglify pod spodem mówiły: „Powiedz babuni, że za nią tęsknię, i proszę, daj mi szczeniaczka”.

Rysunek miał dwa wieki, a dziewczynka już dawno podążyła za swą babcią.

Jesiennogwiazdy zmarszczył czoło. Zapomniał o szczeniaczku. Modlitwa musiała zostać wysłana gdzieś na początku wojny, więc w zamieszaniu miał prawo przeoczyć jakieś drobniejsze prośby, jednak do tej pory nie mógł sobie tego wybaczyć.

Mury zadrżały, jakby ktoś zdarł z nieba księżyc i cisnął nim w dach świątyni.

Ruchy Jesiennogwiazdego, tworzącego nad głową srebrzystą tarczę, były zwolnione, jakby mechaniczne. Powtórne uderzenie strzaskało stropi ukazując głęboką czerń ponad dachem. Pęknięcie poszerzało się, obejmując ściany, zasypując wnętrze deszczem srebrzystych kawałków zaprawy. Od osłony Jesiennogwiazdego odbijały się kamienie; tysiące lat wiary i latrii rozpadało się w gruzy.

W górze płonęła czerwono Jesienna Gwiazda, oblewając ruiny świątyni krwawym blaskiem. Kiedy ataki osłabły, a pył zaczął opadać, ze ścian pozostały już niziutkie murki.

Jesiennogwiazdy opuścił tarczę ochronną i odgarnął stopą trochę gruzu. Lubił mieć w domu czysto. Blask Jesiennej Gwiazdy znikł, zasłonięty sylwetką innego bóstwa. Nok, bóg śmierci, którego potęga wzrosła zupełnie niedawno, schylił się, dotykając jeden ze szczątków. Pod jego palcami kamień obrócił się w dym.

– Kabotyn – mruknął Jesiennogwiazdy.

Nok przestąpił zrujnowaną ścianę i wyciągnął świetlisty miecz.

– Moja świątynia miała drzwi, jakbyś nie zauważył – wytknął mu Jesiennogwiazdy.

* * *

Warkot goblinich tarabanów nie byłby aż tak tragiczny, gdyby werbliści choć trochę trzymali się rytmu, pomyślał Jig, przeciskając się pomiędzy sosnami. Z konaru zsunęła się czapa śniegu, lądując mu głównie na plecach; reszta trafiła wprost do lewego ucha. Jig pisnął, łapiąc się za rzezoną organ i nerwowo wydłubując zimny puch.

– Powinniśmy się zachowywać jak najciszej – zwróciła mu uwagę idąca z tyłu Relka.

Jig ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał się od poczęstowania towarzyszkę ostrzem swojego miecza. Otarł nos rękawem, udając, że nie słyszał komentarza. Relka troskliwie otrzepała mu śnieg z ramion.

– Jak ci się podoba ten płaszcz ode mnie? Dlaczego nie nakładasz kaptura? – Zanim Jig zdążył zareagować, złapała za kapuzę i w następnej sekundzie przeklinała, wtykając poparzone palce w śnieg.

– Bo tam właśnie siedzi Ciapek – oświadczył, a cała irytacja ulotniła się jak kamfora. Uśmiechnął się wesoło, głaskając pupila. Pająk był bardzo ciepły, ale dotyk Jiga uspokoił go i ostudził.

– Ale płaszcz ci się podoba, tak? Zdobyłam go w zeszłym miesiącu od pewnego podróżnika. – Przygryzła nerwowo górną wargę, jak to zresztą czyniła często w obecności Jiga. Nawyk ten, w połączeniu z mrozem sprawiał, że miała wiecznie popękane usta.

Relka była młodą goblinką, jedną z wyrobniczek kucharki Golaki. Miała niewielkie kły i zazwyczaj spoconą od stania przy palenisku, umazaną sadzą twarz. Dla ochrony przed chłodem nosiła koc spięty pod szyją odłamkiem kości kota tunelowego.

Jig wsadził palec przez dziurę w gorsie – pozostałości po włócznie jakiegoś fartownego goblina. Wystrzępione brzegi otworu były zrudziałe od krwi poprzedniego właściciela płaszcza. Mimo to okrycie świetnie chroniło od chłodu. Co prawda Jig nie przepadał za kolorem lila, mógłby się też obejść bez kwiecistego haftu wzdłuż rantów, ale ostatecznie nie miał powodów do narzekań. Płaszcz, nie dość, że ciepły, był także ognioodporny. To nic, że odrobinę woniał starą krwią.

– Uważasz, że jest okropny, prawda? – Relka przygarbiła się. Nawet jej wielkie uszy nieco oklapły.

– Nie, czemu? Jest w porządku – przyznał Jig niechętnie. – Ma fajne kieszenie. – Relka rozpromieniła się i już chciała coś powiedzieć, ale Jig ją ubiegł. – Słuchaj, czy nie powinniśmy iść do Grell, zamiast ucinać sobie pogaduszki o modzie?

Relka precyzyjnie się obok, zahaczając naszyjnikami o jego rękaw. Próbowwała odczepić wisiorek, ale tylko dziabnęła Jiga w ramię.

– Przepraszam – spłoszyła się, niebieszczyjąc intensywnie.

Naszyjnik, który usiłowała odhaczyć, miał symbolizować cześć oddawaną bogowi Jiga, Tymalousowi Ciemnogwiazdemu. Prymitywnie uformowaną ze sznurzych kostek gwiazdę przecinała błyskawica z kawałków połamanego noża kuchennego. Czubek owej błyskawicy wbijał się właśnie Jigowi w ramię.

Relkowa adoracja Jiga oraz Ciemnogwiazdego zaczęła się zaraz po tym, jak goblinka próbowała zadźgać swój nieboski obiekt uwielbienia ciosem w plecy. Działo się to podczas dowodzonej przez Jiga akcji zaczepno-obronnej przeciw chochlikom. Jig zadał jej wtedy ciężką ranę brzucha i zostawił w tunelu. Relka odpełzła do jaskini, przerażona, że Jig powróci, żeby dokończyć dzieła. Co zresztą zrobiłby, gdyby nie dziwaczna obsesja Ciemnogwiazdego na punkcie miłosierdzia i wybaczenia. Oraz fakt, że Relka robiła wyśmienite omlety z węzowych jaj.

Jig zacisnął szczęki i wbijając sobie kły w policzki czekał, aż goblinka upora się z wisiorkiem. A swoją drogą, co Grell robiła w ogóle poza jaskinią? Podczas wojny przywódca goblinów tradycyjnie ukrywał się na tyłach, w jakimś bezpiecznym miejscu. Szczególnie przy tak groźnym wrogu.

Atak rozpoczął się wczesnym rankiem i z wieści, które przyniosło do pieczary kilka poranionych goblinów wynikało, że nie mają tym razem do czynienia ze zwykłą drużyną herosów.

– Grell? – wychrypiał, usiłując jednocześnie wołać na tyle głośno, by stara wódz go usłyszała i na tyle cicho, by nie zwrócić uwagi wroga. W efekcie wyszło mu coś w rodzaju szeptliwego ryku.

– Wspominała, że idzie się rozprawić z doboszami.

W Jigu obudziło się współczucie na myśl o losie werblistów. Jeśli przeszkadzili

przywódczyni w poobiedniej drzemce, będzie bardziej zgryźliwa niż zazwyczaj. Teren wokół wejścia do jaskini był płaski, porośnięty z rzadka niewysokimi sosnami. Po około piętnastu krokach równina kończyła się nagle, opadając stromo kamienistym zboczem. Tarabaniarze poszli zapewne w lewo, ścieżką pnącą się wzdłuż stoku ku jezioru, wychodząc z założenia, że im wyżej wyjdą, tym więcej stworzeń rozdrażnią bębnieniem.

Blżej rzeki drzewa rosły gęściej, a ich gałęzie uparły się zrzucić na Jiga igły i śnieg. Głęboki ślad ukazywał wyraźnie drogę gobliniego oddziału poszukującego ludzi, kałuże niebieskiej krwi zaś miejsce, gdzie ludzie wciągnęli go w zasadzkę. Grupa nieprzyjaciół ukryła się na zboczu poniżej, wysyłając zwiadowców. Sprytne. Zwiadowca obserwował gobliny i dawał znać swojemu dowódcy, gdzie zmiierzają. Jeśli mieli szansę zaatakować oddziałik z zaskoczenia, tym lepiej.

Jig nie zadał sobie trudu poszukiwania rannych. Nigdzie nie leżało ani jedno ciało, co oznaczało, że gobliny zastosowały tradycyjną taktykę, czyli wzięły nogi za pas. Gdyby Jig był mądry, zrobiłby to samo.

Ale gdzie podzieli się ludzie?

Relka minęła go, zanim zdążył ją powstrzymać. Przypadł do ziemi, czekając, aż powali ją strzała lub cios miecza.

Nic się nie wydarzyło. Przytrzymując się krzewów i małych drzewek, goblina zaczęła wspinać się kamienistą ścieżką wzdłuż brzegu rzeki. Jig wstrzymał oddech i ruszył za nią.

– Chyba są nad jeziorem – powiedziała Relka, wyciągając długi, ostry nóż. Kuchenny, na oko. Skoro Relka żyła, znaczyło, że Golaka nie zauważyła jego zniknięcia.

Warkot bębnow narastał wraz ze zbliżaniem się do jeziora. Jig już miał dobyć miecza, ale zrezygnował. Pokryta skalnymi odłamkami, zaśnieżona dróżka była zdradliwa – jeden nieostrożny krok i mógłby się nadziać na własne ostrze.

Podpełzli na sam skraj wzniesienia, na którym znajdowało się jezioro. Z góry dobiegł ich trzask kończącego żywot bębna, a zaraz potem wrzask kończącego żywot goblina. Jig wystawił głowę ponad krawędź i zmrużył oczy, oślepiiony jasnym blaskiem. Jezioro było zamrożone tylko przy brzegach. Tafla wody na środku odbijała promienie słoneczne, intensyfikując rażącą jasność. Ametystowe soczewki okularów nieco ją tłumily, ale z drugiej strony osiadłe na nich płatki śniegu ograniczały widoczność. Jig przetarł kryształ, co tylko pogorszyło sprawę.

Nieopodal, na brzegu jeziora, wśród poległych goblinów stał mężczyzna. Odziany w

skórę i stalowy pancerz, nosił zielony tabard z wizerunkiem wielkiego odyńca na tle wieży. Zwierzę było niemal tak duże jak budowla, a w jednej z racic trzymało gigantyczny miecz.

Ludzie zakładają na siebie dziwaczne rzeczy.

Wgniecenie w hełmie mężczyzny sugerowało, że gobliny wymierzyły napastnikowi przynajmniej jeden cios, zanim padły. Tylko jeden z czterech goblinów jeszcze się ruszał.

– O nie – szepnął Jig ze zgrozą, rozpoznając gramolącą się na lodzie postać, która usiłowała podnieść się przy pomocy dwóch żółtych, drewnianych kul. Jedna z podpór utknęła w szczelinie i goblina upadła, przeklinając.

– Chodź! – powiedziała Relka, wstając.

– Ludzie mają dziwaczne poglądy w kwestii zabijania nieuzbrojonych staruszek – mruknął Jig, pociągając towarzyszkę z powrotem na ziemię. – Przynajmniej niektórzy. Grell nic się nie stanie.

Człowiek należał najwyraźniej do gatunku tych „honorowych”. Trzymał miecz w pogotowiu, ale nie starał się powstrzymać Grell przed dotarciem do brzegu.

– Dobrze, że przynajmniej zakończyłeś to cholerne bębnienie – burknęła Grell i przewróciła się znów, tracąc grunt pod drugą laską.

Rycerz zaśmiał się na ten widok.

– Myślisz, że to zabawne, tak? – Goblina przetoczyła się i grzmotnęła oprawcę laską w nogę.

Kula się złamała, a człowiek roześmiał się jeszcze głośniej.

– Oj, wyśmiewanie się z Grell, to nie najlepszy pomysł. – Jig pokręcił głową.

Starucha wraziła odłamany koniec laski w udo mężczyzny, robiąc przy okazji dziurę w dolnej krawędzi tabardu.

Człowiek zachwiał się, próbując wyrwać z nogi kawał żółtego drewna.

– Musimy ją ratować! – Relka złapała Jiga, wlokąc go na płaskowyż.

Nie mieli szans. Grell potrzebowała dwóch kul, przy jednej ledwie kuśtykała. Człowiek lada moment ją zabije, pozbawiając gobliny wodza.

Podobna sytuacja miała miejsce prawie rok wcześniej, gdy hobgoblin o imieniu Sznyt zabił poprzednią przywódczynię. Wtedy Jig został wybrany, aby objąć zwolnione stanowisko.

I do tej pory nocą dręczyły go zmary związane z tamtym krótkim okresem wodzowania. Połowa plemienia oczekiwała, że Jig rozwiąże wszystkie ich problemy, druga zaś knuła, jak go

zabić i zająć jego miejsce. O nie, nie mógł dopuścić, aby tamten koszmar się powtórzył. Wyszarpnął miecz. W balladach i legendach wojownicy w ostatniej chwili rzucali bronią, aby zabić znajdujących się daleko wrogów. Jig zamachnął się i gdy Relka wystartowała do biegu, z całej siły cisnął mieczem.

Jednakże albo Jig był kiepskim wojownikiem, albo broń nieodpowiednia do rzucania. Prawdopodobnie jedno i drugie. Ostrze o włos minęło ucho Reiki, która odruchowo padła w śnieg.

Sam miecz w połowie drogi do celu zбочzył na prawo i odbił się od drzewa. Z gałęzi spadło trochę śniegu. Oczy wszystkich zwróciły się na Jiga, który... przed chwilą pozbył się właśnie swej jedynej broni.

Relka rzuciła się do przegrzebywania śniegu. Widocznie uchylając się przed mieczem Jiga, zgubiła nóż. Cudownie. Jigowi udało się za jednym zamachem, i to dosłownie, pozbawić broni i siebie, i towarzyszkę.

Relka machnęła, żeby biegł dalej.

– Nie martw się! Ciemnogwiazdy powiedzie nas ku zwycięstwu!

Jig ogarnął spojrzeniem kuśtykającego człowieka. Podczas gdy sam był bez broni, przeciwnik miał jej wystarczająco, aby z łatwością zabić trzy gobliny. Przerzuciwszy miecz do lewej ręki, prawą dobył sztyletu, podrzucił go, łapiąc za ostrze i cisnął w Jiga.

Nóż gwizdnął goblinowi koło ucha, wbijając się w pień.

Taaak.

Wojownicy potrafili rzucać swoją bronią. Goblinom zdecydowanie lepiej wychodziło uciekanie.

Jig okręcił się w miejscu i runął do biegu. Jednym skokiem znalazł się na zboczach i machając rękoma dla utrzymania równowagi, popędził w dół. Całe trzy kroki. Potem potknął się o wystający korzeń i przewrócił, zdzierając sobie skórę z dłoni i kolan. Podniósł się, z trudem łapiąc oddech. Spojrzał ponad kompletnie zaśnieżonymi okularami na zbliżającą się do niego niewyraźną postać. Tym razem człowiek miał miecze w obu rękach. To niesprawiedliwe! Dwa miecze przeciw żadnemu? Jig zmrużył oczy, wysilając wzrok. Zaraz, czy to...? Ależ tak! Mężczyzna prócz swojego, niósł także miecz Jiga.

– W imię Ciemnogwiazdęgo! – zawyła Relka, która, wymachując nożem, gnała zboczem na złamanie karku. Typowa goblinia taktyka, z typowym rezultatem. Człowiek ustąpił jej z drogi.

Goblina biegła zbyt szybko, by zmienić kierunek, ale próbowała, dzięki czemu wyszła z tego żywa. Potknęła się i usiłując odzyskać równowagę, wypuściła nóż z ręki. W końcu rozciągnęła się jak długa w śniegu, unikając przy okazji ostrza wojownika.

– Dostyc uciekania, goblinie! – zagrział człowiek. Zabił czterech przeciwników i nawet się nie zadyszał! – Stawaj i walcz jak mężczyzna!

Jig w życiu nie słyszał równie idiotycznej propozycji. Dźwignął się na nogi, nerwowo przeszukując kieszenie w poszukiwaniu czegoś do obrony. W płaszczu było co najmniej dwadzieścia kieszeni, wystarczająco, aby Jig mógł nosić przy sobie prawie cały swój dobytek. Niestety, jednocześnie zbyt wiele, by spamiętać, co się w której znajduje.

Znalazł stare wędzone skrzydełko nietoperza, zapasowe skarpety, garść nieżywych os dla Ciapka... Przecież gdzieś tu wkładał nóż...

Człowiek zakręcił oboma mieczami. Wirujące ostrza zaświszczały. Dłonie rycerza poruszały się tak szybko, że nie sposób było je śledzić, klingi zaś tworzyły migotliwe, na wpół przezroczyste koła. Człowiek podchodził, kulejąc, kręgi zbliżały się coraz bardziej.

Jig sięgnął do kaptura, wyciągając zeń Ciapka. Przez moment stał z pupilem w rękę, rozkoszując się ciepłem przenikającym zgrabiałe palce. Potem rzucił pajakiem w człowieka.

Ciapek wylądował na środku zielonego tabardu, tuż nad głową odyńca. Wyglądał tam jak czarno-czerwony, dymiący kapelusik. Niestety, materia nie stanęła w płomieniach – albo pajak nie był aż tak przerażony jak Jig, albo biedak przemarzył trochę i nie mógł wygenerować odpowiedniej ilości żaru.

Cóż, każdy medal ma dwie strony. W tym przypadku tą jasną był fakt, że Jig nie zostanie ponownie wybrany na wodza.

Człowiek wrzasnął tak głośno i niespodziewanie, że wystraszony Jig mu zawtórował. Wojownik wypuścił miecze z rąk, chwycił za końce tkaniny i usiłując trzymać ją jak najdalej od siebie, potrząsał nią, starając się strzepnąć Ciapka. Gdyby nie był tak wrogo nastawiony, Jig powiedziałby mu, że może sobie oszczędzić wysiłków. Pajak miał nogi porośnięte szczecina, maleńkimi włoskami, które pozwalały mu przyczepić się do dowolnej powierzchni. Człowiek zmienił taktykę. Nie przestając krzyczeć, padł na kolana, próbując zedrzeć tabard przez głowę. Niestety, zapomniał przedtem zdjąć hełm.

Jig podszedł do niego niespiesznie i podniósł swój miecz. Zaplątany w zwoje materii człowiek nie widział nadciągającej śmierci. Czekając, aż Ciapek ostygnie, Jig wyrwał ostrze z

trzewi wroga i otarł dokładnie. Całe to potrząsanie musiało wyrwać pająka z drzemki. Przestraszony próbował zejść z człowieka. Wypalone zawijasy, utworzone przez kropki po jego stopach, świadczyły o potężnym rozespaniu i oszołomieniu.

Jig wpatrywał się w martwego przeciwnika, usiłując zrozumieć jego dziwaczną reakcję. Zachowywał się tak, jakby nigdy przedtem nie widział ognistego pająka. A przecież Ciapek był niewielki jak na przedstawiciela tego gatunku, ledwie odrobinę większy niż dłoń Jiga.

Ludzie to dziwne istoty.

Z zamyślenia wyrwały go rozlegające się w oddali okrzyki. Może i zgładził jednego wroga, ale właśnie nadbiegało ich więcej, a on nie miał pod ręką tyle pajaków ognistych, żeby walczyć z nimi wszystkimi – Przekrzywił głowę, nadstawiając zdrowe ucho. Drugie, rozdarte dawno w bójkę z innym goblinem, zwisało bezwładnie. Mimo to jedno ucho goblina było warte dużo więcej aniżeli dwoje ludzkich.

Sądząc z odgłosów, ludzie się spieszyli.

Jig zabrał Ciapka z trupa, pogłaskał ciepłego pupila po tułowiu i wsadził na powrót do kaptura.

– Wiedziałam, że Ciemnogwiazdy da nam zwycięstwo – oświadczyła radośnie Relka, ocierając krew z policzka, w który podczas upadku zraniła się własnym kłem.

– Jasne – prychnął Jig. – Może w takim razie przy następnej okazji ja zostanę w ciepłej jaskini, a Ciemnogwiazdy sam zabije człowieka.

* * *

Oceniając po natężeniu przekleństw, Grell nie była poważnie ranna. Wydobyła wreszcie z lodu niezniszczoną laskę, a Jig podał jej miecz wojownika, żeby mogła podeprzeć się z drugiej strony. I zaraz pobiegł po pochwę, bo czubek ostrza wbijał się głęboko w ziemię.

Po chwili Grell wypróbowała nową podporę, mruknęła z aprobatą i podkuśtykała do trupa.

– Cholerni ludzie – warknęła, trącąc trupa laską. – Czy oni nie wiedzą, że smok już nie żyje? A skarbu dawno nie ma?

– Co robiłaś tak daleko od jaskini? – dopytywała się Relka.

Jiga bardziej interesowało, jakim cudem wódz w ogóle zdołała tak daleko dotrzeć. Poza

Golaką, Grell była najstarszym goblinem w plemienu. Jednak w przeciwieństwie do kucharki, która z wiekiem nabierała masy i stawała się coraz silniejsza, przywódczyni kurczyła się niczym owoc na słońcu. Jig myślał sobie czasem, że tylko upór trzyma ją jeszcze przy życiu.

Grell, sapiąc i stękając, ruszyła w drogę powrotną, lecz natychmiast przystanęła.

– Jest ich zbyt wielu, jak na drużynę awanturników rozbijających się za skarbami. Ci pazerni mieszkańcy powierzchni są jak koty tunelowe. Mogą żyć i polować w małym stadzie, ale w większej gromadzie zaczynają się między sobą gryźć.

Relka przekrzywiła głowę.

– Ale nie są tak do końca do siebie podobni. Po kocie tunelowym jeszcze przez pół dnia wyciąga się futro z zębów, po herosach nie ma tego problemu. No, chyba że są krasnoludami.

Grell ponownie szturchnęła trupa.

– Jest ich chyba z setka. Nie damy rady takiej armii. Kilku wojowników twierdzi, że widziało pomiędzy nimi elfy.

– To dlatego chciałaś uciszyć bębny...

Gobliny nie posiadały oficjalnej sygnalizacji bitewnej. Utało się, że walczą, dopóki bębny dudnią. Cisza oznaczała, że werblisci zginęli lub uciekli, a tym samym reszta powinna wykonać taktyczny manewr odwrotu, czyli popędzić na złamanie karku byle dalej od wroga.

Jig wyteżył słuch. Z oddali, z drugiej strony jaskini dobiegał łomot pojedynczego bębna.

– Posłałam Troka, żeby go uciszył – skrzywiła się Grell. – Może powinnam dokładniej wyjaśnić, do czego odnosi się polecenie.

Każdy głośniejszy okrzyk przyprawiał Jiga o ciarki. Chwycił Grell za łokieć, żeby szła szybciej, ale groźny błysk w kaprawym oczku osadził go w miejscu.

– Może polują? – zasugerowała Relka. – No, wiecie, od nastania śniegów nie ma wiele pożywienia, a ludzie też muszą coś jeść.

– Ludzie nie jedzą goblinów – wyjaśnił Jig i poczuł, jak żołądek mu się buntuje na myśl o tym, co ludzie nazywają pożywieniem. Suche owoce, owsianka, chleb. Mięsa tyle co nic i to dopiero, jak wygotują z niego cały smak. Grupa herosów wzięła go kiedyś tylko przez kilka dni, co prawda, ale jeszcze przez miesiąc odczuwał efekty ludzkiej diety.

Ostatni werbel ucichł. Podobnie jak krzyk dobosza sekundę później. Wokół rozbrzmiała fala wrzasków rejterujących goblinów. Jig przecisnął się pomiędzy sosnami i przytrzymał gałęzie. Z tego miejsca widział wejście do jaskini. Czy popełniłby wielki grzech, puszczając

konary, aby przewróciły Grell, dając mu czas na ucieczkę? Ciąpek wiercił się niespokojnie w kapturze. Płaszcz był ognioodporny, ale kosmyki włosów Jiga nie.

Trzy gobliny dokuśtykały do jaskini i zniknęły w środku. Czwarty dopadł otworu, skacząc na jednej nodze – głęboka rana w udzie krwawiła mocno, zostawiając na zdeptanym śniegu wyraźny, niebieski ślad.

Wejście częściowo przesłaniała powalona sosna. Jeszcze niedawno broniły go także masywne wrota, ale te zniknęły kilka miesięcy wcześniej, rozebrane przez hobgobliny, które potrzebowały materiału na powiększenie klatek dla swoich tresowanych kotów tunelowych. Pień sosny nie blokował wejścia, ale skrywał je przed okiem przypadkowego przechodnia. Jediną wadą takiej zasłony były wplątujące się we włosy brązowe igły, plamiąca ubranie lepka żywica oraz niezwykle intensywny sosnowy zapach. Woń osłabła z czasem, ale jeśli chodzi o igły, drzewo wydawało się mieć ich nieskończone ilości, którymi dręczyło biedne gobliny.

Zanim Jig z towarzyszkami dotarli do przewróconej *sosny*, *jeszcze* dwóch wojowników umknęło do jaskini. Jig skubał nerwowo kieł, powściągając widoczne oznaki niecierpliwości, wódz tymczasem gramoliła się do środka, przy każdym ruchu posapując i strzelając stawami.

Głosy ludzi zbliżały się z każdą chwilą. Grell miała rację. To nie była zwykła drużyna herosów. Pędzący Trok przewrócił Jiga i zaczął przeciskać się obok przywódczyni. Nie udało mu się. Grell upuściła laskę, chwyciła Troka za ucho i zaczęła potrząsać mieczem, próbując zrzucić z niego pochwę.

– Relka? Znasz jakieś dobre przepisy na goblinie ucho?

– Ze cztery. Na ostro czy na łagodnie?

– Po ostrym siedzę całą noc w wychodku – mruknęła Grell. Porzuciwszy próby uwolnienia miecza, łupnęła Troka w stopę. – Choć właściwie mogłabym za karę dać mu dyżur wygodce.

Trok był dużym goblinem, a w tych kilku warstwach futer, które miał na sobie, sprawiał wrażenie olbrzyma, choć przy okazji wyjątkowo niezgrabnego olbrzyma. Wyszczrzył się w szyderczym uśmiechu. Grell wbiła szpony mocniej i z ucha goblina pociekła krew. Trok pisnął i wycofał się pospiesznie. Stanąwszy przy drzewie, rozcierał bolące ucho, czekając grzecznie, aż wódz przejdzie pod pniem.

Relka i Jig nie doświadczyli podobnej kurtuazji z jego strony.

Obsydianowe ściany tuneli tłumiły odgłosy bitwy. W ciepłym powietrzu okulary

natychmiast zaparowały, ale Jig i tak musiał odczekać, aż oczy przywykną mu do ciemności panującej we wnętrzu góry. Zresztą żaden goblin, który przeżył dzieciństwo, nie polegał jedynie na wzroku. Jig słyszał postękiwania Grell i stukot jej lasek – stara wódz zmierzała, jak się dało najprędzej, w stronę ciepła. Szybkie niuchnięcie powiedziało mu, że Trok popędził naprzód, rezygnując z wyładowania na Jigu złości. Kula i miecz, którymi podpierała się Grell, wybijały nierówny rytm. Przywódczyni kulała bardziej niż zwykle. Chłód robił swoje, więc przez ostatni miesiąc starowina codziennie prosiła Brafę lub Jiga o leczenie. Braf i Jig byli jedynymi goblinami, które otrzymały od Ciemnogwiazdego dar leczenia. Dar oznaczał, że oba poświęcały większość czasu na przynoszenie ulgi innym goblinom, od usuwania skutków odmrożeń oraz ukąszeń węży skalnych, po likwidowanie paskudnej pleśni usznej u Troka, której ten nabawił się kilka miesięcy temu.

Zostawiwszy za sobą resztki poświaty słonecznej, wkroczyli w strefę znajomego żółtozielonkawego poblasku bijącego z syfnych latarni, rozbryzgując wodę z kałuż topniejącego śniegu, zmierzali tunelem w stronę łukowatego przejścia prowadzącego do świątyni Tymalouisa Ciemnogwiazdego.

Z barwnej mozaiki na suficie spoglądał na nich bladolicy bóg. Jak zwykle wzrok Jiga podążył ku oczom postaci. W czarnych źrenicach migotały jasne ogniki. Bez względu na to, gdzie się stało, oczy te wydawały się podążać za patrzącym.

Kiedyś Jig domalował bogowi czarną przepaskę na oczach. Ciemnogwiazdy nie był zachwycony.

Każdy, kto wchodził do wnętrza góry, musiał przejść przez pieczarę, w której znajdowała się świątynia. Z perspektywy czasu Jig żałował, że nie umieścił jej nieco bardziej na uboczu. Cała podłoga pokryta była blokiem oraz śnieżną breją, które nanieśli przechodzący wojownicy. Część z nich ociekała przy niewielkim ołtarzyku, gdzie Braf w pocie czoła leczył ich rany.

Relka dotknęła swojego wisiorka.

– Droga dla Jiga!

Grell kaszlnęła znacząco.

– I wodza! – dodała pośpiesznie goblina.

Ogłoszenie przybycia Jiga nie wywołało efektu, na który liczyła Relka. Zamiast rozstąpić się, chmara rannych podzieliła się na dwie mniejsze grupki, z których jedna nadal oblegała Brafę, druga zaś opadła Jiga.

– Niby czemu Jig Smokobójca miałby używać leczniczej mocy Ciemnogwiazdowego niewiernym? – oburzyła się goblina, chwytając żarliwie wisiołek. – Ilu z was nosi symbol... Ał! – Wpakowała palce do ust. Najwyraźniej kawałki noża, użyte do zrobienia ozdoby, nadal były ostre.

– Wszyscy do głównej groty, już! – warknęła wódz. – Myślicie, że ludzie przyszli tu, żeby pospacerować przed wejściem?! No, dalej!

Tłumek topniał powoli, wylewając się przez trzy korytarze, które wychodziły ze świątyni, łącząc się dalej. Przepychanka u zbiegu odnóg dostarczy zapewne uzdrowicielom dodatkowej pracy. Grell złapała jednego z rannych przed opuszczeniem pieczary. Na czerepie miał długie cięcie, z którego ciekła krew.

– Ej, ty nie masz na sobie sosnowych igieł. Skąd ta rana, skoro nie opuszczałeś labiryntów?

– To przez nietoperza.

– Nietoperz zadał ci taką ranę?

– Nie. – Ranny wskazał na innego goblina. – To Ruk. Próbował ciachnąć nietoperza mieczem i...

– Już go miałem – przerwał Ruk – ale w ostatniej chwili odleciał.

Grell potarła czoło.

– Ruk, idź do wyjścia i zaczekaj tam. Ludzie nie widzą zbyt dobrze w ciemności. Będą zdezorientowani. Zabij każdą istotę, która wejdzie do środka. To znaczy każdą prócz goblina. – Dla podkreślenia wagi rozkazu, trzepnęła go laską.

Ruk odszedł rozpromieniony, dźgając po drodze wyimaginowanych wrogów.

– Naprawdę sądzisz, że da radę spowolnić najazd? – zapytał Jig, odprowadzając go wzrokiem.

– Ależ skąd. Ale obejdę się bez idioty, który wali po głowie mieczem swojego towarzysza, a dzięki jego wrzaskom dowiem się, że ludzie dotarli już do tuneli.

* * *

Jig z pewnym zdumieniem odkrył, że mimo nadchodzącego ataku im bliżej był gniazda, tym bardziej ogarniał go spokój. W miarę zagłębiania się w tunele, zapach sosny ustępował woni

dymu z syfni i smażonych opieniek.

Podeszwy butów klapały o skalny spąg. Dłonią sunął po ścianie z czerwonego obsydianu i uśmiechał się, wyczuwając pod palcami charakterystyczne zmarszczki. Powietrze wionące z głębi góry rozgrzewało zgrabiałe ręce. Prąd ten naturalnie niósł ze sobą także echo smrodków z hobgobliniej kuchni, ale najważniejsze, że był ciepły.

U wejścia do groty tłoczyła się grupa uzbrojonych wojowników goblinińskich, którzy żartowali i przechwalali się, czego to nie zrobią ludziom. Były to te same gobliny, które tak się spieszyły, żeby prześcignąć Jiga, Grell i Relkę w wejściu do labiryntów. Teraz, *siedząc* bezpiecznie w środku, przekrzykiwały się, chełpiąc się swoją odwagą i zwycięstwami.

Jig widywał już coś podobnego. Najgorsze, że po jakimś czasie gobliny zaczynały wierzyć w opowieści towarzyszy. Jeszcze chwila, a z bojowymi okrzykami na ustach runą do wyjścia, żeby uwiarygodnić swoje przechwałki.

Grell zapobiegła temu, dźgając najbliżej stojącego wojownika laską.

– Wy trzej, pójdziecie do świątyni. Zastawicie tam zasadzkę na ludzi.

Relka przepchnęła się, wkraczając do groty jako pierwsza.

– Najwyższy kapłan Tymalouza Ciemnogwiazdę powrócił! – ryknęła pełną pierśią, a jej głos poniósł się echem po labiryntach.

– Ciszej, przeklęte szczurojady! – dobiegł ich słaby okrzyk od strony siedliska hobgoblinów – Głupie hobgobliny – wymamrotała Relka. – Dlaczego tak w ogóle nie przyłączyły się do walki z ludźmi?

– Bo gdy zaczął się atak, posłałam Brafę do ich wodza z prośbą o pomoc – odparła Grell.

– Nie rozumiem. – Relka potrząsnęła głową.

– Ten głupek wychlapał, ilu jest napastników i przywódca hobgoblinów kazał mu... – Grell wyróciła oczami. – Nieważne. Ważne, że Braf nie jest na tyle giętki, aby to zrobić.

Jig przygarbił się, wchodząc za towarzyszkami do pieczary, którą gobliny zwały swym domem. W środku mieszkańcy kotłowali się niczym szczury z podpalonymi ogonami. Grupka po prawej robiła głośno zakłady, obstawiając, ilu goblinich wojowników zginie w bitwie. Inni sprzeczali się o chudobę należącą do martwych oraz prawie martwych.

Jig zwrócił uwagę na młodą, chuderławą goblinkę w kącie groty. Dziewczyna szła wzdłuż ścian ze spuszczoną głową, ostrożnie napelniając syfnie i zapalając te, które zgasły.

Kilka lat temu to Jig był na jej miejscu. Żrąca syfia parzyła skórę, od oparów kręciło się w

głowie, a biada nieostrożnemu syfiarzowi, któremu do kociołka z mazią wpadła iskra. Jednak mimo że syfne dyżury były pracą śmierdzącą i upokarzającą, nie wymagały biegania po śniegu, podczas gdy kilka kroków dalej toczyła się bitwa. Ani walki ze smokiem, chochlikami czy ogrami. Ani unikania Reiki oraz jej bandy fanatyków.

Jig zaczął rozważać, czy syfiarka zgodziłaby się z nim zamienić.

Oszołomy Reiki krążyły wokół niego niczym rekiny. Podobnie jak ich przywódczyni, nosili własnoręcznie zrobione wisiorki, symbolizujące kult Tymalouisa Ciemnogwiazdęgo. Czyciele wywodzili się głównie z pacjentów uzdrowionych niegdyś przez Jiga lub Brafę. A biorąc pod uwagę, jak reszta plemienia reagowała na ich uwielbienie dla Jiga i Ciemnogwiazdęgo, nadal często potrzebowali leczenia.

– Jig, za mną – warknęła wódz i nie czekając na odpowiedź, pokuśtykała w stronę jednych z nielicznych drzwi w grocie. Osadzenie drewnianej framugi w skale nie było prostą sprawą, ale Golaka robiła pastę, która pozwalała umocować belki do kamienia. Rosnąca na mieszance pleśń wczepiała się w oba materiały, umożliwiając goblinom odgroźenie kilku mniejszych pomieszczeń od głównej pieczary. Drzwi do kwatery wodza jako jedyne zaopatrzone dodatkowo w zamek.

Grell złapała za skrzydło obiema rękami, a gobliny zgodnie skrzywiły się na dźwięk zgrzytającego po skalnej podłodze drewna. Jig już wyciągał rękę, aby jej pomóc, ale błysk w oku przywódczyni ostudził jego zapędy.

– Dziękuję, ale potrafię jeszcze otworzyć własne drzwi – prychnęła. Wreszcie udało jej się uchylić skrzydło na tyle, by wślizgnąć się do środka.

Pojedyncza syfnia oblewała zagracone wnętrze mdłym, zielonkawym blaskiem. Obok siennika ze skóry nietoperza leżała kupka różnorodnej broni. Grell z głośnym stęknieniem usiadła na posłaniu, który to proces był niezwykle skomplikowany i obejmował pełną gamę sapnięć oraz mamrotania, a ponadto wymagał kilkakrotnego przestawiania kul. Wreszcie wódz, umościwszy się wygodnie, naciągnęła aż pod brodę futro z kota tunelowego.

– Może Jig Smokobójca pokieruje na razie goblinami, a ty sobie odpoczniesz? – podsunęła Relka, z wysiłkiem zamykając za sobą drzwi.

Grell otworzyła oczy.

– A może ty znajdziesz mi jakieś wygodne miejsce na moje laski? – Sięgnęła za materac, wyciągając gliniany garnek. Jig, uderzony zapachem stęchłego piwa klakowego, zmarszczył nos.

– Niech smok kopnie cały ten śnieg i wiatr. Wystarczy zmiana pogody, a stawy puchną mi jak pijawki na ogrzym tyłku. I przez te wygibasy na łodzi chyba zrobiłam sobie *coś* w kolano.

Jig usiadł przy posłaniu, odsunął futro i położył rękę na nodze wodza. Czuł, jak pod dłonią zgrzytają stawy, a rzepka wskakuje w panewkę.

Ciągle leczył Grell z tej czy innej dolegliwości, ale efekt nigdy nie utrzymywał się długo. Czy to możliwe, że magia Ciemnogwiazdęgo zawodziła? Ale przecież inne gobliny dało się wyleczyć na stałe. Oprócz przyjaciół Reiki. No, ale skoro przerywa się wojownikowi obiad, żeby zaśpiewać hymn do Tymalouisa Ciemnogwiazdęgo, trudno się potem dziwić sińcom wielkości talerza na twarzy.

Ciepło boskiej mocy przepływającej przez dłonie w trakcie leczenia wygoniło z palców resztki chłodu.

Mogę uleczyć urazy, których nabawiła się na łodzi, ale to nie pomoże na długo. Ból wróci. Głos Tymalouisa Ciemnogwiazdęgo, boga Jesiennej Gwiazdy, brzmiał dziwnie; był dużo łagodniejszy niż zazwyczaj.

Dlaczego?

Ponieważ Grell jest już stara, Jig.

Ale co się z nią dzieje?

Jig rozejrzał się ukradkiem, zatrzymując wzrok na garnku z piwem.

Czy ktoś ją truje?

Nie, jest po prostu stara.

No, wiem.

Wszyscy wiedzieli, że Grell jest stara. Dlatego była taka pomarszczona i ciągle musiała biegać w nocy do wychodka.

Ale co to ma...

Tak właśnie się dzieje na starość. Ciało zaczyna odmawiać posłuszeństwa. Czy gobliny nie umierają ze starości?

Jig potrząsnął głową.

Hm. No tak.

Jig poczuł, jak ścięgnę Grell kurczą się, kiedy staruszka ze stęknieniem zgięła nogę. Tym razem rzepka została na miejscu.

– Od razu lepiej – westchnęła z ulgą.

– Chwała Ciemnogwiazdemu!

Jig zerknął na Relkę i z trudem zdławił jęk. Goblinka, która zdjęła płaszcz, pod spodem nosiła koszulę z dużym rozdarciem ukazującym bliznę po ranie, którą zadał jej, a potem uleczył Jig.

Za dawnych czasów miałbyś wokół siebie setki takich wyznawców jak Relka i jej przyjaciele, rzeki Ciemnogwiazdy. No, może nie do końca takich samych. Ale to normalne, że otaczają cię i Brafą podziwem.

A nie mogliby tego robić z daleka?, jęknął Jig w duchu.

Ciemnogwiazdy roześmiał się; śmiech boga zawsze przywodził Jigowi na myśl maleńkie dzwoneczki.

Ciesz się, że nie każę wam odprawiać ceremonii tańców równonocnych.

Tańców równonocnych?

Kolejna salwa dzwoneczków.

Pierwszej jesiennej nocy, gdy moja gwiazda znajduje się w zenicie, moi wyznawcy składają doroczną ofiarę, paląc wielkie ognisko. Chodzi o to, żeby modlitwy wraz z dymem uleciały ku niebu i dotarły do gwiazd. Potem wszyscy tańczą od zachodu do wschodu słońca, aby uczcić kolejny dzień życia.

Jig był kiepskim tancerzem, ale ostatecznie nie brzmiało to aż tak tragicznie.

Wspominałem, że najwyższy kapłan tańczy nago?, dodał Ciemnogwiazdy.

Z tunelu prowadzącego do gniazda buchnęły krzyki goblinów. Jig odwrócił głowę, nadstawiając uszu. Drewniane drzwi tłumiły nieco odgłosy, ale wyglądało na to, że napastnicy dotarli już do świątyni. Jig miał nadzieję, że Braf zdążył uciec.

– Głupi Ruk – fuknęła Grell. Zwlekła się z posłania i zaczęła grzebać w stercie broni. – Miał krzyczeć zanim go zabiją.

Ciapek wiercił się nerwowo w kapturze. W jaskini zimno nie chłodziło już żaru pająka. Jig wyciągnął go, błyskawicznie przerzucił do jednej z kieszeni, którą specjalnie wyłożył skórą, po czym wetknął palce do ust. Ciapek nie był jeszcze aż tak gorący, i żeby zostawiać na skórze bąble, ale i tak parzył nieprzyjemnie.

– Nie boję się – oświadczyła Relka. – Ciemnogwiazdy nas ochroni.

Jej słowa idealnie zaakcentował kolejny rozdzierający wrzask.

– Tak jak ochronił tego biedaka? – zadrwiła Grell.

– Gdyby naprawdę wierzył, Ciemnogwiazdy by go nie opuścił.

– Zaczynam tęsknić za Veką – mruknął Jig. Veka była syfiarką z obsesją heroizmu. Przez jakiś czas nie odstępowała Jiga na krok, podobnie jak teraz Relka. Veka liczyła, że odkryje przed nią arkana wiedzy magicznej, aby mogła zostać magiczką-bohaterką. Jig nie miał wątpliwości co do stanu jej umysłu, ale Veka przydawała się przynajmniej w walce.

Niestety, odeszła niedługo po zakończeniu wojny z chochlikami i ogrami – ruszyła w świat, żeby „odnaleźć swoje przeznaczenie”.

Jig nie miał takich problemów. Wprost przeciwnie, przeznaczenie odnajdywało go nieustannie i to w każdej najprzemysłniejszej kryjówce. A gdy już dopadło, nie żałowało mu kopniaków.

Tym razem przeznaczenie postanowiło najwyraźniej wyżyć się na wszystkich goblinach. Ludzie dotarli już do głównej groty.

Kiedyś gobliny ruszyłyby do ataku w ciasnych tunelach, aby dwójkami czy trójkami kolejno ginać pod ciosami wroga. Teraz było inaczej. Nauczyły się czekać, aż intruzi wejdą do pieczary, gdzie łatwo ich będzie otoczyć i ewentualnie pokonać samą przewagą liczebną.

Brzęki cięciw i krzyki goblinów nie pozostawiały wątpliwości, jak świetnie działa ta taktyka.

– Trzeba było pogasić syfnie – szepnął Jig. Ludzie nie radzili sobie najlepiej w ciemności. Wygaszenie ognia mogło dać goblinom dodatkową przewagę.

– Chodź. – Relka pociągnęła go za rękaw. Z nożem w ręku zmierzała ku drzwiom. – Gobliny potrzebują swojego witezia!

– I co miałbym robić? – Przycisnął ucho do drzwi. Pobrząkiwanie pancerzy i szczęk broni wypełniły już całą pieczarę. Z najdalszego krańca dochodził zgiełk innego rodzaju – najpewniej gobliny walczyły między sobą, żeby wskoczyć jak najprędzej do zsypu i umknąć do niższych labiryntów.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – Jig skulił się na dźwięk pełnego oburzenia skrzeku Golaki. Zaraz potem dobiegło go głucho łupnięcie, jak gdyby wielka chochla uderzyła w metalowy hełm.

– Hej, tutaj! Bierzcie tę! – rozległ się odrobinę nosowy, męski głos. – Utworzyć szereg! Zmieść to robactwo!

– Miejsce dla łuczników! – Tym razem kobieta. Przynajmniej według oceny Jiga. Choć z

ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Wszyscy brzmiali podobnie, pewnie przez te małe usta i ząbki.

W drewno wbiła się strzała, grot zatrzymał się o włos o nosa Jiga, który odskoczył tak gwałtownie, że zatoczył się, uderzając o ścianę.

– Otwórz drzwi, Jig.

– Co?! – Jig popatrzył na Grell z niedowierzaniem. Ile wódz zdążyła wypić tego piwa klakowego?

Grell usadowiła się wygodnie na materacu i podciągnęła skórę pod brodę.

– Albo stawimy im czoła i dowiemy się, czego chcą, albo będziemy tu czekać beczynnie, aż wyrzną wszystkich co do nogi.

– Uwielbiam czekać – wymamrotał Jig.

– Otwieraj, albo jak z tego wyjdziemy, powiem Golące, że podkradasz jej smażone ogony szcurze.

– A, więc to ty! – szepnęła Relka ze zgrozą.

– Wcale nie! – Na myśl o tym, co kucharka zrobiła ostatniemu nielegalnemu amatorowi smakołyków, którego złapała, Jigowi podkurczyły się palce u stóp. W kuchni przybyły wtedy dwa niebieskie woreczki na przyprawy, łudzaco przypominające goblinie uszy. – Znaczy, przecież to tylko kilka... Ciapek je lubi... a poza tym...

Rozległ się potężny, metaliczny huk, od którego aż zadrżały drzwi. Sądząc z odgłosu, Golaka cisnęła w napastników jednym ze swoich kotłów.

Grell zazgrzytała żółtymi kłami.

– Dostyc tego! Relka, idź do Golaki i powiedz jej...

Jig pchnął drzwi, uchylając je trochę. A potem okrzyk jednego z atakujących wyparł mu z głowy wszelkie myśli o Golące.

– Mamy chochlę!

– O nie...! – szepnął Jig i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz.

Jedna grupa napastników stała w półokręgu przy głównym wejściu. Druga walczyła przy kuchni. U stóp wielkiej kucharki piętrzyli się pokonani wrogowie, z których ciał sterczały noże, widelce, rożny oraz inne kuchenne utensylia.

Jakiś człowiek pędził w stronę wejścia, wymachując ponad głową ogromną chochlą. Kilku innych szło z łuków, uniemożliwiając goblinom pościg. Jedna ze strzał zadzwoniła o wielką pokrywkę, którą kucharka trzymała niczym tarczę. Inna wbiła się jej w ramię. Kolejne

zmusiły Golakę do wycofania się do kuchni. Kilku łuczników ruszyło za nią, potrząsając groźnie bronią.

– Gdzie wasz wódz? – odezwała się stojąca przy kuchni kobieta, niewidoczna spoza szerokich pleców grupki towarzyszących jej wojowników.

Widok ustępującej z pola walki Golaki osłabił w goblinach bojowego ducha. Zaprzestawszy stawiania oporu, stały zbite w grupkę, niepewne, co robić. Na pytanie kobiety kilka z nich wskazało wyglądającego zza drzwi Jiga.

– On? – W głosie kobiety pobrzmiwał sceptycyzm.

– Nie! – zaprzeczył Jig energicznie. – Nie ja! Ona! – Otworzył szerzej drzwi, wskazując na Grell.

Kobieta zaczęła coś mówić, ale jej słowa utonęły w przeraźliwych wrzaskach, które właśnie buchnęły z kuchni. Rozległ się klekot upuszczanych na ziemię włóczni i z kuchni wybiegli ludzie pokryci parującym puddingiem z jaszczurników.

– Do diabła z kucharką! – krzyknęła kobieta i wraz z kilkunastoma wojownikami zaczęła przepychać się ku kwaterze wodza.

Jig czmychnął z drogi wstępującym do grotki żołnierzom. Jeden z ludzi przyjrzał się obecnym goblinom z drwiącym uśmiechem.

– Wszystko w porządku, wasza wysokość. Tylko jakiś konus, dziewczyna i starucha.

Kobieta przestąpiła próg. Była niższa od pozostałych. W polu czarnego tabardu widniał herb z wizerunkiem dziwacznej bestii, wyszyty ciemną, lśniąca nicią. Skórzany, utwardzany pancerz o połyskliwej powierzchni, także czarny, przypominał Jigowi taflę podziemnego jeziora leżącego w głębi labiryntu.

Dzierżyła w ręku osobliwą broń o wąskiej, ostrej klindze i czernionym koszu, osłaniającym całą dłoń. Nawet osadzony w głowicy kamień był czarny. Podobnie jak buty, pas, rękawice, nawet włosy... Wyglądała, jakby ktoś unurzał ją w nocy.

Jedyną jasną plamę w tej czerni stanowiła niezwykle blada twarz pod – czarnym oczywiście – hełmem. W jej rysach było coś znajomego.

Kobieta omiotła spojrzeniem Relkę oraz Jiga, po czym zwróciła się do Grell.

– Rozumiem, że to ty jesteś przywódcą tych potworków?

– Owszem – przyznała Grell. – A ty pewnie stoisz na czele tej ludzkiej bandy?

– Tak, wspólnie z bratem. Jestem Genevieve, córka...

– Mam gdzieś, kim są twoi rodzice. – Grell jednym ruchem odrzuciła futro, a w jej dłoni mignęła mała kusza. Zanim ktokolwiek zareagował, nacisnęła spust. Ku gardłu kobiety pomknął bełt...

...i zaraz brzęknął o ziemię. Na szyi, w miejscu leciutkiego draśnięcia, pojawiła się kropla krwi, zaskakująco kontrastująca z bladą skórą.

Grell cisnęła ze złością kuszę na bok.

– Głupi, bezużyteczny, hobgoblini śmieć – mruknęła.

Jeden z wojowników przyskoczył do niej, przykładając do gardła sztylet. Inny kopnął Jiga. To samo spotkało Relkę.

– Spokojnie – syknęła Grell. – Zabij mnie, a nigdy nie znajdziesz antidotum.

– Antidotum? – Genevieve dotknęła ranki i uniosła do oczu pomazane krwią palce rękawicy.

– Trzymam tę zabaweczkę na wypadek, gdyby jakiś smarkacz stwierdził, że chce być wodzem – wyjaśniła stara goblinka.

Żołnierze rozstąpili się, przepuszczając podchodzącą do posłania Genevieve. Jeden z nich wymknął się z grotki i pobiegł w stronę tunelu.

Genevieve przystawiła sztych do piersi Grell.

– Daj mi je, goblinko, natychmiast – warknęła.

– Każ swoim ludziom się wycofać i zostawić nas w spokoju – skontrowała Grell.

Jig zerknął na ziemię, gdzie upadł bełt. Teraz, kiedy wszyscy byli zajęci wodz, mógłby złapać go i wsadzić kobiecie w plecy.

A potem co? Śmierć gobliniego wodza pograżyłaby plemię w chaosie. Połowa goblinów rzuciłaby się sobie do gardeł, żeby zająć miejsce Grell, a druga uciekłaby z krzykiem, żeby przypadkiem nie nawinąć się walczącym pod jakieś ostre narzędzie. W stosunku do ludzi podobny manewr by nie zadziałał. Oni byli lojalni i zdyscyplinowani, nie wspominając o tym, że posiadali dobrą broń, którą z łatwością mogli wytrzebić gobliny w pieczarze. Zabicie ich przywódcy nic by nie dało; wprost przeciwnie, rozwścieczyłoby ich.

– Antidotum – warknęła Genevieve. – Albo obetnę ci uszy.

– Nie dawaj go jej – wrzasnęła Relka, zarabiając kolejnego kopniaka.

Grell z westchnieniem wskazała niewielkie pudełko.

Genevieve chwyciła je, zmiatając z wierzchu okruchy. Wewnątrz znajdowała się

drewniana tulejka zabezpieczona woskiem.

Jig nigdy nie widział, żeby Grell poddała się tak łatwo. Właściwie nigdy nie widział, żeby w ogóle się poddała. Popatrzył na nią spod oka, ale jej twarz była jedną pomarszczoną niewinnością. Kobieta odłupała wosk i natychmiast wlała sobie zawartość tubki do gardła. Zakrzuszyła się, ocierając usta wierzchem dłoni.

– Co za paskudztwo.

– Tak, ktoś już mi o tym wspominał – wyszczerzyła się Grell. – Nawet myślałam, czy nie dodać soku jeżynowego, żeby zagłuszyć smak trucizny, ale...

– Smak... czego...? – wyjąkała Genevieve, wpatrując się w pustą tulejkę.

– Trucizny. To mieszanka jadu węża skalnego i krwi jaszczurnika.

Relka zarechotała radośnie.

– Ale mówiłaś, że to antidotum na truciznę z bełtu...

– Zatruty bełt – prychnęła Grell, przewracając oczyma. – Myślisz, że ryzykowałabym trzymanie czegoś takiego wśród tej zgrai? – Oparła się wygodniej, poprawiając okrycie. – Odwołaj swoich żołnierzy.

– Nie zniżę się do pertraktowania z goblinami.

Grell wzruszyła ramionami.

– A co powiesz na zakład? Założę się, że jad węża skalnego sparaliżuje cię, zanim krew jaszczurnika zacznie wypalać dziury w twoim żołądku.

– Stawiam tygodniowy przydział deseru, że najpierw zadziała krew jaszczurnika – rzuciła Relka wesoło.

– Sprowadźcie tu mojego brata – poleciła Genevieve. – Powiedzcie mu, że zostałam otruta i...

– Hej, spokojnie – rzekł drugi ludzki przywódca, pojawiając się w progu w towarzystwie dwójki elfich łuczników.

W odróżnieniu od siostry, miał na sobie elficki pancerz, zrobiony z cieniutkich płytek magicznie utwardzonego drewna, polerowanych tak długo, dopóki nie zaczęły przypominać metalowych lamelek.

– Co tam, siostrzyczko? Nie dajesz sobie rady z goblinami? Zadanie przerosło twoje możliwości, co? Mówiłem ojcu, że nie jesteś odpowiednio przygotowana do takich misji.

– Sam wiesz co nieco na temat przebiegłości goblinów, Teodorze – odparła Genevieve

znudzonym tonem. – Zwiodły nawet Bariusa, pamiętasz? A Barius we wszystkim bił cię na głowę. Pamiętasz, ile razy biegałeś z płaczem do mamy, bo zmusił cię do czyszczenia stajni gołymi rękami, albo...

– Dosyc – warknął Teodor. Zrobił się bordowy i sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o całym świecie, nie mówiąc o goblinach.

Jig ledwie słuchał kłótni rodzeństwa. Właściwie nie powinien być zaskoczony takim obrotem rzeczy. Bez względu na to, jak fatalnie sprawy by stały, zawsze mogło być gorzej. I zwykle było. Nic dziwnego, że wiedzieli o chochli Golaki. To właśnie księżę Barius Wendelson wraz drużyną przybył przed dwoma laty do labiryntów w poszukiwaniu Laski Stworzenia. Zgładzili wtedy goblini patrol, porwali Jiga i powlekli go jako przewodnika do wnętrza góry, na niższe poziomy tuneli.

– Racja, dość już tego. – Do grotki wkroczył zwałisty kudłaty krasnolud.

– Lepiej pozbadźmy się tej trucizny z krwi twojej siostry, zanim będę musiał wrócić do domu i poinformować twoich rodziców, że gobliny wykończyły ich jedyną córkę.

Jig przylgnął do ściany. *Proszę, powiedz, że dzięki twojej mocy mogę być niewidzialny,* pisnął w duchu do boga.

Zmierzając ku Genevieve, krasnolud obrzucił gobliny przelotnym spojrzeniem. Naraz wrósł w ziemię, po czym obrócił się gwałtownie, okrągłymi ze zdumienia oczyma się wpatrując w postać pod ścianą.

– Jig?

Obawiam się, że muszę cię rozczarować, odparł Ciemnogwiazdy.

Jig zgarbił się, wciskając głowę w ramiona.

– Witaj, Darnaku.

Rozdział 2

Ilu jego towarzyszy jeszcze walczyło? Pierwszą ofiarą zdrady Noka padła ślepa Arna. Kto w ogóle wymyślił, żeby posyłać do bitwy ślepa boginię? Stara idiotka popędziła wprost na błyskawicę boga śmierci.

A teraz Nok przybył po Jesiennogwiazdego.

– Wzrosłeś w siłę – zauważył gospodarz.

Taktyka Noka była prosta, acz skuteczna. Pioruny uderzały w Tymalousa Jesiennogwiazdego, aż ten pojaśniał od żaru.

Dzwoneczki na rękawach traciły kształt, topiły się. Płynne srebro kapnęło mu na rękę i ściekło na podłogę. Bóg skrzywił się, zwilżając językiem oparzone miejsce.

– Dwaj wydali wyrok na ciebie i twych towarzyszy. – Głos Noka nabrał głębi, odkąd Jesienny słyszał go po raz ostatni.

– Dwaj nie potrafiliby nawet wymówić mojego imienia – odparł. – To bezrozumne istoty tak pochłonięte własną wojną, że nigdy nas nawet nie zauważały. – Mimo oślepiających błyskawic dostrzegł, jak Nok wzrusza ramionami.

– Wyrok wydali w ich imieniu Bogowie Wyżsi – przyznał bóg śmierci. – A teraz przestań mi przerywać. Niegdyś całe cywilizacje zwracały się do ciebie o pomoc i pociechę, ty jednak zdradziłeś tych wszystkich ludzi. Za karę...

– Staraliśmy się ich chronić! – Jesiennogwiazdy opadł na kolana.

Błyskawica rozjarzyła się mocniej. Brzegi tarczy Jesiennogwiazdego zaczęły dymić, kuty przez boga metal topniał pod naporem ataku Noka, wzrok zawodził. Zamknąwszy oczy, Jesiennogwiazdy wyciągnął rękę, po omacku szukając na podłodze czegoś do obrony. Broń stracił w ostatniej bitwie, ale musiało tu leżeć coś, co...

Natrafił na odłamek jednego z bloków kamiennych. Pod palcami wyczuł znajomy kształt nieforemnej gwiazdy.

– ... za karę ty oraz wszyscy, którzy obrócili się przeciw praojcom, zostaną wymazani z kart historii, skazani na pogrążenie w odmętach niepamięci. Stare cywilizacje będą upadać, zastąpią je inne, ale nikt nie będzie pamiętał o twym istnieniu. Nikt już nie wzniesie modłów do Jesiennej Gwiazdy. Nikt nie wypowie twego imienia, nikt nie poprosi o ulgę w ostatniej godzinie życia. Od teraz jesteś zapomnianym bogiem, Tymalousie Jesiennogwiazdy.

– A ty od zawsze byłeś strasznym gadulą. – Jesiennogwiazdy cisnął w niego z całej siły kamieniem. Odłamek trafił Noka prosto w pierś. Bóg zachwiał się i zawadziwszy o resztkę ściany, wypadł ze świątyni.

*Tymalously Jesiennogwiazdy odwrócił się błyskawicznie i umknął niczym przerażony...
śmiertelnik.*

* * *

Ach, więc tak czuje się szczur tuż przed ubojem.

Oczy wszystkich skupiły się na Jigu. Większość obecnych zdawała się być zbita z tropu. Wyjątek stanowiły elfy, wyraźnie znudzone, oraz Darnak, który wstrząśnięty, zaczął nerwowo skubać zębami knykie.

– Wybaczcie – zmitygował się po chwili, wyszarpując palce z ust. – Ptasie nawyki.

Jig nie widział krasnoluda od czasu, kiedy dwa lata wcześniej przy pomocy Laski Stworzenia osobiście przemienił go w paskudnego, przerośniętego ptaka. Gadającego ptaka.

Poza Jigiem tylko Darnak wiedział, że laska jest rączką chochli Golaki. To on musiał powiedzieć Teodorowi, w jaki sposób użyć artefaktu, aby przywrócić mu krasnoludzką postać.

Nie wyglądał najgorzej, jak na tak długi okres spędzony w ptasim kształcie. Zmierzwiona masa ciemnych włosów oraz brody sięgała mu prawie po kolana. Widocznie nie doszedł jeszcze do siebie, bo wspierał się jedną ręką o ścianę. Na nieszczęście znów zaczął skubać knykie, co oznaczało, że nie miał już wolnej ręki, aby przytrzymać rozchylający się koc, który był aktualnie jego jedynym okryciem.

Najwyraźniej zapomniał poinstruować Teodora, jak stworzyć ubranie.

– Mógłbyś...? – Genevieve uczyniła wymowny gest w stronę zbyt oddalonych od siebie poł prowizorycznego płaszcza.

– Och. Tak. Już. Wybacz. – Zakłopotany Darnak okręcił się kocem tak szczelnie, że spod okrycia wystawały jedynie czubki palców u stóp. Po czym przyjrzał się bacznie Jigowi, poświęcając szczególną uwagę jego okularom, płaszczeni, a także Ciapkowi, który wyszedł z bezpiecznej kieszeni i usadowił się na ramieniu. – Widzę, że znalazłeś sobie nowego pająka? – zagadnął.

– Nie do końca – zaczął Jig. – Ciapek...

– Znasz tego potworka, Darnaku? – zainteresował się Teodor, ściskający w obu rękach chochłą Golaki. Jig zerknął tęsknie na drzwi, rozważając, kto zabiłby go pierwszy w razie próby ucieczki. Pewnie jeden z elfów. Nie, raczej Grell.

– Jig był naszym przewodnikiem po tych labiryntach. Ocalił nam nawet życie raz czy dwa. – Twarz Darnaka pomarszczyła się w wymuszonym uśmiechu. – Pamiętasz te wielkie białe robale, ależ była z nimi zabawa, nie?

Widać krasnoludy posiadały skrajnie odmienne zapatrywania w kwestii zabawy.

– To coś było waszym przewodnikiem? – wyszeptał Teodor.

Pamięć bywa przewrotna. W jednym momencie w umyśle Jiga pojawił się obraz Bariusa oraz Ryslinda i to tak żywy, jakby bracia osobiście pojawili się nagle w kwaterze Grell. Co jednak było niemożliwe, ze względu na brak miejsca. Niesamowite, jak bardzo Teodor przypominał swych braci – mówił takim samym lodowatym tonem, przybierał tę samą gniewną minę i, Jig dałby głowę, pod jego czaszką kłębiły się właśnie takie same mordercze myśli.

Jig wziął się w garść, dumając, czy zdąży przed śmiercią łyknąć jeszcze nieco klakowego piwa Grell.

– Jig uciekł zaraz po tym, jak dotarliśmy do pieczary smoka – podjął Darnak. – Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś go zobaczę.

– Typowe goblinie tchórzostwo – skwitował Teodor, ponownie skupiając uwagę na Grell. Próbując zakreślić nonszalancko chochłą, grzmotnął czerpakiem żołnierza. Wojak odskoczył tak skwapliwie, że aż się przewrócił.

Jig zerknął ukradkiem na Darnaka, który mrugnął, odwracając głowę. Krasnolud wiedział dobrze, że to Jig zabił księżęta, dlaczego więc...

– To kłamstwo! – uniosła się honorem Relka.

Jigowi krew stężała w żyłach. Relka stała za daleko, by ją kłujnąc mieczem, poszukał więc wzrokiem czegoś, czym mógłby w nią rzucić.

– Jig nie jest tchórzem – ciągnęła nieświadoma niczego Relka. – Zabił Strauma, a potem...

– Goblin zabił smoka? – parsknął Teodor szczerze rozbawiony. – A w jakież to sposób dokonał tego niezwykłego wyczynu?

– Według „Ballady o Jigu”...

Jigowi udało się wreszcie znaleźć odpowiedni przedmiot. W następnej chwili „zatruty” belt Grell odbił się od czoła Reiki. Dziewczyna odwróciła się do niego nadąsana.

Genevieve zakaszłała, masując kark.

– Naprawdę całe życie marzyłam o uroczym popołudniu spędzonym na słuchaniu goblinów ballad, ale może najpierw oczyścicie moją krew z trucizny? Oczywiście, jeśli nie macie nic lepszego do roboty...

– A, tak. Trucizna. – Darnak zatarł ręce, co przyniosło godny pożałowania skutek w postaci rozchylonego ponownie płaszcza. Podszedł do Genevieve, a raczej podreptał, kołysząc się na boki. Pewnie potrzebował trochę czasu, by znów odnaleźć się w skórze krasnoluda.

– Co to za pomysły, żeby wchodzić do pomieszczenia zanim zostało zabezpieczone? Tak ci się spieszy, żeby zrobić z brata jedynaka? – Darnak przecisnął się pomiędzy żołnierzami, stając przy królownie.

– Przecież to tylko trzy gobliny – broniła się Genevieve zarumieniona. – Żadne zagrożenie!

– Takie właśnie myślenie doprowadziło dwóch twoich braci do śmierci – utyskiwał Darnak. Zanurzył dłoń w brodzie, wyławiając srebrny amulet w kształcie młoteczka. Albo Teodor odtworzył wisior, albo przedmiot przetrwał przemianę nienaruszony. – Trucizna to paskudna sprawa, ale nie bój się, to betka dla Ziemiowłócy.

– To możemy już się jej pozbyć? – zapytał Teodor, wskazując chochlą na Grell.

Genevieve odczekała, aż Darnak skończy leczenie, po czym odwróciła głowę do brata.

– Idiota. – Wzięła głębszy oddech. – To wódz goblinów. Kto się podda, jak ją zabijesz?

Teodor uderzył czerpakiem w materac, wzbijając chmurkę kurzu.

– Jako przywódczyni tych goblinów skapitulujesz przed nami. Jeśli nie zaprzestaniesz stawiania oporu, wybijemy twoje plemię w pień. Twoja krew wsiąknie w ziemię, a ciało porzucimy na pastwę drapieżców. W tunelach tych nie pozostanie żaden goblin, który mógłby...

– Już wie, o co ci chodzi – przerwała mu siostra.

– I tak uważam, że powinniśmy je wszystkie zabić – mruknął Teodor. – Ojciec nie zgodziłby się...

– Ojca tu nie ma. I to mnie powierzył obronę Avery, a nie tobie, pamiętasz?

Z furii malującej się na obliczu Teodora można było łatwo wywnioskować, że pamięć ma doskonałą.

– Ojciec pozwolił ci objąć dowodzenie nad posterunkiem w tej zdobytej psim śwędem mieścinie tylko dlatego, że żadna szanująca się armia nie zboczyłaby z drogi, żeby ją zaatakować,

nawet gdyby...

Grell rozparła się z powrotem na posłaniu.

– Możecie się klócić na zewnątrz? – sarknęła. – Zdrzemnę się tymczasem, a wy wróćcie, jak skończycie.

Rodzeństwo przez chwilę mierzyło się spojrzeniami, aż wreszcie Teodor z gniewnym fuknięciem wypadł z grotki. Elfy podążyły za nim.

– Najsilniejsze gobliny pójdą z nami – oświadczyła Genevieve, odwracając się do Grell. – Reszta zostanie tu, w tunelach, a wejście zablokujemy za pomocą laski.

– Ale po co? – wyrwało się Jigowi zanim ugryzł się w język. Nie był pewien, śmiać się czy płakać. Sam, swego czasu, kiedy odzyskał łaskę, zatarasował wejście do labiryntów. Potem, za radą Ciemnogwiazdego, otworzył je, żeby zapobiec stagnacji cywilizacyjnej goblinów i w efekcie wyginięciu rasy odizolowanej całkowicie od zewnętrznego świata. Od razu wiedział, że robi źle, mógł zostawić blokadę, oszczędziłby wszystkim wielu kłopotów.

– Król rozkazał mi między innymi upewnić się, że gobliny nie będą już stanowiły zagrożenia – wyjaśnił Darnak. – Można to zrobić na dwa sposoby, a tylko jeden z ich pozwoli wam zachować życie.

Relka przekrzywiła głowę.

– Ach, więc pofatygowaliście się tutaj, zaszlachtowaliście naszych wojowników, wdarliście się przemocą do naszej grotki, napadliście kucharkę i wtargnęliście do kwatery wodza, ponieważ stanowimy dla was zagrożenie?

Krasnolud wzruszył ramionami.

– Zbierzcie najsilniejsze gobliny – poleciła Genevieve. – Oprócz kucharki. Odnoszę wrażenie, że nie dałaby sobą łatwo kierować.

Ogłędnie powiedziane. Genevieve odczekała moment, ale nikt nie zareagował.

– Jeśli wolicie drugą opcję, zaraz zawołam brata i pozwolę mu was zabić – zagroziła.

– A nie możecie wziąć hobgoblinów? – zapytał Jig.

– Nie mamy na to czasu – odparł Darnak. – Zresztą hobgobliny to wredne typki. Z wami łatwiej sobie poradzimy.

– Rozumiem, że to trudne – podjęła Genevieve. – Wódz, który ma do wyboru dobrowolnie oddać w czyjeś ręce tych, za których jest odpowiedzialny albo...

– Przypilnujcie, żeby zabrać Troka. Ta nędzna namiastka wojownika co rusz próbuje

zatruc moje piwo. Jeszcze lepiej, jak zrzucicie go z urwiska. – Grell przechyliła głowę. – Bo chyba będziecie przechodzić obok jakiegoś urwiska, co?

* * *

Jiga wzięli także, mimo iż był tyle wojownikiem, co ogrem. Podczas gdy grupa na czele z Genevieve pętała największe gobliny, Teodor popchnął w ich stronę Jiga.

– Tego też weźmy. W końcu zabił smoka. Pewnie jest najpotężniejszym z goblinów.

– Ale z ciebie dzieciak. – Pokręciła głową Genevieve, choć na oko wyglądała na sporo młodszą od brata.

Jeden z elfów zarzucił pętlę na szyję Jiga i zawiązał porządny węzeł, doczepiając go do szeregu około czterdziestu spętanych jeńców. Jig znalazł się na samym końcu, tuż za Trokiem. Starał się nie oddychać przez nos, ale nic nie pomagało. Odór przepoconych ubrań sąsiada był tak silny, że czuło się go na języku.

Może, gdyby rodzeństwo знаło prawdę na temat śmierci braci, zabiłoby go, oszczędzając mu mąk.

Stojący z przodu Braf wychylił się, machając do Jiga. Chciał coś powiedzieć, ale przechodzący elf pociągnął mocno za linkę i z gardła Brafa dobył się jedynie głośny skrzek.

– Czekaście! – Z tuneli wypadła Relka, ściskając w dłoni wisiorek. – Gdzie Jig Smokobójca, tam i ja.

Elf zerknął pytająco na Teodora, który wzruszył ramionami. Wkrótce goblina została przywiązana do Jiga i to tak blisko, że wyraźnie czuł jej oddech. Ha, znów podpijała miód Golaki... Co mogło tłumaczyć, dlaczego uparła się, żeby iść za Jigiem.

Elf chwycił jej wisiorek, wyciągając nóż.

– Nie! – krzyknęła Relka wbijając szpony w przegub elfa. Daremnie jednak. Gwałtowne szarpnięcie skutecznie zdławiło jej protesty, a szybkie pociągnięcie ostrza przecięło rzemień.

– Idiotka – syknął Jig.

– Nie lękaj się – powiedziała Relka, podnosząc głos. – Towarzysze, to jedynie próba naszej wiary. Zaufajcie Ciemnogwiazdemu, on nas uwolni!

Trok warknął rozeźlony i szarpnął za linkę. Jig stracił równowagę, zarył nosem w jego futra, po czym został wprasowany w nie mocniej przez mimowolnie pociągniętą Relkę. Trok

sięgnął ponad jego głową i pacnął goblinkę pięścią w czoło.

– Jak ostatnio patrzyłem, wielcy kapłani Ciemnogwiazdego byli związani dokładnie tak samo jak reszta. Zamierzają nas zjeść – mruknął. – Dlatego wybrali największe okazy.

– Ludzie nie jedzą goblinów. – Pokręcił głową Jig.

Bez względu na to, jakie ludzie mieli wobec nich plany, Jig miał nadzieję, że pospieszą się z ich realizacją. Nie mogło go spotkać już nic gorszego prócz smrodu Troka i paplaniny tej kopniętej dziewczyny.

Szybko okazało się, że był w błędzie – Relka zaczęła śpiewać:

Mój Ciemnogwiazdy jest jako gwiazdy

Przyświeca maluczki w nocy i w dzień.

Z nieb wysokości, na nasze słabości

Przymyka oczy w swej wspaniałości

My nędzne robaki, w mądrość biedaki

Niegodne wlepić swe ślepie węż

W swej wielkiej litości, goblinie marności

Prowadzi światłem gwiazdnej boskości

My mierzwa licha, obierzyn micha

Niegodni pociechy czerpać zeń.

Trok warknął głucho, przepchnął się obok Jiga i zacisnął pętlę na szyi Reiki, zbijając ją z nóg. Goblinka zaczęła wierzgać i wić się, aż wreszcie grzmotnęła głową w podbródek napastnika.

Gobliny przywiązano do siebie krótkimi linkami, więc Jig znalazł się pomiędzy walczącymi. Pięta Reiki dźgała go rytmicznie w brzuch, łokieć Troka zaś wgniał okulary w twarz. Gdzie ci strażnicy do licha? Kilku ludzi, nie zdejmując rąk z broni, obserwoowało bitkę, ale żaden nie palił się do interwencji. Elfy, założywszy strzały na cięciwy, wodziły wzrokiem po szeregu więźniów. Na twarzach reszty goblinów malowała się ulga. Jig rozumiał je aż nadto dobrze. Hymny Reiki były, delikatnie mówiąc, obrzydliwe. Jig miał okazję słyszeć ten kilkakrotnie i wiedział, że z każdym wersem będzie tylko gorzej. Dalej porównywała gobliny do gnijących kup mięsa, rzygowin, a w przedostatnim wersem, o zgrozo, do hobgoblinów.

Jednakże, mimo wszystko, była żarliwą wyznawczynią Ciemnogwiazdego, a bóg miał osobliwe podejście, *jeśli chodzi o obronę towarzyszy*.

– Ej, Trok, daj jej spokój.

– Myślisz, że jak ta kretynka cię wielbi, to już możesz się tu szarogęścić i mi rozkazywać?

– Po brodzie krzepkiego goblina ciekła strużka niebieskiej krwi.

– Nie. – Jig głośno przełknął ślinę, odsuwając się najdalej, jak pozwoliły mu na to więzy. Wykręcił się przy tym tak, że łokieć Troka zamiast w oko, wbijał mu się w ucho. – Myślisz, że jak ją zabijesz, to odetną trupa? Nie łudź się. Oni uważają, że chcemy odwrócić ich uwagę, żeby inni mogli uciec. Patrz, jak pilnie strzegą pozostałych. Pewnie zostawiają ją tak i będziemy musieli ją jeszcze wlec. Tobie może to nie przeszkadza, ale nie wiem, czy reszta będzie tego samego zdania.

Przez szereg przebiegły pomruki niezadowolenia, ale Trok nie odpuścił. Twarz Reiki przybrała odcień granatowofioletowy, a jej wierzgnięcia słabły.

– A wyobraź sobie, co powie Golaka, kiedy po powrocie okaże się, że zamordowałeś jej podkuchenną – dorzucił Jig.

Podziałało. Trok puścił Relkę, jakby nagle porosła zatrutymi kolcami jaszczurników.

– Gniew Ciemnogwiazdego... – Goblinka zanosła się kaszlem, masując gardło. Odetchnąwszy, próbowała znowu. – Jego gniew zmiecie cię...

– Zamknij się – syknął Jig. Podmuch wiatru sypnął w nich śniegiem i Jig zatrzęsł się z zimna, czując, jak Ciapiek zakopuje się głębiej w kieszeni.

Czego ci ludzie mogli od nich chcieć? Darnak twierdził, że mieli za zadanie dopilnować, by gobliny nie stwarzały zagrożenia dla mieszkańców powierzchni. Ale po co w takim razie zabierać najsilniejszych wojowników – i Jiga – przed zaplombowaniem labiryntów?

Jig porzucił te rozważania, dochodząc do wniosku, że tak czy owak nie może to być nic dobrego.

* * *

Maszerowali przez cały dzień, póki światło nie przybrało czerwonego odcienia zachodu. Najpierw schodzili porośniętym drzewami zboczem góry. Wędrówka zakosami po stromym, zaśnieżonym stoku przyprawiła Jiga o piekący ból w łydkach. Lawirowanie na

wycucie pomiędzy usuwającymi się spod stóp kamieniami było prawdziwym koszmarem. W pewnym momencie idący z przodu Braf potknął się, podcinając nogi sąsiadowi. Wkrótce cały oddział toczył się zgodnie w dół.

Hobgobliny powinny wciągnąć coś podobnego na listę swoich niezawodnych pułapek.

Jig odczuł cichą satysfakcję, zbijając po drodze z nóg kilku strażników. Niestety, nie spowodował tym postojem na tyle długiego, żeby uleczyć odniesione w upadku rany. Krew sącząca się z poobijanych łokci wsiąkała w tkaninę płaszcza i krzepnąc, usztywniała rękawy.

Podczas pochodu gobliny trzymały się w zwartym szeregu. Po części, żeby nie zaciskać pętli, a tym samym się nie podusić, ale też dlatego, że bliskość dawała im poczucie bezpieczeństwa i złudzenie ciepła. Jig nie wypuszczał się zwykle poza jaskinię, a i te wypadki czynił jakiś czas temu i raczej przymusowo, uciekając przed tym drabem, który go dręczył, Porakiem. Większość goblinów, jak mogła unikała wychodzenia na powierzchnię.

– Nie cierpię przebywać na wolnym powietrzu – mruknął, chowając dłonie w rękawach. Świsł wichru w gałęziach przywodził na myśl smoki, albo jeszcze gorsze rzeczy. W bieli sterczały nagie szkielety drzew, a mokre liście pod śniegiem złośliwie uciekały spod nóg. Płynące po niebie chmury potęgowały wrażenie niestabilności gruntu pod stopami.

Świat zewnętrzny był po prostu za wielki. Labirynty, choć rozległe, były ograniczoną przestrzenią, a drogę wytyczały ściany korytarzy oraz grot. Tu dało się iść w każdą stronę.

Wreszcie opuścili zadrzewione, kamieniste zbocze góry, wkraczając na trakt, którego nawierzchnię stanowiło zamrożone błoto. Tu czekało na nich jeszcze więcej ludzi. Prawie wszyscy uwijali się przy koniach.

Jig przyjrzał się z zaciekawieniem stojącemu nieopodal zwierzęciu. Nigdy wcześniej nie widział konia. Owszem, myszkujący po labiryntach awanturnicy miewali pancerze czy tarcze z wizerunkami wierzchowców, a raz nawet myśliwi przynieśli prawie całego na kolację, ale żywy rumak to co innego.

Przede wszystkim były dużo większe. I straszniejsze. Ten w pobliżu miał szarą maść w białe cętki. A także ogromne ślepie. Kiedy gobliny wynurzyły się spośród drzew, odsłonił rząd gigantycznych wręcz, łopatowatych zębisk i zaczął grzebać nogą w ziemi. Jig natychmiast dostrzegł przymocowane do kopyt masywne, metalowe kabłaki. Niewątpliwie po to, by łatwiej roztrzaskać goblinie czerepy.

Większość oprawców powsiadała szybko na konie. Teodor ścisnął piętami boki

wierzchowca, który ruszył z miejsca i szybko wysforował się na czoło grupy. Elfy pospieszyły za nim. Szły pieszo, ale nie miały kłopotu z dotrzymaniem kroku zwierzęciu.

Gobliny wywleczono na środek drogi, jeźdźcy zaś zajęli miejsca po obu stronach kolumny, szarpiąc wodzami, by okiełznać rozbuchane wierzchowce. Konie były większe nawet od kotów tunelowych! Jeden taki mógłby bez trudu zabić i pożreć połowę gobliniej grupki naraz.

Teraz, zamiast potykać się na odłamkach skalnych i korzeniach drzew, Jig zaczął potykać się o zamrznięte koleiny i ślady końskich kopyt. Oraz inne, niezbyt aromatyczne pozostałości świadczące o przejściu czworonogów. Część z nich wierzchowce musiały zostawić w drodze do podnóża góry, resztę uzupełniały na bieżąco.

Trok już zdążył rzucić grudą zamrzniętego łąjna w Relkę.

Jig zastrzygł uszami, usiłując przywrócić czucie w końcówkach. Słyszał, jak księżę żartuje z jednym z elfów, ale szum wiatru zniekształcał słowa. Genevieve wraz z drugą grupą ludzi jechała z tyłu.

Jig podskoczył, przestraszony niskim głuchym dźwiękiem.

– Rzuć nas na pożarcie potworom! – pisnął jeden z goblinów.

– Wątpię, żeby sowy były zainteresowane taką strawą – zarechotał Darnak, zrównując się z kolumną więźniów. Na szczęście udało mu się znaleźć odzienie. Nogawki spodni kipiały mu z cholew, poły kurty zaś płątały w okolicach kolan. Brodę skręcił i związał w supeł, żeby nie zawadzała w marszu.

– Trzymaj gębę na kłódkę i rób, co każą, a nic ci nie będzie – rzekł, zezując na Jiga.

– Ale czemu im powiedziałaś, że...

– Ani mru-mru, co dopiero mówiłem – syknął krasnolud i przystanął, przepuszczając gobliny przodem. – Uszy jak spodki, a i tak nie słuchają.

* * *

Niebo zdążyło już pociemnieć, kiedy księżę Teodor dał wreszcie rozkaz postoju. Jeden ze strażników zaakcentował słowa dowódcy szarpnięciem liny.

– Jesteśmy na miejscu!

Jig dawno już stracił orientację w terenie; nie wiedział ani w jakim kierunku, ani jak daleko od jaskini odeszli. Nawet gdyby udało mu się jakimś cudem uciec, nie potrafiłby odnaleźć

drogi do domu. Wychylił się, usiłując dojrzeć coś z przodu, ale na próżno wyteżał wzrok.

Genevieve minęła go w drodze do brata. Jej koń był oczywiście całkiem czarny, z wyjątkiem białej plamki na jednej z przednich nóg. Przechodząc majtnął ogonem niczym biczem.

Jig uchylił się przed ruchliwym pękiem włosów i rozejrzał wokół, starając się zorientować w otoczeniu. Przydroża niknęły nieco dalej w nieprzeniknionej ciemności. Prawdopodobnie znajdowali się w jakiejś sporej dolinie. Jig pociągnął nosem w nadziei, że powietrze przyniesie zapachy, które powiedzą mu coś więcej. Niestety, jedyne czego zdołał się dowiedzieć, to to, że całodzienna wędrówka wycisnęła z Troka siódme poty. Dosłownie.

Teren tuż przy drodze był płaski, niezadrzewiony. Jig zmrużył oczy, wpatrując się w ciemniejsze zarysy jakiejś bryły znajdującej się po lewej stronie. Czyżby jakiś budynek? Przed budowlą tłoczyła się grupka dużych, zwałistych zwierząt, które porykiwały głucho.

– Zabierzcie stąd gobliny! – rozległ się okrzyk. – Straszą krowy!

– Witajcie w Avery – mruknął Darnak do mijającego go rzędu goblinów. Krasnolud przeszedł całą drogę piechotą, nie przestając mamrotać, że szybciej można pokonać taką odległość na skrzydłach.

Chwiejne płomienie łuczyw oświetliły wznoszącą się przed nimi palisadę, na oko wysokości czterech sporych goblinów. U góry musiała znajdować się platforma, na której stali żołnierze z włóczniami oraz kuszami. W migotliwym świetle wyglądali jak rozkołysane, upiorne cienie. Konstrukcja umocowana była na tyle nisko, że ponad częstokół wystawała jedynie górna część tułowia strażników. Półkadłuby mierzących z góry zbrojnych stanowiły niepokojący widok.

Żołnierze pełniący wartę naziemną otworzyli wrota niemal tak wysokie, jak całe ogrodzenie. Jako pierwsi do środka wjechali Genevieve oraz Teodor. Od strony Jiga wyglądało to tak, jakby skierowali na siebie konie, próbując przepchnąć się jedno przed drugim.

– Co z nami będzie, Darnaku? – zapytał Jig, ocierając łzawiące oczy. Ledwo co widział, a z nosa ciekło mu już bez przerwy. Dostał kataru już po kilku godzinach marszu w chłodzie, ale teraz czuł jakby zamiast twarzy miał wodospad.

– Genevieve chce was zaprząć do pracy przy budowie umocnień wokół miasta – wyjaśnił krasnolud. – Uważajcie. Tutejsi ludzie nie przepadają za goblinami.

– Nikt nie przepada za goblinami – zauważył Jig.

– To fakt. – Darnak potrząsał dziwnie ramionami i poruszał łopatkami. Czyżby bolały go

mięśnie? Dopiero gdy zarzucił głowę, wzbudzając czarną grzywę, Jig skojarzył to osobliwe zachowanie. Podobnie robiły ptaki, kiedy się denerwowały – strzepywały skrzydłami i stroszyły pióra. Darnak był tak długo ptakiem, że mowa ich ciała weszła mu w krew.

Ale dlaczego miałby się denerwować? Przecież Darnak niczego się nie bał!

– A co z jedzeniem? – rzuciła Relka.

– A wygodki? – zainteresował się Braf.

– Przydałyby się jakieś koce – zauważył inny goblin.

– Odrobina herbaty porostowej też by nie zawadziła.

– Jak nie dotrzemy szybko do wychodków, będę potrzebował nowych spodni!

– Dość tego! – ryknął jeden z ludzi, kierując na szereg kuszę. Gobliny ucichły jak nożem uciął.

Jig zamrugał, usiłując skupić wzrok na palisadzie. Po chwili uświadomił sobie, że ogrodzenia nie tworzą wbite w ziemię bale czy tarcice, a żywe drzewa, posadzone tak blisko siebie, że nieomal stykały się pniami. Niższe konary usunięto, zostawiając górną część koron, które zrosły się na kształt liściastego rusztowania. Pomiędzy gałęziami poruszali się strażnicy. Kora pni zdawała się falować, chrzęścić niczym stado szczurów.

Jig kichnął siarczyście, obsmarkując przy tym okrycie Troka. Nie, żeby futrzysku robiło to jakąkolwiek różnicę.

Zbliżywszy się do ogrodzenia, zdał sobie sprawę, że kora wcale się nie porusza. Całe drzewa porastały wielkie żółte kwiaty. Najmniejszy kielich miał gabaryty gobliniej dłoni. Kichnął ponownie. Ciężka, dusząca woń tłumiła nawet kwaśny smród Troka.

– Co to za miejsce? – wyszeptała Relka.

– Niedysiejsza siedziba elfów – odrzekł Darnak. Kilkanaście lat temu tereny te były kością niezgody pomiędzy elfami i ludźmi. W końcu doszli do porozumienia, na mocy którego dolina ta dostała się królowi Wendelowi. Ludzie nie czują się tu zbyt dobrze, ale zwraca im się w uprawach. Te elfy i ich konszachty z roślinami... To nienaturalne... Nasika taki na skałę, a następnego dnia już masz drzewko. Avery uzyskuje dwukrotnie większe plony niż inne miasta podobnej wielkości. Oczywiście, jak zabłądzisz w okolice południowej granicy i zapłaczesz się w trujący bluszcz, to koniec, zostaje ci modlitwa o szybką śmierć. Same pędy toto ma grube na palec. Jestem przekonany, że elfy zasadziły to tałatajstwo specjalnie, w ramach prezentu pożegnalnego. Normalnie nie wyściubiają nosa poza swoją granicę, ale czasami próbują

„nawrócić” jakiegoś człowieka na swoją filozofię. – Krasnolud rzucił ponure spojrzenie Teodorowi. – A ludzie lecą na tę ich grację i tak zwaną mądrość. Nie wspominając o włosach. A przecież wszyscy wiedzą, że żaden spiczastouchy drzewofil nie jest w stanie zapuścić nawet pędzla na brodzie.

Darnak odsunął się, przepuszczając w bramie gobliny. Ziemię przy murze zaścielały rozkładające się kielichy opadłych kwiatów. Ogrodzenie tworzyły dwa szeregi drzew. Niebo przesłaniał okap splątanych gałęzi, a spomiędzy bujnego kwiecica dobywał się świergot podenerwowanego ptactwa.

Wewnątrz, pomiędzy budynkami, wiała się dróżka wysypana pobielającymi od mrozu trocinami. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie dominowały pnącza, liście i kwiaty wszelakich barw oraz kształtów. Jig otarł nos i zamrugął, wyciskając spod powiek łzy.

Genevieve zeskoczyła z konia.

– Zabierzcie ich do stajni. Dajcie wodę i jedzenie. I koce. Nie przywlokłam tu tych flejowatych stworzeń, żeby mi zaraz powymarzały.

– A co z wychodkiem? – dopytywał się Braf dziwnie cienko, przebierając nogami.

– Przynieście im wiadro.

* * *

W nocy Jig nie mógł zasnąć. Może przez to, że nikomu nie przyszło do głowy, by zdjąć więźniom pęta, wskutek czego przy każdej zmianie pozycji Trok i Relka skutecznie go podduszali. Niewykluczone, że powodem jego udreki było ludzkie pożywienie, które wmuszono w nich w ramach kolacji.

Do stajni wtoczono dwie beczki. Pierwszą wypełniały twarde, zielone, śmierdzące owoce, które ludzie zwali piklami. Jig próbował nakarmić kawałkiem Ciapka, ale pajak omal nie sparzył mu ręki. Oślizgłe pikle cuchnęły trochę jak Trok. Niezbyt apetyczny zapach.

Druga beczka zawierała powalane ziemią, brązowawe bulwy z białymi wąsami. Ziemniaki, bo tak określali je ludzie, były przemarznięte, twarde i bez smaku.

Po piklach to ostatnie stanowiło niewątpliwą zaletę.

Jeden z koni parsknął, dudniąc kopytami w klepisko. To była prawdziwa przyczyna bezsenności Jiga. Gobliny dzieliły stajnię z około trzydziestką rumaków. Co prawda zwierzęta

stały przywiązane w boksach, ale Jig obawiał się, że jakby przyszło co do czego, drewniane przepierzenia nie będą dla nich przeszkodą.

Suche powietrze drażniło nos i gardło, ale przynajmniej nie rosły tu nigdzie w pobliżu te koszmarne kwiaty. Gobliny spały stłoczone w najdalszym kącie ciasnawego, drewnianego budynku.

Nie wiesz może, dlaczego tu jesteśmy?, spytał Jig.

Odpowiedź Ciemnogwiazdego nie była w niczym pomocna.

Może dlatego, że to jedyna budowla w mieście zdolna pomieścić czterdziestkę goblinów.

– Jig? – Szept Reiki przeszkodził mu w dalszych indagacjach.

– No?

– Myślisz, że nas zabiją?

– Pewnie tak – odszepnął, przymykając powieki.

– Sądzisz, że spotkam po śmierci Tymalouisa Ciemnogwiazdego?

Jig milczał. Gdyby zaprzeczył, Relka prawdopodobnie zechciałaby dowieść bogu, że jest warta stanąć przed jego obliczem i spędziłaby resztę nocy na modlitwach oraz śpiewach. W przypadku potwierdzenia, zapragnęłaby ani chybi przyspieszyć bieg rzeczy i sprowokowałaby Troka, żeby ją zabił.

Wreszcie zmęczenie wzięło górę nad strachem i Jig zapadł w drzemkę. Było mu strasznie niewygodnie z łokciem Troka wbijającym się w brzuch i kłującym w plecy kolaniem Reiki, ale najważniejsze, że spał.

Dźwięk dzwonów wyrwał go z kosmaru, w którym zeskakujące z ogrodzenia elfy strzelały do niego strzałami o piklowych grotach. Trok zerwał się na nogi, omal nie łamiąc mu przy tym karku.

– Wychodzić! – Wrota stajni otworzyły się gwałtownie, ukazując sylwetki Genevieve oraz grupki żołnierzy. Oślepiające słońce utrudniało dostrzeżenie czegokolwiek poza nimi.

Konie szczyrzyły łopatowate zęby na przechodzące środkiem stajni gobliny. Jig miał wrażenie, że wielkoślepe potwory pożerają go wzrokiem. Może dlatego właśnie Genevieve sprowadziła gobliny do Avery? Skończyła im się pasza, a mądre konie nie chciały tknąć pikli czy ziemniaków.

– Jak będziemy z nimi walczyć? – szepnął Trok.

Jig obejrzał się, szukając rozmówcy, ale Trok przykuł jego uwagę mocnym szarpnięciem.

– Do mnie mówisz?

– W końcu jesteś smokobójcą, nie? To ty pobiłeś chochliki. – Trok zerknął na królownę. – No? To jak sobie dasz radę z tą bandą?

Technicznie rzecz biorąc, Jig nie zgładził smoka osobiście. Jeśli zaś chodzi o chochliki, większość goblinów, która wyruszyła pod jego wodzą do bitwy, *nie* wróciła do rodzimej *grot*y.

– Żadnych rozmów – uciszyła ich Genevieve, chwilowo wybawiając Jiga od odpowiedzi. Przeszła wzdłuż szeregu, uważnie przyglądając się każdemu goblinowi. Tuż za nią podążało kilku mężczyzn, wręczając więźniom porcje ziemniaków oraz wody. Nie byli żołnierzami. Nie mieli broni, a swoje obowiązki wykonywali, nie spuszczając oczu z goblinów; właściwie to starali się nawet nie mrugać.

Niebieskich przybyszów obserwowało wielu ludzi stojących w oknach i drzwiach. Ci, którzy musieli przejść obok, mijali ich, przyspieszając kroku, przy czym część gapiła się na nich, reszta zaś wprost przeciwnie, odwracała wzrok.

Z małego placu w centrum miasteczka rozchodziły się drogi, które potem rozwidlały się i łączyły z węższymi ścieżkami. Rysunkiem przypominały trochę wyrastające z pnia gałęzie. Na wysepkach pomiędzy nimi tłoczyły się domy oraz drzewa. Większość drewnianych oraz kamiennych budynków sprawiała wrażenie stosunkowo nowych, ale parę wyglądało, jakby stanowiły integralną część z grubymi pniami. Te przypominały formą otaczającą miasto palisadę.

Na jednym z drzew siedziało dwoje dzieci, które pokazywały sobie gobliny palcami i szeptały coś między sobą. W drzwiach któregoś z budynków stał mężczyzna dzierżący w dłoni spory topór. Bali się. Czy to możliwe, że gobliny budziły w nich lęk? Przecież trudno było nie zauważyć krępujących ich więzów.

Niebale ogolony mężczyzna wepchnął Jigowi do ręki ziemniaka. Na widok bulwy Jigowi przewrócił się żołądek. Zmusił się do odgryzienia kawałka i wyjął gorzkawy wąż spomiędzy zębów. Białe pędy były jedyną częścią ziemniaka posiadającą jakikolwiek smak, ale Darnak wspomniał, że są również trujące. To miało sens.

Genevieve spięła konia, kierując go ku wrotom. Prowadzone pod zbrojną eskortą gobliny przełykały pospiesznie resztę jedzenia w drodze poza ogrodzenie. Na zewnątrz królowna zeskoczyła z siodła, wyciągając nóż. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, koń sięgnął łbem ponad jej ramieniem i odepchnawszy ją na palisadę, zabrał się do szczypania żółtych kwiatów.

– Przestań! – rozzłościła się dziewczyna, szarpiąc za wodze i zakłęła, kiedy koń skubnął

ją w bark.

Nadjeżdżający Teodor zarechotał kpiąco. Za księciem podążały elfy, w większości także konno. Podobnie jak towarzysze, Teodor jechał na oklep, choć używał cugli.

– Skoro trudno ci poskromić Wichra, może powinniśmy ci poszukać odpowiedniejszego wierzchowca? Wydaje mi się, że widziałem tu gdzieś starego osła.

– Owszem, tuż-tuż. Siedzi na koniu, a za nim świta elfów – odcięła się Genevieve.

Nawet ich obelgi były podobne do tych, którymi obrzucali się Barius z Ryslindem.

Genevieve podała wodze Darnakowi, stając przed drzewną ścianą.

– To kolcostalnik – rzekła. – Elfickie drzewo. – Ujęła w palce kwiat, odgarnęła płatki, ukazując brązową łodyżkę i przystawiła do niej ostrze. Roślina musiała być naprawdę twarda, bo dziewczyna musiała kilkakrotnie przejechać ostrzem, zanim udało się jej oderznąć kwiat. Odrzuciła go, po czym wytarła rękę o spodnie. – Każdy z was dostanie nóż. – Rzuciła swój pod nogi najbliższego goblina, który *natychmiast* spróbował się uwolnić. Kiedy nie zdołał przeciąć liny, rzucił się na królową.

Rozległ się świst i strzała przeszła mu stopę. Goblin upadł z krzykiem, upuszczając nóż w śnieg.

Genevieve podniosła broń.

– Jeśli spróbujecie wykorzystać nóż do czegoś poza obcinaniem kwiatów, jeden z elfich pupilków mojego brata przestrzeli wam gardło. – Wskazała na majaczącą w koronie gibką postać. Elf pozdrowił ją, unosząc luk.

– Wzięliście do niewoli goblinów wojowników, żeby ścinać kwiaty? – zdumiał się Trok.

– Zawsze mogę znaleźć dla was lepsze zastosowanie. – wzruszyła ramionami Genevieve.

– Wasze truchła nadadzą się na kompost.

Jig przyjrzał się uważnie kikutowi po odciętym kwiecie. Cienkie, czerwobrazowe liście zaczynały zwijać się, oplatając ciasno łodygę. Spodnią stronę liści porastały małe ciernie.

– Trzeba ścinać każdy jeden kwiat – podjęła Genevieve.

Jig potoczył spojrzeniem po palisadzie. Kwiaty żółciły się na każdym kawałku płaszczyzny, a ogrodzenie opasywało całe miasta. Nie wspominając o tym, że było strasznie wysokie.

– Strata czasu – prychnął Teodor, ruszając ku bramie. Wyjął Laskę Stworzenia z za pasa,

unosząc ją ponad głowę. Do tej pory nie odczepił metalowego czerpaka. – Pozwól, że się oddalę, siostrzyczko. Baw się tu dobrze ze swoimi goblinami, a tymczasem ja i ojciec zajmujemy się poważną obroną naszego królestwa.

– Tak, tak, pobaw się spokojnie swoją laseczką, a ja tymczasem zajmę się miastem.

Kilka goblinów zarechotało radośnie. Rozjuszony Teodor wymierzył w jednego laskę, ale ten tylko roześmiał się głośniej.

– Dość tego, dzieci. – Darnak przemaszerował obok rumaka księcia, zupełnie nieporuszony wielkimi kopytami zwierzęcia. – Teosiu, jedź już do Skysdale, ojciec cię oczekuje. A ty, Genevieve, przestań robić teatrzyk dla goblinów i zagoń je do roboty.

– Posuwasz się za daleko, krasnoludzie – burknął Teodor, szarpiąc wodze jedną ręką. Jig uważnie śledził każdy jego ruch. Gdyby tak upuścił laskę, Jig mógłby ją złapać i... Przygarbił się, zrezygnowany. Laska oddziaływała tylko na jedną osobę naraz. Nawet gdyby udało mu się transformować księcia w robaka, Genevieve oraz elfy posiekałyby go na paszę dla tegoż robaka.

Darnak wyjął z kieszeni nieco pomarszczony, *czzerwony* owoc i wyciągnął go w stronę konia królowy.

– Ślubowałem twemu ojcu, chłopcze. – Pomachał owocem. Zwierzę podeszło, wyciągając pysk i wzięło przysmak z jego ręki. Darnak uśmiechnął się rozradowany, wyjmując z innej kieszeni srebrzystą flaszkę. Pociągnął z niej od serca. – No, znikaj. Elfowy rumak czy nie, i tak długa droga przed tobą.

– Krasnolud ma rację! – krzyknął Teodor, odwracając się do niewielkiego tłumu pod bramą. – Powrócę, dobrzy ludzie, powrócę na skrzydłach zwycięstwa! Sa'illienth é traseth!

Darnak zakrztusił się napitkiem.

– Wybacz, książę, ale czy to przypadkiem nie brzmiało Sa'illienth é trathess? Oczywiście, jeśli miałeś na myśli „Zwycięstwo i honor”, okrzyk bojowy elfów. Choć jak na mój gust „Zwycięstwo i wędzonka” brzmi niezgorzej.

– No, to w drogę – bąknął purpurowy Teodor. – Alléia!

– Illéia, głupku.

Jig wątpił, by ludzkie ucho wychwyciło mruknięcie Genevieve.

* * *

W południe Jig padał już z nóg. Zaprzężone do pracy gobliny przez cały ranek obcinały kwiaty. Tak jak przypuszczał, łodygi u nasady kielicha okazały się twarde, skórzaste. Po kilku godzinach harówki dostał przykurczu w palcach, na dłoniach wyskoczyły mu bąble, a pot zalewał oczy. Z trudem oddychał przez zatkany nos i kichał przy każdym obciętym kwiecie.

Ogoławanie ścian przerywali tylko na chwilę, kiedy ludzie rozdawali im grabie, każąc zagarniać sterty płatków i zanosić je do jednego z budynków gospodarczych. Tam część zbiorów ładowała w korytach, przy których pasły się ociężałe bestie zwane krowami.

Jig przystanął, żeby wytrzeć nos i rzucić okiem na palisadę. Zaczęli od bramy, idąc w lewo i przez ten czas oczyścili pas ogrodzenia długości mniej więcej trzydziestu kroków i wysokości jednego goblina. Po usunięciu kwiecica, pnie zajeżyły się od błyszczących, ciernistych szpikulców. Jig dotknął jednego. Biorąc pod uwagę, z jaką łatwością liście zamykały się wokół łodyg, kolec okazał się zaskakująco twardy.

– Wymyśliłeś już jak uciekniemy? – zagadnął go Trok.

Jig potrząsnął głową.

– To było kiedyś elfickie miasto. – Dotknął innego kolca. – Patrz, mają taki sam kolor jak te ich pancerze. Założę się, że do jutra stwardnieją na stal. I będą jak ona skuteczne.

– Trzeba to sprawdzić. – Zanim Jig otworzył usta, Trok złapał swojego drugiego sąsiada i pchnął go na ścianę.

Rakell, bo tak nazywał się wojownik, wrzasnął i odskoczył. Tylko kilka kolców zdążyło stwardnieć na tyle, by przebić skórę. Z ranek na torsie i nodze pociekły granatowe kropelki. Parę kolców odłamało się od pnia, zostawiając na korze dziurki, z których sączył się sok. Jig przytknął palec do oleistej żywicy. Ktoś, kto próbowałby wspiać się po palisadzie, albo nabiłby się na kolce, albo połamał je i ześlizgnął się w dół.

– Co to za zamieszanie? – zapytał Darnak, który wraz z kilkoma mężczyznami toczył ku nim znajomą beczkę.

Trok warknął na widok kadzi.

– Jeśli spróbują mi wcisnąć choć jednego pikla, pobiję ich nim na śmierć.

Jig odwrócił się ku ścianie, dostrzegając pomiędzy kolcami małego żuka. Przygwoździł owada kciukiem i wrzucił do kieszeni, gdzie siedział Ciapek. Przynajmniej on zje sobie coś porządnego.

Rakell pozbiierał się wreszcie na tyle, by trzasnąć Troka w szczękę. Trok warknął groźnie,

chwytając przeciwnika za gardło. Gobliny po obu stronach walczących zatoczyły się, wpadając na siebie. Przyciśnięty do żeber Troka Jig ujrzał, że to, co wyglądało na rozrywanie kłami gardła, było w rzeczywistości wybiegiem pozwalającym Trokowi szepnąć coś drugiemu goblinowi na ucho.

Zaraz potem Trok wrzasnął, ciskając Rakellem w Darnaka. Rakell wznosił nóż.

Pomagający krasnoludowi ludzie odskoczyli jak oparzeni. Darnak czekał ze spokojem na twarzy, nie czyniąc żadnych gwałtownych ruchów.

Z góry pomknęła strzała, przebijając szyję Rakella. Darnak wyjął osuwającemu się goblinowi nóż z ręki i odwrócił błyskawicznie do innego atakującego. Szybki cios obalił napastnika zubożonego o jednego kła.

Reszta goblinów zastygła w bezruchu. Darnak zatknął nóż Rakella za pasek.

– Ktoś jeszcze ma ochotę dołączyć do tego nieszczęśnika? – zagrzemiał, trącając ciało Rakella stopą.

Nikt nie drgnął.

– Nie? Doskonale. No to zabierajcie się do jedzenia. Macie tu pikle i ser.

– A co z Rakellem? – oburzyła się Relka.

– Nie przypuszczam, żeby był głodny. – Darnak wzruszył ramionami. – Ach, chodziło ci o więzy? Z tym trzeba poczekać na elfy. Nikt inny nie da rady rozwiązać elfickiej liny.

– Nie, chodziło mi o mięso – doprecyzowała Relka. – Co zrobicie z mięsem?

– Gobliny – skrzywił się Darnak, kręcąc głową.

Wraz z pomocnikami rozdał pożywienie. Po całym poranku ciężkiej pracy Jig miał taki apetyt, że nawet pikle prawie nie wydawały mu się wstrętne. Prawie. Odebrał zielony owoc i twardą jak kamień gomółkę białego sera.

– Czego tu się tak wszyscy boją, Darnaku? – zapytał.

Krasnolud potrząsnął głową.

– Z łaską Ziemiotwórcy, niczego.

– Przecież ta twoja księżniczka nie martwiłaby się o obronę miasta, gdyby nie spodziewała się ataku – wymamlał Trok, przeżuując pikla.

Jig zerknął na niego z ukosa. W życiu nie spodziewałby się takiej wnikliwości po tym tępym mięśniaku.

Darnak wydobyl srebrzystą manierkę.

– Jego wysokość przysłał tu Genevieve na jej własne życzenie. Odnowa Avery to jeden z jej pomysłów. Dziewczyna się nudzi w pałacu.

Samym oddechem krasnoluda Jig mógłby się niewąsko ululać. Przedtem Darnak nie pił chyba aż tyle. I napój w manierce nie pachniał jak krasnoludzkie *ale*. Raczej jak... opadłe liście.

– Teodor mówił coś o skrzydłach zwycięstwa – przypomniał. – Zwycięstwa nad kim?

– Orkami.

Oczy wszystkich zwróciły się na Relkę.

– Kiedy wyprowadzali nas z labiryntów – ciągnęła – słyszałam, jak Teodor przechwalał się, ile to orków nie zabije.

– Głupi smarkacz – sarknął Darnak zbyt cicho, by ludzie go usłyszeli.

Jig i Trok spojrzeli po sobie niepewnie. Jak to się stało, że Jig tego nie usłyszał? Ach, tak, to musiało być wtedy, gdy zatykając uszy rozważał, czy oderwanie ich sobie nie będzie mniej bolesne od słuchania psalmów Reiki.

– Ano tak – westchnął krasnolud. – Ale nie chodzi tylko o orków. Krwawa Billa ma także gobliny. Orki, gobliny i jeszcze gorsze istoty. Tysiące potworów maszerują na nasz kraj. Zabijają wszystko na swej drodze.

– Czy Genevieve każe nam z nimi walczyć? – zaniepokoił się Jig.

– Avery nie jest żadnym ważnym celem strategicznym. – Darnak pociągnął głębszy łyk, po czym machnął flaszką, wskazując mającące w oddali wzniesienie. – Znajdujemy się na pograniczu ziem króla. Atak na to miasto nie miałby żadnego taktycznego usprawiedliwienia. A w tym roku śnieg spadł wcześniej, co dodatkowo utrudnia natarcie. Armia króla Wendela spłynęłaby zboczami doliny, miażdżąc wroga. Billa jest za mądra na to, żeby wystawić swoje wojsko na taką rzeź. – Wbił wzrok w ziemię. – Wendel wysłał tu córkę po części dlatego, że to prawdopodobnie bezpieczniejsze miejsce niż sam pałac. Nie, żeby pałacowi groziło jakiegokolwiek realne niebezpieczeństwo, oczywiście.

W trakcie tej przemowy prawie wcale nie patrzył na Jiga. Dziwne. Gobliny nie spuszczały się z oczu. Wystarczył moment nieuwagi, a w następnej chwili z brzucha sterczała ci rękojeść czegoś nieprzyjemnie ostrego.

– Co z nami będzie, jak skończymy obcinać kwiaty? – zapytał Jig cicho.

– Nie myśl o tym. – Darnak przechylił jeszcze raz manierkę, po czym odwrócił się, by odejść.

Jig złapał go za ramię. Było twarde jak skała. Dwa lata w ciele ptaka nie pozbawiły Darnaka krzepy.

– Powiedz.

Krasnolud westchnął, szarpiąc końcówkę brody. Rzucił okiem na miasto i kiwnął głową.

– Dobrze, należy ci się choć tyle. – Wyjął spod koszuli wisiołek i wyzwolił się z uchwytu Jiga, przytrzymując go jednocześnie w miejscu. Zanim Jig zareagował, przyłożył mu srebrny młoteczek do czoła.

Jig pisnął, ogarnięty osobliwym wrażeniem. Zupełnie jakby jego czaszka zmieniła się w bijący dzwon. Zatkał uszy, ale dźwięk rozlegał się wewnątrz.

– Młot Ziemiotwórcy – wyjaśnił Darnak, chowając wisiołek i wskazał głową na resztę goblinów. Towarzysze patrzyli na Jiga wilkiem, z całej siły przyciskając ręce do uszu. – To mniejsze zaklęcie, ale użyteczne, kiedy potrzeba odrobiny prywatności. Nie będą słyszeli nic poza hukem jego młota.

Relka poruszała ustami, ale Jig nie rozumiał słów. Trok też coś mówił. Ruszył ku Darnakowi, ale Relka zatrzymała go, wskazując na miasto. Prawdopodobnie przypominała Trokowi o elfie z łukiem.

– Zrozum, król Wendel stracił przez gobliny dwóch synów. – Darnak wydobyl z kaletki przy pasku maleńki kubek i nalał Jigowi płynu z flaszki. – Dwa lata temu byłby ruszył na was z całą armią, ale nie mogliśmy znaleźć wejścia.

Jig napił się, myśląc z dumą, że miał rację, żeby zapieczętować otwór wejściowy. A potem język stanął mu żywym ogniem i przestał myśleć. Zgiął się wpół, upuszczając naczynie i kaszląc, zaczął pchać do ust śnieg.

– Elfie piwo – wyjaśnił Darnak. – Mocne, ale smakuje, jak drzewne siki.

Jig otrząsnął się, krzywiąc. Czuł, jakby język porósł mu warstwą pleśni.

– Co z nami zrobi?

– Królewskim edyktem każdy odkryty na terenie królestwa goblin ma zostać zgładzony na miejscu. Genevieve udało się obejść to prawo, bo potrzebowała rąk do pracy, ale jak skończycie...

Jig stał bez ruchu, wpatrując się w krasnoluda, a dźwięk młota oddalił się jakby. Nie był zanadto zaskoczony wyrokiem. Dziwił się, że ludzie już dawno nie wybili goblinów.

– A więc na jego ziemiach każdy może polować na nas, jak na jakieś zwierzęta?

– Nie do końca. – Darnak pokrzepił się napitkiem. – Nie wolno tak sobie polować na zwierzęta. Prawo wyraźnie określa łowiska oraz okresy ochronne, a także zakazuje...

– Ale my wcale nie chcieliśmy przychodzić do tego głupiego królestwa! Samiście nas związali i tu przywlekli. Nie możecie zabijać nas za to, że jesteśmy w miejscu, w którym nigdy nie chcieliśmy się znaleźć. To...

– Spokojnie, Jig. – Darnak obrzucił spojrzeniem resztę goblinów, które zdążyły się już zorientować, że to Jig oraz krasnolud byli źródłem ogłuszających dźwięków. Jeszcze chwila, a żadne strzały nie powstrzymają ich przed rozerwaniem Darnaka na strzępy. – To nieistotne, chłopcze. Góra, którą zamieszkujecie, leży na terytorium królestwa.

– Nasza góra? – Jig wpatrywał się z niego z niedowierzaniem.

– Góra Wendela, według traktatu, który podpisał z elfami. – Darnak wskazał na kraniec doliny. – Rządzi wszystkim aż po wierchy tamtych wzgórz.

Tego było Jigowi zbyt wiele.

– Czyli, gdzie byśmy się nie ruszyli, zabijają nas.

– Tak to mniej więcej wygląda. Wieść o śmierci Bariusa i Ryslinda rozeszła się po całym królestwie. Wszyscy wiedzą, że zabiły ich gobliny i ludzie nie chcą was na swoich ziemiach. – Darnak wcisnął w dłoń Jiga manierkę. Okazała się zaskakująco ciężka. – Własnymi rękoma ją zrobiłem, z pomocą Ziemiotwórcy. Przyda, ci się bardziej niż mnie.

Jig podziękował skinieniem.

– Zabiłeś Bariusa i Ryslinda, ale ocaliłeś nam także życie. Nie zapomnę, że mnie oszczędziłeś. Udało mi się na razie przekonać Genevieve, żeby was jako tako traktowała. Wic polega na tym, żeby zmienić nastawienie jej ojca. Królewiatka mają twarde łby, ale można do nich trafić.

– Nie możesz nas puścić?

– Ślubowałem wierność królowi. – Darnak potrząsnął głową. – Poza tym, gdzie byście poszli? Teodor zamknął laską wejście do labiryntów.

Jig miał ochotę się rozpłakać. Bez laski nigdy nie wrócić do domu. A Teodor zabrał ją do królestwa ludzi, gdzie Jig zginie, jak tylko ktoś go ujrzy. Choć to akurat nic nowego. Ostatecznie jest goblinem.

– Daj mi trochę czasu, to popracuję nad Genevieve. Jest trochę dziwna, ale potrafi panować nad emocjami znacznie lepiej niż ojciec. Może nawet aż za dobrze. Ma to po matce.

Jeśli uda mi się przekonać ją, że pozostawienie was przy życiu leży w jej najlepszym interesie...

– A czemu pozostawienie nas przy życiu leży w jej interesie?

– Gdybym wiedział, miałbym połowę problemu z głowy – prychnął Darnak. Kiedy klasnął, przeraźliwe dzwonienie młota umilkło, buchnęły natomiast goblinie przekleństwa.

– ... jego własną brodą! – gorączkował się Trok.

– A co z Jigiem? – dopytywał się jakiś goblin.

– Jig nie ma brody – zauważył przytomnie Braf, a Trok i jego rozmówca pokręcili głowami z politowaniem.

– Niech bogowie mają cię w opiece, Jig – rzekł Darnak, podnosząc głos.

– Mają – szepnął Jig. – Ale jakoś nie widzę, żeby to cokolwiek zmieniło.

Wypraszam sobie, obruszył się Ciemnogwiazdy.

Jig nie odpowiedział. Odwrócił się, spoglądając na porzrzucone za palisadą gospodarstwa i ciemną ścianę lasu poza nimi.

A więc chcesz uciec, tak? Uciekanie to stara, szlachetna goblinia tradycja.

Równie stara, jak padanie pod gradem elfich strzał.

Jig zerknął na nieruchome ciało Rakella i przeniósł wzrok na ogrodzenie. Tylko jeden elf, ale sporo ludzi przy nim. Nie wspominając o żołnierzach z włóczniami oraz kuszami. Nóż do odcinania kwiatów był lepszy od noża kuchennego, który zwykł nosić, ale nie mógł się równać z bronią strażników.

– Co mówił krasnolud? – zaczęła go Relka. Ciekawość wygrała w końcu z rozdrażnieniem i Trok oraz pozostałe gobliny podeszły do niego, nadstawiając uszu.

Jig łyknął z Darnakowej manierki, zmuszając się do przełknięcia palącego płynu.

– Powiedział, że nas zabiją.

Rozdział 3

Ucieczka do świata śmiertelników była aktem desperacji, ale prawie mu się udało.

Prawie.

Tymalous Jesiennogwiazdy był już w połowie drogi, gdy Nok zaatakował od tyłu, ściągając go na ziemię. Jak dawno wydarzenia te miały miejsce? Krepujące ciało czarne pasma błyskawic utrudniały śledzenie upływu czasu.

Naturalnie, kiedy męka znudziła się nawet ofierze, nadeszła chwila, by coś zmienić.

Pustynia, na której leżał bezwładnie Jesiennogwiazdy, przekształcona została w pole najeżone nierównej długości kolcami oraz kałużami gorącego szkła. Nok mógł podążyć za nim i dokończyć robotę już dawno temu, ale materializacja w realnym świecie czyniła go tak samo bezbronnym jak przeciwnika. Nok był ostrożny, wietrzył podstęp. Jesiennogwiazdy pochwałał tę przezorność, aczkolwiek nie miał już sił na sztuczki. Z każdym kolejnym uderzeniem czarnego pioruna słabł coraz bardziej.

Nok był okropnie nudnym zabójcą. Nie drwił, nie przechwalał się, nic, tylko ciskał błyskawicami. Czy naprawdę tak wiele kosztowałoby go choćby małe urozmaicenie formy ataku? Całkiem miłą odmianę mógłby stanowić jakiś słup ognia, albo wirujący w powietrzu lej piachu, chłostający do krwi maleńkimi ziarenkami. Jak na boga śmierci, Nok wykazywał się mierną fantazją.

W króciutkiej przerwie pomiędzy wybuchami uwagę Jesiennogwiazdego przykuł jakiś ruch. Na brzegu szklanego krateru stała pustynna jaszczurka, miniaturowa potomkini smoków. Uniosła groźnie grzebień i rozpostarła skrzydła. Miała pewnie nadzieję na odrobinę pieczeni.

Jesiennogwiazdy zastanawiał się często ze swymi boskimi towarzyszami, czy są tak naprawdę nieśmiertelni, ale ani razu nie roztrząsali kwestii swojej jadalności.

W atmosferze dało się wyczuć napięcie przed następną salwą, jesiennogwiazdy przymknął oczy i opuścił osłonę, zbierając resztki mocy, jaka mu jeszcze pozostała.

Niebo przecięła poszarpana, smolista krecha, a na pustyni pozostało spalone, nieruchome ciało, które kiedyś było Tymalousem Jesiennogwiazdym... oraz mała jaszczurka, która uciekała z największą prędkością, jaką pozwalały jej rozwinąć krótkie, pałkowate łapki.

Zanim Jig uporał się ze swoim pikiem, zginął jeszcze jeden goblin. Ten zdołał zarzucić pętlę na szyję człowieka. Roztrzęsiony mężczyzna opierał się o beczkę, macając się po uchu, jakby sprawdzał, czy organ nadal jest na swoim miejscu. Jig prawie go żałował. Nie dość, że omal nie zabił go goblin, to jeszcze elf wypuścił strzałę, która kierując się ku gardłu napastnika, minęła głowę człowieka o włos.

Z drugiej strony, był to ten sam sadysta, który pomagał Darnakowi wmusić dokładkę pikli, a ten fakt wyzuwał Jiga ze współczucia.

Jig wsadził palec pod pętlę, próbując ją poluzować. Sznur był cienki, delikatny, ale nawet Trok nie zdołał go rozerwać. Nikomu też nie udało się przeciąć go nożem. Próby rozplatania węzła kończyły się połamanymi pazurami. Elfy natomiast potrafiły rozwiązać linkę jednym ruchem. Jig musiałby sobie oderżnąć głowę, żeby pozbyć się pętli.

Ostatni wniosek zachował dla siebie, nie chcąc podsuwać komukolwiek takiego pomysłu. Z zadumy wyrwał go głos Reiki.

– Co robi ten twój pajak?

Jig spojrzał na pupila, który mimo żywej niechęci do śniegu, opuścił bezpieczną kieszeń, zmierzając najwyraźniej ku upuszczonemu kubeczkowi z resztką elfiego piwa. Sześcioma tylnymi odnóżami zaczepił się o rant, przednie zaś oraz głowę wsadził do naczynia.

– Może chce mu się pić?

Ogniste pająki pijały czasami syfie, którą gobliny napełniały zagłębienia w ścianach tuneli. Gorzej, gdy jakiś nieostrożny goblin zaskoczył takiego łasucha podczas uczty. Choć trzeba przyznać, że Golaka nigdy nie narzekała, kiedy przynoszono jej podpieczone mięso.

Ciapek nie przestawał pić. W porównaniu do syfu, piwo elfickie było nieomal smaczne. A już na pewno smaczniejsze od pikli.

– Koniec przerwy! Do roboty! – krzyknął jeden z ludzi, dla podkreślenia słów potrząsając włócznią. Kiedy podjął ze śniegu koniec liny, kilka goblinów warknęło, ale żaden nie wykazywał już ochoty do buntu.

Jig podniósł zapomniany przez Darnaka kubek i wsadził weń palec, chcąc pogłaskać Ciapka po szczecinie na tułowiu.

Z naczynia buchnął niebieskawy ogienek, opalając mu dłoń. Pajak usiłował sprawdzić, kto próbuje go dotknąć i przy okazji tej skomplikowanej operacji fiknął na główkę do kubka. Jig

kucnął prędko, wtykając oparzoną rękę w śnieg.

Ciapek był tak zażenowany, jak tylko pajak być może. Wygramolił się powoli z kubka na dłoń Jiga, i wlepił w niego wszystkie osiem ocz. Nie oderwał od niego wzroku nawet kiedy zsunął się w śnieg. Jig zebrał go błyskawicznie kubeczkiem.

– Ileś ty tego piwa wypił?

Ciapek podkurczył odnóża, dymiąc z tułowia.

Ludzie rozdali goblinom grabie. Jig umieścił ostrożnie Ciapka w kieszeni i wyrzuciwszy naczynie, przyłączył się do towarzyszy zagarniających leżące na ziemi kwiaty.

Jig wykonywał pracę w równym rytmie. Zagrabienie, kichnięcie, ruch grabiami, otarcie nosa w ramię. Jeszcze trochę, a te kwiaty go wykończą.

Pilnujący ludzie skierowali ich tym razem do innego budyneczku. Z tego miejsca widać było robotników pracujących przy palisadzie po drugiej stronie bramy.

Tuż przy budynku zwolnił, przystając prawie z grabiami w dłoni.

– Nie leń się, konusie – fuknął na niego Trok. Relka rzuciła Jigowi zdziwione spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

Wolną ręką Jig wydobyl z kieszeni Darnakową flaszkę, ale zanim zdołał cokolwiek zrobić, Trok wyrwał mu ją i odkręcił.

– Chowaleś to przed nami, ty sobku!

Jig już miał zaprotestować, ale zmilczał.

– Pfe! – splunął Trok. – Smakuje jakby wydusili to z gorszego końca ścierwojada!

Odbierając Trokowi manierkę, Jig stłumił uśmiech satysfakcji. Przechylił ostrożnie flaszkę, wylewając odrobinę płynu na linę. To samo uczynił po drugiej stronie. Schował manierkę i wyciągnął Ciapka.

– Ej, co to? Co robisz? – Trok złapał go za przegub i ścisnął tak mocno, że Jig miał wrażenie, jakby wbijał mu szpony w kość. – Jeśli próbujesz uciec, idę z tobą.

– Nie da rady. – Jig zdawał sobie sprawę, że uwalniając siebie, uwolni jednocześnie przywiązaną na końcu Relkę, ale nie mógł nic na to poradzić. A im dłużej trwał jego przestój w pracy, tym większa szansa, że w końcu ktoś zauważy jego machinacje. Już jakiś rolnik zmierzał ku goblinom z widłami, choć Jig nie był do końca pewien jego zamiarów. Być może chciał tylko pomóc w przenoszeniu kwiatów.

– Nie uciekniesz daleko ze złamaną ręką – syknął Trok.

Jig szarpnął się, ale bez skutku. Trok trzymał go w kleszczowym uścisku.

– Dobra – westchnął. – Dawaj tę swoją linę.

Rozległ się skrzek przyduszanego goblina i Trok podstawił fragment sznura pod nos Jiga. Jig nakapał na włókna piwa i znów złapał Ciapka. Nie był pewien, czy jego plan zadziała.

Położył pająka na linie.

Ciapek przechylił się i zaczął zsuwać z obłej grzędy, aż zawisł na sznurze, trzymając się odnóżami. Jedna po drugiej nogi odrywały się od liny, aż pająk spadł w śnieg.

Jig podniósł go. Pupil wgramolił mu się natychmiast na rękaw i rozżarzył się, podpalając tkaninę.

– Przestań! – syknął Jig, strzepując pająka, który znów wylądował w białym puchu. – Nigdy więcej żadnego piwa.

Gobliny zwolniły tempo pracy na tyle, by swobodnie obserwować manewry Jiga. Nie domyślały się ich celu, ale ubzdryngolony pająk był najciekawszą rzeczą, jaką miały okazję oglądać od opuszczenia domu.

– Hej, zrób, żeby znów spadł – zażądał uchachany Braf.

Jig przytrzymał Ciapka przez poję płaszcza i przyłożył do niego linę, przyduszając przy okazji Troka. Kiedy się podniósł, na sznurze tańczył wesoło błękitny płomyk.

– Śmierdzi palonymi włosami – skrzywił się Trok.

Jig nie zareagował. Przy fetorku, jak unosił się wokół Troka, zapach palonego sznura był prawie przyjemny.

Trok chwycił linę i szarpnął z całej siły, przerywając ją w nadpalonym miejscu. Warknął triumfalnie, ciskając na bok grabie.

– Czekaj! – krzyknął Jig. – Nadal jesteśmy związani!

Ale na próżno starał się zatrzymać Troka. Wielki goblin ruszył z kopyta, pociągając za sobą dwójkę towarzyszy. Jig ledwie zdążył wrzucić Ciapka do kaptura. Miał nadzieję, że pająk nie podpali mu płaszcza.

Jeśli któremukolwiek z ludzi udałooby się przegapić tę próbę ucieczki, głośno dopingujące zbiegów gobliny naprawiły to niedopatrzenie.

– Między budynkami! – wrzasnął Jig.

Trok okręcił się, umykając przed mężczyzną z widłami. Mężczyzna zrobił dokładnie to samo. Prysnęli w przeciwne strony. Jig rozpromienił się, usiłując nadążyć za towarzyszami.

Obejrzał się przez ramię, sprawdzając sytuację pod palisadą. Kilkoro ludzi rzuciło się w pościg. Biegający na przedzie potknął się nagle o rzucone pod nogi grabie i upadł. Uradowany Braf pomachał Jigowi.

Ktoś pognał w stronę miasta, krzycząc. Krzyczał do elfa na ogrodzeniu. Jig zmrużył oczy, próbując dojrzeć coś przez brudne soczewki.

Wystarczyło, żeby elf trafił jedno z nich. Pozostała dwójka nie zdołałaby ująć pogoni, włokąc rannego lub trupa. Jig dostrzegł ruch, który zidentyfikował jako wyciągnięcie strzały z kołczanu.

Złapał się lin po obu stronach szyi i podkulił nogi uwieszając się całym ciężarem na sznurze. Runął na ziemię, pociągając na siebie rzeżących sąsiadów.

– Co ty wyprawiasz?! – wycharczał Trok i w tym momencie strzała wbiła się w śnieg tuż przed nimi.

– Chwała Ciemnogwiazdemu – stęknęła Relka.

– Jasne, bo to Ciemnogwiazdy pociągnął was na ziemię, ratując przez strzałą – mruknął Jig. Podczołgał się do budynku, wyciągając szyję, żeby zobaczyć stojącą na palisadzie postać. Elf musiał być wściekły. Jego rodzaj nie znosił chybiać. Jig przypadł do ziemi, próbując usłyszeć coś przez gwar ludzi i własny, ciężki oddech. Jest, trzeszczenie napinanego łuku. Wyszarpnął Darnakową manierkę, zasłaniając nią gardło.

Impet uderzenia wywrócił go na śnieg, ale byli już blisko muru, więc Trok i Relka przeciagnęli go za sobą resztę drogi, kryjąc się za węgiel w chwili, gdy świsnęła kolejna strzała.

– Jak to zrobiłeś? – wydyszała Relka z zaciekawieniem, wyciągając z rąk Jiga wgniecioną manierkę. – Zupełnie jakbyś wiedział dokładnie, gdzie uderzy. Czy Ciemnogwiazdy pobłogosławił cię także darem przewidywania przyszłości?

Jig pokręcił głową, jeszcze z trudem łapiąc oddech po duszącej przejażdżce, jaką zafundowali mu towarzysze.

– Żaden szanujący się elf nie mierzy w pierś, jeśli może utrudnić sobie zadanie strzelając w szyję. – Wzdrygnął się, widząc wgłębienie we flaszcze. Darnak zrobił świetną manierkę. Była twardsza od pancerza.

– A ja zdobyłem broń – pochwalił się Trok, pokazując strzałę ze spłaszczoną końcówką grota.

– Doskonale – rzucił Jig, odwracając go w kierunku palisady. – Będziesz mógł teraz

walczyć z ludźmi uzbrojonymi w miecze oraz topory.

Rozradowanie Troka zniknęło jak kamfora. Gobliny nie były najsprytniejszymi wojownikami, ale nawet on nie porwałby się z zaostrzonym patykiem na uzbrojonych przeciwników. Oddał strzałę Jigowi.

Jak tylko Jig przyszedł nieco do siebie, podjęli ucieczkę, starając się biec tak, aby budynek osłaniał ich przed łucznikiem.

Elf jakby nie zauważył ich wysiłków. Pociski przefruwały nad kalenicą, lądując niepokojąco blisko.

– To nie fair – wykrztusił Jig, kiedy kolejna strzała musnęła mu ucho.

Wreszcie dotarli do pierwszych zarośli. Przepychali się w gąszczu, potykając o wystające korzenie, kiedy Jig jęknął, uderzony gałęzią.

Trok rozpromienił się i następną nagiął, a potem puścił już celowo. Jig uchylił się i tym razem oberwała Relka. Niemal jednocześnie Trok wpadł z rozpędu na pień.

– Skupmy się raczej może na uciekaniu – wychrypiał Jig, zyskując pełne aprobaty chrząknięcie Troka, który krzywiąc się, rozcierał szczękę.

– Tu są ślady! – krzyknął ktoś z pościgu. – Tam poszli!

– Ślady? – uniosła brwi Relka.

Jig obejrzał się za siebie. Warstwa śniegu była w tym miejscu dużo cieńsza i obsypana resztkami opadających liści i zrudziałymi szpilkami, ale nawet on widział, którądy przeszli. Próbował zasypać tropy, ale tylko pogorszył sytuację.

– Musimy iść głębiej w las, tam będzie jeszcze mniej śniegu – oświadczył.

Według słów Darnaka, ta część doliny należała do ludzi, czyli że nie musiał się martwić, że przekroczy jakąś niewidzialną granicę, wstępując na tereny elfów. Przynajmniej tym razem dopisało mu szczęście.

Z drugiej strony, ucieczka przez las pełen elfów mogłaby przynajmniej skończyć się natychmiastową śmiercią.

Jig pociągnął towarzyszy w stronę kępy ciernistych krzewów. Rozdarł sobie płaszcz i podrapał ręce, ale miał nadzieję, że kolce spowolnią także pogoń.

– Nie pozwólcie im uciec! – Głos Genevieve. Jig przechylił głowę, nadstawiając zdrowe ucho w kierunku, z którego dobiegał dźwięk. Usłyszał tętent, z którego wywnioskował, że dotarła dopiero do granicy lasu. Oczywiście, mógł się trochę mylić, bo nadal miał kłopoty w ocenianiu

odległości po dźwięku na otwartej przestrzeni.

– Niepotrzebnie przywlokła tu te potwory.

Jig zaklął pod nosem. Właściciel tego głosu znajdował się dużo bliżej. Jig nadal rozumował tak, jak w labiryntach – zakładał, że ludzie muszą iść dokładnie tą samą drogą, co gobliny. Ale tutaj nie było tuneli i ścian. Pościg mógł się rozproszyć i idąc ławą, przeczesywać las. W ten sposób nie wymknie im się żaden uciekinier. Pewnie najzwyczajniej w świecie ominęli kępę ciernistych krzewów.

Nie wiedział, ilu w grupie pościgowej było żołnierzy, ale strzała znajdująca się w posiadaniu Jiga bez wątplenia nie mogła się równać nawet uzbrojeniu cywilów.

Ktoś podchodził ich z lewej.

– Tutaj! – szepnął Jig, zbaczając w stronę niewielkiego strumyka. Przy brzegach bielila się skorupa lodu, ale pośrodku płynęła strużka wody. Rosło tu mniej drzew, ale przy brzegu królowała wielka sosna o rozłożystych, zwisających do ziemi gałęziach. Jig wczołgał się pod nie, zaczekał, aż towarzysze dołączą do niego i pospiesznie wygładził ręką ślady na warstwie igieł.

– Samuel, gdzie jesteś? – krzyknął jakiś człowiek.

– Muszę złapać oddech!

Jig chwycił strzałę obiema rękami. Widział tego Samuela. A przynajmniej jego nogi. Samuel przystanął rzut kamieniem od ich kryjówki i ciężko dysząc, wsparł się na wielkim labrysie.

Trok wcisnął Jigowi do ręki coś zimnego, łuskowatego.

– Co to? – szepnął Jig, kiedy już otrząsnął się z szoku.

– Szyszka. Pomyślałem, że mógłbyś skropić ją tymi elfimi sikami, podpalić i rzucić w ludzi.

– Chcesz, żebym rzucał zapalonymi szyszkami w toporników? – Jig ledwie *pohamował się przed* wsadzeniem szyszki Trokowi do ucha. Powstrzymała go jedynie myśl, że w odwecie Trok oderwałby mu prawdopodobnie rękę, a potem kazał patrzeć, jak ją zjada.

– Było coś takiego w historii o jednym potężnym magu, który...

– ... w swej potężnej potędze potrafił podpalać szyszki? – Jig zamilkł, słysząc zbliżających się ludzi.

– Może poszli strumieniem, aby ukryć ślady? – zastanawiał się jeden.

Jig rozpromienił się nagle. Świetny pomysł! Choć znając swoje szczęście, poślizgnąłby

się zaraz na lodzie i złamał nogę.

– Może tak, może nie, kogo to obchodzi? – mruknął drugi, Samuel. – Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że powinniśmy je wszystkie puścić. A jeszcze lepiej, pozbyć się ich na zawsze. Moja córeczka ma koszmary, odkąd te potwory są w mieście.

– Słyszałem, że zjadają swoje małe. – Głos drugiego był coraz bliżej.

– Tylko jak nie mogą zdobyć ludzkich dzieci – sprostował Samuel. – I lepiej pilnuj swojej żony, Virgil. Wiesz jak gobliny pożądają ludzkich kobiet.

Jig zerknął na Troka, który skrzywił się z obrzydzeniem. Kto chciałby samicę z takimi małymi uszami? No i jeszcze te płaskie zęby oraz ziemista skóra.

– Genevieve dostała świra na ich punkcie, uparła się, żeby je tu sprowadzić. Kto wie, co za paskudztwa mogą tu przywlec? Mój kuzyn, Frederik, znał faceta, którego szwagra zadrapał goblin. Ręka mu spuchła, rana się spaprała i musieli mu odjąć całe ramię.

Choroby? Cóż, rzeczywiście Jig walczył z grzybicą na dużym palcu u stopy. Magia Ciemnogwiazdowego pomagała, ale żółta narośl powracała. Nie sądził jednak, żeby ludzie mogli się tym zarazić.

– Mówią, że jak cię taki ugryzie, to się zamienisz w jednego z nich.

Samuel trzepnął towarzysza w ramię.

– To wilkołaki, głupku.

– Obojętne. Nie chcę stracić ręki przez jakiegoś śmierdzącego goblina.

Jig miał nadzieję, że uwaga o zapachu jest tylko figurą retoryczną. Jeśli ludzie wyczują Troka, już nie żyją.

– Dobra, zmywamy się stąd. – Samuel złożył ręce w trąbkę i przyłożywszy je do ust wrzasnął: – Ani śladu goblinów! Wracamy!

Jig nie mógł uwierzyć szczęściu. Nawet kiedy ludzie odwrócili się i zniknęli w gąszczu, nie przestał przeczesywać wzrokiem okolicy, spodziewając się, że lada chwila wyskoczy zza drzewa jakiś elf i zastrzeli ich.

– Dlaczego sobie poszli? – wyszemrała Relka.

Jig przypomniał sobie rozmowę z Darnakiem.

– Boją się nas – wyjaśnił. Ci ludzie nie byli herosami czy awanturnikami, którzy schodzili do labiryntów w poszukiwaniu chwały czy skarbów. Byli zwykłymi rolnikami i rzemieślnikami, którzy prawdopodobnie nigdy w życiu nie widzieli goblina, zanim Genevieve nie sprowadziła ich

do miasta.

To zupełnie, jak historie, które gobliny opowiadały sobie o Nekromancie. Mimo że przed Jigiem żaden z nich nie widział władcy dolnych tuneli na własne oczy, po grocie krążyły opowieści, po których dzieci budziły się w nocy z płaczem.

W przypadku Nekromanty większość z tych legend okazała się prawdą, ale nie o to chodzi. Najważniejsze, że ludzie się ich bali!

– Co teraz? – zapytała Relka. – Wracamy do domu, żeby ratować Grell i pozostałych?

– To niemożliwe. – Potrząsnął głową Jig. – Teodor zablokował wejście do jaskini za pomocą laski. – Nie mówiąc o tym, że nie miał pojęcia, gdzie znajduje się góra. Te wzgórza i lasy są takie rozległe.

Mógłbyś poprowadzić nas do domu?

Niewykluczone, rzekł Ciemnogwiazdy. Ale tam zabiliby was strażnicy, których zapewne zostawił Teodor. A jeśli nawet góra jest niestrzeżona, nie dostaniecie się do środka i umrzecie z głodu.

– Co z nim? – Trok trącił Jiga w bark.

– Przestań! – oburzyła się Relka. – Rozmawia z Tymalousem Ciemnogwiazdym. Od razu widać, bo robi lekkiego zeza i trochę się ślini.

Musisz ratować swoje plemię, Jigu Smokobójco.

Jig otarł zaślinioną brodę.

Mam poszukać Billi i jej armii orków oraz goblinów, tak? Oni pomogą nam walczyć z ludźmi?

Niekoniecznie..., zawahał się Ciemnogwiazdy. To coś więcej i nie chodzi tylko o ludzi. Nigdy za mej pamięci orki i gobliny nie walczyły ramię w ramię. Armia potworów... Coś tu jest nie tak. Pamiętasz, jak ostrzegłem cię przed chochlikami?

Trudno zapomnieć, mało mnie wtedy nie zabiłeś swoimi radami!

Teraz sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej.

Może dlatego właśnie bogowie przebywali na innej płaszczyźnie egzystencji. Gdyby żyli pomiędzy śmiertelnikami, wyznawcy ulegliby pokusie przestawiania im nosów.

Jasne. Ale pewnie nie podzielisz się ze mną żadnymi szczegółami?

Powiedziałbym ci, gdybym wiedział o co chodzi.

Nie cierpię cię, wiesz?

Tymalous milczał. Jig odczekał jeszcze chwilę, nasłuchując głosów ludzi, a kiedy uznał, że jest bezpiecznie, wypełził spod osłony gałęzi.

– Idziemy – mruknął do towarzyszy. – Będziemy szli strumieniem, a potem...

Urwał. Kawałek dalej, w dole rzeczki, stała Genevieve i patrzyła wprost na nich. Sądząc z miny, była tak samo zaskoczona, jak Jig. Nagle spięła konia. No, to by było na tyle, jeśli chodzi o ludzi bojących się goblinów.

Jig wręczył strzałę Trokowi, po czym wyjął manierkę. Trzęsącymi się dłońmi wylał resztę piwa – na szyszkę.

– Myślałem, że uważasz to za głupi pomysł – zauważył Trok.

– Bo to jest głupi pomysł. – Jig odrzucił flaszkę, wyciągnął z kaptura Ciapka i dźgnął go szpicem szyszki.

Nic się nie stało. Pająk spał jak zabity.

Genevieve szarżowała na nich z uniesionym mieczem. Dokładnie na Jiga.

– Wstawaj, głupi pająku! – Jig dmuchnął pupilowi w pyszczek. Ciapkę poruszył się sennie, zrobił kilka chwiejnych kroczków, po czym zsunął się z krawędzi dłoni. Spadał powoli, zawieszony na cieniutkiej nici, uczeptionej Jigowego palca.

Jig cisnął w niego szyszką, która buchnęła płomieniami. Podobnie jak nic. Ciapkę runął w śnieg, a Jig, nie bacząc na ogień, rzucił szyszką z całej siły w stronę Genevieve.

Celował w jej płaszcz, ale za nisko wymierzył i ognisty pocisk zmierzał ku wierzchowcowi.

Koń stanął dęba i królewna zsunęła się z siodła.

Jig wetknął poparzone palce do ust. Nic ognistych pajaków paliła się błyskawicznie i w miejscu, gdzie przywarła do skóry, już wyskoczyły paskudne bąble.

Genevieve usiłowała się podnieść, ale upadła z krzykiem, łapiąc się za kolano. Nie puszczając nogi, przekręciła się na bok i wyciągnęła wolną rękę po leżący nieopodal miecz.

Trok tymczasem ruszył z kopyta, wlokąc za sobą towarzyszy. Trzymał swoją strzałę jak włócznię. Jig zastanawiał się, czy podpatrzył tę technikę u ludzi, kiedy zabijali gobliny. Genevieve chwyciła miecz. Jedno machnięcie przecięło strzałę na pół i myśli Jiga zmieniły tor, krążąc teraz wokół innej kwestii – czy Trok jest na tyle masywny, by jego ciało zatrzymało ostrze, nie przebijając Jiga.

Trok zdołał odskoczyć. Genevieve wychyliła się tak, że miała w zasięgu klingi jego bark,

ale gwałtowny ruch pozbawił ją równowagi. Krzyknęła z bólu, padając w śnieg. Tym razem już nie wstała.

Trok wpatrywał się w przeciętą strzałę. Miecz ściał ją pod kątem, zaostrzając promień. Wojownik wzruszył ramionami, zamierzając się szpikulcem jak nożem.

Jig szarpnął linę, odciągając go od dziewczyny.

– Co ty wyprawiasz? – wycharczał Trok. Odwrócił się, unosząc strzałę na Jiga.

– Ona udaje omdlenie, żeby zwabić cię bliżej i zabić. – Jig wskazał na dłoń królowny. – Widzisz? Nie puściła miecza. Poza tym upadła z podwiniętą zdrową nogą, tak, żeby się odbić i przeszyć cię ostrzem.

– Skąd wiedziałeś? – zdumiała się Relka.

– Właśnie, skąd wiedziałeś? – zainteresowała się Genevieve, otwierając oczy.

– Ciągle się przewracałem, a nigdy nie lądowałem tak miękko i wygodnie jak ty.

Trok rozjaśnił się w uśmiechu.

– No dobra. Pomóż mi rzucić w nią Relkę.

– Co?! – obruszył się rzeczony żywy pocisk.

– Królowna ją dziabnie, a zanim wyciągnie z niej miecz, ja zabiję ją strzałą i kłami.

Ku osłupieniu Jiga, Relka tylko kiwnęła głową.

– Poświęcę się, jeśli ochroni to wybrańca Ciemnogwiazdego. – Przymknęła oczy. – Niech Ciemnogwiazdy kieruje twymi kłami.

– Kto? – Genevieve usiadła, potrząsając głową, żeby rozjaśnić myśli. – Zresztą nieważne. Zabij mnie, a każdy jeden goblin w mieście zostanie uśmiercony.

Trok wyszczerzył radośnie kły.

– Ale nas nie będzie w mieście. – Zaczął popychać Relkę do dziewczyny.

– Czekaj! – Jig otrząsnął się z szoku i pociągnął za linę. – Słuchaj, królowno, możemy się pozabijać, albo puścisz nas i wrócisz do domu. Darnak wyleczy ci nogę.

– Mój brat prędzej by umarł, niż wdawał się w układy z goblinami.

– Twój brat jest idiotą – warknął Jig.

Genevieve przekrzywiła głowę, przyglądając mu się uważnie.

– To fakt.

– Pomyśl, co powiedzą twoi rodzice, jak się dowiedzą, że kolejne dziecko dało się zabić goblinom.

– Matka się zapłacze. A ojciec wygłosi pewnie mowę z jakimś „a nie mówiłem” pomiędzy wierszami. Potem pograży się w żałobie i przez następny miesiąc będzie ubierał się wyłącznie na czarno i mówił o swojej córce więcej niż za jej życia – rzekła Genevieve, ale kiwnęła głową, przyznając mu rację. Gobliny nie przejmowały się swoimi rodzicami, ale ludzie i inni mieszkańcy powierzchni przywiązywali dużą wagę do takich spraw. – A on nie znosi czerni.

– Ty chodzisz cała na czarno – zauważyła Relka.

Genevieve prawie się uśmiechnęła.

– Bo to irytuje mojego ojca.

– Daj nam swój sztylet – rzekł Jig. Spojrzawszy na towarzyszy, dodał: – I powiedz, gdzie znajdziemy armię Billi.

Królewna przełożyła miecz do drugiej ręki, prawą sięgając po sztylet. Drobnny ruch nadgarstka i nóż wbił się tuż przy stopie Jiga.

Jig zacisnął szczęki licząc, że nikt nie usłyszał stłumionego pisku. Złapał sztylet, zabierając się do przecinania linki.

– Naprawdę prowadziłeś moich braci w labiryntach?

Nóż ześlizgnął się nagle. Genevieve dbała, żeby był ostry. Nie na tyle co prawda, by przetrząść elfi sznur, ale aż nadto, żeby skaleczyć goblina. Jig niemal nie czuł rany, z której sączyła się krew.

– Nie bardzo miałem wybór.

– Pewnie nie, znając moich braci. Być już tak blisko... Praktycznie znaleźć laskę i w ostatniej chwili dać się zabić goblinom.

– No, ale goblinów była cała masa. – Jig łypnął na Relkę, w nadziei, że powstrzyma ją przed odzywaniem się.

– Dzielnie walczyli?

– Oczywiście. Gobliny padały jak muchy. Cały miesiąc sprzątaaliśmy pole bitwy. – Jig zaciął się znowu, prawie dokładnie w tym samym miejscu. Jeszcze parę razy, a uda mu się odciąć kciuk.

– To elfia lina – rzekła Genevieve. – Nóż nie da jej rady.

– To nic. Ciapiek sobie z nią poradzi, jak się obudzi. Mogłabyś mi też dać to? – Jig wskazał na małą pochwę u jej pasa. – Strasznie niewygodnie nosić goły sztylet.

Dziewczyna wywróciła oczyma, ale rzuciła mu pokrowiec.

– Billa jest w drodze do Pottersville. Trzeba iść tą drogą na zachód, pięć dni, trzymając się podnóża gór. – Spojrzała taksująco na rozmówców. – Jak dla was, to siedem.

– Zabieramy też twojego konia – oświadczył Trok.

– Co?! – Jig nie miał pojęcia, kto pierwszy krzyknął – on czy Genevieve. Popatrzył na zwierzę, które odeszło kilka kroków, żeby poszczypać zbrązowiałe pędy zmarzniętych paproci. Wydawało mu się, czy koń rzeczywiście go obserwował? Wierzchowiec smagał ogonem jak biczem. – Lepiej będzie, jak pójdziemy pieszo.

– Na koniu będzie szybciej – zaprotestował Trok. – Jest na tyle duży, że zmieścimy się wszyscy. Pojedziemy sobie wygodnie, jak ludzie. – Zapatrzył się w dal. – Z toporem w jednej, włócznią w drugiej ręce, kładąc każdego, kto stanie mi na drodze. Każdego, kto ujdzie mej broni, mój rumak bojowy wdepcze w ziemię.

– Rumak bojowy? – Genevieve zerknęła na konia. – Wicher? – Twarz jej stężała dziwnie. Zupełnie jakby powstrzymywała się przez wybuchem śmiechu. – No dobrze. Ale tylko jeśli przysięgniesz dobrze o niego dbać.

– Nie potrzebujemy konia – upierał się Jig. – Możemy...

Trok szarpnął linką, przyduszając jednocześnie jego i Relkę.

– Idziemy. Wy zajdziecie go z boku i odwróćcie jego uwagę, a ja podkradnę się i złapię wodze.

Genevieve odsunęła się z uśmiechem.

– Wicher potrafi pokazać charakterek. Ale jak nie będzie chciał biec, wystarczy złapać go za uszy i wykręcić.

* * *

Przynajmniej co do jednego Trok się nie mylił. Wicher faktycznie przyspieszył ich podróż. Tyle że nie w sposób, o jaki mu chodziło...

– On zawraca! – krzyknęła Relka. Jig jęknął. Od tego biegania wszystko mu się przewracało w żołądku.

– Pilnuj, żeby nie pognał do miasta! – Trok cisnął w konia kamieniem. Nie trafił, ale zwierzę parsknęło i skręciło. Właściwie to gonienie za koniem nie było takie złe, jak przewidywał Jig.

Wicher wbiegł na oddalone od zabudowań pole uprawne, które pokrywał gęszcz płożącej się, zwiędłej rośliny. Leżące gdzieś przemarznięte pomarańczowe tykwy wielkości głowy Troka, były niczym hobgoblińskie pułapki. I mimo że Jig uważnie patrzył pod nogi, co chwila potykał się o gnijące wysepki. Czubki butów miał upaprane pomarańczową breją. Po co ludzie wkładają tyle pracy w hodowanie tych rzeczy, skoro i tak je potem porzucają?

Zimne płatki łaskotały go w twarz, osiadając na soczewkach i pogarszając widzenie. Zadarł głowę, przypominając sobie słowa zasłyszane w Avery. Śnieg spadł tego roku wcześniej niż zwykle. Może więc wcale niespecjalnie zostawili plony na polach, żeby zgniły?

– Spróbuj zająć mu drogę z przodu! – Trok przebiegł obok niego, usiłując dopaść konia. – Zajmij go czymś, a ja podejść z drugiej strony i chwycę cugle.

Wicher przystanął na krańcu pola, żeby poskubać jakąś roślinę. Najprawdopodobniej, bo Jig zaczął podejrzewać, że koń się z nimi bawi, pozwalając im podejść blisko tylko po to, żeby odbiec znowu kawałek. Tak jak wtedy, gdy nie drgnął, dopóki Jig nie przepalił więzów. Wykielkowało w nim podejrzenie, że konie mogą być mądrzejsze niż przypuszczał. Ten najwyraźniej zamierzał pokonać goblina przeganiając je, aż padną, żeby potem pożreć nieprzytomne ofiary na spokojnie.

Relka wystąpiła przed konia, unosząc ramiona.

– W imieniu Jiga Smokobójcy i jego wspaniałego boga, Tymaloua Ciemnogwiazdęgo, rozkazuję ci stanąć!

Wicher podniósł ogon i zaczął opróżniać pęcherz.

Trok zakradł się do niego od tyłu. Począł, aż koń skończy i skoczył, chwytając wodze.

– Mam go!

Jig wykrzywił się, pewny, że Wicher zaraz odgryzie Trokowi nos lub strzaska mu czerep jednym z wielkich kopyt, ale koń tylko zarżał.

– Pomóż mi wejść na górę – ponaglił go Trok.

Jig zbliżył się ostrożnie do wierzchowca. Może Wicher czekał, aż wszystkie trzy goblina znajdą się na tyle blisko, by zabić je jednym ciosem?

– Ludzie chyba mówili na to: siodło – przypomniała Relka.

Ludzie wsiadali na konia, wkładając stopę w metalową obręcz, zwisającą z boku, odbijali się od ziemi i windowali na grzbiet. Z tym, że ludzie mieli dłuższe nogi niż goblina.

Trok rozwiązał problem, powalając Relkę ciosem w brzuch. Kiedy wygramoliła się na

czworaka, wszedł jej na plecy. Podciągając się do góry, zdołał włożyć nogę w strzemię.

Wicher ruszył, przechodząc kilka kroków dalej, do przysypanej śniegiem rośliny. Trok trzymał się dzielnie, ale kiedy zrobił niemal szpagat, dał za wygraną i z jękiem upadł na ziemię. Nie wypuścił natomiast z ręki cugli.

Relka zapomniała o złości, oglądając z rozbawieniem widowisko, w którym w roli głównej wystąpił ciągnięty po śniegu Trok. Potężny wojownik przypominał bezwładną kukłę.

Trok usiłował sięgnąć ręką i grzmotnąć konia w łeb, ale w tym celu musiał wypuścić wodze. Zanim podniósł się na nogi, Wicher zdążył odejść.

– Głupi koń! – zirytował się Trok.

Relka spojrzała na Jiga.

– Zaczynam się domyślać, dlaczego królewna tak łatwo go oddała.

Tym razem Trok rzucił się na siodło zanim Wicher zdołał uskoczyć. Wielki goblin uczeplił się łęku obiema rękami i wierzgał przez chwilę, gramoląc się na górę, aż wreszcie udało mu się przerzucić nogę. Kiedy wyprostował się, jego triumfalny uśmiech zrzędł. Udało mu się co prawda dosiąść konia, ale tyłem do przodu.

– Na chochlicze bobki! – syknął Trok.

Zanim się odwrócił, Wicher stanął dęba, wyrzucając go z siodła – Niedoszły jeździec zarył nosem w śnieg.

Rżenie Wichra brzmiało łudząco podobnie do śmiechu.

Celem życia goblinów takich jak Trok było pilnowanie, by wszyscy się ich bali. Kiedy strach bladł, robiły wszystko, by wzbudzić go na nowo. Najwyraźniej zasada ta odnosiła się także do koni. Trok warknął, złapał się łęku i wspiał się na palce z zamiarem dostania się do ucha zwierzęcia.

– Czekaj! – próbował powstrzymać go Jig. – Nie wiem, czy to dobry...

Wicher kwiknął.

– Ha! Myślałeś, że dasz radę goblinowskiemu wojownikowi? Niedoczekanie!

Wierzchowiec strząsnął Troka, po czym ubódł go łbem w tors. A ponieważ łeb miał wielki, Trok odleciał w tył, jakby trzepnął go ogr. Wicher zbliżył się do niego i zniżywszy głowę, chwycił zębami niebieskie ucho napastnika.

– Zrób coś, żeby mnie puścił! – wrzasnął Trok, ale Wicher już to zrobił. Jig mu się nie dziwił. Jeśli Trok smakował tak, jak śmierdział, Jig też wolałby jeść rośliny.

Trzymając się jedną ręką za krwawiące ucho, drugą Trok zacisnął w pięść.

– Trok, nie!

– Czego, kurduplu? – Trok wyciągnął zza pazuchy złamaną strzałę. – Myślisz, że możesz mi rozkazywać, bo poszczęściło ci się z tymi chochlikami?

– I smokiem – wtrąciła się Relka. – I z Nekromantą. Nie zapominaj o poprzedniej wódz, Kraik. I hobgoblinach. Poza tym, to on uratował cię przed śmiercią od miecza Genevieve. Ja osobiście posłuchałabym Jiga, gdyby zechciał udzielić mi rady.

Jig cofnął się kilka kroków. Trok miał taką minę, jakby przed zabiciem ich powstrzymywało go tylko to, że nie mógł zdecydować się, od kogo zacząć.

– Ludzie pewnie nie przestali nas szukać – rzekł Jig. Miał ochotę pozwolić Wichrowi i Trokowi załatwić sprawę we własnym zakresie, ale Trok był bardziej użyteczny jako rozzłoszczony gobliniński wojownik niż niebieska plama na polu jakiegoś rolnika. – Nie uda nam się bez ciebie dotrzeć do armii Billi.

– Dlaczego? – spytała Relka.

– Bo po drodze możemy spotkać jeszcze więcej ludzi. – Jig nabrał powietrza, ani na sekundę nie spuszczać oczu z broni Troka. – Słuchaj, nawet jeśli udałoby ci się na nim pojechać, nie...

Trok warknął groźnie.

– Znaczą jakbyś na nim jechał. Jakbyś na nim jechał. W każdym razie, tak czy inaczej, podróż zajęłaby kilka dni, tak?

– No – zgodził się Trok. – A co to ma do rzeczy?

– Cóż, nie mamy nic do jedzenia, żadnych zapasów.

Głowy Troka i Reiki odwróciły się wolno ku Wichrowi...

Rozdział 4

Jesiennogwiazdy wygrzewał się na płaskim kamieniu, rozpościerając błoniaste skrzydła do słońca. Minęło kilka lat zanim przywykł do nowego ciała, ale ostatecznie forma pustynnej jaszczurki okazała się zupełnie przyzwyczajona. Choć wątpił, żeby kiedykolwiek zasmakowały mu robaki, którymi się żywił.

* * *

Po siedmiu dniach na wędzonej koninie, Relka i Trok zaczęli jawić się jako chodzące delicje. Jig nie wątpił, że towarzysze widzieli go podobnie.

Jeśli chodzi o Relkę, był pewien, że nie zaatakuje go we śnie, Troka natomiast goblina drażniła bardziej niż on, więc pewnie zabiłby ją w pierwszej kolejności. Jig tymczasem zdołałby uciec. A Relka była jedyną osobą w ich kompanii, która potrafiła gotować i zapewne z tego powodu Trok jej jeszcze nie udusił. Aczkolwiek jeżeli frustracja wojownika weźmie kiedyś górę nad jego żarłocznością, to ich kucharka długo nie pożyje.

Kilka ostatnich nocy Jig spał z Ciapkiem w ręku. Miał nadzieję, że w razie zbliżania się ludzi czy niebezpieczeństwa grożącego mu ze strony wroga wewnętrznego, obudzi go ból w oparzonych palcach. Cały czas zastanawiał się nad ucieczką. Nie mógł zdecydować, czy zalety płynące z obecności dwóch ziomków, na przykład większe bezpieczeństwo, równoważą groźbę przebywania w ich towarzystwie.

– Nadal uważam, że trzeba było zabić tę człowieczyce – rzekł Trok, kiedy przekraczali któryś z kolei most. Ujrawszy ludzki most po raz pierwszy, Jig uznał, że musi być magiczny. No bo jak inaczej kamienny most mógł wisieć tak sobie w powietrzu, nie podtrzymywany niczym od dołu?

Teraz, stanąwszy przed kładką, już tylko jęknął. Most oznaczał przejście po zdradliwych, oblodzonych kłodach ułożonych pomiędzy kamiennymi łukami. Po bokach nie było balustrady czy murku, tylko dodatkowy rząd kamieni. Białe i szare bloki były spękane, a w szczelinach rosła trawa i mech.

Pod mostem płynęła mętna woda, której muł nadawał dziwny rdzawy kolor.

– Napadła na naszą grootę, a ty tak po prostu ją puściłeś. Poza tym okłamała nas – gderał

Trok. – Przeszliśmy już co najmniej pół świata i ani śladu Pottersville czy armii.

– Znajdziemy ich – rzuciła Relka. Odchrząknęła, splunęła i zaczęła śpiewać:

Choćbym przez zimno szła i mrok

Tym daje mi siłę. Idzie ze mną krok w krok.

Gdy głód i samotność dały mi w kość

Tym dał nam jeść. Wicher miał mięsa dość.

A kiedy Trok liściem zatrutym się podtarł

Jig swoją magią szybko swędzenie odparł.

Jig robił wszystko, żeby zapomnieć o incydencie z liśćmi.

Ugnieciona na kamień kula śniegowa trafiła Relkę prosto w twarz.

– Uważaj, następnym razem oberwiesz kamieniem. – Mina Troka nie pozostawiała wątpliwości, że z jego ręki pierwsza zginie Relka.

– Gdybyśmy zabili Genevieve, ludzie nigdy nie przestaliby nas ścigać – powiedział Jig. Aczkolwiek podzielał uczucia Troka, nie wspominając o jego głodzie. Ile razy musieli walczyć z ludźmi, i chochlikami, i innymi napastnikami tylko po to, żeby zostawiono gobliny w spokoju?

Zerknął w dół, na częściowo zamarznąłą rzekę i napotkał wzrokiem parę żółtych, błyszczących ślepi.

– Kim jesteś?

Głos brzmiał na bardziej samiczy niż samczy, choć niełatwo było wyłowić ton pomiędzy warczeniem i kłapaniem paszczą. Jig nigdy wcześniej nie widział podobnej istoty. Nieco niższa niż goblin, miała wydłużony pysk, tak jak wilk lub pies.

Pancerz, który miała na sobie był... wyjątkowy. Zupełnie jakby wzięła koc i wycięła w nim otwory na głowę oraz łapy, po czym przyszyła do niego kawałki metalu. Na brzegach wisiały pordzewiałe kółka, pobrzękując przy każdym ruchu. Żelazne naramienniki przytrzymały kawałki sznurka. Na piersi podzwaniała reszta łańcucha, stary klucz oraz kilka tych księżycowatych sztabek, które Wicher miał przyczepione do kopyt.

Wystające spod zbroi części ciała porastała brązowa, szpeceniasta sierść. Istota trzymała w ręku krótką włócznię, którą mierzyła w Jiga. Gest robił mniejsze wrażenie niż powinien, ponieważ na grocie trzepotała ryba.

Pierwszy ze zdumienia ochłonął Trok. Chwyił Jiga i zrzucił go na stworzenie. Jig wykrcił się w powietrzu, usiłując nie nabić się na włócznie. Istota także się uchylila, prawdopodobnie by uchronić swoją rybę. Ładując, grzmotnął ją barkiem w tors, nabijając sobie półksiężycowatego sińca. Upadli razem, ale stworzenie wierzgnęło, wypychając Jiga do rzeki. Jig zrobił unik przed roztańczoną włócznie, a istota wdrapała się na brzeg, gdzie odchyliwszy głowę, zawyla szczekliwie.

Trok zeskoczył z mostu, próbując wyrwać jej włócznie w locie. Odskoczyła, uderzając go drzewcem po palcach. Wyjącego z bólu, trzepnęła na odlew rybą.

– A masz, śmierzący goblinie! – Nie spuszczając z niego oczu, odtańczyła zwycięski taniec. Do Jiga dotarły z oddali podobne radosne poszczekiwanie i skowyty. Czymkolwiek była ta istota, miała towarzyszy.

Jigowi przyszło nagle coś do głowy.

– Chwileczkę. Darnak mówił, że Billa zebrała armię różnych potworów. Goblinów, orków i gorzej. To coś pewnie należy do jej wojska.

– I to ma być to gorsze niż gobliny? – skrzywił się Trok.

Istota warknęła, odsłaniając imponujący rząd ostrych kłów.

– Jestem koboldem! Głupie gobliny...

– Mogłabyś nas zaprowadzić do Billi? – zapytał Jig.

Koboldzica przekrzywiła głowę.

– Najpierw mi zapłaćcie. Potem dam wam znaleźć armię Billi.

– Co?! – oburzył się Trok. – A czemu niby mielibyśmy płacić jakiejś parchatej psicy?

Relka postukała go w ramię, wskazując na osiem koboldów – z ośmioma włócznieami – które biegły w stronę mostu.

– Jaką zapłatę masz na myśli? – zapytał Jig pośpiesznie.

– Metal. – Gdy jej towarzysze dobiegali, wyprostowała się pewnie. – Metal dla wszystkich.

Koboldy zatrzymały się, brzęcząc i wymierzyły broń w gobliny. Jeden miał na głowie hełm ze starego garnka, inny pancerz z zaśnieżonych miedziaków, w których zrobiono kwadratowe dziury, a jeszcze inny zbroję z grotów strzał, poprzyczepianych szpicami na zewnątrz tak, że przypominał najeżone zwierzę. Koledzy trzymali się od niego z daleka.

– Co jest, Hessafa? – zapytał kolczasty.

Koboldzica wskazała na swoją włócznię.

– Śmierdzące gobliny nie chcą płacić.

Jig poczuł poruszenie w kapturze. Ciąpek nie promieniował co prawda żarem zwiastującym bliską śmierć, ale niewykluczone, że rozgrzewał się słabiej ze względu na zimno.

Dziewięć uzbrojonych koboldów na trzy gobliny. Jig miał co prawda sztylet Genevieve, a Trok swój zaostrzony promień strzały, ale przeciwnicy byli lepiej wyposażeni w broń, no i nosili zbroje... W każdym razie coś w tym rodzaju.

Jig wyszedł na lód.

– To nieprawda!

– Więc śmierdzące gobliny zapłacą? – upewniła się Hessafa.

– Zapłaciliśmy. – Jig odsunął się w bok, poza zasięg włóczni. – Zapłaciliśmy dużo metalu. Monety, gwoździe i tarcza krasnoluda. Ona nie chce się z wami podzielić! – Wskazał na drogę. – Zakopała wszystko w śniegu, żeby zatrzymać całość dla siebie!

– Kłamie! – wrzasnęła Hessafa, ale pozostałe koboldy zaczęły między sobą pomrukiwać.

– Dużo błyszczącego metalu – dodał Jig. – Żelazo, miedź, stal, mosiądz.

– Gdzie? – Gruby kobold potrząsnął włócznią, na której końcu znajdowały się przerdzewiałe haki.

– Tam, za mostem. Kazała nam zamknąć oczy, żebyśmy nie wiedzieli, gdzie chowa metal.

– Hessafa wie. – Ten kobold nosił napierśnik z metalowej części łopaty.

– Ależ tak! – Jig udał zaskoczenie. – Hessafa wie. Może wam pokazać to miejsce.

– Nie! – krzyknęła koboldzica. – Śmierdzący goblin kłamie!

Ale było już za późno. Koboldy zaciągnęły warczącą i szczekającą z oburzeniem Hessafę na drugi brzeg.

– Idziemy – ponaglił towarzyszy Jig. Koboldy były za daleko, żeby zareagować. Zerknął przez ramię, zastanawiając się, co zrobią Hessafie. Czy uwierzą, że naprawdę nie może zaprowadzić ich do metalu, czy też będą próbowali wycisnąć z niej wskazówki?

Kiedy przekroczyli grzbiet pagórka, Hessafa wyparowała mu z głowy. Dotarli do Pottersville. Miasto zostało zbudowane na przecięciu kilku dróg. Jedna z nich prowadziła na północ, w stronę gór. Inna wiodła przez most i znikiała gdzieś, gdzie według Darnaka znajdowały się tereny elfów.

Podobnie jak Avery, Pottersville otaczało niewysokie ogrodzenie. Sądząc z jego stanu, nie przydało się bardzo przy obronie miasta.

Z jednej strony duży jego fragment był przewrócony, a w wyrwie panował ruch. Postaci kręciły się wte i wewte jak robaki. Jak robaki uzbrojone w miecze, włócznie i topory. Na prawo od wrót, które wskazywała biegnąca do miasta droga, znajdowało się kilka porzuconych gospodarstw, gdzie uwijały się gobliny. Musiały ich być całe setki! Niektóre ładowały na wozy beczki oraz różne pakunki. Pozostałe uganiały się za stadkiem szarych, puchatych zwierząt, które niewątpliwie uciekły ze zniszczonej zagrody.

Po drugiej stronie drogi królowały koboldy. Niewielka ich grupka skradała się na granicy lasu. Polowały? A może byli to zwiadowcy, sprawdzający, czy ocaleli ludzie nie wracają po zemstę?

– Co to takiego? – Relka wskazała wielkie, długokończyniaste stwory o zielonej, gumowatej skórze, które rozbierały palisadę na poszczególne kłody.

– Trolle – wyjaśnił Jig, który widział takie istoty kilka lat wcześniej, podczas swojej przymusowej wycieczki. Kilka z tych potworów zamieszkiwało niegdyś pieczarę Strauma, ale z tego, co Jig pamiętał, zostały zjedzone przez ogry.

Te tutaj, nie zjedzone, wyglądały nieco lepiej niż ich pobratymcy z góry, ale niewiele. Na pierwszy rzut oka było widać, że są w niewoli. Miały metalowe obroże i były skute razem łańcuchami, podobnie jak gobliny w Avery.

– A ci co ich pilnują, to pewnie orki – domyśliła się Relka.

Orki posiadały, wysłużone napierśniki oraz tarcze pomalowane na czarno. Albo strasznie brudne. Tak czy owak, Genevieve doceniłaby ich gust.

– Patrz! – szepnął Trok tonem, jakiego Relka używała, mówiąc o Ciemnogwiazdym. – Ale twardziele!

Jakby zupełnie nie czuli chłodu!

Większość orków nie narzuciła nic na muskularne ramiona. Aczkolwiek, gdy Jig lepiej się przyjrzał, dostrzegł, że sporo z nich drży, maszerując przez pozostałości bramy. Szły zbite w ciasną gromadkę, jakby chciały się ogrzać. Mimo to widok robił wrażenie.

Jig zastanawiał się, czy szarawy odcień ich skóry to naturalny kolor czy może wpływ chłodu. Zatchnął się na widok nieskończonego morza orków w mieście. Poza koboldami, goblinami i orkami, musiało tam być tysiące innych potworów. Potężnych potworów.

Wojowników, którzy rozbiliby oddziałik Genevieve, nawet tego nie zauważając. Wystarczyło ich tylko nakłonić do pomocy.

Jeden z goblinów odłączył się nagle od grupy, zmierzając w stronę ogromnego, bezlistnego drzewa, najwyraźniej z zamiarem opróżnienia pęcherza. Drzewo zatrzęsło się, syjąc śniegiem, a potem, zanim goblin się zorientował, wdeptało go w ziemię.

– Pierwsza zasada – wychrypiał Jig – nie sikać na drzewa.

– Absolutnie. – Po raz pierwszy Trok przemówił bez zwyczajowej zadziorności w głosie.

Jig patrzył, jak drzewo otarło... stopę? w miękki grunt, po czym oplotło kilkoma gałęziami szczątki goblina, uniosło go i odchyliwszy się tak, że jego korona dotknęła nieomal ziemi, wróciło gwałtownie do pionu, wystrzeliwując ofiarę. Sądząc z trajektorii, goblin wylądował pod palisadą na drugim końcu miasta.

Oddalanie się od towarzyszy nie było najlepszym pomysłem. Gobliny najbezpieczniejsze były w grupie. Armia Billi była idealna, żeby się ukryć.

Jig zawsze potrafił wtopić się w otoczenie, zniknąć w anonimowym tłumie. No, przynajmniej dopóki nie odkryto jego leczniczych mocy. Tu jednak nikt o nich nie wiedział.

Westchnął, zezując na Relkę. Nawet jeśli namówiłby Troka, żeby obciął jej język, nigdy nie udałoby mu się wmieszać niepostrzeżenie w tę gromadę. Wybijał się na tle dobrze zbudowanych goblinów mizerną posturą. Zapragnął uciec stąd jak najprędzej i gdzieś się ukryć.

Jakiś goblin odszedł od pozostałych, zmierzając w górę drogi. W ich kierunku. Wymachując mieczem.

– Co robicie tak daleko od regimentu, nędzne robaki? Jeśli Dębizad was złapie, wszystkich powystrzela! Nadal uważa, że da radę pokonać tylną palisadę, jeśli tylko znajdzie wystarczająco lekkiego goblina.

– Kogo nazywasz nędznymi robakami? – Trok wy dobył swój zaostrozony patyk i zamierzył się na nadchodzącego.

Jig i Relka cofnęli się, porzucając go na pastwę losu.

– Grożenie wyższemu stopniem karane jest śmiercią w trybie natychmiastowym. – Zbliżający się goblin był mniejszy od Troka, ale miecz wyrównałby każdą różnicę wzrostu pomiędzy nimi. Nie miał lewego ucha, które zostało odcięte równo z czaszką oraz dwóch palców u lewej dłoni. Nosił prosty hełm – metalową czapkę z wyciętymi po bokach dziurami w kształcie półksiężyców – który, ze względu na brak ucha, przekrzywił się na jedną stronę.

Wyjął skądś plik pomiętych, pogryzionych przez szczury kartek i pomachał nimi przed nosem Troka.

– Regulamin mówi, że skazany żołnierz ma wybór co do rodzaju śmierci. Wolisz, żebym zmusił cię do zjedzenia własnej broni, czy też rzucił trollom?

– Nie jesteśmy żołnierzami – pisnął Jig. – Naszą jaskinię zaatakowali ludzie, ale uciekliśmy i...

– Znaczy, chcecie się zaciągnąć? – Słowo zaciągnąć wymówił, jak magiczne zaklęcie. – Doskonała decyzja, wierzcie mi. Nie pożałujecie. Jestem Gratz. Kapral Gratz z armii Krwawej Billi.

Schował miecz i klepnął Troka w ramię. Zrobił to tak szybko, że Trok nawet nie zdążył dziabnąć go swoim patykiem.

– Przyłączenie się do armii Billi było moim najlepszym posunięciem. Zupełnie odmieniło moje życie. Chodźcie, zaprowadzę was do Srebrnozębego.

– Srebrnozębego? – powtórzyła Relka.

– To jeden z oficerów ze sztabu Billi – wyjaśnił Gratz. – Dowodzi całym gobliniskim regimentem. To on oceni, czy się nadajecie.

– A co, jeśli uzna, że się nie nadajemy? – zapytał Jig. Trok raczej nie musiał martwić się o przyjęcie do armii. Nawet Relka miała lepsze warunki fizyczne. Ale im dłużej Jig przyglądał się armii, tym bardziej czuł się tu nie na miejscu.

Gratz przyjrzał mu się bacznie, marszcząc czoło.

– Nie martw się – rzekł, ale jego radosna pewność siebie rozwiała się niczym mgła. – Srebrnozębego na pewno coś dla ciebie znajdzie.

Wbrew zapewnieniu, Jig nie przestał się martwić. Obejrzał się za siebie, rozważając, czy nie jest za późno na ucieczkę.

Odpowiedź przyszła wraz z poszczekiwaniami koboldów.

– Tak, tak! – potaknął szybko. – Im szybciej staniemy przed obliczem Srebrnozębego, tym lepiej!

* * *

Jig przez całe życie starał się unikać wojowników. Żołnierze goblinów bardziej niż

chętnie i przy każdej okazji starali się wykazać. A wykazywanie się dziwnym trafem zawsze wiązało się z dręczeniem Jiga. Zamykając go w śmietniku, wrzucając mu do kociołka z syfią szczura, wyładowywali się na nim konsekwentnie.

Dlatego też nauczył się dostrzegać pierwsze symptomy nadchodzącego zagrożenia i uprzedzać wypadki. Jeśli banda jakichś poszukiwaczy przygód zabiła kilka goblinów, Jig na kilka dni chował się w żłobku lub syfiarni. Jeżeli Golaka podbiła oko wojownikowi, który próbował zwędzić żabiego pulpeta, Jig wraz z innymi słabszymi goblinami pilnował, żeby przebywać dokładnie po drugiej stronie groty niż skarcony.

W armii Billi nie było słabszych goblinów. Poza Jigiem. Starał się unikać kontaktu wzrokowego, ale czuł na sobie spojrzenia, kiedy Gratz prowadził ich do Pottersville. Zaspiane oczy śledziły go zza półprymitywnych namiotów. Ubłocone goblino przy rzece przerywały pracę, żeby popatrzeć, kiedy przechodził. Dalej grupa goblinów dziabiąca stogi siana zamarła, odprowadzając go wzrokiem. Jig nawet nie próbował zrozumieć, dlaczego atakowały kopki, ale lepiej, że wyżywały się na sianie, niż na nim.

Idący za nim Trok paplał bez przerwy i pokazywał coś palcem, jak podekscytowane dziecko.

– Gdzie można dostać taki topór? A taką tarczę? Tę z wielkimi kolcami na obrzeżach? O, to też bym chciał. I ten hełm z rogami zwierza.

– Nie wszystko naraz – temperował go Gratz. – Rekruci zaczynają z podstawowym rynsztunkiem. Zgodnie z regulaminem, masz prawo zdobywać lepszy sprzęt na wrogach. I grabić ciała towarzyszy. Tylko musisz sprawdzić dobrze, czy są naprawdę martwi. – Wskazał na ścianę ogrodzenia, pod którą kilka opartych o siebie bali tworzyło prowizoryczną jaskinię. – Najpierw pogadajcie ze Srebrnozębym.

Minęli ognisko, na którym dwa goblino piekły szare, sierściaste zwierzęta.

Relka przystanęła gwałtownie.

– To skandal.

– To, to znaczy...? – zdziwił się Gratz.

– Nie zostawili nawet krwi. Z czego zrobią sos?

– Sos? – zaśmiał się Gratz. – Kochana, tu masz szczęście jeśli zauważysz, gdzie kończy się mięso, a zaczyna kość.

Jakby na potwierdzenie jego słów rozeń, na który nabite było zwierzę, złamał się i wraz z

mięsiwem wpadł do ognia. Gobliny zaczęły na siebie wrzeszczeć. Nikt nie zatroszczył się o wyjęcie mięsa z płomieni. Smród palonego futra wyciskał łzy z oczu.

– Dosyć! – Pseudokucharze podskoczyli jak smagnięci biczem, po czym skamienieli. Spod drewnianej osłony wyłonił się największy, najgroźniej wyglądający goblin, jakiego Jig w życiu widział.

– Pułkowniku Srebrnozęby! – Gratz wyprężył się na baczność.

Szeroka blizna na lewym policzku wykrzywiała twarz Srebrnozębego w dziwnym grymasie. Lewy kiel zastąpiono stalowym szpikulcem, przytrzymywany trzema małymi bolcami sterczącymi ze szczęki. Dowódca miał na sobie czarny, metalowy pancerz, taki sam jak orki, a na plecach nosił zakrzywione ostrze, na oko większe od Jiga.

Gdy szedł, zamrożone błoto trzeszczało pod jego ciężkimi butami. Szurnął wyciągany miecz i stojący bliżej kucharz przymknął oczy. Srebrnozęby wbił ostrze w płonące mięso, dźwignął ze stęknieniem i odrzucił, omal nie trafiając drugiego kucharza. Odwrócił się, dźgając paluchem przerażonego kuchtę.

– Biegiem po innego kozła, ale już. A spróbuj go zepsuć, to cię nakarmię żarem!

Przywołał drugiego goblina. Złapany za gors biedak pisnął cienko.

Srebrnozęby, manewrując jedną ręką, wytarł klingę o jego kołnierz, po czym puścił. Ledwie żywy kucharz klapnął na ziemię i pospiesznie odpełził rakiem.

– Świeże mięsko? – rzucił olbrzym do Gracza.

– Chcą się zaciągnąć – potwierdził zapytany.

Srebrnozęby podszedł bliżej. Z kącika lewego, zmętniałego oka, sączyła mu się granatowoczarna wydzielina. Prawym ślepiem otaksował Troka. Mruknąwszy aprobująco, przeniósł wzrok na Relkę. Tym razem mruknięcie pobrzmiwało zdziwieniem. Szturchnął goblinę w ramię na tyle mocno, że zatoczyła się w tył.

Wreszcie oko dowódcy spoczęło na Jigu.

– I ty chcesz się przyłączyć do armii Billi? – zarechotał. – Nawet koboldy by się tobą nie najadły.

Relka, która nie zareagowała, kiedy Srebrnozęby ją popchnął, teraz zasłoniła sobą Jiga, stając tak blisko pułkownika, że mogłaby odgryźć mu nos.

– To Jig Smokobójca – oświadczyła. – Jest mądrzejszy i silniejszy od najlepszego wojownika w tej twojej...

Srebrnozęby wymierzył jej cios w szczękę. Upadła na ziemię, plując krwią.

– Silniejszy ode mnie? – zaśmiał się dowódca.

Jig pomyślał o zatkniętym za paskiem sztylcie. Lepiej zabić się i mieć to z głowy, czy może przedtem zadźgać jeszcze Relkę?

Srebrnozęby wbił miecz w ziemię i przeciągnął pazurem po bliźnie.

– Robota krasnoluda. Rozpłatał mi toporem twarz, odrąbał kiel i odebrał oko, a ja i tak go pokonałem. Zmusiłem, żeby wykuł mi ten kiel, a potem rzuciłem na pożarcie wilkom. – Podniósł głos. – Chodźcie tu, żołnierze. Niech smokobójczyk pokaże nam *swoje* blizny wojenne.

– Moje co? – Jig próbował się wycofać, ale wpadł na stojącego za nim goblina. Kiedy się odwrócił, ujrzał, że otacza go krąg goblinów wojowników. Ich groźne oblicza wykrzywiały drwiące uśmiešky.

– Blizny – powtórzył Gratz. – Żeby pokazać, że jesteś doświadczonym wojownikiem, wartym przyjęcia w szeregi armii. W ten sposób oceniamy przydatność rekrutów. Zgodnie z regulaminem, jeśli twoje blizny spełniają odpowiednie kryteria, możesz nawet z miejsca dostać wyższy stopień.

Srebrnozęby wywrócił oczami.

– Jig jest wielkim wojownikiem – oznajmiła z mocą siedząca na ziemi Relka.

– Czyż nie jest najlepszym wojownikiem ten, który potrafi uniknąć ran w boju? – wyrwało się Jigowi.

Martwa cisza uzmysłowiła mu aż nadto wyraźnie rozmiar popełnionej gafy. Skulił się, podnosząc wzrok na Srebrnozębego, który gładził się po wielkiej szramie.

– To nie znaczy, że ty nie jesteś wielkim wojownikiem. Ja tylko...

– Pokaż swoje blizny, albo ci parę załatwię od ręki – warknął dowódca.

Blizny. Jasne. Trzęsącymi się rękami podciągnął rękaw.

– To od miecza, sprzed kilku lat – rzekł, wskazując paskudny ślad na przedramieniu. Uznał, że nie należy wspominać, iż zrobił ją sobie niechcący sam.

Zrzucił płaszcz i zadrżał z zimna. Zsunąwszy koszulę z barku, dotknął palcem okrągłego zgrubienia.

– To była strzała maga. – Odwrócił się, pokazując takie samo zbliznowacenie na plecach.

Gobliny już nie rechotały.

Jig podciągnął koszulę do góry.

– Nie dostanę, ale tam jest ślad po tym, jak zostałem dźgnięty nożem, tam pod żebrami. – Sięgnął ręką do pomarszczonej szramy na uchu. – Rozdarte w walce z innym goblinem, wieki temu.

Rozważał, czy nie pochwalić się też oparzeniami, których za sprawą Ciapka miał pełen wybór w różnych miejscach.

– Jakim cudem taki charłak to wszystko przeżył? – zdumiał się Gratz. Srebrnozęby zgromił go wzrokiem, kapral zbladł jak płótno. – Proszę o wybaczenie, sir. Nie chciałem się wcinać. To się nie powtórzy. Pokornie błagam o...

– Gratz za dużo gada – wszedł mu w słowo dowódca – ale ma rację. – Złapał Jiga za ramię i odwracając do siebie plecami, dziobnął paluchem bliznę po strzale. – Większość tych tutaj, po takiej ranie, skuliłaby się na ziemi i umarła.

– To jeszcze nic! – krzyknął Trok. – Kiedyś kot tunelowy omal nie oderwał mi nogi, patrzcie! – Podciągnął nogawkę, ukazując kilka równoległych szram biegnących przez udo. – Mało się nie wykrwawiłem, ale zabiłem bestię gołymi rękoma!

– Phi! – prychnęła Relka. – Byłam w kuchni, jak przyniosłeś tę „bestię” Gołące. Kocur był stary jak świat, sama skóra i kości. Brakowało mu większości zębów. I jednej łapy. – Podwinęła koszulę, wskazując dużą bliznę na brzuchu. – Mnie zranił sam Jig Smokobójca, za to, że odważyłam się nastawać na niego. Jig Smokobójca, nie żaden tam kulawy kocur. Wbił mi miecz aż po rękojeść, a ciebie co? Jakiś stary, ślepy zwierzak pogłaskał po nodze.

– Nie odzywaj się! – wrzasnął Trok, unosząc nogę do kopniaka.

Srebrnozęby uprzedził go, jednym ciosem posyłając na ziemię obok Reiki.

– Następne, które spróbuje czegoś podobnego, zarobi ostrze w brzuch. Zrozumiano? – warknął, z chrzęstem stawów prostując palce. – Skoro najlepszego wojownika poznać po tym, że nie ma blizn, to znaczy, że ty zaliczasz się do kiepskich? – zawrócił się do Jiga.

– Zdecydowanie – potaknął Jig.

– I oczekujesz, że uwierzę w tę bzdurę o zabiciu smoka?

Tym razem Jig ugryzł się w język na czas. Zdawał sobie sprawę, że jakkolwiek odpowiedź tylko rozjuszyłaby Srebrnozębego bardziej.

– Czyli kwalifikuje się do nadania z miejsca wyższej szarży? – dopytywał się Gratz.

Srebrnozęby zamknął oczy i zacisnął palce na mieczu tak, że pobielaly mu knykcie. Goblino cofnęły się złknięone.

– Najpierw powinni się wykazać, nie uważasz? – wycedził do Gracza. – Zabierz ich do wilczarni.

* * *

Zgiełk czyniony przez zakładających się o szansę jego przeżycia, nie uspokoił Jiga, idącego za Graczem przez obóz. Paplanina Troka o Srebrnozębym i wojsku Billi tym bardziej.

– Wyobrażasz sobie, jakbyśmy mieli takiego wodza, jak on? – trąkotał Trok. – Zaraz wypędzilibyśmy hobgoblina z góry. Ludzie, elfy i inne takie nie odważyłyby się postawić stopy na naszym terytorium. – Przerwał, żeby splunąć. Podbarwiona krwią ślina odcinała się ostro w śnieżnej bieli. – A widziałeś, jak błyskawicznie mnie walnął?

– Może namówimy go na powtórkę? – mruknęła Relka.

– Też tak miałem, jak Billa do nas przyszła – uśmiechnął się Gracz. – Te wszystkie goblina, orki, nawet koboldy. Mieszkaliśmy nieopodal krasnoludzkiej kopalni miedzi. Zwykle karły zostawiały nas w spokoju, chyba że kręciliśmy się w pobliżu ich tuneli. Ich jak ich, bo kiedyś były nasze, dopóki krasnoludy nas z nich nie przegnały. – Uderzył pięścią w powietrze. – Ale nie miały szans z armią Krwawej Billi. Nigdy już nie postawią stopy na naszym terytorium!

Relka trąciła Jiga.

– Zapytaj go o naszą jaskinię.

– Ja? A ty nie możesz... A zresztą. – Jig zrównał się z Graczem. – Nas zaatakowali ludzie. Zablokowali wejście do labiryntów za pomocą magii. Myślisz, że Billa mogłaby ich pokonać?

– Jasne! Nic nie powstrzyma Billi Krwawej. – Gracz mówił z takim uniesieniem, z jakim Relka wypowiadała się o Ciemnogwiazdym. – Żadne armie, magie, nawet bogowie.

No, no, uważaj sobie, chojraku, obruszył się Ciemnogwiazdy.

– Niestety – ciągnął Gracz – regulamin zakazuje mi zaznajamiać was z planami i marszrutą, dopóki Srebrnozęby nie wcielili was do regimentu.

– Jaki regulamin? – przerwał mu Trok. – O czym ty mówisz?

Rozpromieniony Gracz z dumą pokazał im plik wyświechtanych kartek.

– Odkąd przyjęli mnie do armii, zapisuję tu każdy rozkaz, jaki wydała Billa i jej oficerowie. Zasady, kary, każdą regulację, od sposobu manewrowania tarczą w bitwie, do najlepszej metody czyszczenia kłów. Ten papier zawiera to wszystko, co uczyniło z nas

najgroźniejszą na świecie, niepokonaną armię.

– Gdzie idziemy? – zapytała Relka.

– Macie pracować w zagrodzie wilków. – Gratz wskazał miejsce po zewnętrznej stronie palisady, gdzie chodzące drzewo, które widzieli wcześniej, dźwigało kłody, umacniając ściany prostokątnej budowli bez dachu. Dębizad, bo tak ich przewodnik nazywał drzewo, trzeszczał, gromko wykonując swoje zadanie. Nie posiadał stawów, ale gałęzie zginały się w miejscach rozwidleń. Jig nie dostrzegł nigdzie oczu lub ust, ale drzewo najwyraźniej widziało doskonale, co robi.

– Wystarczy, Dębizadzie! – krzyknął Gratz. – Srebrnozęby chce, żeby dzisiaj wilki nakarmiła ta trójka. Zwykle to Dębizad oporządza wilczarnię – wyjaśnił poborowym. – Jest silny, daje sobie z nimi radę, a wilki tak czy inaczej nie lubią drewna. Dębizad zajmuje się wilkami, a w zamian za to Billa pozwala mu bez ograniczeń ciskać ludźmi podczas bitwy. Oraz goblinami i innymi, jeśli się oddalą od oddziału. Wydaje się, że to jego ulubione zajęcie.

Drzewo odstąpiło od wybiegu, zostawiając w błocie głębokie ślady korzeni.

Gratz pozbierał wiadra i oparte o ogrodzenie szufle.

– Naprawdę walczyłeś ze smokiem? – zapytał Jiga.

– Tak jakby. Walczyłem, a on mną rzucił o ścianę. Duże te wilki?

– W porównaniu do smoka, maleńkie. Jeżdżę już na nich prawie rok. Wiecie, goblini wojownik na wilczym wierzchowcu jest w stanie pokonać konnego.

Jig spojrzął na Troka, który ślinił się już, widząc siebie szarżującego na wilku. Ślinił się faktycznie, ale to z powodu rozbitej wargi.

– I Srebrnozęby chce, żebyśmy sprząkali ich obejście? – upewniła się Relka.

Zza ogrodzenia dochodziły warkoty i kłapanie zębisk. Sąsiednia ściana zatrzęsała się od uderzeń czegoś ciężkiego, zasypując ziemię śniegiem i kawałkami kory.

– Wszyscy rekruci muszą przez to przejść? – zapytał Jig.

– Tylko ci, których Srebrnozęby nie lubi. – Gratz zamilkł, prowadząc ich ku okutym drzwiom, które wyglądały, jakby zostały wyrwane z jakiegoś innego budynku i przeniesione tu. Z całą ścianą. Wykonawcą czego był zapewne Dębizad. Niedopasowany fragment utrzymywały na miejscu sznury i łąty z desek. – Ja też to robiłem.

Jig aż podskoczył przestraszony, kiedy ściana znów zadrżała. W kieszeni, gdzie siedział Ciapek, robiło się coraz goręcej.

– I jak ci się udało wyjść z tego żywca?

– Nie wiem, czy powinienem mówić... – zawahał się Gratz, drapiąc się w ucho, w końcu wrzucił ramionami. – Ale w sumie w regulaminie nic na ten temat nie ma. Była nas trójka, jak was. Zaszedłem tamtych dwóch od tyłu i zadźgałem ich, a potem wepchnąłem do środka. Wilki rzuciły się na jedzenie, a ja tymczasem posprzątałem.

Klasyczne goblinie wyjście z sytuacji. Trok przysłuchiwał się opowieści, potakując aprobująco głową. Jig i Relka odsunęli się od niego przezornie.

Gratz przycisnął twarz do szpary w drzwiach.

– Piękne zwierzęta. Zobaczcie.

Trok niemal wyrócił go w ferworze przepychania się do szczeliny.

– Są ogromne! Taki jakby pacnął łapą, to kot tunelowy poleciałby jak pstryknięty pająk! Sami wybieramy sobie, na którym będziemy jeździć? Kiedy pojedziemy na nich do bitwy?

Jig podszedł do drugiego końca ściany, gdzie ścianę zabezpieczały zwoje grubej liny. Tu znalazł szczerbę, do której przytknął oko.

Musiał przytrzymać się sznura, żeby nie upaść, bo nogi się pod nim ugięły. Co zresztą stanowiło jedyny powód, dla którego od razu nie uciekł.

Siedzące wewnątrz bestie były wielkości kuca. Jig naliczył ich czternaście. Dla tych olbrzymów goblin był tym, czym szczer dla kota tunelowego. Same tylko kły miały wielkość jego kciuka, a było ich okropnie dużo w tych straszliwych paszczach. Lśniące, brązowe futro stało na karku i grzbiecie, z wyjątkiem miejsc, gdzie przyciskały go do skóry szerokie rzemienie uprzęży.

Jeden z potworów warknął groźnie, spostrzegłszy Jiga. Z uszu wilków sterczały długie kępy włosów – widok, który w przypadku innego zwierzęcia wywołałby uśmiech na twarzy. Oczywiście pod warunkiem, że nie obgryzało akurat czyjegoś ramienia. Powierzchnia ogrodzonego placu była jednym wielkim blokiem. Ruda glina przywierała do wielkich łap i futra. Widząc śliską, rozdeptaną breję, Jig wątpił, by udało mu się zrobić na niej choć dwa kroki.

– Ten wielki nazywa się Łotr – krzyknął Gratz. – To przewodnik stada.

Łotra nie dało się pomylić z innym osobnikiem. To on właśnie podszedł do zwierza obgryzającego ramię i jakby od niechcenia zatrzasnął szczęki na jego podgardlu. Ramię klasnęło w błoto, skąd Łotr podniósł je niespiesznie.

Hierarchizacja wilczej sfory wyglądała podobnie jak u goblinów.

– Ten, co się tarza tam z tyłu, to Skunks – kontynuował Gratz. – Nikt go nie bierze, dopóki jest z czego wybierać. Ten łaciaty to Parch, a tamta suka, której Łotr świsnął zarcie, Brzydula. O, ta z poblížnionym pyskiem, bez oka. To pamiątka po tym, jak próbowała ukraść Łotrowi mięso. Głupi pomysł.

Jig ledwie słuchał Gratza, wymieniającego imiona wilków.

Jesteś jednym z Zapomnianych Bogów, prawda?, zaczepił Ciemnogwiazdego.

Owszem. Rzucono na nas klątwę, kiedy...

I ja oraz Braf jesteśmy jedynymi twoimi prawdziwymi wyznawcami, tak?

Cóż mogę rzec? Każdy obniża poprzeczkę po tysiącach lat samotności.

Ciężko krzyczeć we własnej głowie, ale Jig był zdesperowany.

No to skoro masz tylko nas, czemu nie starasz się bardziej uchronić mnie przed śmiercią w szczękach wilków?!

Jestem trochę zajęty, Jig. Sam sobie radź ze swoimi wilkami.

Jiga zatkało z oburzenia, a zanim się otrząsnął na tyle, żeby wymyślić jakąś odpowiedź, Gratz kopnął leżące przed bramą narzędzia.

– Tylko pilnujcie, żeby się nie wydostały. Srebrnozęby dostaje szału, jak wilki uciekają. Rzucają się na pierwszych z brzegu żołnierzy i tak się obżerają, że potem przez trzy dni nie są w stanie walczyć.

Relka ruszyła się pierwsza. Podniosła szufłę i poszła w stronę drzwi.

– Nie boję się. Ciemnogwiazdy nade mną czuwa.

I zrywa boki, dodał w myślach Jig.

Tylko czasami.

– Załatwiają się przy tylnym ogrodzeniu – dorzucił Gratz. – To tam, gdzie tarza się Skunks – sprecyzował, wręczając Trokowi oraz Jigowi szufle.

Jig wziął narzędzie do ręki i gdy tylko Gratz się odwrócił, huknął go nim w ciemność. Sierżant odbił się nosem od drzwi, po czym upadł w śnieg, trzymając się za twarz i wydając stłumione dźwięki.

– Ha! – ucieszył się Trok. – Dobra robota, Jig. – Odsunął sztabę, przytrzymując drzwi nogą. – Hej, wilczki, chodźcie tu, mamy dla was przekąskę!

– Tymalous Ciemnogwiazdy krzywo patrzy na gobliny mordujące własnych braci – jazgotała Relka, usiłując bez efektu odepchnąć Troka od drzwi.

– Wcale go nie zabiłem. – Trok wzruszył ramionami. – Niech się Ciemnogwiazdy dogaduje w tej sprawie z wilkami.

– Może nakarmimy je raczej kozami? – zaproponowała Relka. – Czy Ciemnogwiazdy wspominał coś o zabijaniu kóz?

– Nie sędzę. – Jig złapał miecz Gracza, rozglądając się wokół. Gobliny obserwowały ich, ale żaden się nie ruszył.

– Ej, świetnie się składa! Mówił, że możemy grabić trupy! – uradował się Trok, zdzierając Graczowi hełm. – Co on tu jeszcze ma...?

– On nie jest tak do końca trupem... – zawahała się Relka, ale już po chwili ściągała leżącemu buty.

– Czekajcie – zawołał Jig. Relka natychmiast porzuciła buty. – Trok, przestań!

– Co? Chcesz ten pas? – zerknął na niego Trok. – Raczej nie będzie pasował.

Jig potrząsnął głową. Jeśli Srebrnozęby jest taki jak inne gobliny, nie zaprzestanie prób nakarmienia Jigiem wilków. A następny strażnik może nie dać się tak łatwo ogłuszyć szuflą. Musi być jakiś inny sposób na obłaskawienie potworów. Przecież nie mogli przy każdym ich dosiadaniu poświęcać żołnierzy. No, właściwie to mogli, ale to straszna papranina, a poza tym nie byłoby dobrze karmić je tylko goblinami. W każdym razie jeśli miały widzieć w nich jeźdźców, a nie obiad.

Jig klęknął przy Graczu, szturchając go tak długo, aż biedak stęknął.

– Jeździsz na nich, co robisz, żeby cię nie zjadły?

Gracz dotknął kła, który po kolizji z drzwiami zaczął się ruszać.

– Zgodnie z instrukcją, mogę zdradzić wam jedynie imię i stopień. Już je znacie, więc nie muszę z wami rozmawiać.

– Tak? Dobrze. – Jig wstał. – Ja otworzę drzwi, a ty go tam wrzucisz, Trok.

– Oczywiście instrukcja mówi także, że jako zwycięzcy macie prawo do złupienia pokonanego, czyli mnie. – Przypomniał sobie błyskawicznie Gracz. – Na przykład z tej niebieskiej sakiewki, którą mam przy pasie.

Trok przytrzymał pasek, Jig zaś odwiązał woreczek. Od odoru zepsutego mięsa załzawiły mu oczy. Z wewnątrz wyciągnął coś, co przypominało obciążony w kawałek skóry kamień. Czując, że z jednej strony wystaje coś ostrego, obrócił przedmiot, przyglądając mu się uważnie. Okazało się, że trzyma w ręku spory żółtozielony palec od nogi.

– Trollowy paluch – wyjaśnił Gratz, gramoląc się, żeby usiąść. – Wilki za nimi przepadają. A trollom szybko odrastają nowe. Od zdrowego można zebrać nawet dziesięć tygodniowo.

Woreczek zawierał kilkadziesiąt palców. Jig podszedł do zagrody i przerzucił jeden ponad krawędzią.

Warczenie ustało zanim przysmak dotknął ziemi. Jig obserwował przez szparę w drzwiach, jak wilki rzucają się na palec. Łotr ugryzł sąsiada w zadek i nagle został sam na placu. Przypadł do ziemi i zaczął spokojnie obgryzać palec.

– Każ im usiąść – powiedział Gratz. – Teraz wiedzą już, że masz palce, więc powinny cię słuchać. Tylko pilnuj, żeby je później nagrodzić za posłuszeństwo. Zapamiętaj, jeśli im nic nie dasz.

Zanim Jig zdążył uczynić jakikolwiek ruch, Trok odepchnął go i szarpnął drzwi. Łotr przyskoczył do niego, obnażając kły.

– Siad! – krzyknął Trok i roześmiał się, kiedy wilki posłuchały. – Udało się!

Gratz usiadł, masując czoło.

– No, idźcie. Im szybciej zaczniecie sprzątać, tym szybciej będziecie mieć to z głowy.

Relka pospieszyła za Trokiem, ale Jig nie drgnął, wpatrzony w szufłę. Skąd miał wiedzieć, że wilki tylko czekają, żeby do środka weszły wszystkie trzy gobliny?

– Ciemnogwiazdy ma w swej opiece wiernych – stwierdziła Relka. – I Troka też. – To ostatnie nie brzmiało zbyt przekonująco.

Jig zatknął sobie za pasek miecz Gracza, zacisnął zęby i przestąpił próg. To nie Ciemnogwiazdy wszedł pomiędzy wygłodniałe wilki, żeby uprzątnąć sześć różnego rodzaju nieczystości. Nie, on był zajęty ważniejszymi sprawami.

Może po prostu uznałem, że sam sobie dasz radę.

Jig zgiął kark, wbijając szufłę w najbliższą stertę odchodów. Chrzęst miażdżonych kości przstraszył go tak bardzo, że poślizgnął się i przewrócił na bok. Zerknąwszy na wilki, stwierdził, że to Łotr powrócił po prostu do zabawy trollowym palcem i właśnie obracał przysmak w mocarnych szczękach.

Relka postanowiła umilić sobie pracę śpiewem.

Podchodzi stado zabójczych wilków wojny

Trzewia ich głód straszliwy pali

*Lecz on nie wzruszon, łajno zbiera spokojny
Bo ufa, że bóg go ocali*

*Nie słyszy gromady furiackiego wycia
Aż pada w odchody, aliści
Nie bacząc na nic tłamsi w sobie chęć mycia
Bo ufa, że bóg go oczyści.*

Jig rzucił w nią porcją nieczystości nabranych na szufłę. Nie trafił, ale przynajmniej się uciszyła. W głowie za to rozbrzmiał boski chichot.

Podoba mi się ta goblina.

W końcu zgarnęli cały brud do wiader, które opróżniało się nieopodal w lesie. I tak było to lepsze niż wieczorny dyżur w wychodku po kolacji złożonej z szaszłyków nietoperzych na ostro.

Jig nie pominął żadnego wilka, gdy rozdawał przysmaki. Kilka palców wsunął do kieszeni z zamiarem poczęstowania nimi Ciapka. Właśnie ryglował drzwi, kiedy nadszedł Srebrnozęby.

Dowódca przystanął zdumiony.

– A co wy tu robicie? Nie wyczyściliście jeszcze wilczarni?

Trok wskazał na pełne wiadra.

Srebrnozęby pochylił się, wachając podejrzliwie zawartość, po czym wyprostował się, patrząc na Jiga.

– Właśnie straciłem przez ciebie jeden z moich najlepszych sztyletów, cherlaku. Założyłem się z Gratzem, że zostanie z ciebie kupka kosteczek i strzępy tej koszmarnej elfickiej szmaty, którą nosisz. – Wydobywszy nóż zza cholewki, wręczył go sierżantowi.

– Więc teraz przyjmiesz nas do armii? – upewnił się Jig.

Oblicze Srebrnozębego wykrzywiło się, jakby zadławił się trollim palcem, ale kiwnął potwierdzająco.

– Gratz, zaprowadź ich do zbrojowni. I odbierz swój miecz od konusa. Mamy posłać orkom kilka grup tropicieli, żeby złapać wreszcie te cholerne elfy, które szarpią nam oddziały skrzydłowe.

– Elfy? – zdumiał się Gratz. – A co one robią na terenach ludzi?

– A kogo to? – burknął Srebrnozęby. – Od wczoraj, czy jakoś tak, zakradają się z tymi swoimi przekłętymi łukami i strzelają do oficerów jak do kaczek. Billa poleciła się z nimi rozprawić.

Jigowi serce podeszło do gardła. Mają polować na elfy? Może jednak dowódca pozwoli mu zostać z wilkami?

– A co z jaskinią? – zapytała Relka. – Nasi wojownicy są w Avery, a reszta...

Srebrnozęby złapał ją jedną ręką za gors. Wykręcił materiał tak mocno, że ledwie oddychała, a potem podniósł ją do góry.

– Teraz jesteście częścią armii Billi. Kazałem wam wyfasować przydziałową broń oraz pancerze. Następnym razem, jak otworzysz gębę, zamiast wykonywać rozkaz, odgryzę ci twarz.

– Rozwarł szczęki, a czubek metalowego kła zadrapał goblince podbródek. Wystarczył jeden ruch żuchwą i przybiłby jej język do podniebienia.

Po chwili rzucił ofiarę na ziemię i odszedł. Jig modlił się, żeby nie powiedziała czegoś głupiego, ale, o dziwo, milczała.

Gratz wyciągnął papier i poplamione atramentem pióro.

– Otwieranie gęby zamiast wykonywania rozkazów – wymamrotał pod nosem – karane odgryzieniem twarzy. – Postawił kropkę i schował regulamin. – Chodźcie, skompletujemy wam rynsztunek. I nie martwcie się tym, co powiedział Srebrnozęby. W razie czego najwyżej odda was Dębizadowi. Szczerze mówiąc, to wydaje mi się, że stracił apetyt na goblininę.

Jig nie miał czasu na rozpamiętywanie słów dowódcy. Niedługo on i jego towarzysze wyruszą polować na *elfy*. Tak więc prawdopodobnie zanim Srebrnozębego czy Dębizada najdzie ochota, żeby go zabić, już dawno będzie martwy.

Rozdział 5

Jesiennogwiazdy wyglądał zza glinianego garnka pełnego marynowanych jaj grzechotnika, obserwując poczynania siwowłosej staruszki, która właśnie zastawiała na niego pułapkę.

– Przekłęte pustynne jaszczurki – mamrotała kobieta, wrzucając knedle do misy. – Gotowałam tego królika na urodziny mojej córki. – Postawiła miskę na liściowej macie. Na pustyni, gdzie drzewa zdarzały się niezmiernie rzadko, meble były luksusem. Ławy, półki, a nawet łóżka, wycięto w blokach piaskowca pochodzącego z wielkiego miasta na urwisku... Co prawdopodobnie tłumaczyło szorstkość skóry mieszkanki tego domu.

Jesiennogwiazdy beknął cicho, marszcząc nos podrażniony smrodkiem rozgotowanego królika. Podpełzł na skraj półki, patrząc, jak Anisah, bo tak się nazywała kobieta, kładzie pomiędzy kluskami pętlę z cienkiej nici. Jej pułapki były jedyną rozrywką Jesiennogwiazdego od kilku dobrych lat. Wyznawcy już dawno o nim zapomnieli i jedynym towarzystwem, jakie miał, była właśnie Anisah. Nawet jeśli bez przerwy usiłowała zwabić go do miski pełnej żywicy, czy zmiażdżyć głowę kamieniem.

Nie miał wyrzutów sumienia po zjedzeniu królika. Widział córkę Anisah, spokojnie mogła obejść się nawet bez kilku posiłków.

Jesiennogwiazdy skrzyżował łapki, kładąc na nich łebek i zapatrzył się w okno. Nawet wrogowie o nim zapomnieli. Obecności Noka nie wyczuł od pamiętnej bitwy na pustyni, a bóg śmierci nie grzeszył cierpliwością. Jeśli uznalby, że Jesiennogwiazdy przeżył, ruszyłby za nim w pościg już dawno temu.

Z rozmyślań wyrwał go mokry kaszel kobiety. Anisah klęczała na podłodze zgięta wpół, charcząc. Podbarwiona krwią ślina prysnęła na kluski. Jesiennogwiazdy na pierwszy rzut oka rozpoznał agonię. Czas Anisah dobiegał końca. Na jej twarzy odbijał się lęk i cierpienie.

Jesiennogwiazdy stanął na brzegu półki i rozpostarł skrzydła, gotując się do skoku.

Może i odebrano mu wyznawców, ale nadal był bogiem Jesiennej Gwiazdy. Tysiące lat przynosił ulgę i spokój starym oraz chorym ludziom, którzy stali na progu śmierci. Nok musiałby odesłać go w nicość, żeby Jesiennogwiazdy porzucił to, co stanowiło istotę jego bytu.

Kaszel Anisah słabł, przechodząc w rżenie. Wspierała się dłońmi na podłodze, a jej plecami wstrząsały drgawki.

Jesiennogwiazdy zeskoczył na ziemię i przemknąwszy pomiędzy rozsypanym jedzeniem, przycupnął u jej boku. Od chwili ucieczki nie odważył się użyć swych mocy ze strachu, że zostanie odkryty. Teraz jednak nie mógł odwrócić się od cierpiącego. Może nie był na tyle potężny, by powstrzymać śmierć, ale mógł stąpić jej ostrze. Rozwinął skrzydła i wyciągnął łapkę, by dotknąć ramienia kobiety.

Nic się nie stało.

A raczej, owszem, stało się, tyle że nie to, co zamierzył. Wokół jego szyi zamknęły się krogulcze palce.

– Mam cię wreszcie! – wycharczała Anisah. Jak na umierającą, miała zaskakująco silny chwyt. – Pewnie bogowie nagrodzili mnie za bogobojny żywot.

Tuż przed śmiercią, ostatkiem sił cisnęła kruchym ciałkiem Tymalouisa Jesiennogwiazdego o podłogę.

* * *

Kiedy wchodzili do miasta, palisada – a raczej to, co z niej zostało – trzeszczała ponuro na wietrze. Przekraczając za Gratzem wyrwę, Jig nie wiedział, czego ma się spodziewać. Dymiących zgliszcz? A może band orków buszujących w ruinach?

Widok prawie nietkniętego miasta zaskoczył go nieco. Większość budynków o fasadach w różnych odcieniach czerwieni, brązu i pomarańczy była w świetnym stanie. Mijając je, Jig dostrzegł, że barwę nadaje im warstwa kolorowej glinki, którą posmarowano drewno. Wszystko wyglądało tak, jakby lada moment zza drzwi mieli wyjrzeć ludzie, jak to było w Avery.

Gratz uśmiechnął się szeroko, zauważywszy, z jaką uwagą Jig przepatruje otoczenie.

– Większość ludzi uciekła jeszcze zanim tu dotarliśmy. Boją się nas. Już z miesiąc nie stoczyliśmy prawdziwej bitwy. Ale Billa mówi, że niedługo będziemy walczyć.

Jig i jego towarzysze byli jedynymi goblinami w zasięgu wzroku. W obrębie murów mieszkały same orki. Kręciły się pomiędzy krytymi strzechą domami, naprawiały coś i nosiły naręcza drewna.

Jig po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się im z bliska. Szara, gruzłowata skóra wpadała w zielonkawy odcień, a przyplaszczony nos przypominały trochę świńskie ryje. Wiele orków nosiło blizny na twarzach, ale linie były zbyt równe, jak na ślady po ranach bitewnych.

Osobnik wynoszący z domu gliniaki miał na policzku trzy krótkie, równoległe kreski. Inny, ciągnący wóz pełen koców, pojedynczą, złamaną nad brwią. Poza tym każdy posiadał jedną pod nosem.

– Blizny klanowe – wyjaśnił Gratz. – Każdy klan ma własny wzór. Ta linia pod nosem to znak Billi. Noszą ją wszystkie, jest świadectwem lojalności wobec niej.

– Pozwalają Billi kaleczyć sobie twarze? – zdumiał się Jig.

Gratz potrząsnął głową.

– To orki, sami je sobie robią. – Wskazał na orka niosącego pęk włóczni, któremu brakowało kawałka nosa. – Czasem omsknie im się ręka.

– Ale my nie musimy tego robić? – pisał Jig, starając się nie gapić na orki zbyt natarczywie.

– Żadnych blizn poniżej oficera. A nawet wtedy na twarzy mogą je robić tylko orki z klanu Billi. Reszta może robić inne i tylko na ramionach. – Gratz był jakby zawiedziony. Wskazał na dwóch strażników pilnujących wejścia do budynku o fasadzie zdobionej ciemnymi zawijasami. W rogu okapu wisiały nanizane na sznurek skorupy glinianych naczyń, które klekotały na wietrze.

Orki czujnie obserwowały zbliżającą się grupkę. Żaden się nie odezwał. Jig zastanawiał się, jak blisko zdołałby podejść goblin, zanim któryś z tych wielkich labrysów nie pozbawiłby go głowy.

– Potrzebuję rynsztunku dla tych tu – rzekł Gratz, wskazując towarzyszy. – Przysła ich pułkownik Srebrnozęby.

Jeden z orków burknął coś i zniknął za drzwiami. Jig zadumał się nad karnością wartowników. Gobliny, pełniąc taką służbę w labiryntach, grałyby w karakony albo piły zwędzone komuś piwo. Orczy strażnicy naprawdę pełnili straż. Ten, który został, sterczał pod wejściem jak głaz, ledwie mrugając powiekami. Choć głaz oczywiście nie miałby gęszej skóry z zimna.

– Ilu z nich zamarza na śmierć? – szepnął Jig, patrząc na nagie, muskularne ramiona strażnika.

– Kilku tygodniowo. – Gratz nie zawracał sobie głowy znizaniem głosu. – Uważają, że ork, który nie jest wystarczająco silny, by przetrwać, nie jest godzien, by przetrwać.

Jig wyobraził sobie, co myśleli o nim. O wszystkich goblinach i koboldach. Jak czuli się,

służąc w jednej armii ze „słabeuszami”.

Drugi ork wrócił, niosąc uzbrojenie, które rzucił im pod nogi.

– Co to ma być? – zapytał Trok, podnosząc ze śniegu miecz. O ile coś takiego można było nazwać mieczem. Ostrze było prostym kawałkiem zardzewiałej stali o zaostrej krawędzi. Nie miało nawet jelca. Końcówka została owinięta kawałkiem skóry okręconej sznurkiem. – Czemu nie dostałem takiego topora jak wy macie?

Relka przyjrzała się pancerzowi. Czyli zszytym byle jak kawałkom twardej skóry stanowiącym napierśnik, które wraz z mniejszymi fragmentami przyczepionymi rzemieniem do głównej części, tworzyły prymitywną zbroję.

– Nie macie innej? Takiej bez dziury po strzale? I żeby nie śmierdziała krwią.

Ork nie zwrócił uwagi ani na Troka, ani na nią.

Jig wziął hełm – metalową miskę, taką, jaką miał Gratz. Wcisnął na głowę i zerwał błyskawicznie.

– To jest lodowate!

– Nałóż go z powrotem – warknął sierżant. – Hełm to twój najlepszy przyjaciel. Nie tylko chroni czerep, ale także służy jako siedzenie, miska do jedzenia i poduszka. Znam jednego, który używał go też jako nocnika, ale tego zastosowania nie polecam.

Sądząc po zapachu, ten, który Jig trzymał w ręku, wykorzystywano jako wazę do serwowania zupy ze zgniłego mięsa.

Jig podniósł zbroję, obrócił ją w rękach i popatrzył na Gracza w nadziei na wskazówki co do jej założenia. Gdyby wsadził głowę w pasy pośrodku, ciężkie naramienniki miałby na łokciach...

Rzeczywiście, ochroniacze barkowe opadły na łokcie, a kiedy spróbował iść, dolna krawędź pancerza obijała mu się o uda. Wyciągnął kaptur na zewnątrz i przełożył do niego Ciapka, bo twarda skóra mogłaby przygnieść biednego pajaka. Nawet przy najciaśniej zawiązanych rzemieniach czuł się w tej zbroi jak pestka jabłka w łupinie orzecha.

– Trochę za duża, ale nada się – ocenił Gratz.

– Po co tracić ludzi na pilnowanie takiego śmietnika? – zapytał Trok.

Gratz wyciągnął miecz, znacznie lepszy niż ten, który dostał się Trokowi i bez ostrzeżenia wraził ostrze w brzuch Jiga.

Jig zatoczył się w tył. Dlaczego sam nie zadbał o miecz? Usiłował dobyć sztyletu, ale

założył zbroję na płaszcz oraz pas, więc aby go wydostać, musiał włożyć rękę pod napierśnik.

– Właśnie dlatego – powiedział Gratz. – Zawsze miej zbroję na sobie, wykonuj rozkazy, a może uda ci się przeżyć pierwszą bitwę.

Nim Jig zdążył się oburzyć, otrzymał kolejny cios, tym razem w plecy. Zarył nosem w śnieg u stóp orka. Odwróciwszy się, ujrzał nad sobą roześmianą gębę Troka.

– Hej, to świetna zabawa! – Krzepki wojownik uniósł miecz ponownie i w tym momencie Relka uderzyła go pod żebro własnym.

– Uważaj – warknął. – Mało brakowało, a dziabnęłabyś mnie w ramię. – W odwecie wbił jej tępy koniec miecza w brzuch. Relka stęknęła, zginając się wpół.

– Dość tego! – zdenerwował się Gratz. – Pierwsza zasada regulaminu zakazuje atakowania towarzysza broni pod karą obcięcia ucha, dłoni lub wyłupienia oka. – Machinalnie dotknął blizny po własnym uchu. – Billa osobiście decyduje w każdym przypadku. W ten sposób utrzymuje w armii dyscyplinę. A wierzcie mi, nie chcecie zwracać na siebie uwagi Billi.

– Czy to nie znaczy, że Srebrnozęby nie może mnie, ot tak, zabić? – zapytał z nadzieją Jig.

– To co innego. On jest oficerem. Może zabić każdego po kolei, jeśli będzie miał na to ochotę. Ale kto wtedy czyściłby wileczarnię? – roześmiał się Gratz i chwyciwszy Jiga za rękę, dźwignął go z ziemi. – No, czas na nas. Musimy schwytać te elfy.

Jig podniósł ostatni leżący na śniegu miecz. Broń była koszmarnie wyważona, zupełnie jakby ktoś przywiązał do kija kamień. Wypróbowawszy ostrze na płaszczu, doszedł do wniosku, że kij z przywiązanym kamieniem byłby zdecydowanie lepszą bronią.

Gdy znaleźli się z dala od orków, Gratz rozejrzał się ukradkiem.

– Billa specjalnie ściągnęła orczych kowali do robienia tych mieczy. Mam wrażenie, że celowo tępią ostrza. Rekruci poświęcają na ich naostrzenie cały wolny czas i w ten sposób nie myślą o buntowaniu się przeciw dowództwu.

Logiczne założenie. Niestety, to oznaczało, że Jig będzie polował na elfy, biegając ze sztabką stali w dłoni.

Relka przystanąła tak nieoczekiwanie, że Jig zatrzymał się z nosem na jej plecach.

– Co to?

Fasadę budynku, który wskazywała, wyłożono dużymi płytami. Przez otwór po wyrwanych drzwiach widać było stojący pod tylną ścianą olbrzymi piec. W palenisku buzował

pomarańczowy ogień, a ze środka promieniowało ciepło. Jig podszedł, wyciągając ręce w stronę źródła żaru.

– Ludzie nazywają to wypalarnią. Robią tu garnki i takie tam. Słyszałem, że to miasto było z tego słynne. Orczy kowal próbował wykorzystać ten piec, ale nie mógł uzyskać odpowiedniej temperatury. – Gratz kopnął leżący koło drzwi odłamek ceramiki. – Te ściany pękają i kruszą się jak garnki. Nie rozumiem, czemu Billa wzięła to miasto na cel. Nie stoczyliśmy żadnej porządnej bitwy, a jakoś nie widzę, żeby to miejsce miało jakiegokolwiek znaczenie strategiczne. No, ale pewnie dlatego jestem tylko kapralem.

Relka jakby w ogóle go nie słyszała.

– Mogłabym tu upiec dwie tusze naraz. A krasnoludzkie to nawet trzy. Piec Golaki jest cały popękany, ale ten... Wyobrażasz sobie, o ile szybciej wszystko by się upiekło? Musimy sobie taki sprawić, Jig!

– Może najpierw wymyślimy, jak w ogóle wrócić do góry? – zauważył Jig.

Trok nadepnął na odłamek glinianego naczynia.

– Nie wygląda na to, żeby Srebrnozęby chciał nam pomóc.

– Możecie sobie narzekać, proszę bardzo. Nie wy pierwsi i nie ostatni – roześmiał się Gratz. – Na początku, kiedy Billa zjednoczyła pod swoim dowództwem klany orków, ciągle ktoś kogoś zabijał. Wtedy Billa ogłosiła, że ci, którzy nie potrafią się dogadać, mają przyjść do niej.

– I co, podziałało? – zainteresował się Jig.

– Mówią, że pierwszego dnia przed jej namiotem ustawiła się kolejka ponad trzydziestu orków. Billa wyszła na zewnątrz, popatrzyła na nich i rozkazała ubić wszystkich na śniadanie. Od tamtej pory zapanował spokój. Aczkolwiek bywa, że wysłucha delikwenta, jeśli ma naprawdę dobry humor. – Gratz podjął wędrówkę ku przejściu w ogrodzeniu, a reszta, chcąc nie chcąc, podążyła za nim. Jig wolał nawet nie wiedzieć, jaka kara czeka rekrutów złapanych na włóczeniu się po mieście.

Gratz pomachał do grupki stojącej przy palisadzie.

– O, świetnie, już są.

Uzbrojenie reszty oddziałiku było tak samo nędzne jak trójki goblinów, ale Jig zwrócił uwagę na jednego z koboldów.

– Hessafa?

– Koboldy kiepsko się spisują w walce – rzekł Gratz. – Ale to szybkie bestie i są

najlepszymi tropicielami. Ale nie przepadają za goblinami. Przydział do takiego zadania to w ich plemienu kara. Ciekawe, co ta koboldzica przeskrobała.

Hessafa uniosła wargi, odsłaniając zęby. Żółtych ślepi nie spuszczała z nadchodzących. Jig nie potrafił odczytywać koboldzich min, ale cieszył się niezwykle, że Billa wydała zakaz zabijania towarzyszy broni.

* * *

– Postępuj według procedur, koboldzie, trzymaj się co najmniej dziesięć kroków przed nami – krzyknął Gratz i odwrócił się do goblinów. – Wy pójdziecie w szeregu, w odstępach na tyle dużych, żeby wasze rozkołysane miecze nie szczękały o siebie. Miejcie oczy i uszy otwarte. Elfy to spryciarze, ale znajdziemy je.

– Jego. Albo ją. Jest tylko jeden elf – oświadczyła Hessafa. – Tędy.

Szeroko rozpostarte ramiona pomagały Jigowi zachować równowagę. Hessafa uparła się, żeby iść przez zamrożone bagno. Sterczące ponad powierzchnią lodu nagie drzewka i brązowe wiechcie zielska sprawiały, że okolica przypominała gigantyczną wersję hobgobliniej pułapki – jamy o dnie najeżonym kolcami. Koboldka prowadziła ich przez każdą kałużę błocka, cuchnącej, gnijącej brei i innej oślizgłej packi, jaką znalazła, sama przemierzając trasę suchą stopą.

– Naprawdę umiesz wyśledzić elfa na bagnie? – zapytał Jig.

– Trudniej śledzić elfa niż śmierdzącego goblina, ale elfi fetor jest tu. Zawsze ufaj zapachowi, goblinie. – Wciągnęła nozdrzami powietrze i odsłoniła kły. – Zapach idzie tam.

– Na te oblodzone, porośnięte jeżynami skały? – skrzywił się Trok.

Szczek Hessafy brzmiał podejrzenie podobnie do chichotu.

– Skóra goblina delikatna. Staraj się nie krwawić bardzo. Psuje zapach.

Słońce stało nisko, tuż nad horyzontem. Jigowi zaburczało w brzuchu. Przegapili już kolację, jak długo jeszcze mają szukać tego elfa?

– Po co w ogóle jakiś elf miałby się tu kręcić?

– Trudno powiedzieć. – Gratz podrapał się po bliźnie na głowie. – Zwykle trzymają się w kupie. Ludzi traktują jak krótkowiecznych dzikusów. Zupełnie tak, jak ludzie traktują nas.

– Nie pytałem, czemu miałyby podchodzić tak blisko wroga. Co zdoła kilka elfów naprzeciw setkom żołnierzy?

– To zwiadowcy. Wystrzelą kilka strzał, zabiją kilku oficerów, ale głównie szpiegują. Przeniesienie całej armii nie jest takie proste, trzeba na to czasu. Szpiegują nas, żeby wiedzieć, co robimy i kiedy ruszamy dalej. Jeśli poznasz zawczasu plany nieprzyjaciela, możesz je sabotować.

– A tak w ogóle to jakie są te nasze plany? – zapytał Trok.

– Chcemy zmienić świat – Gratz mówił cicho, a jego oczy płonęły. – Mówiłeś, że ludzie wdarli się do waszej góry, że zaatakowali plemię, tak? No właśnie. Krwawa Billa sprawi, że żaden mieszkaniec powierzchni nie będzie już nas dręczył! – Wyszarpnął miecz i potrząsnął nim nad głową. – Zaczęło się kilka lat temu, gdy Billa powiodła swój klan na trolle i wygnała je z gór, które zamieszkiwały. Trolle nie miały się gdzie podziać, więc zaczęły napadać ludzi i rabować gospodarstwa w poszukiwaniu pożywienia. Oczywiście, ludziom się to nie spodobało. Trolle, orki, gobliny, dla nich nie ma różnicy, mają nas za potwory i tyle. Wynajmowali różnych awanturników i herosów, i wysyłali ich w góry, płacąc złotem za każde ucho orka lub głowę trolla. Wtedy Billa wezwała do walki inne klany. Zabiła tych, którzy nie chcieli się do niej przyłączyć, a resztę powiodła do bitwy. – Podniósł garść śniegu. – Mówią, że tamtego dnia sami bogowie stanęli po jej stronie. Śnieg oślepił szeregi wroga, a wiatr znosił ich strzały. Krwawa Billa przegnała tych ludzi, gdzie pieprz rośnie, a potem ruszyła dalej, na każdym kroku werbując nowych żołnierzy do swej armii. Chce odebrać mieszkańcom powierzchni ostatnią piędź ziemi. – Zgniółł śnieg w kulę i zjadł go. – Takie przynajmniej były plany. Okazało się bowiem, że tereny te są trochę większe niż ktokolwiek przypuszczał.

Jig popatrzył na towarzyszy. Trok był w swoim żywiole. Rozpromieniony, machał mieczem, walcząc z wymaginionym przeciwnikiem. Relka obracała w palcach swój wisiorek – kiedy znalazła czas, żeby sobie zrobić nowy? – uśmiechając się z rozmarzeniem. Nawet sam Jig musiał przyznać, że pociągała go wizja Billi. Przegnać mieszkańców powierzchni raz na zawsze... Żadnych więcej łobuzów zakradających się do labiryntów, uśmiercających gobliny dla sławy i skarbów... Żadnych ludzi, elfów czy krasnoludów biorących gobliny w niewolę... Po tylu latach mogliby wreszcie zaznać spokoju, poczuć się bezpiecznie. Czy dlatego właśnie Ciemnogwiazdy go tu wysłał? Żeby Billa mogła ich chronić?

Nie do końca, odezwał się Ciemnogwiazdy. Źródłem niebezpieczeństwa nie są ludzie czy elfy.

Znaczy, Billa i jej orki?, domyślił się Jig.

Nie. Co innego.

Jig szarpnął uszy w nadziei, że ból przytłumi frustrację.

Może nie jest jeszcze za późno, żebym zaczął czcić jakiegoś innego boga? Takiego, który daje mniej mgliste ostrzeżenia? Może takiego, który poradzi mi zostać w bezpiecznej grocie, zajadać się gorącą szczurówką i popijać przez cały dzień piwo klakowe?

Mówisz o Rionisusie Żółtookim, bogu hulanki. Ale nie sądzę, by był zainteresowany goblinскими wyznawcami. Ciemnogwiazdy zawiesił na moment głos. Posłuchaj, Jig, ty i inne gobliny jesteście moim jedynym oknem na świat. W czasach mojej potęgi, kiedy miałem wiernych na całej Ziemi, prawdopodobnie byłbym w stanie wyczuć, co konkretnie stanowi groźbę. Ale teraz... Przykro mi...

– Długo jeszcze? – niecierpliwił się Trok. – Chcę zabić jakiegoś elfa!

– Cicho, śmierdzący goblinie! – zbeształa go Hessafa, po czym padła na czworaka, przyciskając nos do skalistego podłoża. Zostawili wreszcie za sobą bagna, wchodząc na kamienisty stok porośnięty rzadkim laskiem. Szkoda, że przy okazji nie zostawili za sobą bagiennego smrodu. Niestety, Jig, podobnie jak reszta goblinów, był cały utyłany w śmierdzącej brei.

– To ten elf? Co? Znalazłaś go? – podskakiwał Trok.

– Cicho, znaczy nie gadać. – Podpełzła naprzód, niuchając intensywnie. Kiedy podniosła głowę, na czubku nosa miała grudkę śniegu. Kichnęła i splunęła. – Elfi odorek. Cuchnie owocami i kwiatkami. Ale lepsze to od gobliniego smrodu.

– Czy w regulaminie są jakieś zasady dotyczące zadania przewodnikowi ciosu w plecy? – zainteresowała się Relka.

– Dość niejasne – odrzekł Gratz.

Hessafa podjęła wędrówkę po kamieniach, mamrocząc pod nosem.

– Najpierw goblin skłamał koboldom, że Hessafa ukradła metal. Potem koboldy ukarały Hessafę tropieniem dla tych głupich goblinów. Elf jest tam.

– Gdzie? – zapytał jeden z obcych goblinów i sekundę później zatoczył się, wpadając na towarzysza idącego z tyłu. Oba runęły przeszyte jedną elfią strzałą.

– Tam! – krzyknęła Hessafa, padając na ziemię. – Hessafa doprowadziła do elfa. Teraz gobliny zabijają elfa, już!

Jig dostrzegł sylwetkę stojącą na gałęzi zaśnieżonego drzewa. Elf stał na niej jak przylepiony, nie zachwiawszy się nawet na śliskiej korze, kiedy znów napinał cięciwę.

– Padnij! – wrzasnął Gratz, niepotrzebnie zresztą, bo oddział rozpieczęł się już, szukając schronienia za głazami, pniami oraz towarzyszymi. Nie było to takie łatwe, bo na łagodnym zboczu przeważały niewielkie odłamki skalne i raczej rzadkie, rachityczne drzewka.

Kolejna strzała przebiła wystające ucho goblina, przyszpilając właściciela do ziemi.

Gratz uśmiechał się, patrząc na swój oddział, a jego tubalny krzyk wybijał się ponad skrzeki przerażonych żołnierzy.

– Zasady mówią, że dla tak niewielkiej grupy jak nasza, najskuteczniejszym szykiem w tej sytuacji jest dłoń-i-pieść. Rozpraszamy się na kształt ogromnej dłoni, otaczamy go ze wszystkich stron, a potem wszyscy naraz zacieśniają krąg. Jako dowódca, jestem palcem środkowym, więc idę na środku. Wy – wskazał mieczem trzy gobliny – będziecie kciukiem i wskazującym, idziecie na lewo. Jig i koboldzica, jesteście małym palcem i zajdziecie go od prawej. A teraz naprzód!

Gobliny ruszyły bez namysłu. Jig nie wątpił, że gdyby pomyślały choć przez chwilę, na pewno popędziłyby w przeciwną stronę. Ale ostry ton Gracza poderwał z ziemi nawet Jiga.

Hessafa rzuciła w biegu włócznią. Elf uniknął jej bez trudu, ale uchylając się, nie mógł przynajmniej jednocześnie strzelać. Trok podniósł kamień i nie zwalniając kroku, cisnął nim we wroga.

Elf złapał pocisk i odrzucił go z krzywym uśmiechem.

Gdyby Trok nie schylił głowy, okrucieństwo zmiażdżyłoby mu twarz zamiast zadzwonić o hełm. Goblini wojownik potknął się i upadł w śnieg. Wgniecenie w hełmie było widoczne nawet ze sporej odległości. Reszta żołnierzy prawie dopadła drzewa. Nie przestając się uśmiechać, elf zeskoczył z gałęzi i wylądował lekko na śniegu. Za pomocą łuku zablokował atak stojącego najbliżej goblina, wskoczył mu za plecy i kopniakiem w zadek posłał na drzewo. Huk hełmu o pień skojarzył się Jigowi z odgłosem goblinskich bębnow wojennych.

Gratz i Relka rzucili się na elfa równocześnie. Przeciwnik podrzucił łuk, który zawisł na jednej z gałęzi. Chwytał goblinę za przegub, wykręcając jej rękę tak, że przystawiła sobie własny miecz do gardła. Gdyby krawędź była ostra, rozciąłaby szyję. Elf przycisnął klingę mocniej i skrzywił się z niesmakiem. Grzmotnął Relkę łokciem w skroń, powalając ją na ziemię i w tej samej chwili Gratz opuścił ostrze na jego nadgarstek.

Nic się nie wydarzyło. Gratz ponowił atak, ale tym razem elf złapał za klingę i wrywał mu miecz z ręki.

Jig zatrzymał się jak rażony piorunem i spojrzał na Hessafę, która wbiegała za nim po stoku. Oboje uczynili niepewny krok w tył.

Inny goblin ruszył na elfa, wrzeszcząc i wywijając mieczem. Jig zastanawiał się, czy krzyczy, żeby przestraszyć przeciwnika, czy dlatego, że z ucha sterczy mu strzała. Tak czy inaczej, elf nawet nie mrugnął, blokując go ramieniem, po czym przebił napastnika mieczem Gracza. Ciało zabitego stoczyło się ze zbocza pod stopy Jiga.

Tępe czy nie, ostrze powinno strzaskać elfowi przedramię. A broń Gracza była zdecydowanie lepsza niż pozostałe miecze. Mimo to chwytającemu klingę elfowi nie drgnął nawet mięsień na twarzy.

– Elfia magia? – szepnęła Hessafa.

– Nie, to dużo gorsza magia. – Jig rozpoznał w elfie jednego z towarzyszy Teodora. Książę musiał utwardzić ich skórę za pomocą Laski Stworzenia tak, że teraz chroniła je niczym zbroja. Elf przeciągnął się, jakby właśnie ocknął się z miłej drzemki, po czym zdjął wiszący łuk z drzewa.

– Uciekamy? – zapytała Hessafa.

Jig nie drgnął. I tak nie daliby rady umknąć strzale elfickiego łuczника.

Czy to już koniec? Teraz wszyscy umrzemy?

Nie, rzekł Ciemnogwiazdy. No, w każdym razie nie jest to to niebezpieczeństwo, o którym ci mówiłem. Tamto jest magiczne, rozległe. To szybkie i skuteczne.

Jig przypadł do ziemi, kryjąc się za drzewkiem oraz martwym goblinem ze strzałą w uchu. Górna krawędź pancerza wrzynała mu się w gardło, podduszając go, ale nie miało to znaczenia. I tak nie mógłby oddychać ze strachu.

Hessafa podpełzła bliżej. Oboje widzieli nadchodzącego elfa.

Dlaczego gobliny nigdy nie mają żadnych magicznych pancerzy, broni czy... Zaraz. Jig wyrwał z martwego goblina strzałę. Skoro Teodor użył Laski Stworzenia, żeby wzmocnić elfy, może uczynił to także z ich bronią? Przesunął palcem po czubku grotu i uśmiechnął się na widok krwawiącej opuszki. Szpic był tak ostry, że nawet nie poczuł, jak przecina skórę.

Możesz jakoś odwrócić jego uwagę?

Mógłbym spróbować. Jest coś takiego... Nie robiłem tego kilka tysięcy lat i pewnie nie zadziała, ale...

Jig roześmiałby się w głos, gdyby ten nie uwiązał mu w ściśniętym ze strachu gardle.

Umagiczniony elf idzie tu, żeby rozerwać mnie na kawałeczki. Zrób to!

Wstań.

Jig zacisnął dłonie na strzale.

Co?!

W jego ciele rozlało się ciepło. Wrażenie było podobne do tego, którego doświadczał podczas używania mocy leczniczej. Z tą jednak różnicą, że magia uzdrowicielska koncentrowała się w dłoniach, ta zaś miała źródło w piersiach i promieniowała z nich na całe ciało. Tamta rozgrzewała ręce, ta dawała uczucie, jakby połknął ognistego pająka.

Powstań, Jigu Smokobójco. Powstań i każ swojej koboldziej towarzysze zamknąć oczy.

Po co?

Ciemnogwiazdy westchnął ciężko.

Bo jeśli tego nie zrobisz, ten elf cię zabije.

– Zasłoń oczy, Hessafo – rzekł Jig i koboldzica ukryła twarz w śniegu. Jig nie był pewien, czy go posłuchała, czy po prostu nie chciała patrzeć, jak elf ją zabija. Ale skoro osiągnął pożądany efekt, jej motywy nie były istotne.

Ciapek wyskoczył z kaptura, spuścił się po cieniutkiej nici i zostawiając za sobą dołki stopionego śniegu, czmychnął pod osłonę pobliskiego drzewa. Mądry pajaczek.

Jig podniósł się. Elf znajdował się tuż-tuż. Czy zastrzeli Jiga z łuku? Złamie mu kark jedną ręką? Użyje go jak maczugi, żeby zatłuc Hessafę? Możliwości było mnóstwo.

Elf zawahał się nagle. Jego skóra i pancerz nabrały czerwonego odcienia. Podobnie jak śnieg. Jig zerknął poza niego, ale zniżające się słońce zabarwiało się dopiero na pomarańczowo.

Czerwone światło stawało się coraz intensywniejsze. Mruganie nic nie dawało. Wprost przeciwnie. Blask emanował ze skóry Jiga, także z powiek.

Jiga nie raziło aż tak bardzo jak elfa, który krzywiąc się, mrużył oczy. Jig uniósł strzałę. Gdyby zdążył zaatakować, zanim elf się otrząśnie...

Zaczekaj.

Jig popatrzył na własne dłonie. Na opuszkach palców tańczyły płomyki, na skórze, sypiąc iskrami, wirowały języki ognia.

Zamieniasz mnie w ognistego pająka?

Ognistego pająka?! To światło Jesiennej Gwiazdy! Boski stygmat moich proroków! A przynajmniej jego skromna wersja. Tak czy owak, świat już od kilku mileniów nie widział tej aury

mocy!

Światło jaśniało coraz szybciej, oblewając wszystko krwawą poświatą.

Od strony Hessafy dobiegł zduszony pisk. Ruch elfa był szybszy niż myśl. Strzała utkwiała w pniu drzewa, za którym kulila się koboldzica.

Elf *spudlowali* Blask musiał go oślepić. Zaskoczony przeciwnik zaczął się cofać.

Jig postąpił krok do przodu.

Strzała przebiła pancerz. I Jiga. Z przodu napierśnika widniał okrągły otwór, podobny Jig wyczuł pod palcami z tyłu, z tym, że wylotowy był wilgotny od krwi.

Zraniła cię w bok, drasnęła żebro. Przeżyjesz. Ciemnogwiazdy zawahał się sekundę. No, chyba że znowu cię trafi.

Jig zacisnął zęby, żeby stłumić jęk. Nawet oślepiony elf był przeraźliwie skutecznym łucznikiem. I tym razem nie zamierzał się popisywać strzelaniem w gardło. Celował prosto w pierś. Trzy palce obok, a strzała przebiłaby serce.

Głupi śnieg. Jig nie mógł nawet drgnąć, żeby nie wywoływać skrzypienia pod podszewkami i to tak głośnego, że nawet człowiek by usłyszał. W boku go rwało, po policzkach ciekły łzy bólu. Wstrzymał oddech. Elf pewnie zorientował się, że przeciwnik nie upadł. Trzeba było rzucić się na ziemię i udawać martwego, a kiedy elf podszedłby bliżej, zaatakować.

Choć oczywiście istniała możliwość, że elf wcześniej przebiłby go jeszcze kilkoma strzałami, dla pewności.

Nie mógłbyś zrobić czegoś z tymi hałasami?

Przykro mi. Nie sądziłem nawet, że uda mi się przywołać światło Jesiennej Gwiazdy. Jak ci się podobało? Jeszcze robi wrażenie, prawda?

Trzask gałązki skierował jego uwagę z powrotem na elfa i jego zabójczy łuk. Elf trzymał broń z napiętą cięciwą przy policzku i nasłuchiwał. Jigowi pękały już płuca od wstrzymywania oddechu, ale nie śmiał wypuścić powietrza. Mógłby rzucić strzałą, żeby zdekoncentrować elfa, ale pozbywanie się jedynej przyzwoitej broni nie było najszcześniejszym pomysłem.

Hessafa uniosła głowę i zawyla. Jig wzdrygnął się, kładąc po sobie uszy podrażnione przenikliwym dźwiękiem. Kolejna strzała trafiła w pień, ale wycie koboldzicy zagłuszyło odgłos uderzenia grotu w korę.

Jig spojrzął na drżącą lotkę. Skoro on nie usłyszał... Skoczył na elfa, wbijając mu jego własną strzałę w pierś.

Elf upuścił łuk, chwytając obiema rękami drzewce sterczącej z pancerza strzały, a na jego twarzy odmalowało się łagodne zdumienie. Potem runął na plecy.

Jig czuł, jak lęk z niego uchodzi. Zesztywniałe mięśnie rozluźniły się, a tłumiony przerażeniem ból wybuchnął ze zdwojoną siłą. Jig krzyknął, łapiąc się za bok.

Hessafa wygrzebała się ze śniegu pod drzewem. Zbliżywszy się do elfa, szturchnęła go włócznią.

– Zabity przez hałaśliwego goblina, he? Jak?! – Zjeżyła sierść, wskazując na Jiga włócznią. – Więcej magii?

– Nie, to... – Jig syknął, zaciskając zęby.

Może byłbyś tak miły i coś zrobił?

Hm? Ach, przepraszam.

Jig wydał westchnienie ulgi, kiedy skóra zaczęła się zrastać, a ból słabnąć. Po chwili mógł się wyprostować. Złapał wystający spod pancerza rąbek płaszcza i Spróbował przetrzeć nim okulary. Niestety, jego płaszcz stanowił obraz nędzy i rozpacz. Aczkolwiek wyjątkowo barwny obraz. Całą tkaninę pokrywały plamy śniegu, błota oraz różnokolorowej krwi. Porzucił więc pomysł wykorzystania własnego odzienia i posłużył się rękawem koszuli elfa.

Odzyskawszy wzrok, poszedł sprawdzić, co z Relką. Goblinka miała ogromnego guza na głowie, ale nic nie zagrażało jej życiu. Trok chrapał głośno, więc Jig doszedł do wniosku, że nic mu nie jest. Gratz także nie odniósł poważnych obrażeń. Złamał rękę, kiedy elf rzucił nim o ziemię, ale to mogło poczekać. Na razie trzeba było sprawdzić, co z pozostałymi. Jeden z dwóch przebitych tą samą strzałą goblinów, ten z tyłu, jeszcze żył. Ledwie. Jigowi udało się utrzymać go w tym stanie podczas wyciągania strzały, a potem zabrał się do leczenia rany.

Kiedy skończył, padał z nóg i wprost ociekał goblinią krwią, ale w ostatecznym rozrachunku oddział stracił tylko dwóch żołnierzy.

– Najpierw się palisz, potem zabijasz magicznego elfa, a teraz leczysz głupie gobliny. – Hessafa nadal patrzyła na niego oczami jak spodki, odsłaniając groźnie kły. Przez zjeżoną sierść wydawała się komicznie wielka. – Czym jesteś, goblinie?

Nie mów jej, zastrzegł Ciemnogwiazdy.

Nie mam zamiaru. Wyobrażasz sobie, jak śpiewa w duecie z Relką? Aczkolwiek nie mam pojęcia, jak jej wyjaśnię ten samozapłon w trakcie walki, nie mówiąc o...

Słuchaj Jig, przerwał mu bóg, nie spodoba ci się to, co mam ci do powiedzenia.

Jig przymknął oczy. Skoro Ciemnogwiazdy zadaje sobie trud, żeby go ostrzec, musi być naprawdę źle.

Kiedy nałożyłem na ciebie gwiazdny całun, fakt ten został zauważony.

Gwiazdny całun? Ach, to światło... Jig zeszywniał, gdy dotarł do niego sens słów boga.
Zauważony przez kogo? Są tu jakieś inne elfy?

Nie chodzi o ciebie, Jig, tylko o mnie.

Po tonie Ciemnogwiazdego zorientował się, że sprawy stoją naprawdę kiepsko, mimo to poczuł ulgę. Przynajmniej raz jakiś niewyobrażalnie straszliwy potwór ściga nie jego.

Owszem, tyle że to, co ściga mnie, znajdzie też ciebie. Nic jej nie mów, Jig. Nikomu nic nie mów, dopóki nie dowiem się czegoś więcej.

No, to już po uldze.

– Czym jesteś, goblinie? – powtórzyła Hessafa.

Jig zerknął na pozostałe gobliny. Gratz pojękiwał, a Relce zaczynała wracać przytomność.

– Słuchaj, Hessafo, to nie ja zabiłem elfa.

– Koboldy niegłupie. Hessafa widziała!

– Nie, nie. – Jig potrząsnął głową. – To ty go zabiłaś.

– Elf zaatakował głupiego goblina. Hessafa za drzewem. A potem ty...

– Pomyśl, co głupie gobliny powiedzą, kiedy opiszesz im, jak je ocaliłaś – wszedł jej w słowo Jig. – Jak podkradłaś się do elfa i zabiłaś go jego własną strzałą – Koboldy wysłały cię z nami, bo były na ciebie wściekłe. Wyobraź sobie, jak zareagują na twoją opowieść o pokonaniu elfa.

Koboldzica zawahała się, patrząc to na elfa, to na Jiga.

– Hessafa zabiła elfa! – oświadczyła z mocą, prostując plecy.

– Co ta kundlica opowiada? Kobold zabijający elfickiego zwiadowcę? – Głos Gracza był zachrypnięty, lecz pewny. Usiadł i rozprostował ramię. – Hę? Przysięgnę, że słyszałem trzask łamanej kości.

Jig rozejrzał się po okolicy. Cienie drzew wydłużały się, słońce znikło za horyzontem.

Po chwili ocknął się Trok. Wstał, otrzepał futro ze śniegu i dostrzegł leżące opodal ciało.

– O! Świeżutki elf!

– Żadnego jedzenia – powstrzymał go Gratz, masując ramię. – Nie potrzebujemy batalionu goblinów z biegunką po surowej elfiźnie.

– A kto mówi o surowiznie? – obruszył się Trok i dźgnął Relkę palcem. – Ona jest kucharką.

Sprzeczką szybko dobiegła końca, kiedy okazało się, że nóż Troka nie przecina elfiej skóry. Mogli co prawda upiec go w całości, ale i tak nie byłiby w stanie zjeść pieczeni.

Choć kiszki Jiga wygrywały marsza na myśl o pieczonym elfie, on sam cieszył się, że ruszają w drogę powrotną. Przygotowywanie elfa oznaczałoby pozostanie dłużej w lesie, po którym kręciły się niebezpieczne zwierzęta, magicznie opancerzone elfy, a także tajemnicza istota, która polowała na Tymalouisa Ciemnogwiazdego.

Co właściwie mogło ścigać boga?

Ogólnie rzecz biorąc, tylko inny bóg.

Wracając do obozu Billi, Jig ze wszystkich sił starał się o tym nie myśleć. Nie udało mu się.

Pamiętasz, co mówił Darnak, kiedy wspomniał ci o mnie po raz pierwszy?, zagał Ciemnogwiazdy, kiedy przekraczali bagno.

Jig poczuł poruszenie w kapturze. Ciekawe, czy Ciapek wyczuwał zdenerwowanie Jiga, czy też zbliża się prześladowca Ciemnogwiazdego?

Znajdowali się głęboko w labiryncie pod górą. Jig zobaczył, że Darnak posiada zdolność uzdrawiania i zapytał krasnoluda o bogów. Darnak był wniebowzięty, zyskując słuchacza. Gadał jak najęty, aż Jigowi ścierpły uszy.

Mówił, że jesteś jednym z piętnastu Zapomnianych Bogów i jeszcze coś tam o jakiejś wojnie.

Wojnie Cieni.

Dzwoneczki zadźwięczały ostro, co było oznaką irytacji boga. *Wiem, idiotyczna nazwa. Założę się, że to Nok ją wymyślił. Pasuje do kogoś, kto tak lubuje się w melodramatycznych zagrywkach. No, ale przynajmniej jest krótsza niż „Szaleństwo Piętnastu Bogów, Którzy Myśleli, Że Mogą Zbuntować Się Przeciw Dwóm”.*

Trudno byłoby umieścić coś takiego w pieśniach, przyznał Jig.

Królestwo bogów jest niezwykle złożonym miejscem. Pod koniec wojny ogromna jego część została objęta cieniem i mrokiem. Piętnastu zbuntowanych bogów zniszczono, ich domy obrócono w gruzy.

Wszystkich piętnastu?, powtórzył Jig. A wśród nich Tymalouisa Ciemnogwiazdego.

Myśleli, że nie żyjesz!

Byłem bliski śmierci. Od tamtej pory się ukrywałem. Ta odrobina magii, którą wykorzystywałem nie powinna przyciągnąć niczyjej uwagi. Chyba że znów mnie szukają.

Jig zadrżał. Na wieczór zrobiło się chłodniej, w powietrzu białawy chmurki oddechów.

Myślałem, że bogowie są nieśmiertelni?

Niektórzy bardziej niż inni.

Jig spozjrzał na Relkę. Jak zachowałyby się, gdyby wiedziała? Od roku wychwalała Ciemnogwiazdę, opowiadając o nim wszystkim, którzy chcieli jej słuchać i wielu, którzy słuchać jej nie chcieli. Wyśpiewywała o jego potędze i mądrości. A rewelacje Ciemnogwiazdę strącały go z piedestału wszechpotężnej boskości, czyniąc podobnym do... cóż, do goblina. Goblina pomiędzy bogami, uciekającego, ukrywającego się, żyjącego w strachu.

Wypraszam sobie! Jestem dużo przystojniejszy od goblina.

Jig pominął tę uwagę milczeniem.

Wiesz, który bóg cię ściga? A co ważniejsze, czy ten bóg będzie sobie zawracał głowę wiernymi ofiary?

Mam pewne typy. Podczas wojny Nok wzrósł w siłę i awansował na boga śmierci. Zapracował sobie na przydomek Bogobójca. Tuszę, iż domyślasz się, dlaczego— Do broni! – warknął Gratz, ściągając Jiga na ziemię. – Jig, Hessafa, rozdzielcie się. I niech was nie widzę. Manewr oskrzydlający.

– To znaczy? – zapytał Jig.

– To znaczy, że masz ruszyć ten kościsty tyłek, ukryć się i czekać na rozkazy! Jeśli to kolejny elfi trik, ty i Hessafa zaatakujecie z dwóch stron.

Jig padł w błocko i odczołgał się, ledwie zauważając smród. Zaprzagnął rzucić się natychmiast do ucieczki. Nikt przecież nie traciłby sił na ściganie jakiegoś tam cherlaka.

Ale dokąd miałby uciec? Nawet jeśli udałoby mu się ominąć elfich zwiadowców oraz wojowników Billi, nie miał bladego pojęcia, jak unikać mściwego boga. Choć pewnie zamarzyłby na śmierć zanim zacząłby rozwiązywać ten problem. Skulił się w śniegu, zaciskając szczęki, żeby kły nie dzwoniły zbyt głośno.

– To ty, Gratz? – Głos należał do Srebrnozębego. Co on tu robił? Jig wyrzwał zza drzew.

Dowódca jechał na Łotrze, trzymając w ręku wodze. Łotr warczał, zarzucając łbem. Srebrnozęby pochylił się i uspokoił go uderzeniem w twardą czaszkę. Pułkownikowi

towarzyszyło jeszcze dwóch jeźdźców.

– Wracamy do obozu – powiedział Gratz. – Elf znaleziony i zabity.

– Widzę, że kurdupel nie przeżył? – Srebrnozęby nie ukrywał zadowolenia.

– Nie, sir. Jig, Hessafa, do mnie!

Idąc, Jig tupał mocno, próbując rozgrzać zmarznięte stopy. Zaczynał tracić czucie w palcach. Zły znak.

– Głupie gobliny – sarknęła Hessafa. – Kryć się. Wracać. Zdecydować się wreszcie.

– Kapralu Gratz, raport! – rzucił dowódca dziwnym tonem. Nie krzyczał, ale brzmiało to tak, jakby nie był pewien, czy się wściekać czy nie. – Jak dokładnie przebiegała walka z elfem?

– Miał coś w rodzaju magicznej osłony – zaczął Gratz. – Kobold go zabił – dodał niechętnie po chwili wahania.

– Tak, tak! – szczerknęła Hessafa, potrząsając włócznią. – Hessafa zabiła. Gobliny padły jak muchy.

– Ach tak? – Dowódca popatrzył groźnie na Gracza. Tym razem nie było wątpliwości. Był wściekły. – Dopuszczałeś, by byle kobold walczył za ciebie?

– Zastosowaliśmy formację dłoń-i-pięść – bronił się Gratz. – Tak, jak mówi regulamin. Gobliny stanowiły jej trzon. Zajęły elfa, żeby kobold mógł...

– Oszczędź sobie. – Uśmiezek Srebrnozębego nie należał do przyjemnych. – Wytłumaczysz to orkom. Wygląda na to, że sama Billa ma ochotę zadać wam kilka pytań na temat tej potyczki.

Rozdział 6

Wbijając pazurki w chropowaty piaskowiec, Tymalous Jesiennogwiazdy włókł swe poranione ciało po podłodze. Tylne nogi i ogon były bezwładne. Czuł – ponieważ nie czuł nic poniżej skrzydeł – że Anisah złamała mu kręgosłup. Na szczęście nie tak łatwo było zabić boga.

Za to pozbawić przytomności dużo łatwiej, jak się okazało.

Wreszcie dotarł pod ścianę, gdzie mógł ukryć się w cieniu naczyń i worków. Wcisnął się za stertę mięsistych liści kaktusa, licząc, że nikt nie będzie ich potrzebował na dzisiejszą kolację. Jeśli ktoś by go tu znalazł, albo wrzuciłby do garnka, albo w najlepszym razie skreślił kark, by skrócić mu cierpienia.

Wysunął rozwidlony język, badając rozsnute w nocnym powietrzu zapachy. Oparł łebek o beczkę i spojrzał na ciało Anisah.

Cóż, przynajmniej zmarła z uśmiechem na ustach. Choć Jesiennogwiazdy nie planował pomagać jej aż z takim poświęceniem.

Co poszło nie tak? Niesienie ulgi w cierpieniu wymaga ledwie odrobiny magii. Nie powinien mieć żadnych kłopotów z uśmierzeniem bólu Anisah. Ani uleczeniem złamanego kręgosłupa.

Przymknął oczy i walcząc z ogarniającym go przerażeniem, zerknął do otoczonego kamiennymi murami miasta. Bogowie na pewno już go nie ścigali. Szybki rzut oka do ich królestwa nie powinien przyciągnąć niczyjej uwagi. Kapłani czynili to ciągle, używając zwykłej magii śmiertelników. Lub szczególnego rodzaju grzybków.

Kiedy otoczenie zaczęło blednąć, przygotował się na najgorsze, ale nic się nie wydarzyło. Położył więc łebek na liściach kaktusa, próbując się odprężyć.

Gwiazdy wyglądały stąd zupełnie inaczej. Dało się rozróżnić konstelacje, choć wydawały się zmienione. Widziany pod tym kątem Tarvha Łowca był jakby chudszy, a jedna z głów Trzygłowego Smoka zaklinowała się w kompletnie nieprawdopodobnej pozycji. Choć z drugiej strony, smoki były bardzo gibkie.

Obrócił się, usiłując zorientować w kierunkach. Na wschodzie jaśniał półksiężyc, co oznaczało, że Strażnik powinien znajdować się na prawo. I znajdował się, choć oglądany z tego miejsca, przypominał brzuchatego krasnoluda. Jesiennogwiazdy odnalazł czubek jego nosa, który wskazywał...

– Nie ma jej – wyszeptał. Ponownie przeszukał wzrokiem niebo w nadziei, że zmyliły go zniekształcone gwiazdozbiory, ale znów nie odnalazł tego, czego szukał. Pomiedzy Strażnikiem a Pijaną Elsą czerwieniła zawsze pojedyncza gwiazda. Teraz w tym miejscu ziała pustka.

Nie, nie pustka. Zmrużył oczy, wpatrując się w ciemnogrnatową przestrzeń. Tam, gdzie kiedyś świeciła gwiazda, czerniała ciemniejsza plama, punkt, który zdawał się wchłaniać blask sąsiednich gwiazd.

No tak. Cały Nok. I to jego zamilowanie do dramatyizmu. Zapewne uczynił wielki spektakl z uśmiercenia Jesiennej Gwiazdy, widowisko oglądane przez bogów i ludzi w całym wszechświecie.

– Mam nadzieję, że opaliłeś sobie brwi – mruknął Jesiennogwiazdy.

* * *

Na skraju bagien czekała na nich grupka orków. Jig naliczył osiem, ale z tyłu mogło być ich więcej.

Stali w półokręgu, z wyciągniętymi mieczami i toporami. Ile czasu musieli polerować ostrza, że tak lśniły? Czyżby specjalnie ustawili się tak, żeby w stali odbijał się blask księżyca?

Specjalnie czy nie, efekt robił wrażenie. Jig nie zdawał sobie sprawy, że zwolnił kroku, dopóki idące za nim gobliny nie wpadły mu na plecy.

– Nie odzywaj się, dopóki Billa nie zacznie – szepnął Gratz. – Nie wykonuj też żadnych gwałtownych ruchów. Jeśli któryś z tych orków uzna, że stanowisz zagrożenie, ani się obejrzysz, a będziesz martwy.

Jig obciągnął płaszcz i wetknął dłonie pod pachy. Palce zdrętwiały, jakby krew w nich zamarzła. Nawet wewnątrz nozdrzy wydawała się pokrywać warstewka lodu. Spojrzał zazdrośnie na futro Troka i kichnął. Nawet mróz nie zdołał zabić smrodu wojownika.

Srebrnozęby zatrzymał Łotra kilka kroków przed najbliższymi stojącymi orkami. Wilk warknął, ale wojownicy nawet nie mrugnęli.

Billa musiała być niezwykle pewna siebie, skoro przyszła z tak niewielką obstawą. Oczywiście, każdy członek jej eskorty mógłby błyskawicznie zabić wszystkie obecne gobliny, ale przy większej grupie jeźdźców zawsze istniało prawdopodobieństwo, że któremuś się poszczęści. Wśród goblinów przeważali rekruci. Skąd Billa mogła wiedzieć, czy nie będą

sprawiać problemów?

– Generale. – Srebrnozęby pochylił głowę.

Przednia linia orków rozstała się, ukazując stojącą pośrodku Krwawą Bille.

Pierwsze, co Jigowi przeszło przez głowę, to to, że jak na orka, Billa jest okropnie chuda. Miała też jaśniejszą skórę. Brudnobiałe kosmyki związała sznurkiem na czubku głowy. Mimo koloru włosów wydawała się całkiem młoda. Na pozbawionej zmarszczek twarzy, pod nosem, widniała klanowa blizna, czoło zaś pokrywały pryszcze.

Na zbroi nosiła pelerynę z białego końskiego włosia. Podobnie jak u innych orków, jej ramiona były nagie, ale w odróżnieniu od towarzyszy zdawała się nie czuć zimna. Nie miała gęszej skórki ani śladów dokuczliwego chłodu, jakie widniały na twarzach jej żołnierzy.

Przyglądając się goblinom, żuła kciuk. Reszta jej paznokci była obgryziona do krwi. Jig mógłby przysiąc, że kiedy na niego spojrzała, zrobiło się zimniej.

Wypluła kawałek paznokcia na śnieg i oparła dłoń na rękojeści miecza.

– Co tam się wydarzyło? – Jej głos był nadspodziewanie dźwięczny.

Gratz odchrząknął nerwowo.

– Złapaliśmy i zabiliśmy elfa, sir.

– Dobrze. Kto go zabił?

Gratz skrzywił się, jakby wgryzł się w pieczonego szczura, a ten mu się odgryzł.

– Ona. – Wskazał na Hessafę. Jeden z orków prychnął śmiechem.

Billa przyglądała się koboldzicy, przygryzając wargę.

– Ty zabiłaś elfa zwiadowcę?

Hessafa zerknęła ukradkiem na Jiga i pojaśniała.

– Goblin walczy głupio. Hessafa zabiła elfa.

– Formacja dłoń-i-pieść wcale nie jest głupia – wymamrotał Gratz.

Billa wyszarpnęła miecz. Gratz pisnął i zamilkł.

Nic dziwnego, że Billa nie przejmowała się kilkoma goblinami i ich wilkami. Takim mieczem mogłaby zabić...

Boga, powiedział Ciemnogwiazdy.

Środek płazu, o barwie ołowianej chmury, znaczyły drobne zmarszczki, niczym piaszczyste wybrzeże podziemnego jeziora w labiryntach. Krawędzie miecza były gładkie jak szło. Z powierzchni uniosła się mgiełka, a całe ostrze szybko pokryło się mrozem, od nasady po

sam sztych. Wionący z broni chłód był tak intensywny, że Jig czuł się tak, jakby nago stał na śniegu.

A więc to jednak nie Nok, mruknął Ciemnogwiazdy zamyślony. Niedobrze.

Jig prychnął i zeszywniał, łypiąc wokół, żeby sprawdzić, czy nikt nie zauważył.

A co może być gorsze od boga śmierci palającego żądzą mordy?

– Mam uwierzyć, że to koboldzica wezwała moc Tymalouisa Jesiennogwiazdego, aby zgładzić elfa? – spytała Billa łagodnie.

W sercu Jiga zapłonęła iskra nadziei.

Ty jesteś Tymalouise Ciemnogwiazdy. Może myli cię z jakimś innym bogiem?

Isa, szepnął Ciemnogwiazdy. Myślałem, że nie żyje...

Koboldzica znów zerknęła na Jiga, zanim się odezwała.

– Tymalouisa jakiego? To jakiś inny głupi goblin?

Co to za Isa?, zdenerwował się Jig.

Bogini. Stworzyła ten miecz podczas wojny. Skoro Billa go nosi, znaczy, Isa uczyniła ją swym bojownikiem.

Billa podeszła do Jiga.

– Mów, co wiesz o Tymalouisie Jesiennogwiazdym. Spróbuj mnie okłamać, a utnę ci język.

W tym momencie wystąpiła Relka.

– Jig jest...

Srebrnozęby trzepnął ją w głowę.

– Nie odzywać się bez pozwolenia!

Jig podziękował mu w duchu, błogosławiąc jego krewkość. Gadatliwość Reiki mogła ich wszystkich zabić.

– Nie słyszałem o kimś takim – rzekł.

Zbyt późno przyszło mu do głowy, że Billa być może potrafi czytać mu w myślach. Nie... Gdyby mogła, już by nie żył. Spróbował sobie wyobrazić, jak na jego miejscu zachowałby się niczego nieświadomy goblin. Pewnie byłby śmiertelnie przerażony. Tego nawet nie musiał udawać.

– Pewnie jej chodzi o Tymalouisa Ciemnogwiazdego – podsunął Trok odkrywczco.

Srebrnozęby już podnosił pięść, ale Billa powstrzymała go gestem.

– Tymalouisa Ciemnogwiazdego? – Generał porzuciła roztrzęsionego z zimna i strachu Jiga, i podeszła do Troka. – Gdzie słyszałeś to imię?

Trok skrzyżował ręce na piersiach.

– Zostanę wilczym jeźdźcem jeśli ci powiem?

Gratz zaczął bełkotać coś o regulaminie i rozkazach, ale Srebrnozęby uprzedził go, dopadając Troka jednym skokiem.

– Ty! – ryknął. – Powyrywam ci łapska i...

– Tak – przerwała mu Billa. – Powiedz mi, co wiesz, a Srebrnozęby weźmie cię do swojego oddziału wilczych.

Pułkownik skrzywił się tak bardzo, że czubek metalowego kła drasnął mu skórę pod okiem. Kropla krwi spłynęła po policzku niczym granatowa łza. Jednak nie powiedział nic poza: „Tak jest, sir”.

Nawet gdyby Jigowi udało się opanować drzenie, nie miał gdzie uciekać. Wilki capnęłyby go po kilku krokach, oczywiście, jeśli wcześniej Billa nie przebiłaby go mieczem. Popatrzył na Troka, czekając, aż wojownik powie coś, wydając na niego wyrok śmierci.

– Chodzi ci o nią. – Trok trącił nogą leżącą Relkę, a potem schylił się, łapiąc za naszyjnik, który sobie zrobiła.

Relka warknęła, próbując wyrwać mu skarb.

– Ciągłe mieli ozorem o tym Tymalouisie Ciemnogwiazdym – ciągnął Trok. – A te jej psalmy!

Wredny uśmieszek nie pozostawiał wątpliwości co do motywów jego postępowania. Nie wiedział zapewne, dlaczego Billa wypytuje o Ciemnogwiazdego, ale uznał, że dobry jest każdy powód pozwalający mu pozbyć się Reiki. Bonusem tego rozwiązania miało być miejsce w wilczym szwadronie oraz utrzymanie przy życiu Jiga, który mógł mu się przydać do leczenia przyszłych ran. Plan wydawał się świetny, przynajmniej do momentu, w którym Relka otworzy usta i powie Billi prawdę.

– Ona nie... – zająknął się Jig. Przełknął głośno ślinę i spróbował znowu. – Relka nic nie wie.

– Ach tak? – Billa ponownie skierowała na niego mrozące spojrzenie. Trok przeciwnie, kipiał ze złości, ale przy Billi odpadał w przedbiegach.

– Tobie potrzebny jest kapłan Ciemnogwiazdego – wyrzucił z siebie, zanim instynkt

przetrwania zasznurował mu usta na dobre. – Goblin o imieniu Braf. Relka modliła się do Ciemnogwiazdego, kiedy walczyliśmy z elfem, ale to Braf jest jego jedynym i prawdziwym kapłanem.

Jakby się zastanowić, to Relka zapewne podczas walki rzeczywiście wznosiła modły do Ciemnogwiazdego. Jig nie zdziwiłby się, gdyby prosiła boga o błogosławieństwo za każdym razem, kiedy myła kotły czy smażyła omlety.

Żebyś wiedział. Myślisz, że dlaczego są takie wyśmienite?

– Mów dalej – ponagliła go Billa.

– Braf zakłęciami pomaga wiernym. I daje im takie wisiorki. Ale nie jest najlepszy, jeśli chodzi o magię. – Ostatnie zdanie było najczystsza prawdą. Braf miał kłopoty ze skupieniem się na tym, co robił. Jig do tej pory pamiętał, jak Braf próbował leczyć kuchcika, którego Golaka trzasnęła tasakiem za podkradanie jajek ognistych pajaków. Nierozgarnięty uzdrowiciel włożył palce w ranę, kierując magię Ciemnogwiazdego w głąb ciała rannego. Jig znalazł go kilka godzin później z ręką w uleczonym goblinie. Skrzywił się na to wspomnienie, ale podjął opowiadanie. – Relka musiała jakoś wykorzystać tę magię do zabicia elfa. – Wzruszył ramionami. – Ja tam nic nie widziałem. Jak dla mnie, to Ciemnogwiazdy nigdy nie był szczególnie pomocnym bogiem.

Billa odebrała naszyjnik Relce i przyjrzała mu się bliżej.

– Gdzie jest ten Braf?

– Nie żyje – powiedział Jig pospiesznie. – Zginął podczas ataku na naszą górę. Napadła nas królowna Genevieve.

– Boskich bojowników nie tak łatwo zabić – stwierdziła Billa i machnęła na Relkę. – Zabierzcie ją. – Dwa orki szarpnęły goblinkę i postawiły na nogi. – Ty, Srebrnozęby, przygotuj swoje gobliny do wymarszu. Ruszamy jeszcze dzisiaj.

– Dzisiaj? – wysnęło się pułkownikowi. Odchrząknął nerwowo. – Wybacz, pani generał, ale mam w terenie dwa oddziały rot rekrutów na manewrach i nie skończyłem jeszcze...

– Zostaw ich. A ty – Billa zwróciła się do stojącego obok orka – powiadom resztę. Będziemy iść całą noc.

Nogi ciągniętej przez dwa orki Reiki zostawiały bruzdy w śniegu. Wleczona w stronę obozu goblina nie spuszczała oczu z Jiga; nawet nie mrugała.

Billa schowała miecz.

– Dajcie temu goblinowi wilka – rzuciła na odchodnym, machnąwszy na Troka.

Co teraz?, zapytał Ciemnogwiazdy.

Jig przygarbił się, zrezygnowany.

Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

* * *

Kolumny wojsk Billi szły w rytmie wybijanym na goblinich bębnach wojennych. Początkowo Jig był zachwycony słysząc rytmiczne, a co ważniejsze, współbrzmiące dudnienie. Miła odmiana po kakofonii tarabanowej w domu. Szeregi goblinów maszerowały równym krokiem. Żaden żołnierz nie wiedział, dokąd zmierzają, ale cel wydawał się dla nich nie mieć znaczenia. Liczyło się tylko utrzymanie szyku, żeby nie zwrócić przypadkiem uwagi Dębizada.

Drzewo przechadzało się wzdłuż szeregów, smagając gałęziami biedaków, którzy łamali tempo. Ale z tego, co Jig zauważył, jeszcze nikogo nie nadepnęło. Podstawa pnia rozwidlała się, tworząc cztery „nogi” zakończone długimi spletanymi wiechciami sękatych korzeni. Drzewo stapało wolno, ale przy tej wielkości, na jeden jego krok Jig robił pięć. Gałęzie miały zasięg siedmiu rzędów do przodu lub do tyłu, o czym przekonał się sąsiad Jiga. Teraz kulał, biedak.

Jako jeden z najświeższych, a tym samym najmniej wartościowych rekrutów, Jig szedł na samym przedzie kolumny. Czoło stanowiła grupa orków na koniach oraz jadący za nimi szwadron wilków. Wśród tych ostatnich znajdował się Trok na Skunksie. Pasowali do siebie jak ulał. Po obu stronach kolumny biegały niewielkie grupki koboldów, których zadaniem było prawdopodobnie przeszukiwanie lasu pod kątem zasadzek.

Jig po raz kolejny rzucił okiem do tyłu, nadal nie mógł wyjść z podziwu nad ogromem armii Billi. Krańcowi żołnierze w szyku szli poboczem, a ostatnie szeregi, gdzie wraz ze swoimi orkami znajdowała się generał, niknęły w oddali. Za nimi jechał tabor wozów ciągniętych przez trolle. Tam prawdopodobnie umieszczono Relkę, o ile jeszcze żyła.

Nic jej nie jest, zapewnił go Ciemnogwiazdy. Wystraszona, zmęczona, ale żyje.

Nie zdradziła też Jiga, skoro on również żył.

Czego ta Isa od ciebie chce? Kim ona jest? Co z Nokiem?

Isa była boginią zimowych wichrów.

To wyjaśniałoby chłód. Skoro Jig miał stawić czoła innemu bogowi, to czy nie mógłby być to bóg ciepłych, przyjemnych wiaterek?

Oraz moją żoną.

Jig zamienił się w słup soli. Idące za nim gobliny przeklinały, wpadając na siebie. Jig zachwiał się od silnego uderzenia w plecy i przyspieszył kroku, by zrównać się z sąsiednim rzędem. Miał nadzieję, że Dębizad niczego nie zauważył.

Żoną? – powtórzył. Gobliny nie łączyły się w pary na całe życie, ale znał zwyczajnie mieszkańców powierzchni. Najwyraźniej bogowie byli do nich podobni w tym względzie. *Nie rozumiem... W takim razie powinieneś się chyba cieszyć?*

Cieszę się, że żyje, stwierdził Ciemnogwiazdy, acz niezbyt pewnie. *A cieszyłbym się jeszcze bardziej, wiedząc, dlaczego mnie ściga.*

Z tyłu wybuchło jakieś zamieszanie i znów któryś goblin wpadł na Jiga. Chciał się odsunąć, ale szyk był na to zbyt zwarty. Nie miał gdzie umknąć.

Fakt ten nie powstrzymał Dębizada, który kopniakiem rozproszył gobliny. Wystrzeliły gałęzie i grupka rozrabiaków uniosła się w powietrze. Jig naliczył osiem goblinów, szarpiących się i wierzgających bezradnie jak owady w pajęczynie.

– Większość z was jest tu nowa – zagrzmiało drzewo. Nie posiadało ust czy twarzy, aczkolwiek mogły być niewidoczne, skryte w gąszczu gałęzi.) Niektóre zgłoski wypowiedianych przez Dębizada słów brzmiały jak klekot deski o deskę. – Dlatego większość z was nie wie zapewne, jaka jest kara za wszczynanie burd na służbie.

Jednego z goblinów oplotło jeszcze więcej gałęzi, a drzewo zakręciło kilkakrotnie koroną. Goblin przeleciał ponad kolumną, znikając w ciemności. Jego wrzask cichł, aż wreszcie urwał się gwałtownie.

– Teraz już wiecie! – ryknął Dębizad i zrzucił resztę schwytych winowajców na ziemię. Gobliny pozbierały się błyskawicznie i wróciły do szeregu.

Idący nieopodal Jiga Gratz zachichotał.

– Teraz przynajmniej przez kilka dni powinien być spokój. – Zatrzymał wzrok na Jigu i ściszył głos. – Dębizad jest bardzo groźny. Nikogo nie lubi, ale szczerze to nienawidzi ludzi. A to czyni z niego wspaniałego sojusznika podczas bitwy. Oraz świetnego strażnika dyscypliny.

– Czemu drzewo miałoby nienawidzić ludzi? – zdziwił się Jig.

– Nie tak głośno – syknął Gratz.

Za późno. Dębizad kroczył już w stronę Jiga. Mimo braku widocznych uszu słuch miał równie dobry, jak gobliny.

– Myślisz, że ludzie dręczą tylko takie saki krwi?!

– Oho, zaczyna się.

– Myślisz, że tylko wy, worki krwi, jesteście prześladowani przez ludzi? – zatrzeszczał Dębizad.

– Tylko nie to! – jęknął jakiś goblin.

– Dawno temu, gdy byłem nieledwie podrostkiem, przychodził do mnie chłopiec – skrzypiało drzewo. – Przychodził do mnie codziennie. Huśtał się na mych gałęziach. Spał w moim cieniu. Czasami strzelał z procy do siedzących na mnie wiewiórek czy ptaków. Kochałem tego chłopca. Byliśmy szczęśliwi.

– I co się stało? – zaciekawiał się Jig.

– Lata mijały, chłopiec dorastał i nie odwiedzał mnie już tak często. Ale pewnego dnia powrócił. Zakochał się i chciał podarować coś swojej wybrance. Rzekłem mu więc: „Weź moje liście i gałęzie, upleć jej piękną przepaskę”. I tak zrobił. Ponownie przyszedł rok później. Zamierzał poślubić dziewczynę i chciał, by ceremonia odbyła się przy wielkim ognisku. Rzekłem więc: „Weź więcej moich gałęzi, wysusz je i postaw ognisko”. I tak zrobił. Wkrótce ujrzałem w oddali dym i usłyszałem odgłosy zabawy. Zmieniały się pory roku, jedna za drugą i już myślałem, że chłopiec o mnie zapomniał. Ale on wrócił pewnego dnia, dzierżąc w dłoni siekiere. I rzekł: „Stary druhu, moja żona spodziewa się dziecka, a w domu mego ojca brakuje miejsca. Daj mi swe drewno, żebym mógł wybudować dom”. – Dębizad aż zatrząsł się na to wspomnienie. – I wbił siekiere w mój pień. O tu, nadal widać bliznę. I wtedy zrobiłem to, co uczyniłoby każde szanujące się drzewo. Wyrwałem mu siekiere z dłoni i dałem posmakować jego własnego żelaza.

– Od tamtej pory zabija wszystkich ludzi, którzy wejdą mu w drogę – podsumował Gratz.

– Oczywiście Billa nadała mu rangę oficera. Choć nie lubi, żeby zwracać się do niego sir.

– Drzewa nie dbają o szarże i tytuły – rzekł Dębizad. – Do szczęścia wystarczy mi słońce w liściach, wilgotna ziemia pod korzeniami i stwory do rzucania.

– Słuchajcie i pamiętajcie! – krzyknął Gratz, przyciągając uwagę innych goblinów.

W ładnym towarzystwie się obracasz, skwitował Ciemnogwiazdy.

Jig nie odpowiedział. Z chęcią wysłuchałby i stu takich historii. Maszerowanie było nudną czynnością, niewymagającą myślenia, a to oznaczało, że miał za dużo czasu na zamartwianie się wszystkim.

Dokąd Billa ich prowadzi? Co będzie, jeśli Relka go zdradzi? Czy gobliny w Avery jeszcze żyją? Kiedy zatrzymają się, żeby iść na stronę?

Zimny wiatr mroził mu czubki uszu. Przełożył Ciapka do kaletki przy pasku i zarzucił na głowę kaptur.

Bogini mrozu, śniegu i zimy, tak? To znaczy, że szybko się nie ociepli, co?

Wprost przeciwnie. Im Isa będzie silniejsza, tym zimniej się robi.

No tak.

* * *

Trzy dni później Jig był tak skonany, że nie słyszał już nawet bębnienia. Nie zarejestrował więc zmiany rytmu, która sygnalizowała postój. Wpadłszy na goblina z przodu, wymamrotał niewyraźne przeprosiny.

Bolał go każdy najmniejszy kawałeczek ciała. W ciągu ostatnich dni włókł się ze wzrokiem utkwionym w buty idącego przed nim rekruta. Znał na pamięć każdą plamę wilgoci, każdy luźny ścieg, a nawet długość poszczególnych nitek na brzegu jego postrzępionych nogawek.

Psykając z bólu, rozmasował uda. Twarda krawędź pancerza objęła się o nie podczas marszu i teraz czuł, jakby miał w tym miejscu wgniecenia.

– Śpijcie z bronią w ręku! – krzyknął Gratz. – Jesteśmy coraz bliżej wroga!

Niektóre gobliny legły tam, gdzie stały, rozpychając się, żeby zdobyć na drodze miejsce do spania. Gratz i Dębizad chodzili wzdłuż szeregów, budząc ich kopniakami.

– Znacie zasady, leniwe ofiermy – krzyczał Gratz. – Spijcie w pancerzu, a zeszywnieją wam mięśnie i nie będziecie mogli się ruszać. Każdy, który nie da rady dotrzymać kroku, zostanie rzucony przez Dębizada.

Jig rzucił hełm na drogę, rozprostował palce i zaczął mocować się z rzemieniami pancerza. Dłonie miał jak bryły lodu. Wiązania stawiały opór, paski wyslizgiwały się z rąk. Po kilku próbach gotów był wyjąć sztylet i rozciąć wszystko. I zrobiłby to zapewne, ale podejrzewał, że pogwałciłby tym samym jakieś przepisy Gratzowego regulaminu.

W końcu położył się na brzuchu, prostując ręce nad głową i czując się jak głupiec, zaczął wypełzać dołem.

Stracił trochę skóry z nosa oraz uszu, ale udało mu się wydostać ze zbyt obszernego pancerza. Położył się na boku przytulony plecami do zbroi, podciągnął kolana pod brodę i nie wypuszczając miecza z ręki, zamknął oczy.

Z oddali dobiegały pokrzykiwania Srebrnozębego, poganiającego jeźdźców do oporządzenia wilków. Biedny Trok. Musiał jeszcze zająć się Skunksem zanim pójdzie spać.

Dębizad smagnął gałęziami grupkę leżących koboldów, rozkazując im stać na warcie.

Reszta śmiertelnie zmęczonych goblinów zasnęła natychmiast i wkrótce Jig leżał ściśnięty w masie chrapiących, smrodzących, rzucających się ciał. Zupełnie jak w domu. Nareszcie było mu ciepło.

Jig zachichotał. Najpewniej była to reakcja histeryczna na wycieńczenie lub strach. A może jedno i drugie. Jednak im dłużej o tym myślał, tym zabawniejsze wydawało mu się jego położenie. Gdyby nie ścigała go zapomniana bogini, byłby w tym momencie bezpieczniejszy niż kiedykolwiek w swoim życiu. Otoczony goblinскими wojownikami, z dala od różnego rodzaju awanturników, herosów i innych zagrożeń... z wyjątkiem bogini, oczywiście. W dodatku zasady Billi chroniły go przed samymi wojownikami.

Nic dziwnego, że Billa zgromadziła tak wielką armię. Taka ilość zgrupowanych żołnierzy zapewniała bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo i nadzieję. A Ciemnogwiazdy nie wiedział nawet, dlaczego Isa go ściga. Może po prostu tęskniła za mężem?

A może Braf przestanie dlubać w nosie kłem? Szczerze, nie zakładałbym się o to.

Jig przewrócił się na wznak. Ciąpek wypełził z kaletki, sadowiąc mu się na piersi. Jig wpatrywał się w niebo, machinalnie głaszcząc szpeciniasty tułów. Płynące po niebie chmury przyprawiły go o zawroty głowy, więc zacisnął powieki.

Skąd wiesz? Nie o Brafie, skąd wiesz, że Isa jest niebezpieczna?

Łatwiej będzie, jak ci pokażę, rzekł Ciemnogwiazdy.

Nie trzeba, naprawdę, zapewnił go Jig pospiesznie. Nie muszę oglądać...

Ziemia usunęła się spod niego, jakby wpadł do bezdennej dziury. Pisał, wymachując rękami i wierzgając.

Jig, Jig, otwórz oczy.

Zmrużył powieki, porażony jasnym blaskiem słońca. Zaraz potem musiał uskoczyć z drogi hurmie krasnoludów, które pędziły, wymachując toporami i młotami, wrzeszcząc coś w dziwnym języku. Choć krasnoludy zdawały się go nie widzieć, zdołał jakimś cudem uniknąć

stratowania. Kiedy tętent dziesiątek stóp zamarł w oddali, otworzył szerzej oczy, na wszelki wypadek osłaniając je od słońca.

– Nie przegraliśmy!

Jig odwrócił się i ujrzał... Nie był pewien, jak opisać kobietę. Przypominała krasnoluda, ale była dużo wyższa. Wielkokrasnolud? Chyba miał zwidy ze zmęczenia.

Była większa od postawnego człowieka, szerokimi barkami i krępą budową przypominała mu Darnaka bez brody. Jej zbroja oraz hełm lśniły jak szkło; w ręku dzierżyła lodowy miecz. Ten sam, który nosiła teraz Billa.

– Isa? – wyszeptał.

– Wraz z rozumem straciłeś także odwagę? – zagrzmiała i splunęła z niesmakiem. Mimo że okolica wyglądała tak, jakby panowało późne lato lub wczesna jesień, jej ślina zamarzła nim dotknęła ziemi.

Dźwięk maleńkich dzwoneczków świadczył o obecności Ciemnogwiazdego. Jig rozejrzał się wokół, lecz nie dostrzegł nigdzie znajomej postaci. Podmuch zwał mu na oczy pasma srebrzystych włosów i...

Jig zastygł w bezruchu. Nigdy nie miał tak długich włosów, nawet przed oswojeniem Ciapka. Pomacał się po głowie. Dzwoneczki rozbrzmiały ponownie. Zdumiony spojrzął po sobie. Ubrany był w luźną koszulę z cienkiej, śliskiej tkaniny w czarnym kolorze. Wzdłuż rękawów ciągnęły się taśmy srebrnych dzwoneczków. Miał na sobie koszulę Tymalouisa Ciemnogwiazdego. A na głowie włosy Tymalouisa Ciemnogwiazdego. Dotknął uszu i z trudem powstrzymał jęk rozpacz, kiedy jego palce natrafiły na mizerne, niekształtne wypustki.

– Chyba postradałaś zmysły, Iso – rzekł i krew ścięła mu się w żyłach. Czyżby właśnie zelżył bogini? – Nie, czekaj, nie chciałem tego powiedzieć!

Spokojnie, Jig. To wszystko działo się tysiące lat przed twoimi narodzinami. Nic, co powiesz, nie zmieni biegu rzeczy.

Hm. Głupie gierki bogów.

Nie mogłeś mi po prostu powiedzieć, co się wtedy stało?

Tak jest lepiej. I ciekawiej. A teraz uspokój się i rozkoszuj byciem mną.

Isa wskazała na pole, gdzie krasnoludy atakowały ludzi dosiadających gigantycznych węży.

– Stara Sethina stanęła po stronie dwóch. Może zmieni zdanie, kiedy zniszczymy jej

kochanych węzofilów.

Jeźdźcy węzów radzili sobie całkiem dobrze. Łuski wierzchowców były na tyle twarde, by odbić większość ciosów i, podobnie jak węże jaskiniowe, uderzały zbyt szybko, by dało się uniknąć ich paszczy. Od swoich kuzynów zamieszkujących labirynty różniły się tym, że ich ogromne szczęki zdolne były pomieścić całego krasnoluda.

Jig zastanawiał się przez moment, jak ludzie utrzymują się w siodłach. I jakim cudem kulbaki nie zsuwają się z wąskich, łuskowatych ciał. Doszedł do wniosku, że to kwestia magii. Pewnie tej samej, dzięki której jeźdźcy nie wymiotowali, kiedy węże pełzały i atakowały.

Dwudziestu krasnoludów umierało, aby zabić jednego gada, ale żołnierzy Isy wystarczyłoby, żeby uśmiercić nawet dwukrotnie więcej wrogów. Walczyli bez lęku, a siłę dodawała im magia bogini.

Ale skąd o tym w ogóle wiedział?

– Ama nie żyje – powiedział. Nie miał bladego pojęcia, kim jest Ama, ale słowa płynęły bez jego udziału. – Nok nas zdradził, Ipsep ucieka właśnie do swojej świątyni w czarnym jeziorze, a Talia Miłosierna oplakuje śmierć swej siostry. Przegraliśmy, Iso.

– A więc sprawmy, aby drogo zapłacili za swoje zwycięstwo. – Isa wskazała pole, gdzie padały ostatnie węże. – Poczynając od Noka. Moje krasnoludy wkroczą do jego sal śmierci, a tam...

– ... umrą – wszedł jej w słowo Jig. Jego przerażenie zaczynało słabnąć. Nadal nie do końca wiedział, co się dzieje, ale Isa jeszcze go nie zabiła, a to dobry znak. Choć czuł, jak narasta w nim gniew. Nie ten goblini, hałaśliwa mieszanina lęku i złości, ale straszliwa boska furia. Furia zdolna w jednej chwili zmieść z pola bitwy zastępy krasnoludów. Jednak zamiast to zrobić, odwrócił się – a raczej Ciemnogwiazdy się odwrócił – do Isy. – Ty mówisz poważnie. Zamierzasz wysłać śmiertelników do domu boga, rozkazać im z nim walczyć. Każdy twój wyznawca, Iso, polegnie, zginą co do jednego.

Isa wzruszyła ramionami.

– Ale zabiorą ze sobą zastępy Noka. Śmierć jest nieunikniona, drogi Jesiennogwiazdy, ty ze wszystkich istot powinieneś wiedzieć o tym najlepiej.

Jig poczuł, że się uśmiecha.

– A ty ze wszystkich bogów powinnaś wiedzieć najlepiej, co będzie, jeśli doprowadzisz mnie do ostateczności. – Rozbłysło światło. Isa zasłoniła twarz przed blaskiem jarzącym się z

oczu Jiga. Krasnoludy, które przeżyły walkę z węzowymi jeźdźcami, poczęły się starzeć. Z tej odległości postaci wydawały się nie większe od kciuka, ale Jig widział wyraźnie efekty działania swojej magii. Twardą, ogorzałą skórę pokrywały zmarszczki, włosy i brody siwiały, stawy sztywniały, a stare rany zaczynały rwać.

– Przestań!

Chłōnięty krzykiem bogini Jig miał ochotę zapaść się pod ziemię, ale tylko pokręcił głową.

– Sam byś ich zabił?!

– Nie są martwi, są starzy. Zbyt starzy, żeby walczyć. Przekroczą próg świątyni Noka i stracą panowanie nad pęcherzem. Ale to krasnoludy. Zostało im co najmniej sto lat życia. To dużo więcej, niż gdyby dalej walczyły dla ciebie.

Isa dobyła miecza. Jig pisnął przerażony, ale uniósł ramię, na którym pojawił się srebrny dysk.

Klinga odbiła się od niego, nie pozostawiając śladu.

Isa zaatakowała jeszcze dwukrotnie, ale zdołała zaledwie rozhuścić dzwoneczki.

Gdzie można zdobyć taką tarczę?, wyszeptał zachwycony Jig.

Przykro mi, Nok stopują kilka lat po tej bitwie, kiedy usiłował mnie zabić.

– Tchórz! – szepnęła Isa, cofając się. – Boisz się Noka. – Kolejny cios nadszedł tak niespodziewanie, że Jigowi ledwie udało się unieść tarczę, żeby go odbić. Siła uderzenia zbiła go z nóg, lecz Isa nie wykorzystwała przewagi.

Sekundę później Jig już sam, krzywiąc się, masował bolące ramię.

Teraz już wiesz, czemu niepokoją mnie jej poszukiwania?

Poczuł palenie w piersiach. Kolejny atak Isy? Ale walka ogniem nie była w jej stylu. Jig otworzył oczy dokładnie w momencie, gdy Ciapek przebiegł mu po twarzy, czmychając z powrotem do kaptura.

Nad Jigiem stał ork. Linie jego brwi przerywały jaśniejsze blizny, a oddech cuchnął jak kobold. Intruz chwycił Jiga za kiel i skrzeczącego postawił szarpnięciem na nogi. Torując kopniakami drogę pośród stękających, chrapiących goblinów, wywłókł ofiarę na skraj zbiorowiska. Jig niemal na sto procent rozpoznał w swoim oprawcy jednego z członków obstawy Billi.

– Billa chce dokładnie wiedzieć, czego możemy spodziewać się po dotarciu do waszej

nory – warknął ork. – Opisz rozmiar sił, które was zaatakowały.

– No... Darnak to krasnolud, jest raczej niski – odparł Jig, trąc oczy. – Genevieve, jak na człowieka, ma dość przeciętny wzrost i jest raczej chuda. – Zamrugał, przytomniejąc. – Zaraz, powiedziałeś, że idziemy do naszej góry?

– Jakiej liczbie wroga będziemy musieli sprostać na miejscu? – Ork mówił powoli, jakby rozmawiał z niedorozwiniętym dzieckiem.

– Nie mam pojęcia. – Jig jeszcze raz przetarł oczy i poprawił okulary. – Ludzie zapieczętowali wejście. Jedynym sposobem, żeby tam się dostać, jest odzyskanie Laski Stworzenia, którą ma...

– Nigdy nie kwestionuj potęgi Krwawej Billi czy Isy Zimowichrej. – Niedbałym trzepnięciem w splot słoneczny ork postarał się, aby jego słowa zapadły Jigowi w pamięć. Cios zbił Jiga z nóg. – Ile goblinów zostało w środku?

– Kilka setek – ocenił Jig. Już chciał wstać, ale rozmyślił się, dochodząc do wniosku, że na ziemi trudniej go będzie uderzyć. – Wszystkie poza najsilniejszymi wojownikami, którzy zostali zabrani do Avery.

– To co ty tu robisz? – parsknął ork, kręcąc głową. – Dobra. Co jeszcze żyje w tej waszej górze?

– Głównie hobgobliny. Kiedyś były też ogry i smok, ale zabiliśmy smoka, a potem przyszły chochliki i wykończyły ogry. Chochliki też zabiliśmy i...

Ork pochylił się nad nim.

– Chochliki? Gobliny zabijające smoka? Czy dowódca nie powiedział wam, że w armii Billi nie wolno się upijać?

Jig nie zaprzeczył pomówieniom. Ork szarpnął go do góry i pchnął w stronę śpiących. Jig posłusznie powędrował na swoje miejsce, starając się nie nadeptywać po drodze na towarzyszy, przyboczny Billi zaś poszedł naprzód, najprawdopodobniej przepytając Troka.

Jig położył się z powrotem na zimnej ziemi, tym razem jednak nie chciało mu się spać. Księżycowa poświata podkreślała ciemne krawędzie łańcucha górskiego. Billa prowadziła go do domu.

Ale dlaczego?

Żołnierze wierzyli, że generał poprowadzi ich do zwycięstwa, pozwoli raz na zawsze pozbyć się zagrożenia i żyć spokojnie bez wiszącego nad nimi widma mieszkańców powierzchni.

Widział przecież, że Isa była gotowa poświęcić swoje krasnoludy tylko po to, by pognać swojego wroga.

A teraz miała nową armię.

Jigowi pozostała tylko nadzieja, że on i Ciemnogwiazdy nie są jej nowymi wrogami.

Rozdział 7

Najgorsza w utracie mocy była niemożność leczenia własnych ran. Na całe szczęście jego poranione ciało znalazła córka Anisah, Hana, która po godzinie roztkliwiania się, doszła do wniosku, że jaszczurka jest reinkarnacyjną postacią matki.

Hana nigdy nie była szczególnie bystra.

Bez gwiazdy moc Jesiennogwiazdego równała się mocy śmiertelnika. Obok świątyni, Jesienna Gwiazda była jego głównym symbolem, a zarazem źródłem magii. Jednakże nie przestał być bogiem. Samą siłą woli mógł utrzymać jaszczurkę przy życiu, aż do czasu, gdy ciało gada wyleczy się naturalnie.

Ponad rok Hana nosiła go przy sobie w wełnianej chuście, karmiąc mrówkami, żukami i innymi owadami, które udało jej się schwytać. Kości zrosły się w końcu, rozdarcia w błoniastych skrzydłach zabiłszy, odzyskał władzę w tylnych łapach oraz ogonie... Mimo to Hana ciągle zakładała mu pieluszki.

Zmuszanie boga do noszenia pieluch było wysoce niestosowne. Gdyby w charakterze Jesiennogwiazdego leżała mściwość, zbierałby siły, aby ukarać taką bezbożność.

Jednakże zamiast gniewu czuł, że zapada w letarg. Tak łatwo byłoby zrezygnować, pozwolić świadomości stopić się z tym ciałem i naprawdę pozostać jaszczurką. Stracił swoją gwiazdę, a przy pierwszej próbie odzyskania miejsca w boskim panteonie, zginąłby marnie. Tu było mu ciepło, wygodnie, bezpiecznie.

Powstrzymywała go jedynie świadomość, że Hana zestarzeje się i pewnego dnia umrze. Może zaoszczędzi na tyle mocy, by jej pomóc, ale co potem? Czekać następne dziesięć lat, żeby zgromadzić magię dla innego umierającego? Odwrócić się plecami od reszty chorych, umierających, słabych, starych, tych wszystkich, którzy go potrzebowali?

Poruszył nogami, przeciągnął się i zaparł pazurkami o wełniane nosidelko. Grzbiet go bolał, a skrzydła drżały z osłabienia. Wskoczył, rozpościerając je, żeby spowolnić opadanie. Wylądował szybciej niż się spodziewał. Brak ruchu i obfita dieta Hany dodały mu masy.

Hana schwyciła go za kark zanim zdążył odzyskać równowagę. Kaszlącego, wywijającego się, wsadziła z powrotem do nosidelka. Przytrzymując go ręką, pospieszyła do swojego pokoju po kawałek włóczki, którą zawiązała mu na szyi.

– Muszę cię pilnować – ćwierkała, zabierając się za przywiązywanie sznurka do paska

nosidelka. – Zapomniałeś, co stało się ostatnim razem? Jeśli cię puszcze, możesz zostać zmiżdżony, pożarty albo się zgubisz i już nigdy nie odnajdziesz drogi powrotnej.

Jesiennogwiazdy ugryzł ją w kciuk.

Wyskoczył za próg i pognął po ścianie do góry, chowając się pod okapem. Hana pobiegła za nim, ssąc zraniony palec.

Jesiennogwiazdy fuknął z wyższością. Należało jej się za próbę uwiązania boga na smyczy.

* * *

Wędrówka trwała jeszcze dwa dni. Zmęczenie stepiło strach Jiga. Osiągnął już taki stan, że z radością poderznąłby gardło Trokowi i zabrał mu wilka. Bestie nie bestie, gotów byłby zaryzykować pożarcie, byle nie musiał iść o własnych siłach. Stopy miał całe w bąblach, aż dziw, że buty mu jeszcze nie popękały na szwach. Nóg nie czuł wcale, a za duży napierśnik obtarł mu szyję i barki do krwi.

Rankiem piątego dnia marszu, łykając pospiesznie śniadanie złożone z kozłiny oraz ciepłego mleka, dostrzegł Troka kuśtykającego w las, aby podlać drzewka. Wojownik szedł, kołysząc się na szeroko rozstawionych nogach i nawet z takiej odległości do Jiga dotarł jego jęk, kiedy zapinał spodnie. Po głębszym zastanowieniu, Jig doszedł do wniosku, że podróżowanie pieszo nie jest takie złe. Owszem, na stopach miał jeden wielki pęcherz, ale zawsze to lepiej na stopach, niż gdzie indziej. I na pewno nie zamierzał leczyć ran w tych innych miejscach.

– Kończyć! Zbierać się! – krzyknął Srebrnozęby. Jechał na Łotrze, trzymając w ręku wodze Skunksa. Trok wrócił, z twarzą ściągniętą bólem. Pułkownik rzucił mu ramię i odwrócił się do goblinów. – Dzisiaj podwójny marsz!

Jig przełknął ostatni kęs mięsa, wrzucając kawałek do kaptura, dla Ciapka.

– Co to ten podwójny marsz? – zapytał Gratza.

– Zobaczysz – wyszczerzył się kapral.

Dobosze zaczęli wybijać szybki, mocny rytm. Najwyraźniej podwójny marsz oznaczał krok w dziwnym tempie, zbyt szybkim jak na chód, ale nie dość szybkim jak na bieg. Aczkolwiek było to bardzo skuteczne tempo. Zwykle żołądek Jiga skręcał się dopiero około południa, równocześnie z pojawianiem się kurczy mięśni nóg. Tym razem ból pojawił się jeszcze

zanim na dobre oddalili się od miejsca nocnego postoju. Kiedy słońce stało wysoko, gotów był wyciąć sobie żołądek mieczem. I zapewne zrobiłby to, gdyby nie ten głupi pancierz.

Droga zaczęła się wznosić, a pobocza porastały samosiejki. Żołnierze, którzy mieli pecha iść w skrajnych szeregach, przeklinali, co chwila potykając się o wystające korzenie.

Trzy głośne uderzenia zasygnalizowały postój. Jig wspiał się na palce, usiłując zobaczyć coś ponad głowami sąsiadów. Pomiedzy drzewami jechała grupa orków, zmierzając na czoło kolumny. Pośród nich biała peleryna Billi. Na tym samym koniu, z przodu, siedziała Relka. Miała zaciśnięte powieki i związane ręce.

– Świątynia już niedaleko! – krzyknęła Billa. – Srebrnozęby, daj tu swoje gobliny!

Jig zamrugał, zdumiony. Był przekonany, że kierują się w stronę góry. Jaka świątynia...?

Moja, odezwał się Ciemnogwiazdy. Musiała ją wyczuć.

Co będzie, kiedy okaże się, że nie może dostać się do labiryntów, a tym samym do świątyni? Zadarłszy głowę, Jig popatrzył tęsknie na zbocze, zastanawiając się, jak radzą sobie zamknięte gobliny. Kiedy to Jig zamknął wejście, bez trudu przeżyły ponad rok. Nic im nie jest. Pewnie Golaka przygotowuje właśnie faszerowane węzowe skórki i pudding jaszczurnikowy.

Na myśl o smakołykach pociekła mu ślinka.

Srebrnozęby obrócił Łotra.

– Gratz, ty i twój oddział pójdziecie ze mną. Reszta ma przerwę, ale jak który zaśnie, niech się lepiej modli, żebym miał dobry humor i nakarmił nim wilki. One przynajmniej szybko zabijają.

Jig dołączył się do jęków wydawanych przez podkomendnych Gratza. Inne gobliny legły na ziemi, opierając się jeden o drugiego.

– Naprzód, marsz! – wrzasnął Srebrnozęby, popędzając Łotra. Wilk ruszył za orkami, za nim zaś potruciała reszta watahy.

Trok zaklął, szarpiąc wodze Skunksa, który wyprzedził wszystkich, rzucając się z obnażonymi kłami na ostatniego konia. Próbował okiełznać szarżującego wilka, ale ten nie robił sobie nic z jego wysiłków.

Srebrnozęby rzucił za siebie kamieniem. Nie, nie kamieniem, a trollim paluchem. Wysuszony kawałek mięsa przeleciał nad Skunksem, który zatrzymał się gwałtownie i skoczył wygrzebywać przysmak spod śniegu.

– Jeszcze raz stracisz nad nim panowanie, a skarmię go twoimi palcami – zagroził

pułkownik, mijając Troka.

Wbiegając pod górę wraz z resztą oddziału, Jig poprawiał przekrzywiający się hełm. Niedopasowany pancerz podskakiwał przy każdym kroku, powiększając otarcia.

Wydawało się, że już całe wieki gnają za jeźdźcami. Jig zaczynał się martwić, że lada moment nogi złamią się pod nim jak gałązki. Wreszcie konie i wilki zwolniły, przystając przy wpółzamarzniętym strumyku.

– Gratz – odezwał się Srebrnozęby. – Weź ludzi i idźcie przodem, w górę zbocza. Jeśli się na coś natkniecie, krzycz zanim cię zabiją. – Wyszczrzył kły rozbawiony własnym dowcipem.

Jig zerknął przez ramię i aż uniósł brwi zdziwiony, jak wysoko się wspięli. Kiedy się odwrócił, niespodziewanie rozpoznał miejsce, gdzie stali. Kilka tygodni wcześniej niedaleko stąd wraz z Relką ratowali Grell, nad którą pastwił się ludzki żołnierz. Wrócił do domu!

– Rozproszyć się – warknął Gratz. – Trzymajcie broń w gotowości.

Jig wyciągnął miecz. Kawałek skóry na uchwycie nie chronił dłoni przed zimnem metalu, dlatego idąc przekładał broń z ręki do ręki, drugą rozgrzewając tymczasem w kieszeni, do której włożył Ciapka.

Śnieg zakrył większość pola walki, ale tu i ówdzie widać było świadectwa ataku ludzi. Pośrodku sterczała wbita na sztorc włócznia, którą Jig wziął początkowo za młode drzewko. Nieco dalej niebieski ptak przysiadł na strzale tkwiącej w pniu. Ptak stroszył pióra, wdzięcząc się najwyraźniej do barwnej lotki.

Nigdzie natomiast nie było widać samych ludzi czy elfów. Genevieve wraz ze swoim oddziałem poprowadziła gobliny do Avery, Teodor natomiast zabrał elfy do króla, który gotował się na spotkanie z armią Billi. Ile czasu minie, zanim zorientują się, że Billa obrała inną trasę? Zapewne niewiele, bo tak wielka gromada potworów nie mogła posuwać się niepostrzeżenie.

– Jig! – chrapliwy szept Gratza wyrwał Jiga z zamyślenia. – Idź przodem. Zaprowadź nas do tej swojej jaskini.

Jig ze ściśniętym gardłem przeczołgiwał się na czoło zwiadu.

– Reszta czeka – ciągnął kapral. – Regulamin mówi, że najlepszym sposobem na unieszkodliwianie pułapek i odkrycie zasadzek jest wysłanie przodem pojedynczego zwiadowcy. Przygotujcie się.

Rozsądna zasada. Jeden goblin uruchamia pułapkę, a potem reszta może iść bezpiecznie. Idealna strategia dla wszystkich, z wyjątkiem nieszczęsnego zwiadowcy. Na szczęście Ciapka był

chłodny, a Jig nie słyszał nic poza poszeptywaniem towarzyszy. Pełzł naprzód, nadstawiając uszu, aż dotarł do wejścia. W każdym razie do miejsca, gdzie znajdowało się wejście, przed którym kiedyś leżała powalona sosna skutecznie maskująca otwór.

Teodor musiał skierować Laskę Stworzenia właśnie na drzewo. Płaskie, brązowe igły sterczały na wszystkie strony, wbijając się nawet w skałę. Teraz były wielkości pazurów Jiga, a ich brzegi wyglądały na ostrzejsze od krawędzi miecza. W szparach pomiędzy nimi mógłby zmieścić się co najwyżej Ciapek, ale na pewno nie goblin. No, chyba że posiekany na kawałki wielkości pająka.

Tę ostatnią myśl postanowił zachować dla siebie – nie chciał, żeby Gratz lub Srebrnozęby podchwycili ten pomysł.

Oddałby wszystko, żeby przedostać się przez przeszkodę i umknąć do gobliniej groty. Marzył tylko o tym, aby znaleźć się w domu, w ciepłe i bez strachu, że Billa i jej bogini mogą w każdej chwili odkryć jego tożsamość.

To twoja wina, mruknął z wyrzutem. Ciemnogwiazdy nie zaprotestował.

– Jaskinia zabezpieczona? – zawołał Gratz.

– Tak! – Bardziej zabezpieczona być nie mogła. Dotknął mieczem jednej z igieł. Ugięła się odrobinę, jak dobrej jakości stal, ale gdy próbował nacisnąć mocniej, zsunęła się po ostrzu i odskoczyła.

Gratz zawołał czekające na dole oddziały i gestem nakazał goblinom dołączyć do Jiga.

Orki oraz wilczy jeźdźcy zsiadli ze swoich wierzchowców, zostawiając je nieopodal. Jig odsunął się jak najdalej, robiąc przejście Billi i jej obstawie. Oraz Relce. Goblinka szła, zaciskając związane ręce na wisiorku.

Billa obrzuciła sosnę ostrym spojrzeniem.

– Wyciąć to! – rozkazała.

Orki rzuciły się wykonywać polecenie, gobliny zaś rzuciły się na boki, schodząc im z drogi. Miecze oraz topory daremnie odbijały się od kory. Drzewo, podobnie jak skóra elfa, zostało utwardzone za pomocą Laski Stworzenia. Było niezniszczalne. Przynajmniej za pomocą niemagicznych środków.

Billa odepchnęła Relkę, dobywając miecza.

– Wiem, że tu jesteś, Jesiennogwiazdy. Nie możesz ukrywać się przede mną bez końca.

Billa zaczęła rąbać sosnę swoim mieczem. Wzmocnione magią gałęzie pękały jak suche

patyki. Kilka machnięć i wycięła otwór na tyle duży, żeby wejść do środka.

– Pilnujcie, żeby nikt tam nie wszedł – przykazała, chwytając Relkę za ramię. – Ani nasi, ani wróg.

Orki mrugnęły przytakująco i zajęły stanowiska po obu stronach wyrwy.

Relka zdążyła jeszcze rzucić Jigowi wystraszone spojrzenie, po czym zniknęła z Billą w głębi jaskini.

* * *

– Nudzę się – mruknął Trok po raz setny. Srebrnozęby zabrał kilka goblinów i zeszi, by oporzadzić wilki. Reszcie przykazał pomagać orkom w pilnowaniu wejścia. Zadanie okazało się o tyle trudne, że orki groziły śmiercią każdemu, kto zbliżył się do jaskini.

Trok siedział pod drzewem, przeciągając mieczem po kamieniu, żeby naostrzyć ścięty czubek. Podniósł broń do góry i trzymając sztychem w dół, puścił. Ostrze wbiło się w ziemię na grubość palca od jego prawego buta.

– To nie w porządku, że zostawili nas tutaj. Zamarzniemy. To *nasza* góra. Czemu Billa ma ją zagarnąć tylko dla siebie?

Jig nie odpowiedział. Billa otworzyła jaskinię! Teraz musi tylko poczekać, aż wszyscy odejdą i będzie mógł wrócić do domu. Popatrzył na orczych strażników. Czy ktoś zauważyłby jego brak, gdyby się teraz ukrył?

W tunelach rozbrzmiało echo gniewnego okrzyku.

– Z, drugiej strony – zaczął Trok – Billa chyba wie, co robi.

– To była Relka – rzekł Jig.

– *Była* – podkreślił Trok. Wyszarpnął miecz, zabierając się do ostrzenia krawędzi. – Jak myślisz, kto pożarł resztę goblinów, po odejściu wojowników? Koty tunelowe czy hobgobliny? Stawiam na hobgobliny. Te żółtoskóre dranie pewnie buszują teraz w naszej kuchni.

– Wątpię. Musiałyby najpierw przejść obok Golaki.

Jig, musisz tam iść.

Co?!, Jig spojrzał w stronę jaskini. *Słyszales ten wrzask? A co z tymi orkami, które pilnują wejścia?*

Billa jest w świątyni. Grozi, że zabije Relkę, jeśli się jej nie ukaze.

To się ukaż!

Bóg długo nie odpowiadał.

Billa ma miecz Isy. Miecz, który może zabić nawet mnie.

A więc mnie tym bardziej!

Trok szturchnął go w ramię.

– Znów to robisz. Mruczysz coś pod nosem i się gapisz. Przestań. Mam od tego ciarki.

Jig zagryzł wargi, żeby nie mamrotać.

To twoja żona, nie moja.

Posłuchaj, Jig. Teraz, kiedy Billa jest w mojej świątyni, słyszę to, co Isa jej mówi.

Zamierza mnie zabić, jeśli jej nie pomogę. A ja nie mam na tyle siły, żeby walczyć z innym bogiem.

To jej pomóż! – Jig aż usiadł na śniegu, kiedy zdał sobie sprawę, co mówi Ciemnogwiazdy. *Boisz się.*

Ty też.

Owszem, ale ja jestem goblinem!

Relka krzyknęła ponownie. W jej wrzasku było więcej złości niż strachu.

Czekaj, myślałem, że Isa chce cię zabić? A teraz mi mówisz, że chce twojej pomocy?

Chce, żebym pomógł jej zabić Noka.

Jiga zaczęła boleć głowa.

Ale przecież Nok was zdradził, tak? Skoro ona chce go zabić, czemu nie miałbyś jej pomóc?

To nie takie proste.

Jig nie był szczególnie zaskoczony. Bogowie wykazywali wyjątkowy talent w kierunku komplikowania spraw.

Jak większość niegoblinów, zresztą.

Nok jest moim synem.

Ale czemu nie chcesz pomóc Isie go zabić?

W głowie Jiga rozbrzmiało westchnienie.

Czemu akurat gobliny?, kontynuował, nie czekając na odpowiedź. *Wyobraź sobie, że Billa grozi ci śmiercią, jeśli nie pomożesz jej zabić Ciapka.*

Jig wyjął pupila z kieszeni, zamykając go troskliwie w dłoniach.

Czemu Billa chciałaby zrobić krzywdę mojemu pająkowi?

Zaraz cię trzepnę, jak siebie kocham. Kolejne boskie westchnienie. Nie oczekuję, że to zrozumiesz, Jig, ale uwierz, nie mogę pozwolić Isie zabić mojego syna.

Zaraz, a czy on nie jest też synem Isy?

Ciemnogwiazdy odchrząknął po chwili milczenia.

Niekoniecznie. I to kolejny powód, dla którego Isa jest na mnie zła. Jig, bez względu na to, czy to rozumiesz czy nie, proszę, abys tam poszedł. Nie pomogę Isie zabić Noka, ale nie pozwolę także, żeby złożyła ofiarę z mego wyznawcy w mojej własnej świątyni.

Ratować Relkę. Przed orkiem i boginią. Sam Tymalous Ciemnogwiazdy boi się wejść do tej jaskini, a oczekuje, że zrobi to Jig?

Złożyłeś mi przysięgę wierności, Jigu Smokobójco. W boskim tonie nie było miejsca na dyskusję. Tymalous Ciemnogwiazdy mówił absolutnie poważnie. Relka we mnie wierzy. Wierzy w ciebie. Potrafisz to zrobić.

Jig patrzył na orki stojące przy wejściu. Kiedy dobiegł go kolejny krzyk, zacisnął powieki.

Nie.

Żadna reakcja Ciemnogwiazdego nie wstrząsnęłaby nim bardziej, niż milczenie boga.

Jeśli tam pójde, Bula mnie także zabije. Nie chcesz stracić jednego wyznawcy, ale strata dwóch ci nie przeszkadza?

Nadal cisza.

Nok jest bogiem śmierci, tak? W takim razie może chyba sam o siebie zadbać?

Nok nie wie, że żyjemy. Nawet goblin jest w stanie zabić silniejszego wroga, jeśli wróg ten nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia.

Jig potrząsnął głową.

Ale Isa oraz Billa wiedzą o moim istnieniu. Podobnie jak te orki przed jaskinią.

Wyzbądź się lęku, szepnął Ciemnogwiazdy.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Jig przestał się bać. Supeł w trzewiach rozluźnił się, sztywność karku zniknęła, przestał nawet wzdrygać się za każdym razem, gdy Relka krzyknęła.

Jak to zrobiłeś?

– Znów mamłasz, konusie – zirytował się Trok i chwycił Jiga za ramię. – To nienormalne.

Jig grzmotnął go w szczękę.

Wielki wojownik zatoczył się, a oczy omal nie wypadły mu z orbit. Jig jeszcze nigdy nie widział kogoś tak bardzo osłupiałego. Ale nie mogło to trwać wiecznie. Jak tylko Trok ocknie się ze stuporu, złamie go jak gałązkę.

Jig zdawał sobie z tego sprawę, ale nie przejmował się. Nie pragnął umrzeć, ale też nie czuł strachu.

– Nie lubię, jak ktoś nazywa mnie konusem – oświadczył, patrząc Trokowi prosto w oczy. Trok nawet nie drgnął.

– Co się z tobą stało?

– Ciemnogwiazdy – wyjaśnił Jig, rozcierając pięść. Następnym razem trzeba pamiętać, żeby uderzać w jakąś miękką część ciała. Szczęki bolały.

Zabrałeś mój strach.

To jedna z moich mocy.

Gdyby Tymalous Ciemnogwiazdy stał teraz przed nim, Jig stłukłby także jego. To właśnie strach pozwalał goblinom przeżyć! Nie zawsze, *co* prawda, powstrzymywał je przed wplątywaniem się w niebezpieczne sytuacje, ale jednak. Co prawdopodobnie było powodem, dla którego Ciemnogwiady zrobił to, co zrobił. Żeby Jig popędził na złamanie karku do jaskini, ratować Relkę.

A co, jeśli i tak nie pójde? – droczył się nieulekły Jig.

Znów wleję w ciebie światło Jesiennej Gwiazdy. Jak myślisz, jak szybko Isa to wyczuje i wyśle po ciebie Bille? Jeśli się tam wślizgniesz, będziesz miał przynajmniej przewagę zaskoczenia.

To fakt. Jig odwrócił się do Troka, który nadal nie spuszczał z niego wzroku. Wiedział, że powinien się bać, ale nawet świadomość, że wielki, rozwścieczony goblin zionie żądzą mordy, nic nie zmieniała. Co gorsza, Trok w tym stanie wyglądał naprawdę idiotycznie. Oczy miał jak szparki, a nozdrza poruszały się przy każdym oddechu. Jig miał ochotę rozkwasić ten nochal.

– Jeśli odezwie się kiedyś do ciebie jakiś bóg, najlepiej udawaj, że go nie słyszysz. Oszczędzisz sobie wielu kłopotów. – Jig złapał Troka za ramię i szarpnął w stronę orków. – Idziemy ratować Relkę.

Gniew Troka zniknął, wyparty szczerym rozbawieniem.

– A niby czemu?

– A temu, że jak się nie ruszysz, wyciągnę miecz i poderżnę ci gardło. – Jig przypomniał sobie, w jakim stanie jest ostrze. – Albo zatłukę cię nim na śmierć.

Trok aż zakrztusił się śmiechem.

– Spróbuj, konusie.

Jig machnął ręką na wyciąganie ostrza. Okręcił się i z rozmachem grzmotnął go w kolano mieczem w pochwie. Trok stęknął, padając jak długi. Pozostałe gobliny zerknęły w ich stronę, ale szybko wróciły do swoich spraw.

– Mówiłem ci, żebyś mnie tak nie nazywał – powiedział Jig. – Masz dwa wyjścia. Albo cię zabiję, albo spróbuję cię zabić, nie uda mi się i ty zabijesz mnie.

– No, to zaraz się dowiemy – warknął Trok.

Jig machnął ręką w stronę Gracza i Srebrnozębego, wydzierających się na biedaka, który dał się ugryźć wilkowi.

– Jeśli zabijesz innego żołnierza, nakarmią tobą wilki. Tak czy inaczej będziesz martwy.

Oczywiście, sprawa wyglądała dokładnie tak samo w przypadku Jiga, ale Trokowi żaden tchórzliwy bóg nie oczyścił umysłu ze strachu.

Kiwnął głową.

– Pomogę ci.

Jig odwrócił się ku jaskini. Podejrzewał, że zostało mu już niewiele czasu, ale życie bez strachu było nawet zabawne, postanowił więc się nim cieszyć. Zdążył uczynić tylko jeden krok, kiedy towarzysz przytrzymał go za płaszcz.

– Pod warunkiem, że jak będzie po wszystkim, poprzesz mnie na stanowisko wodza – dodał.

Jig popatrzył na niego zaskoczony.

– Przecież wodzem jest Grell. Zje nas na śniadanie, jak tylko spróbujemy odebrać jej przywództwo.

– Grell nie będzie żyła wiecznie. – Trok zakręcił mieczem. – Masz posłuch wśród goblinów. Podziwiają cię. Jeśli powiesz, że to ja powinienem być następnym wodzem, uwierzą ci.

Jeszcze kilka lat temu Jig uważałby Troka za idealnego kandydata na wodza. Stanowisko to przypadało zawsze największemu, najgroźniejszemu goblinowi, takiemu, który potrafił pokonać i zabić konkurentów. Ale potem Jig przyłożył rękę do uśmiercenia poprzedniego

przywódcy i nagle główne miejsce w plemienu zajął on, ślepowy cherlak. Aczkolwiek za jego chuderlawością nie szło szaleństwo, dlatego też przy pierwszej nadarzającej się okazji oddał władzę Grell... Ta zaś okazała się najlepszym wodzem za czasów Jiga.

Nie była silna. Nie była głośna. Rzadko kiedy sięgała po ostateczne rozwiązania. Gobliny słuchały jej nie dlatego, że je zastraszała, ale dlatego, że była *Grell*. Potrafiła sprawić, że jej wrogowie zabijali się wzajemnie, zamiast dybać na jej życie. Jig miał nadzieję, że kiedyś nauczy się, jak to robić.

Trok nie był całkiem głupi, ale wojownik to wojownik. Jakim byłby wodzem? A co ważniejsze, co zrobiłby z Jigiem po objęciu władzy? Skoro Jig mógł mu dać stanowisko, mógł mu je także odebrać. Najmądrzejsze więc byłoby natychmiastowe poderżnięcie mu gardła.

Z drugiej strony, skoro i tak obaj zginą, ratując Relkę, to wszystko, co stanie się później i tak nie miało żadnego znaczenia.

– Dobrze. Będziesz wodzem. A teraz idź odwrócić uwagę orków.

– A jak mam to zrobić?

Jig wyrwał mu miecz z ręki. Ku jego zdumieniu, wojownik nie uczynił nawet ruchu, żeby mu się sprzeciwić. Jak to możliwe, że Jig się go bał? Z mieczem w rękę podszedł do orków, przystając w bezpiecznej odległości.

– Wiecie, jak się gra w sieknij palca?

Orki patrzyły na niego łakomie. Na pierwszy rzut oka było widać, że tylko czekają na wymówkę, która pozwoli im bezkarnie zaciukać jakiegoś goblina.

Jig odwrócił się do Troka.

– Widzisz? Mówiłem, że będą się bali w to zagrać.

Jeden z orków poczuł się w obowiązku zareagować.

– Mielibyśmy się bać jakiejś gobliniej gierki?

Jig zwrócił miecz Trokowi.

– Ten tu, Trok, jest mistrzem sieknij palca. W całych labiryntach nie ma sobie równych. – Nie było to kłamstwo, biorąc pod uwagę, że właśnie wymyślił tę grę. – Ale założyłem się z nim, że na pewno nie uda mu się pokonać prawdziwego orczego wojownika.

Znudzone gobliny zaczęły podchodzić do nich, zadowolone, że coś się dzieje. Poszeptywały i gestykulowały, a sądząc z rozemocjonowanych min, zrobiły przynajmniej jeden zakład.

Trok pochylił się do ucha Jiga.

– Sieknij palca?

– Słuchaj – odszepnął Jig i podniósł głos. – Gra polega na tym, że trzyma się miecz za klingę nad stopą i w pewnej chwili puszcza. Wygrywa ten, którego ostrze wbije się najbliżej palca, nie ucinając go przy tym. Zawodnik, który przestraszy się i w ostatniej chwili cofnie stopę, przegrywa.

– Dawaj! – Ork wyrwał Trokowi miecz.

Oblicze wielkiego goblina pojaśniało.

– Musisz trzymać go tak, żeby czubek znajdował się na wysokości oczu.

Ork rozwarł palce i puścił miecz. Ostrze wbiło się w ziemię spory kawałek od stopy. Strażnik zaklął, zaciskając pięść.

– Typowy błąd początkującego – zachichotał Trok, gładko wchodząc w rolę. Podniósł miecz i przytrzymał go za nasadę, pod rękojęścią. – Musisz szybko cofnąć rękę, inaczej obetniesz sobie palce.

Jig wycofał się chyłkiem, zadowolony. Szczęście nareszcie zaczęło mu sprzyjać. Ani orki, ani gobliny nie zwracały na niego uwagi.

Oczywiście, skoro fortuna pozwoliła mu wślizgnąć się do jaskini po to, aby mógł stawić czoła orczycy z wielkim, wykutym w boskich kuźniach mieczem, może wcale mu tak naprawdę nie sprzyjała.

* * *

Jig skradał się w ciemności, sunąc dłonią po ścianie tunelu. Warstwa szronu, która pokrywała obsydian, mroziła mu palce. Niedaleko przed nim rozległ się brzęk rozbijanego szkła, a po nim gniewny wrzask.

– Zabiję cię! – chrypiała Relka. – Przetnę twoje uszy na papkę dla dzieci, a na kościach ugotuję zupę! Zobaczysz, wezmę...

– Zamilcz, wrzaskunie – warknęła Billa. – Jak twój bóg wytrzymuje z taką papłą?

Pomarańczowa łuna, która pojawiła się w oddali, świadczyła o bliskości celu. Fakt ten potwierdzał również rozgrzewający się coraz bardziej Ciapek. Jig pogładził go po tułowiu. Pająk przylgął do jego palców, przytrzymując je przednimi odnóżami. Jig uwolnił się pospiesznie.

Sam nie odczuwał co prawda strachu, ale Ciapek bał się za dwóch.

Przywierając do ściany, zajrzał do świątyni. Lub tego, co po niej zostało. Mały kamienny ołtarzyk leżał, strzaskany, w kawałkach. Z sufitowej mozaiki pozostało kilka przyczepionych do stropu blaszek szkliwa. Reszta zaścielała ziemię warstwą barwnych skorup.

Relka siedziała wśród szczątków ołtarzyka, przytulając kolana do piersi. Billa stała obok, z płonąca pochodnią w jednej i mieczem Isy w drugiej ręce.

Jig zastanawiał się, czy wzrok płata mu figle, czy rzeczywiście płomienie odginały się od ostrza. Nawet ogień bał się tego miecza.

– Ciemnogwiazdy ci tego nie daruje. – Relka splunęła pod stopy Billi. – Zniszczy cię, zmiażdży. Myślisz, że tak potężny bóg przestraszy się tej twojej zbieraniny potworków?

Jig dostrzegł, że Billa przewraca oczyma.

– Proszę, proszę, mogę ją zabić? – Jig nie słyszał odpowiedzi, ale orczyca oklapła. – A chociaż obciąć język?

Relka zaśmiała się ochryple.

– No, dalej, zabij mnie. Męczeńska śmierć za Tymalousa Ciemnogwiazdego będzie dla mnie zaszczytem, o jakim nawet nie marzyłam.

Teraz, Jig.

Jig nie drgnął. Nie bał się, co prawda, ale nie miał ochoty pędzić wprost na ten wielki miecz.

Nie chcę być męczennikiem.

Isa i tak zaraz wyczuje twoją obecność.

Jig zazgrzytał zębami, ale wszedł do świątyni. Nie zawracał sobie głowy wyciąganiem miecza. I tak na nic by się zdał. Odchrząknął i nabrał powietrza.

– Ciemnogwiazdy mówi, że jeśli ją... albo mnie!... zabijesz, zawali świątynię i pogrzebie nas pod jej gruzami.

Właściwie to nie taki zły plan.

– Co tu robisz, goblinie? – warknęła Billa.

Twarz Reiki opromienił triumfalny uśmiech.

– Ha! To Jig Smokobójca, najwyższy kapłan Tymalousa Ciemnogwiazdego. Przyszedł tu, aby cię zabić, wstrętne orczyco!

– Ty? Ty jesteś kapłanem? – spytała Billa z niedowierzaniem. – Poważnie?

– Nie wszyscy kapłani mają magiczne miecze i armie. – Jig potoczył wokół wzrokiem. Na drugim krańcu grotty znajdowały się trzy przejścia. U wylotu jednego z tuneli leżały ciała dwóch goblinów, na oko kuchcików Golaki. Pewnie przysłano ich tutaj, aby sprawdzili, co jest źródłem krzyków i hałasów. W piersiach nieżywych ziały dziury po ostrzu, ale krwi prawie nie było.

Nie tracąc Billi z zasięgu wzroku, Jig podszedł ostrożnie do trupów. Na brzegach ran migotały błękitnawe kryształki lodu. Miecz Billi zamroził krew. Tak czyste miejsce mordy było nowością dla Jiga. Wiele razy musiał zostawać w świątyni do późna, żeby zmyć krew z ziemi – ranne gobliny, które leczył, zwykle bardzo mocno krwawiły. Gdyby gobliny były tak miłe i dawały się ranić magicznie zmrożoną bronią, oszczędziłyby mu wiele pracy.

– Czy twój bóg mówi do ciebie? – zapytała Billa.

– Zwykle w najmniej odpowiednich momentach – westchnął Jig.

– Isa była niezwykle podekscytowana, dowiedziawszy się, że Jesiennogwiazdy... znaczy Ciemnogwiazdy, żyje. – Billa usiadła, wskazując mieczem Relkę. – Paplała jak ta tutaj. Myślałam, że oszaleję, głowa mi dosłownie pękała. Jak się wścieka, mam wrażenie, że mózg mi zamarza.

Jig przytaknął ze zrozumieniem.

– Ciemnogwiazdy ma na ubraniu taśmy małych dzwoneczków. Czasem po rozmowie z nim jeszcze przez kilka dni dzwoni mi w uszach.

Billa zachichotała.

– Jak odnieśliśmy pierwsze zwycięstwo nad trollami, orki wydały ucztę. Przesadziłam trochę z winem i musiałam wyjść na powietrze. Stoję na czworakach w śniegu, zwracam spokojnie ostatnią butelkę wina, a tu Isa odzywa się, żądając dyskusji na temat strategii kolejnej bitwy.

– Ciemnogwiazdy zmusił mnie raz do leczenia tyłka hobgoblina – oświadczył Jig spokojnie.

– Dobra – wzdrygnęła się Billa. – Wygrałeś.

– Czy orki śpiewają o tobie pieśni? – zapytał Jig, zerkając na Relkę. Wiedział, że powinien w tej chwili ratować goblinkę i może nawet zabijać Bille, ale po raz pierwszy miał okazję porozmawiać z kimś, kto rozumie, jak to jest mieć boga w głowie. Oczywiście był też Braf, ale ten był kiepskim rozmówcą.

– Owszem. Jak dorastałam, miałam koszmarnie suchą skórę i ciągle puszczała mi się krew

z nosa. Stąd wzięło się przezwisko Krwawa Billa. – Popatrzyła na boki i zaczęła śpiewać:

*Billa, co nos jej krwawi
Mieczem Isy się sławi
Orków swych krocie wiedzie do bitwy
By pozbyć się złej trollowej sitwy*

*Billa, co nos jej krwawi
Wrogów życia pozbawi
Żaden przeciwnik jej nie ucieknie
Niechaj jej nos po wsze czasy cieknie!*

Billa rozkaszała się, speszona, i chyba nawet trochę się zarumieniła.

– Pierwszemu, który to zaśpiewał przy mnie, obcięłam język. Zadziało. – Potarła nos –
Przez to zimno jest jeszcze gorzej.

– Moje pieśni są lepsze – mruknęła Relka.

Billa wyprostowała się, spoglądając na Jiga.

– To jak? Tymalous Ciemnogwiazdy zdecydował się wreszcie nam pomóc? Wyobraź sobie ich potęgę, *naszą potęgę*, kiedy wyzwolą się Spod klątwy Noka. Razem, Isa i Ciemnogwiazdy, zdołają ściągnąć tu Noka, a potem go zabić. – Machnęła mieczem i przekrzywiła głowę. – Ciekawe, jak smakuje taki bóg.

– Nok to bóg śmierci. Pewnie jest trujący. – Jig odsunął się od ciał goblinów. I tak nie mógł im już pomóc. – A jak chcesz go sprowadzić?

– Śmiercią – odparła Billa zwięźle. – Bogowie są inni niż my. – Jig poczuł się dziwnie, słysząc, że Billa traktuje go jak równego sobie. – Nie mogą opierać się swej naturze. Isa zsyła zimne wichry, bo musi. A Nok musi pojawić się tam, gdzie jest śmierć. Oczywiście, aby przyciągnąć jego uwagę, trzeba jej odpowiednio dużo.

– Macie świetny plan i w ogóle, ję i Ciemnogwiazdy nie jesteśmy wam do tego potrzebni – powiedział Jig, zezując w stronę wyjścia.

– Nawet bogowie znają uczucie samotności – odrzekła Billa. – Wydaje mi się, że Isa za nim tęskni. A Jesienno... znaczy Ciemnogwiazdy ma moc uspokajania, potrafi sprowadzać dobre

samopoczucie. Może uspić czujność Noka, stępić jego refleks i dać mi szansę na atak. Może pomóc też z innymi bogami, ukoić ich gniew. To jeden z jego darów – moc uśmierzenia emocji.

Tak jak strachu.

– Ciemnogwiazdy chce, żebyś najpierw uwolniła Relkę.

Billa odwróciła się do goblina. Muśnięte mieczem więzy opadły.

– Daj mi pochodnię – poprosił Jig. – Magia Ciemnogwiazdę powinna uleczyć twój nos, tak, żeby już nie krwawił.

Oczy orczyca zaokrągliły się ze zdziwienia.

– Naprawdę mógłbyś to zrobić?

– Nie byłby to pierwszy nos, jaki wyleczyłem. – Jig okrążył Bille, przyglądając się jej nozdrzom i przy okazji ustawiając się bliżej Reiki. W powietrzu rozszedł się słaby zapaszek spalenizny. Tak, pewnie Ciapek osmala właśnie kaptur jego płaszcza. Gdyby nie magia Ciemnogwiazdę, Jig byłby w tej chwili przerażony nie mniej od pająka.

Wolną ręką dotknął nosa Billi. Skóra była chłodna, na starej, jaśniejszej bliźnie wprost zimna. Na obrzeżach dziurek zebrały się resztki zakrzepłej krwi.

Pomogę ci ją uleczyć, odezwał się Ciemnogwiazdy. Ale nie przyłączę się do Isy. Nie mogę.

Przymknij się. Bóg odebrał Jigowi strach, pozostawiając tym samym więcej miejsca na gniew. Ciemnogwiazdy nie pozwalał zabić Noka, ale nie miał oporów przed posłaniem Jiga w paszczę niebezpieczeństwa. Jasne, przecież Jig to tylko goblin.

To nie...

Powiedziałem, żebyś się nie odzywał. Jig wraził płonąca pochodnię w twarz Billi.

Orczyca wrzasnęła, zataczając się w tył. Machnęła z całej siły straszliwym mieczem, ale Jig zdążył już odskoczyć. Zamachnął się i cisnął łuczywo daleko do tunelu.

Świątynia pogrążyła się w ciemności.

Jig opadł na kolana, łapiąc Relkę za nogę, po czym zaczął wlec ją w stronę jednego z korytarzy.

– Pospiesz się! – szepnął tak, żeby Billa go usłyszała. Starał się przy tym, żeby w jego głosie brzmiał strach. Całe życie dokładał wysiłków, żeby nie pisać ze strachu, a teraz, przez Ciemnogwiazdę, zmuszał się do tego. – Musimy dostać się do jeziora, tam będziemy bezpieczni.

Pobiegł kilka kroków w głąb, po czym pchnął Relkę na ścianę, zakrywając jej usta. Jej kiel wbijał mu się w dłoń, ale nawet nie czuł bólu.

Nadstawił zdrowe ucho w stronę świątyni, z której dobiegało bolesne pojękiwanie Billi oraz trzeszczenie stóp na rozbitej mozaice. Pobiegnie po pochodnię, czy popędzi za nimi po ciemku? Jeśli tak, ma trzy szanse do jednej, że trafi do ich korytarza.

Najrozsądniejszą rzeczą, jaką mogła uczynić, było wycofanie się i sprowadzenie żołnierzy. Koboldy wysledzą ich bez trudu, a orki zabiją w mgnieniu oka. Ale Billa była wściekła, obolała i jeśli Jig się nie mylił, cios w twarz sprawił, że z jej nosa znów połała się krew. Nie będzie raczej jasno myślała.

– Uciekaj, goblinu – syknęła i zaraz potem zaklęła, potykając się o ciała zabitych goblinów. Szukała jednak pochodni. – Jak cię złapię, wyłupię ci oczy i nakarmię nimi wilki.

Jig odczekał, aż jej stąpania ucichną w oddali, po czym wrócił biegiem do świątyni, wlekąc za sobą Relkę. Miał nadzieję, że Billa odnajdzie drogę do jeziora, a tam rozprawią się z nią jaszczurniki.

– Wiedziałam, że mnie ocalisz! – szepnęła Relka.

– Nie miałem wyboru – prychnął Jig, ciągnąc ją do wyjścia. Liczył, że Trok nadal zajmuje orków, bo jeśli nie, już są trupami.

Zmrużył oczy oślepiiony jasnym światłem i aż podskoczył, słysząc nieopodal szcęk stali oraz skowyt orka.

– Ha! – krzyknął Trok ucieszony. – Ucięty w połowie. Znów wygrałem!

Jig wyrztał ostrożnie na zewnątrz, gdzie stojący w kręgu goblinów Trok właśnie podnosił miecz.

– Lewa ręka. Podwajam stawkę. – Ostrze drasnęło czubek buta i wbiło się w ziemię.

– To nie fair – jęczał ork, który siedział na śniegu, trzymając się za krwawiącą stopę. – Gobliny mają oczy bliżej ziemi niż my.

– Żadnych wykrętów – zaperzył się Trok. – Płacisz albo tracisz. – Widzowie przyłączyli się do niego, gwizdząc i szydząc.

– Chodź – szepnął Jig i wyprowadził Relkę z jaskini. Jeden z orków podniósł głowę i popatrzył na nich, ale nie zareagował, przekonany prawdopodobnie, że są po prostu dwójką żołnierzy, którzy przyszli przyglądać się grze.

Jig i Relka dotarli do granicy drzew, kiedy dobiegł ich kolejny orczy wrzask. Jig obejrzał

się przez ramię. Stojący w kręgu pękających ze śmiechu goblinów ork wrywał właśnie ze stopy miecz.

– Znów wygrałem! – krzyknął Trok. – Płać, orku.

– O nie, nie zamierzam biegać nago do rzeki i z powrotem – zaprotestował ranny.

– Podwoiliśmy stawkę – przypomniał Trok. – Robisz trasę dwa razy!

– Pospiesz się – popędził towarzyszkę Jig, nie zamierzając dodawać do listy swoich koszmarów widoku nagiego orka.

– Nie boję się – rzekła Relka. – Ciemnogwiazdy nad nami czuwa.

Jig zacisnął szczęki, ale zmilczał.

Rozdział 8

Jesiennogwiazdy tulał się bez celu. Bez swojej gwiazdy, przy zrujnowanej świątyni, zmuszony był ciuć moc niczym śmiertelny mag.

Zewsząd docierały do niego wołania ludzi. Wykrzykiwali swój ból, lęk przed śmiercią, szeptali, błagając o pociechę i ukojenie. Niewiele mógł dla nich zrobić, ale nie potrafił zignorować ich próśb. Wędrował od pola bitwy do zawalonych chodników gnomiej kopalni srebra, od zasypanej śniegiem wioski do zalanego miasta na drugim końcu Ziemi. Nie przestawał przy tym wypatrywać jakichkolwiek śladów świadczących o tym, że ściga go Nok lub inni bogowie. Bezpieczniej byłoby przyciąć się gdzieś w ukryciu, ale Jesiennogwiazdy nie był w stanie odwrócić się od potrzebujących, tak jak nie był w stanie odzyskać swojej gwiazdy.

Pewnego dnia znalazł się przy niewielkiej sadzawce, dzień marszu od najbliższej wioski. Na brzegu leżał zwinięty w kłębek starszy mężczyzna. Pozbyto się go, zostawiono na śmierć. Tym razem Jesiennogwiazdy nie potrzebował swej magii. Mężczyzna nie bał się, nie wydawał się też cierpieć. W wiosce panował głód i starzec zaakceptował swój los w nadziei, że w ten sposób odciąży rodzinę.

Jesiennogwiazdy złożył skrzydła, opierając głowę na udzie umierającego. Dotyk zimnych łusek zaskoczył mężczyznę, ale odprężył się po chwili. Przesunął palcami po grzbiecie Jesiennogwiazdego, najpierw ostrożnie, potem już pewniej.

– Mam nadzieję, że zaczekasz, aż umrę, zanim zaczniesz mnie zjadać – powiedział człowiek ochryple, odsłaniając w uśmiechu kilka pożółkłych zębów. – Przykro mi, nie najesz się za bardzo. Niewiele mięsa pozostało na tych starych kościach.

Czarny padlinożerny ptak zatoczył krąg, przysiadając na trawie nieopodal. Jesiennogwiazdy rozpostarł skrzydła. Ptaszysko zaskrzeczało, wlatując w niebo.

– Dziękuję.

Koniec ogona Jesiennogwiazdego zadrżał nagle. Bóg odbiegł kawałek od człowieka, wietrząc. Wyczuł rzęsę wodną, gęsie guano, psujące się w mule rybnie truchło i... innego boga.

Jesiennogwiazdy zasyczał, gotując się do ucieczki, ale ponad instynkt wybił się głos rozsądku. Gdyby to Nok go znalazł, już by nie żył.

Podpełzł do wody. Co go tu przyciągnęło? Moc, którą wyczuwał, wydawała mu się znajoma, choć wieki minęły, odkąd spotkał innego boga. Istota była słaba i przerażona, podobnie

jak Jesiennogwiazdy.

Poruszony, zatrzepotał skrzydłami. Czyżby któryś z jego towarzyszy przeżył? Nok był potężny, ale przy okazji arogancki i bardziej niż leniwy. Skoro jemu udało się uciec, może innym także?

Woda chlapnęła mu na łapy. Wyciągnął szyję i zmrużył oczy, próbując dostrzec coś mimo oślepiających refleksów na powierzchni wody.

Czarne, luskowate palce zamknęły się na jego gardle, wciągając w głębinę.

Tyle mu przyszło z tego, że odrzucił to, co podpowiadał instynkt i posłuchał rozsądku.

* * *

Skrecające mdłości oraz nagła fala zimnego potu świadczyły o ustąpieniu magii Ciemnogwiazdego.

– Gdzie idziemy? – zapytała Relka natychmiast, gdy orki zniknęły im z oczu.

– Nie wiem. – Nie miał tak dalekosiężnych planów. Zawsze uciekał w razie niebezpieczeństwa, dlatego zrobił to i teraz. Nie obmyślił, jak prześlizgnąć się obok reszty goblinów, ani tym bardziej jak ominąć resztę armii, która stała u podnóża góry.

Przemyślał za to dokładnie, co zrobi mu Billa, jak go złapie. Biorąc pod uwagę ewentualności, wołał już stawić czoła całej armii.

Głos Billi popędził go lepiej niż bicz.

– Kazałam wam pilnować wejścia! – wrzeszczała generał. – A nie bawić się z goblinami!

Jig aż pisnął, słysząc zdławiony krzyk. Miał nadzieję, że to nie Troka wybrała Billa, aby dać przykład innym.

– Czy ktoś wychodził przede mną z tej jaskini? – darła się dalej Billa. Jig zmartwiało, ale odpowiedź, której nie usłyszał, tylko rozwścieczyła ją bardziej. – Powiedz Srebrnozębemu, żeby kazał swoim bezużytecznym goblinom ustawić kordon wokół wyjścia. Nikt nie może się im wymknąć. Ty, zbierz kilka koboldów i wyślij ich za mną do labiryntu.

Koboldy tropiły po zapachu. Szybko zorientują się, że Jig i Relka nie poszli żadnym z korytarzy.

Jig precyzyjnie się pod leżącą sosną, wychodząc na spory występ skalny. Półka ta była popularnym miejscem spotkań myśliwych. Rozciągał się stąd dobry widok na zbocze poniżej. W

śniegu odcinał się ślad zwierzęcia prowadzący w górę, ku jeziorku, teraz prawdopodobnie całkiem zamrzniętym.

Naraz odwrócił się, uderzony pewną myślą. Masowa śmierć... Co, jeśli Billa, chcąc przywołać Noka, wybije wszystkie gobliny?

Mało prawdopodobne, uspokoił go Ciemnogwiazdy. Gobliny dobrze znają labirynty. Większość uciekła do dolnych tuneli. Potrzeba większej masakry, żeby ściągnąć Noka.

Na przykład wielkiej bitwy. Z armią króla Wendela. Billa nie chciała wcale zwyciężyć. Pragnęła, aby zginęło jak najwięcej żołnierzy, po obu stronach.

– Avery – szepnął Jig. – Darnak powiedział, że Billa jest zbyt mądra, aby poprowadzić swoją armię na taką rzeź.

To było to. Jig odwrócił się z zamiarem wdrapania tak wysoko, jak to możliwe, żeby znaleźć się jak najdalej od Avery.

Musisz ich ostrzec, Jig.

– Jig zacisnął pięści.

Chcesz tylko chronić swojego syna. Nawet za cenę mojego życia.

Jeśli się boisz, mogę...

– Nie! – krzyknął Jig, niebieszczając.

– Co?!

– Ciemnogwiazdy chce, żebyśmy wrócili do Avery i powstrzymali Bille.

Relka dotknęła wisiorka.

– Ostrzegałam, że dosięgnie ją straszliwy gniew Ciemnogwiazdego. – Złapała Jiga za rękę, ciągnąc na skraj występu. Jej palce były szorstkie i pobliznione od pracy w kuchni. – Tamtędy zejdziemy najszybciej.

Jig spojrział w dół stromizny, którą śnieg czynił jeszcze niebezpieczniejszą.

– I najszybciej zginiemy.

– Mówiłeś, że Ciemnogwiazdy każe nam iść do Avery. – Relka puściła go i skoczyła.

Jig patrzył, jak stara się kontrolować zjazd. Przeważnie zsuwała się w dół w pozycji siedzącej, podskakując na kamieniach.

– Ja tego leczyć nie będę – mruknął Jig.

– Chodź! – zawołała Relka.

Jig potrząsnął głową. Nie mógł pojąć, że nawet na moment się nie zawahała. Nawet nie

zapytała, po co mają iść do Avery. Gdyby Jig powiedział, że Ciemnogwiazdy chce, aby wróciła do jaskini i kopnęła Bille w tyłek, pewnie zrobiłaby to ze śpiewem na ustach.

Hm... to mogłoby właściwie spowolnić Bille...

– Hej!

Jig odwrócił głowę. Pędziło ku niemu kilka goblinów z obnażoną bronią. Dobra. Usiadł na krawędzi, przełożył Ciapka do jednej z przednich kieszeni i skoczył za Relką.

Klapnął na zadek i wierzgając, zaczął się zsuwać. Pancierz amortyzował najgorsze uderzenia, ale hełm spadł już po drugim podskoku, tocząc się głośno w dół.

Jig zahaczył nogą o młodą sosenkę i obrócił się tyłem do kierunku jazdy. Na górze stała grupka goblinów. Pokazywali go sobie palcami, zanosząc się od śmiechu. A potem Relka złapała go za przegub, chcąc prawdopodobnie spowolnić kompana.

Niestety, przekreśliła się, padając na jego nogi i resztę drogi turlali się przy akompaniamencie jeszcze radośniej szcych rechotów. Wreszcie zatrzymali się na większym głazie. Śmiechy ustały. Gobliny przypomniały sobie pewnie, że miały ich gonić.

– Idziemy. – Jig podniósł się i pomógł wstać Relce.

– Gdzie? – zapytała goblina.

– Zobaczysz.

Z góry dobiegły ich krzyki, a zaraz potem przekleństwa i klekot kamieni. Jig ruszył w dół, pozwalając, by siła bezwładu przyspieszyła jego krok, aż miał wrażenie, że znów spada.

Płaszczem zaczepił o gałąź i ta się złamała. Jig stracił równowagę. Upadając, wykręcił się, uderzył o ziemię ramieniem i jechał kawałek, dopóki Relce nie udało się złapać go za rękę i wyhamować. Pomogła mu wstać i rzuciła się do biegu.

– Nie ma sensu – zatrzymał ją Jig. Przystanek kosztował ich całą przewagę. Gobliny ruszyły do ataku, wywijając mieczami.

Jig wsparł dłonie na kolanach, starając się odzyskać oddech. Nie uda się, jeśli będzie za bardzo dyszał. Przypomniał sobie szczekliwy głos Srebrnozębego, zupełnie jakby tylko marzył, by kogoś pożreć. I prawdopodobnie tak było.

Gobliny rozproszyły się, próbując zająć ich z dwóch stron. Jak to nazywał Gratz? Manewr flankujący? Zaiste, dobry sposób. Okrażany nie mógł bowiem patrzeć na jedną grupę, nie odwracając się plecami do drugiej.

– Co, zachciało wam się poswawolić na śniegu? – zarechotał żołnierz z prawej.

– Toś se wybrała malucha – dodał drugi. – Chcesz, pokażę ci, co prawdziwy goblin...

– Prawdziwy goblin? – warknął Jig. – Ty? – Wyprostował się i otrzepując śnieg, próbował przypomnieć sobie, jak to jest, kiedy nie czuje się strachu. – Raczej prawdziwa kompromitacja. Co z wami nie tak?

Gobliny spojrzały jeden na drugiego, kompletnie zbite z tropu. Jig nie dobył broni, ani nie uciekał.

– Z nami? Raczej co z tobą nie tak?

– Jakie mieliście rozkazy? – Jig podniósł głos. – Rozkazy, żołnierze!

– Utworzyć kordon wokół jaskini!

Jig wskazał palcem do góry.

– Tamtej jaskini? Tamten kordon? Ten, z dziurą na dwa gobliny, z dziurą, przez którą może przemknąć się każdy elf, który ma ochotę zabić Krwawą Bille? Tamtego kordonu mieliście być częścią?!

Gobliny popatrzyły po sobie niepewnie.

– Nooo...

– No, *sir!* – szczechnął Jig. – A co, jeśli byłem przynętą, co, jeśli specjalnie odciągnąłem was od stanowisk? – Podeszedł do goblinów, odtrącając ręką jeden z mieczy. Zaciśnął zęby, zwijając dłoń w kulak. Trzeba mieć jego szczęście, żeby natrafić na jedyne chyba goblina z ostrym mieczem. – Co, jeśli ludzie zapłacili mi, żebym was tu wywabił, wystawiając na czysty strzał? – Wskazał na przypadkowe drzewo.

Gobliny pobladyły.

– Ale uciekaliście, więc...

– ... więc wy popędziliście za nami – dopowiedział Jig i zniżył głos. – Będziecie się tłumaczyć Srebrnozębem. Na pewno chętnie posłucha, jak to zapomnieliście o rozkazach na rzecz składania nieprzyzwoitych propozycji tej dziewczynie. – Wyrwał jednemu z żołnierzy miecz i płazem grzmotnął drugiego w czerep. – Jeśli będziecie mieć szczęście, rzuci wilkom na pożarcie tylko jednego z was. Znając pułkownika, będzie to ten, który wróci jako ostatni.

Gobliny zerwały się do biegu, pędząc na wyścigi w stronę jaskini. Jig odczekał, aż znikną z pola widzenia i odwrócił się od Reiki. Chciał podać jej odebrany żołnierzowi miecz, ale trząśnięcie tak bardzo, że broń wyslizgnęła mu się z ręki.

– To było niesamowite – szepnęła Relka ze szczerym podziwem.

– Dzięki – rzekł Jig i zwymiotował na jej buty.

* * *

Skończywszy upychać zbroję w krzakach, Jig podniósł się i przeciągnął z ulgą. Pozbawiony ciężkiej mu od długiego czasu masy twardej skóry czuł się tak lekko, że prawie mógłby pofrunąć na czubek drzewa. A co lepsze, nareszcie żadne sztywne krawędzie nie wrzynały mu się przy każdym kroku w uda i ramiona.

Zacisnął pas i poprawił wiszący przy boku miecz. Zachował jednak ten odebrany żołnierzowi, swój zaś oddał Relce. Nowy też był strasznym rupieciem, ale przynajmniej ostrym rupieciem.

– Dlaczego nie zostaliśmy, żeby walczyć z Billą? – zapytała Relka, kiedy podjęli marsz.

– Ponieważ *mój* bóg nie dał mi magicznego miecza. Miałem ze sobą tylko ten, który ci dałem, a nim nie przeciąłbym nawet powietrza.

– Była w twojej świątyni – nie ustępowała biegnąca obok goblina. – Jesteś arcykapłanem Tymalouisa Ciemnogwiazdęgo, jesteś od niej silniejszy.

Zabrzmiało to tak, jakby stwierdzała oczywisty fakt, jakby mówiła, że śnieg jest zimny, smok niebezpieczny, albo że kuchnia hobgoblinów smakuje jak sznurze bobki.

Jig właśnie zamierzał powiedzieć, co sądzi o swoim bogu, przeszkodziło mu jednak wycie wilków. Zwolnił, zastanawiając się, czy nie powinien aby wrócić po zbroję. Nie, żeby skórzany pancerz ochronił go przed kłami wygłodniałych bestii.

– Uwierz w siebie. – Relka odwróciła się, unosząc miecz. – Jesteśmy sługami wielkiego boga.

– Tak? To niech się zajmie wilkami – mruknął Jig, przeczesując wzrokiem okolicę w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Jaskini, skały, na którą mogliby się wspiąć lub innego miejsca, gdzie wilki ich nie dostaną.

Niestety, odeszli już daleko od labiryntów – zbocze w tym miejscu było bardzo łagodne, a teren płaski. Popatrzył na drzewo. Co prawda wilki nie miały szans tam wejść, ale mogły warować przy pniu, czekając, aż zejdzie lub, co bardziej prawdopodobne, gobliny nie strącą go, obrzucając kamieniami, bądź nie zetną po prostu drzewa.

Na widok pierwszego wilka wyciągnął miecz. Srebrnozęby szarpnął wodze, zatrzymując

Łotra i zaczekał, aż reszta szwadronu do niego dołączy. Okazało się, że Billa wysłała w pościg za Jigiem cały oddział, czyli czternastu jeźdźców. Włącznie z Trokiem, który targał rzemieniami, usiłując opanować Skunksa.

– Czułem, że będą z wami kłopoty – stwierdził Srebrnozęby.

Jego miecz przewyższał rozmiarem broń Jiga, a pęd atakującego wierzchowca pozwoliłby mu zapewne przeciąć dwa gobliny za jednym zamachem. Cóż, przynajmniej mieliby szybką śmierć.

– Konus jest mój – warknął Srebrnozęby, spinając Łotra. Wilk ruszył w stronę Jiga.

Jig cofał się, przegrzebując nerwowo kieszenie. Do której włożył Ciapka? Wystarczy, że on skończy zaraz jako karma dla wilka, pupil nie musiał umierać wraz z nim. Nie wiedział, jak długo Ciapkowi uda się przetrwać na mrozie, ale na pewno dłużej niż w żołądku bestii. Gdzie ten głupi pajak?

Zagłębił rękę w jednej z kieszeni i oddech zamarł mu w piersiach.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Relka.

Jig bez słowa podał jej swój miecz.

Trudno było rzec, kto zawył pierwszy, Łotr czy Srebrnozęby. Właściwie to nieźle brzmiali unisono. Spod łap wielkiego wilka pryskały fontanny śniegu i ziemi. Pędząc, wydawali się złączeni w jedną istotę, pół wilka, pół goblina. Jig zadawał sobie tylko pytanie, co poczuje pierwsze, kły czy ostrze.

Naraz pomiędzy niego a atakujących wskoczyła Relka, kręcąc młynki oboma mieczami. Widok byłby naprawdę imponujący, gdyby ostrza nie uderzyły o siebie i jeden nie wylądował na śniegu. Niezrażona trzymała pozostały miecz oburącz.

– Zaraz poznasz, co to gniew Ciemnogwiazdego, niewierny!

Jig podciął jej nogi, przewracając na śnieg. Łeb wielkiej bestii był tuż-tuż, ostrze wrzęgo miecza zawisło mu nad głową. I wtedy wyciągnął z kieszeni duży palec trolla, kierując go w stronę wilka. Ujrzał, jak oczy pułkownika rozszerzają się na widok przysmaku.

– Łotr! – krzyknął Jig stanowczo. – Siad! – I rzucił palec bestii.

Olbrzymi wilk próbował wykonać polecenie i jednocześnie chwycić nagrodę. Obniżył zad i podskoczył, wyciągając szyję, aby złapać w szczęki przelatujący palec. Udałoby mu się, gdyby nie uczepony grzbietu jeździec. Jig widywał, jak podobny skok z obrotem wykonują koty tunelowe polujące na nietoperze lub ptaki. Jednak z uzbrojonym, opancerzonym goblinem na

grzbiecie, Łotr nie miał szans.

Jig chwycił Relkę za przegub, odciągając ją na bok. Ciężar Srebrnozębego wytrącił Łotra z równowagi. Wilk fiknął w powietrzu, wierzgając gwałtownie łapami, capnął lecący palec, ale w tym momencie jeździec grzmotnął ramieniem o ziemię, ciągnąc go za sobą. Łotr runął na bok, lecz poderwał się błyskawicznie, ledwie unikając zderzenia z drzewem. Stojąc niepewnie, otrząsnął się, obryzgując wszystko śniegiem zmieszonym z błotem oraz goblinią krwią. Uczynił krok, po czym odwrócił łeb, próbując ugryźć Srebrnozębego w nogę.

– Strzeżcie się, taki los czeka każdego, kto nastaje na życie Jiga Smokobójcy – zagrziała Relka.

Nie zrobiło to większego wrażenia na reszcie goblinów, które pokrzykując na wierzchowce, rozproszyły się tworząc formację, której nazwy Jig nie znał. Na własny użytek zdecydował się ochrzcić ją manewrem „każdemu wilkowi kawałek Jiga”.

Do Jiga zaczęło powoli docierać, że Srebrnozęby się nie rusza. W każdym razie nie o własnych siłach, bo kiedy Łotr, warcząc, złapał go za stopę, pułkownik zaczął się zsuwać z grzbietu wilka, aż zawisł na zaplątanym w uprząż ramieniu. Kiełzno wrzynało się w pysk zwierzęcia, zmuszając je do obracania się wokół własnej osi.

Jeden z goblinów wybuchnął śmiechem. Jig był prawie pewien, że rozpoznał rechot Troka.

Palec kompletnie wywietrzył Łotrowi z łba. Toczył pianę z pyska, a oczy wychodziły mu z orbit.

Rzemienie wpijały mu się w pysk, wpijały w podgardle. Kłapał desperacko paszczą, ale nie był w stanie dosięgnąć jeźdźca.

Jeden z goblinów cisnął w wilka śnieżką. Trafiony w nos zwierzak zaczął kręcić się jeszcze szybciej.

– Ej, bez takich! – wrzasnął Gratz, zamierzając się na winowajcę mieczem. – Wilk wojenny ma w armii taki status jak każdy żołnierz. Mamy tu robotę. Zabijmy tych dwoje i miejmy to z głowy.

– Zaraz! – pisnął Jig. – Srebrnozęby wyraźnie mówił, że sam chce mnie zabić!

– Srebrnozęby nie żyje.

– Jesteś pewny? – Jig zerknął na wilka, który zarył przednimi łapami w śnieg, a tylnymi wydeptywał okrąg. Ręka Srebrnozębego wlokła się po ziemi, a jej właściciel nie wykazywał

najdrobniejszych oznak życia. – A jeśli jest tylko nieprzytomny? Ty mnie zabijesz, a on się ocknie, i co wtedy? Jaka jest kara za sprzeciwienie się rozkazowi dowódcy?

Brzuch Jiga zapłonął bólem. Jig sięgnął do odpowiedniej kieszeni, ale było za późno. Przerażony Ciapek rozżarzył się tak bardzo, że przepalił tkaninę, wpadając w śnieg. Szurnął pod drzewa, zostawiając za sobą ślad w postaci zawałonego tuneliku.

– Masz rację – zgodził się Gratz, wskazując Jiga sztychem. – Otoczyć go. Pchnąć na wilka. Jak nie Srebrnozębny, to wykończy go Łotr i będzie po sprawie.

Gobliny skierowały drapieżne wierzchowce ku Jigowi, który odwrócił się błyskawicznie do podduszonego wilka.

– Łotr! Siad! – wrzasnął.

Bestia zignorowała rozkaz, sypiąc mu w twarz śniegiem. Gobliny przybliżyły się, usiłując utrzymać wyrwywające się bestie. Kilku aż ciekła ślina na myśl o zatopieniu kłów w Jigu. Wilkom tym bardziej.

Ogon Łotra smagnął Jiga po nogach. Głupi wilk. Z rozdziawionego pyska zwisał język i ciekła ślina podbarwiona krwią.

Relka zamachnęła się na najbliższego rozrehotanego goblina. Wilk skoczył na nią, warcząc. Cofnęła się, wpadając na Jiga i popychając go prosto w paszczę Łotra.

Jig sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu trollowych palców, ale w tym momencie wirujący wilk grzmotnął go zadem w biodro. Nie było tak źle jak po uderzeniu smoczym ogonem, ale blisko. Wielkie łapy przydusiły go chwilowo do ziemi. Po jakie лихо pozbywał się zbroi? Sekundę później sam rozpląszczył się na śniegu, chcąc uniknąć kolizji z ciałem Srebrnozębego, które obracało się wraz z wilkiem.

Kiedy niebezpieczeństwo minęło, Jig chwycił się bezwładnego ramienia, przywierając do niego ze wszystkich sił. Łotr jakby nie zauważył dodatkowego ciężaru.

Świat zaczął wirować. Gdyby Jig niedawno nie zwymiotował, zrobiłby to zapewne teraz. Usiłował wywindować się na grzbiet wilka, ale bał się rozluźnić kurczowy uścisk. Gobliny pokładały się ze śmiechu, a Relka... Czyżby śpiewała?! Jigowi udało się zaczepić ręką o pasek pułkownika. Ciało *zsunęło się* jeszcze bardziej, pozwalając wilkowi przyspieszyć. Jig zamachnął się nogą, zaklinował stopę pod brodą Srebrnozębego i przystąpił do prób podciągnięcia się na grzbiet zwierza, ale coś trzymało go z tyłu. Wykręcił głowę i ujrzał, że skraj płaszcza zaczepił mu się o kiel Srebrnozębego.

Szarpnął mocno. Tkanina rozdarła się z trzaskiem, ale udało mu się przerzucić nogę i wczepić w skudłaconą sierść.

Pomóż mi uleczyć jego pysk, poprosił. Może jak to zrobię, to się uspokoi i mnie nie zje.

Nie wiem, czy to najlepszy pomysł. Nie wiemy, czy Isa nie wyczuje tej magii.

Jeśli Łotr mnie zje, zostanie ci tylko Braf. Jeśli to z nim chcesz walczyć z Krwawą Billą, to...

Poczuł w palcach ciepło i sięgnął ku pyskowi bestii. Szczęki zamknęły się z kłapięciem, omal nie odgryzając mu dłoni. Spróbował ponownie, kierując strumień magii na rozdarte dziąsła.

Wilk zaczął zwalniać. Schował jęzor i zaprzestał prób odgryzienia Jigowej ręki. Jig poczuł, jak zwierz nadyma boki, łapiąc oddech. Wyciągnął sztylet i rozciął uprząż, po czym wraz ze Srebrnozębym ześlizgnął się na śnieg.

Skowyt Łotra przypominał wycie wiatru przy wejściu do labiryntów. Wilk próbował iść, ale wciąż kręcił łbem i zataczał się jak pijany goblin. Zdołał zrobić kilka kroków i runął na leżące gobliny.

Ciało Srebrnozębego uchroniło Jiga przed zmiżdżeniem, dzięki czemu mógł wrócić do leczenia poranionego pyska oraz podgardła wilka, wychodząc z założenia, że im szybciej Łotr wróci do siebie, tym szybciej wstanie i go uwolni. Zakrwawiona sierść łaskotała go w przegub, a po dłoni spływała ślina dyszącego ciężko wilka.

Wreszcie bestia dźwignęła się na nogi, zrobiła kilka niepewnych kroków, po czym kichnęła trzy razy z rzędu. Relka podbiegła do Jiga, pomagając mu wstać.

– Dobry... wilczek – wykrztusił Jig.

– No, jeszcze któryś ma ochotę stanąć do walki z bojownikiem Tymaloua Ciemnogwiazdego? – zapytała groźnie.

Tak zwany bojownik Ciemnogwiazdego klapnął z powrotem w śnieg, obejmując głowę rękami i czekał, aż drzewa przestaną wirować.

– Ha, mówiłem, że przeżyje? – ucieszył się Trok. – No dalej, płac – zwrócił się do sąsiada. Jig otworzył oczy akurat w chwili, gdy wojownik wymieniał się z przegranym na duży, lśniący miecz.

– Zginie nim zajdzie słońce – mruknął pechowiec, łypiąc ponuro na Jiga.

– Chcesz się założyć? – zaproponował Trok ochoczo. – Masz całkiem niezłe buty.

Łotr zbliżył się do Jiga. Nadal trochę trzęsły mu się łapy, ale doszedł do siebie szybciej

niz Jig. A może trzymał się lepiej, bo miał nad nim przewagę dwóch kończyn kroczych więcej? Tak czy owak, nie zmieniało to sytuacji Jiga. Nawet gdyby udało mu się wstać i tak nie zdołałby uciec przed wilkiem.

Łotr trącił go łbem, omal nie wywracając i polizał po ręce.

Gratz odchrząknął.

– No, to skoro Srebrnozęby nie żyje, ja, jako najwyższy stopniem, przejmuję dowodzenie nad tą jednostką. Pochwyć jeńców.

Parę goblinów zeskoczyło z wilków, zbliżając się z bronią w rękę.

– Trok, ty i Dimak – ciągnął Gratz, wskazując palcem – przywiążecie ciało Srebrnozębego do grzbietu Łotra. Weźmiemy...

Reszta jego słów utonęła w głuchym warkocie Łotra. Gobliny, które podchodziły do Jiga, odskoczyły jak oparzone.

– Nawet wilki dostrzegają potęgę Jiga Smokobójcy i Tymalouisa Ciemnogwiazdowego – ogłosiła Relka.

Gratz zanurzył rękę w sakiewce, po czym rzucił Łotrowi trollowy palec.

Wilki skoczyły do góry, przy okazji przewracając Jiga.

– Dobry wilk. – Gratz wskazał Jiga. – Bierz go!

Schwyciwszy przysmak, Łotr przypadł do ziemi, zabierając się do obgryzania. Gratz poruszył się nerwowo w siodle. Trok zachichotał.

– Uważaj! – krzyknęła Relka, pokazując na Dimaka, który mocował się z naciągnięciem niewielkiej kuszy.

Jig złapał się futra Łotra i podciągnął na siodło. Położył się płasko na grzbiecie wilka, a potem spojrzał na Dimaka.

– Uważaj. Możesz postrzelić przez przypadek Łotra, a zapewniam cię, że wilki tego nie lubią. Może się rozzłościć.

– Strzelaj! – krzyknął Gratz. – To rozkaz!

Dimak popatrzył na Łotra i rzucił kuszę dowódcy.

– Sam sobie strzelaj.

Gratz pogranatował.

– To niesubordynacja! Bunt! Krwawa Billa zmiażdży ci za to czaszkę gołymi rękoma! Zobaczysz! Mam to tu, w regulaminie!

Jig nie wątpił, że to prawda. Ale Krwawej Billi nie było na miejscu. Łotr, owszem. A Łotr był największym wśród obecnych wilków. Jig odkaslnął.

– Billa może ukarać tylko za te przewinienia, o których wie.

Gratz aż ugiął się pod ciężkimi spojrzeniami Dimaka oraz pozostałych goblinów. Zdenerwowany zaczął się cofać, celując kuszą do coraz to innego podkomendnego.

– Nie ruszać się! Jestem kapralem w armii Krwawej Billi i aktualnym dowódcą tej jednostki!

– A Łotr jest wielkim, rozwścieczonym wilkiem – skontrował Trok.

Gratz zwolnił zamek. Bełt wbił się w bok jednego z żołnierzy. Posunięcie to zamiast zniechęcić, umocniło gobliny w postanowieniu kontynuowania buntu. Niewykluczone, że na ich decyzji zaważył częściowo fakt, iż Gratz nie miał więcej bełtów. Kapral odrzucił kuszę, sięgając po miecz.

– Stójcie! – zawołał Jig i, ku jego zdumieniu, gobliny posłuchały.

– Co ty wyprawiasz? – szepnęła Relka.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Jig i zamilkł, skupiając się na kurczowym wczepianiu w sierść Łotra, który właśnie wstawał. Nigdy nie sądził, że wilki są aż tak wielkie. Głowa Reiki znajdowała się teraz na wysokości jego pasa. Odetchnął, starając się opanować głos. – Kapralu Gratz, jak brzmią zasady dotyczące kapitulacji przed wrogiem?

– Jak do tej pory, nie mieliśmy do czynienia z taką sytuacją. – Gratz zmarszczył brwi.

– A więc żaden punkt regulaminu nie zabrania ci poddania się, zanim Łotr cię pożre?

Gratz pokręcił głową.

– Każdy żołnierz, który zaprzestanie walki, ma zostać pozbawiony życia na miejscu, ręką dowodzącego oficera.

– O tym oficerze mówisz? – Jig wskazał na ciało Srebrnozębego. – Jak sobie chcesz, Gratz. Poddaj się albo każę Łotrowi cię zjeść.

Kapral potoczył wzrokiem po goblinach, poruszając ustami, jakby je liczył.

– W porządku. Oficjalnie ogłaszam kapitulację wilczego szwadronu. Zgodnie z regulaminem oznacza to, iż obecny tu Jig otrzymuje awans połowy do rangi porucznika, wraz ze wszystkimi przywilejami i obowiązkami, które idą...

– Świetnie – przerwał mu Jig. – A teraz odłóż ten miecz, zanim Łotr uzna cię za zagrożenie.

Gratz rzucił broń na śnieg. Jego dłoń prawie nie drżała, kiedy zsalutował Jigowi.

– Jakie rozkazy, sir?

Jig popatrzył na pozostałych. Trok śmiał się z niego otwarcie, reszta w najlepszym razie przyglądała mu się sceptycznie. Poza Relką, naturalnie. Promieniała wprost, mamrocząc coś pod nosem – najpewniej układała nowy hymn. Jig wołał nie myśleć, jaki rym znajdzie do wyrazu „porucznik”.

– Sir? – ponaglił go Gratz.

Jiga kusilo, żeby nakazać im powrót do armii Billi, ale zdawał sobie sprawę, że w takim wypadku Gratz pewnie przejmie dowodzenie nad oddziałem i wznowi pościg.

– Relka będzie moim zastępcą – powiedział, chcąc zyskać na czasie. Nie miał wielkiego wyboru co do obsady tego stanowiska, gdyż goblinka jako jedyna nie czyhała na jego życie.

Relka uśmiechnęła się szeroko.

– Więc muszą mnie teraz słuchać, tak?

– Tak jest, sir – potwierdził Gratz.

Relka dźgnęła Troka pazurem niczym włócznią.

– Śpiewaj.

– Co?!

W konkursie na najbardziej demoniczny uśmiech Relka wygrałaby z demonem.

– Lubię muzykę. Zaśpiewaj mi „Balladę o Jigu”, żołnierzu.

Trok chwycił za miecz.

– Sprzeciwiasz się rozkazowi, goblinie?! – zareagował błyskawicznie Gratz. Zeskoczył z wilka i sam dobył miecza. – Mam odciąć mu język, sir?

Jig pokręcił głową z niedowierzaniem. Gratz pytał poważnie. Minutę wcześniej był gotów zabić Jiga, teraz chce zadźgać goblina, który mu się postawił. Lub Relce. Gdyby Jig kazał mu zjeść własną nogę, Gratz natychmiast poszedłby do Reiki pożyczyć widelec.

Jig odłożył ten pomysł na później. Teraz...

– Przywiążcie wilki. Pewnie są głodne, może nakarmimy je Srebrnozębymi, co Relka? Gratz, pomóż reszcie z uprzężą Łotra.

Gobliny natychmiast zabrały się do wyznaczonych zadań. Jig obserwował je, skubiąc nerwowo kiel. Jak długo zdoła podtrzymać tę farsę? Nie był typem przywódcy. Dyscyplina, którą wpoili im Billa oraz Srebrnozęby, szybko zaniknie i żołnierze na powrót staną się goblinami. Jig

zastanawiał się tylko, kiedy to nastąpi – przed czy po tym, jak Billa wyśle orków, aby sprawdzili, co stało się ze Srebrnozębym.

* * *

Jig nadstawił zdrowe ucho, wsłuchując się w rytm kroków Reiki. Zupełnie jak rok temu, w labiryntach. Pamiętał odgłos jej stąpania, zimny pot spływający po karku i to straszne oczekiwanie na moment ataku.

Gdyby wtedy wiedział, jak potoczą się sprawy, pozwoliłby Relce skoczyć i wbić sobie nóż w plecy.

– Wilki nakarmione – oznajmiła Relka dziarsko. Jig miał ochotę ją trzepnąć. – Zostało trochę resztek Srebrnozębego, ale pewnie nie mamy teraz czasu, żeby je porządnie przyrządzić?

Jig pokręcił głową. W labiryntach dym rozpraszał się po korytarzach, tu, na otwartej przestrzeni, byłby widoczny z daleka. A ponieważ większość znajdujących się w pobliżu osób polowała na niego, rozpalanie ognia nie było najlepszym pomysłem. Podobnie zresztą jak jedzenie Srebrnozębego na surowo, ale lepszy już skręt kiszek niż śmierć z rąk rozwścieżonej Billi.

– Billa miała raz na zawsze przepędzić mieszkańców powierzchni – szepnęła Jig ze ściśniętym gardłem. Żadnych więcej awanturników wycinających sobie mieczem drogę przez labirynty, żadnych księżąt i królewien porywających gobliny do pomocy przy budowaniu umocnień, żadnych głupich misji, walk na śmierć i życie, uciekania...

Miało być tak pięknie, a okazało się, że Billa ich wykorzystuje. Genevieve też się nimi posłużyła, ale przynajmniej nie ukrywała swoich zamiarów. Nie opowiadała, że chce im pomóc. Po prostu związała ich i zabrała do Avery. Nie udawała także, że nie zabije wszystkich, jeśli dadzą jej do tego powody.

– Uwierzyłem jej – rzekł, patrząc na naszyjnik Reiki. Wcale nie był od niej mądrzejszy. – Ciemnogwiazdy boi się Isy – oświadczył, nie wiedząc czemu to robi.

Relka zeszywniała.

– To znaczy?

– Mógł pojawić się w świątyni, żeby cię uratować, ale wiedział, że Billa potrafi go zabić. Dlatego wysłał mnie. Wolał posłać mnie na śmierć niż samemu ryzykować. Posłużył się mną.

Tak jak innymi. – Jig zamilkł, czekając na jej reakcję.

Relka rozpromieniła się nagle.

– To test, prawda? Sprawdzasz, jak silna jest moja wiara, chcesz wiedzieć, czy możesz na mnie liczyć w nadchodzących próbach?

Jig zastanawiał się, czy magia Ciemnogwiazdę mogłaby naprawić mózg Reiki.

– Próby? Ciemnogwiazdy chce, abym poszedł do Avery i powstrzymał Krwawą Bille!

– Życie obrońcy wiary nie jest łatwe.

– Niełatwe? Właśnie rąbnąłem Bille pochodnią w twarz. Wyśle za mną całą armię, a kiedy już mnie złapią, nie...

– Ty też masz armię – zauważyła Relka, wskazując na wilki i gobliny.

Jig otworzył usta, ale zabrakło mu słów. Żadne argumenty nie osłabiłyby wiary Reiki. Nawet przez chwilę nie wątpiła, że ocali Avery, pokona Bille oraz Isę i uratuje wszystkie gobliny.

Jig wstał, otrzepując się ze śniegu.

Dlaczego nie wybrałeś Reiki? Byłaby wspinała w roli twojego kapłana. Z radością walczyłaby z chochlikami, ogrami i odwalala za ciebie czarną robotę.

Z tego, co pamiętam, to ty mnie przywołałeś, wytknął mu Ciemnogwiazdy.

Jig nie wiedział, co powiedzieć.

Jeśli naprawdę tego chcesz, zostawię cię w spokoju, Jig. Zrób dla mnie to, o co cię prosiłem, a odejdę na zawsze.

Czekaj, przestraszył się Jig. Miałby stracić moc leczenia siebie i innych goblinów? Wzdrygnął się na myśl o bliznach, którymi chwalił się przed Srebrnozębym. Gdyby nie Ciemnogwiazdy, już pierwsza z tych ran przyprawiłaby go o śmierć. *Nie o to mi chodziło.*

Naturalnie. Ciemnogwiazdy nie ukrywał rozbawienia.

No dobrze. Billa pewnie zastanawia się, co z wilczymi jeźdźcami i zaraz wyśle żołnierzy, żeby ich poszukali. Jig potoczył wokół spojrzeniem. *Którędy do Avery?*

Tą drogą na wschód.

W porządku, a więc do Avery.

– Musimy ostrzec Genevieve, powiedzieć, o co naprawdę w tym chodzi – oznajmił. – Ludzie są przekonani, że czeka ich bitwa z armią potworów, armią, która chce zwyciężyć. Ale Billi nie chodzi o to, by pokonać mieszkańców powierzchni. Prowadzi swoją armię na rzeź, chce,

aby zginęło jak najwięcej żołnierzy. Po obu stronach.

– Powiem reszcie, żeby przygotowali wilki do drogi – powiedziała Relka i ruszyła ku goblinom.

– Dzięki Relka przystanęła, odwracając się do niego.

– Myślisz, że ludzie cię posłuchają?

Król rozkazał zabić na miejscu każdego goblina, który pojawi się na jego ziemi. Ostatnie spotkanie z Jigiem zapewne nie przekonało Genevieve do zmiany jego postanowienia.

– Nie sądzę.

Rozdział 9

Tymalous Jesiennogwiazdy próbował bezskutecznie wyrwać się uzbrojonej w czarną skorupę łapie, która wciągała go do wody. Wykręcił głowę najbardziej jak się dało i ujrzał wreszcie napastnika.

– To ty, Ipsep?

Były bóg morza stanowił obraz nędzy i rozpacz. Na oblepionym glonami oraz muszlami pancerzu jaśniały linie pęknięć. Grube zielone włosy wypadły lub zwiędły, a pozostałe po nich zbrązowiałe strączki smętnie zwisały z czaszki.

– Zdradziłeś nas, Jesiennogwiazdy. Opuściłeś.

– Nie zdradziłem – zaprzeczył Jesiennogwiazdy i capnął Ipsepa w palec. Maleńkie ząbki jaszczurki nawet nie zarysowały grubej skorupy. Najadł się tylko morskiego zielska i rozżościł wielkiego ślimaka.

– Pierwszy zrezygnowałeś z walki, kiedy Nok zwrócił się przeciwko nam. Jesteś tchórzem.

– Ipsep zacisnął ręce wokół jego szyi, wpychając głębiej pod wodę. – Zostawiłeś nas na śmierć, albo gorzej – na zapomnienie.

Jesiennogwiazdy nie protestował. Nawet gdyby się nie topił, to i tak nie miał na swoją obronę nic do powiedzenia. Ipsep miał rację. Odwrócił się od nich, umknął przed wojną.

Naraz Ipsep zachwiał się i rozluźnił uścisk. Jesiennogwiazdy wykorzystał szansę, wykręcił się i mocnym machnięciem skrzydeł wybił na powierzchnię, z trudem łapiąc oddech.

Starzec, przy którym Jesiennogwiazdy czuwał, stał po kolana w sadzawce, ciskając kamieniami w Ipsepa.

W pierwszej chwili atak zaskoczył boga, ale już w następnej nawet nie zwrócił uwagi, kiedy kamień odbił się od jego skorupy.

Jesiennogwiazdy rzucił mu się na grzbiet, wbijając pazurki w pęknięcia pancerza, ale nie pomogło. Ipsep strzelił palcami i człowiek zaczął krzyczeć, tonąc.

Jesiennogwiazdy zrezygnował z walki. I tak był w tym kiepski. Nawet podczas wojny, w środku bitwy, z trudem opanowywał pragnienie porzucenia broni i niesienia pocieszenia rannym oraz umierającym.

Takim jak Ipsep. Tylko gniew podtrzymywał go przy życiu, ale nawet boski gniew w końcu gaśnie. Tym bardziej, że Jesiennogwiazdy właśnie go wyciszał.

– Zapomnieli o nas, Jesiennogwiazdy – rzekł Ipsep już łagodniej. – Śmiertelnicy nie pamiętają nawet naszych imion.

– Musisz odpocząć, stary przyjacielu – szepnął Jesiennogwiazdy. – Odpoczywaj w spokoju.

– Spokój... – Ipsep zanurzył się głębiej, pociągając za sobą Jesiennogwiazdego. – Cała wieczność przemykania się w cieniu, ukrywania się, ciągły strach, że nas znajdą. To nazywasz spokojem?

Jesiennogwiazdy przylgnął do niego mocniej, przelewając w umierającego boga całą moc, jaka jeszcze mu została. Większość bogów nawet nie dostrzegłaby jego wysiłków, ale Ipsep był tak słaby, jak Jesiennogwiazdy.

Wkrótce zanurzył się całkiem, znikając pod powierzchnią, choć Jesiennogwiazdy nie potrafił stwierdzić, czy usnął czy naprawdę odszedł.

Skupił się na wysiłkach dopłynięcia do swego obrońcy. Jak długo starzec pozostawał pod wodą? Lewe skrzydło Jesiennogwiazdego było złamane. Z każdym desperackim machnięciem woda wokół niego przybierała coraz intensywniejszą czerwień.

Dotarłszy do człowieka, wiedział już, że jest za późno. Całą z takim trudem zebraną moc zużył na walkę z Ipsepem. Nawet jeśli miałby siłę, by uleczyć ciało starca, i tak nie było w nim już duszy.

– Dziękuję – szepnął.

Chwilę później Tymalous Jesiennogwiazdy wygramolił się na brzeg, uczynił jeden krok, po czym przewrócił się jak długi na nos. Przekreściwszy się na wznak, zaczął poruszać ostrożnie członkami, zastanawiając się, kiedy nauczy się na nowo chodzić na dwóch nogach.

* * *

Jig pluł sobie w brodę. Mógł się tego spodziewać. Gratz był przecież goblinem, a gobliny nie oddają tak łatwo władzy. A już na pewno nie takiemu konusowi. Ale Jig był tak zajęty własnym strachem, zagrożeniem ze strony ludzi, orków i bogów, że zapomniał zupełnie bać się swoich towarzyszy.

Nóż Gratza miał krótkie, proste ostrze. Ledwie zdołałoby sięgnąć serca, ale gdyby Gratz był sprytny, od razu podciąłby Jigowi gardło.

Gratz podkradł się, kiedy Relka odeszła przekazać rozkazy. Inne gobliny też były za daleko, żeby pomóc. Nie, żeby miały taki zamiar. Jig zdawał sobie sprawę, że to jego wina. Powinien był zabić Gratza. A jeśli nie, to przynajmniej rozbroić i związać. Kapral tymczasem podszedł go niczym głuchego człowieka.

Jig cofnął się, sięgając po miecz. Zdaży wyciągnąć broń zanim Gratz skoczy? Pewnie nie.

– Czy regulamin nie wspomina nic o zakazie grożenia nożem wyższemu stopniem oficerowi?

Gratz zamrugnął zaskoczony.

– Co...? A, to. Nie, nie, sir. Chciałem tylko zaproponować, że wytnę ci szarżę.

– Wytniesz szarżę? – powtórzył Jig zdumiony.

– No, skoro jesteś porucznikiem, chcesz chyba, żeby wszyscy o tym wiedzieli? Według rangi powinieneś mieć sześć kresek na prawym ramieniu. – Przyjrzał się Jigowi, marszcząc brwi.

– Jesteś chudy, więc będą niewielkie...

– Nie.

– Ale przecież jesteś oficerem. – Gratz zapatrzył się zamglonym wzrokiem na nóż. – Jak dziś pamiętam dzień, kiedy stary Srebrnozęby wyciął mi pierwszą bliznę. Przez miesiąc nie mogłem ruszać ręką.

– Nie!

Gratz spojrzał na niego urażony.

– Nie jest tak źle, sir. Wzór jest nawet całkiem, całkiem. – Podciągnął rękaw, pokazując blizny tworzące ciemnoniebieski rysunek w kształcie zygzaka przekreślonego dwiema ukośnymi liniami. Po prawej stronie znaku znajdowało się kilka pochyłych cięć. – Blizna generalska jest jeszcze ładniejsza. Wokół tego są jeszcze dwa okręgi.

Jig! Ciemnogwiazdy robił wrażenie autentycznie wstrząśniętego. Nie pozwól sobie tego wyciąć!

Wiesz, może i nie jestem najmądrzejszym goblinem, ale takich rzeczy nie trzeba mi mówić. Nie, nie rozumiesz. Te blizny... W ten właśnie sposób Billa chce wszystkich zabić.

* * *

Jig nie od razu podążył za Gratzem do pozostałych. Siedział tak długo, że Ciapiek wpełzł

mu na kark i skubnął w ucho, sprawdzając, czy przyjaciel jeszcze żyje. Jig syknął, ściągając pająka z głowy.

– To zaklęcia – szepnął do niego. Każdy dowódca w armii Billi nosił na ramieniu magiczną runę. Ciemnogwiazdy nie był pewien, jak zaklęcie ma zadziałać, ale sądził, że jest na tyle potężne, by zabić wszystkich w promieniu dziesięciu kroków. Billa planowała uwolnić je podczas bitwy, kiedy żołnierze zewrą się w walce. Wtedy będzie mogła zabić wszystkich jednym rozkazem.

Musisz wracać, ponaglił go Ciemnogwiazdy.

Zdrętwiały, choć tylko częściowo z zimna, Jig dźwignął się i powłókł ku swojej „armii”. Żołnierze powitali powracającego dowódcę spojrzeniami godnymi wygłodniałych wilków patrzących na świeże mięso. Wiedzieli, że prędzej czy później Billa go znajdzie. Był chodzącym trupem.

Nie wiedzieli natomiast, że sami nie są ani odrobinę mniej martwi. Jednakże wyjawienie im planów Billi mogło się skończyć na dwa złe sposoby. Albo nie uwierzą mu, po czym Gratz zacytuje jakąś regułę zabraniającą wariatom pozostawać na stanowiskach dowódczych, albo co gorsza uwierzą, a wtedy wszelka subordynacja, jaką wpoila im Billa, pójdzie w zapomnienie i wojskowy oddział obróci się w dziką bandę.

A Jig nie radził sobie najlepiej z dzikimi bandami.

– Musimy podjąć decyzję – zaczął Jig i głos mu się załamał. Kilka goblinów wykrzywiło się kpiąco. Odchrząknął i kontynuował: – Możemy wrócić do armii Billi, wmieszać się w tłum, jak gdyby nigdy nic i nadal brać udział w wojnie Billi. – Zaczął krążyć tam i z powrotem, bardziej dla rozgrzewki, niż efektu. – Armia Billi, wojna Billi. Naprawdę sądzicie, że ktoś będzie pamiętał o zasługach goblinów, kiedy to wszystko się skończy?

Ironiczne miny goblinów zrzędy nieco.

– Billa kazała wam mnie schwytać – ciągnął Jig. – Ale gdzie chwała w złapaniu półślepego cherlaka i zawleczeniu go na śmierć? Sądzicie, że ktoś będzie o tym śpiewał hymny? O tym, jak to czternastu dzielnych wilczych jeźdźców pokonało parę zbiegów?

Trok pokiwał głową. Jig liczył, że nastroje pozostałych są podobne.

– Wiecie, jaki czeka mnie los, prawda? Billa chce mnie zabić.

Gobliny poruszyły się niespokojnie. Szczerłość nie była taktyką, jaką znały.

– Skoro tak, dobrze. Ale uważam, że najpierw powinniśmy pokazać im, do czego gobliny

są zdolne. Niech Billa i jej orki przekonają się, ile jesteśmy warci. Pokażemy im! Pokażemy ludziom! Pokażemy...

Gobliny zaczęły wiwatować. Co z nimi? Przecież nawet nie skończył. Aż tak bardzo pragną się wykazać? Nawet nie wiedzą jeszcze, za co wznoszą te radosne okrzyki!

Wskazał na drogę.

– Kawalek stąd, tam, znajduje się miasto. Ludzie porwali...

Szept Tymalouisa wybił go z rytmu. Westchnął, wskazując w przeciwną stronę.

– Zabrali z naszej góry wszystkich wojowników. Możemy ich odbić i zdobyć kolejne miasto dla Krwawej Billi! A po wszystkim każdy będzie śpiewał pieśni o zwycięstwie goblinów, o bitwie o Avery!

Głośniejsze wiwaty. Czy te gobliny są szalone?

Z tego, co zaobserwowałem..., zaczął Ciemnogwiazdy.

Cicho!

Gratz wystąpił naprzód. Jig w ostatniej chwili powstrzymał się przed cofnięciem. Gdyby Billa wiedziała, że znajduje się w pobliżu jej kaprała, wystarczyłoby uaktywnić zaklęcie.

– Wybacz, sir, ale według regulaminu atakowanie wroga bez rozkazu, z wyjątkiem okoliczności, gdy siły nieprzyjacielskie pierwsze rozpoczną...

– Trok! – przerwał mu Jig obcesowo. – Jeśli jeszcze raz Gratz podważy mój rozkaz, możesz natychmiast oddać go wilkom na pożarcie.

– Tak jest! – rozpromienił się wojownik.

Jig wskazał na chybił trafił kilku żołnierzy.

– Ogarnijcie tu. Reszta niech skończy z wilkami.

Nie mógł wyjść ze zdumienia, patrząc, jak wykonują jego polecenia. Nie dostrzegali w jego zachowaniu desperacji? Nie domyślali się, że zmyśla wszystko na poczekaniu, że najprawdopodobniej wszyscy zginą, jak tylko znajdą się w pobliżu Avery?

To gobliny, przypomniał mu Ciemnogwiazdy. Polubiłem waszą rasę, ale sam wiesz, że myślenie nie jest waszą mocną stroną.

Masz rację, zgodził się Jig. Gdybym pomyślał, nie wdawałbym się w żadne konszachty z bogami.

* * *

– Zmieniłem zdanie – oświadczył Jig, wpatrując się w Łotra, który stał już w nowej uprzęży. A raczej starej, której rzemienie powiązано węzłami. – Wy pojedziecie przodem i zajmiecie Avery, a ja dołączę do was później.

– Nie bój się. – Trok szarpnął wodzami i Skunks podszedł spokojnie do Jiga oraz Łotra. – Te bestie są niesamowite.

Łotr zniżył łeb i ubódł Jiga, wywracając go na ziemię.

– Widzisz? – ucieszył się Trok. – Lubi cię.

– Resztki Srebrnozębego tkwią mu jeszcze między kłami – wymamrotał Jig. Nie opuszczała go świadomość, że Łotr jednym kłapnięciem może go przegryźć na pół, a w dodatku za każdym razem, gdy patrzył na wilka, przed oczyma stawał mu pułkownik. Jeden nieostrożny ruch i Jig skończy tak samo. Pozostałości po byłym dowódcy nie wyglądały zachęcająco. „Siekanka pulpetowa”, jak określiła ich konsystencję Relka.

Ciekawe, kto w ogóle wpadł na tak idiotyczny pomysł, by wsadzać gobliny na wilki. Hobgobliny owszem, tresowały koty tunelowe, ale żadnemu nie wpadłoby do głowy, by na nich jeździć.

– Na pewno ma na twoim punkcie bzika – zgodził się Gratz. – Lepiej szybko go dosiądź, Jig, i pokaż, kto tu rządzi. Wiesz, nie jesteś gigantem, więc uważaj, bo jak się zniecierpliwi, weźmie cię jak szczeniaka.

– O czym ty mówisz? – przestraszył się Jig nie na żarty.

– Jak szczenię się za bardzo oddała, wilk rodzić łapie go za kark i przynosi z powrotem. – Gratz złapał się za kark, obrazując wyjaśnienia. – Szczenięta mają tu luźną skórę i grube futro, my zaś, cóż...

Jig złapał wodze skórzano-sznurowej uprzęży Łotra. Przytrzymując się pasów, wsunął stopę w niewielką pętlę zwisającą z boku.

– Druga noga – pouczył go Trok. – No, chyba że chcesz wjechać do Avery, podziwiając wilczy...

– Dzięki. – Jig zamienił nogę. Pętla znajdowała się tak wysoko, że wkładając w nią stopę, Jig zrobił niemal szpagat. Chwiejąc się na palcach, usiłował podskoczyć na tyle wysoko, by przerzucić nogę przez grzbiet wilka. W końcu udało mu się wdrapać na górę.

– Spokojnie, nauczysz się – pocieszył go Gratz. – Może. Kiedyś. Twoja kolej – machnął

na Relkę.

– Co?! – zdziwił się Jig.

– Pojedziesz oczywiście ze swoją samicą.

– Moją, czym?! – wrzasnął Jig.

Trok zrywał boki, krztusząc się i opluwając Skunksa w ataku śmiechu.

Gratz wprost przeciwnie, był absolutnie poważny.

– No, widziałem, jak na ciebie patrzy i słyszałem, jak o tobie mówi, byłem pewien, że...

Jig zaczął się wyklócać, ale tak naprawdę nie miał wyboru. Relka musiała z kimś jechać, a Łotr był największy w stadzie. Zacisnął więc zęby i czekał, aż goblina usadowi się za nim. Gratz mocno przywiązał ją do Jiga sznurem. Ciąpek zdążył wyskoczyć z kaptura, ledwie unikając zgniecenia. Przedreptał po ręce Jiga i umościł się w gęstym futrze na karku wilka.

Relka otoczyła goblina ramionami, przytrzymując się mocno.

– Możemy ruszać.

Jig łypnął groźnie na Grata. Gdyby dostrzegł na twarzy kaprała choć cień uśmiešku, kazałby Łotrowi go zjeść. Ale goblin mruknął tylko potakująco i wrócił do swojego wierzchowca. Wskoczył na grzbiet, poprawił uprząż i czekał.

A, tak. Czekali na Jiga. Łotr był przywódcą watahy, a Jig przywódcą goblinów.

– Idziemy, Łotr – powiedział, pochylając się ku uchu wilka.

Trok rozchichotał się znowu.

– Kopnij go po bokach, to ruszy – poinstruował Jiga Gratz. – Jak chcesz skrócić, ściśnij kolanami i jednocześnie pociągnij rzemień lejców po odpowiedniej stronie. Jak pociągniesz delikatnie oba, wtedy przystanie. A jak chcesz, żeby się wściekł, szarpnij go za wąsy. Doprowadza go to do szału.

– Kopnąć – powtórzył Jig. Gratz chyba oszalał. Jig przeżył do tej pory właśnie dzięki temu, że nie kopał wilków, które jednym chapnięciem mogły zjeść mu głowę.

Trok szturchnął Skunksa piętami i pociągnął rzemień. Wilk zatoczył niewielkie kółko.

– To łatwe, widzisz?

Jig pociągnął ostrożnie lejce. Łotr cofnął się, wrywając mu rzemień z rąk. Zaniebieszczony z podniecenia Jig spróbował ponownie.

– Nie zapomnij go kopnąć – rzuciła Relka i bez ostrzeżenia wbiła pięty w boki wilka. Wierzchowiec ruszył z miejsca tak gwałtownie, że Jig wyrznął głową w szczękę towarzyszki.

Reszta sfory pognęła za nimi. Jig zerknął przez ramię. Jadący z tyłu Trok machał i śmiał się jak idiota. W pewnej chwili grzmotnął ręką o niską gałąź, strącając na następnego jeźdźca śniegową czapę.

– Do Avery! – krzyknęła Relka.

Do Avery. Teraz wystarczyło wymyślić, co zrobią, gdy już tam dotrą...

* * *

Jig zaczął żałować, że Billa go nie zabiła jeszcze zanim ujrzał dachy pierwszych zabudowań w pobliżu Avery. Wewnętrzna strona ud miała mokną od potu. Nie wiedział, wilczego, czy własnego. Jednak przepocone spodnie były najmniejszym z jego problemów. Ogromne wilki miały także ogromne kręgi, a ich chód był bardziej niż nierówny. Po tej przejażdżce miał na kilka dni z głowy siedzenie.

Jego plecy, a pewnie także przód Reiki, także były wilgotne od potu. Jej wisiołek dźgał go dokładnie pomiędzy łopatkami, a sama Relka bez przerwy próbowała wesprzeć brodę na jego ramieniu, łaskocząc włosami ucho.

Jedynym, któremu podobała się ta przejażdżka, był Ciapek. Wdrapał się na łeb Łotra, stanął na wyciągniętych nogach i rozkoszował się wiatrem przeczesującym gęstą szczecinę.

– Jesteśmy prawie na miejscu – zauważyła Relka.

– Wiem. – Jig ściągnął wodze, szturchając wilka kolaniem. Łotr skrzęcił. – Nie ta noga – mruknął Jig, przyciskając do wielkich żeber drugie kolano. Powoli udało mu się pokierować wierzchowca pomiędzy drzewa. Po drodze usiłował sobie przypomnieć, jak się zatrzymać. Zerknął na Troka, który ciągnął lejce do siebie. A, tak. Jig szarpnął i Łotr przystanął niechętnie.

Padający śnieg zasypywał soczewki, lecz mimo to Jig dostrzegł wśród drzew zarysy palisady otaczającej Avery.

Jig zaczął mocować się z uprzężą, żeby zsiąść. Relka wyplątała się pierwsza i zgrabnie zsunęła po zadzie Łotra. Jig spojrzął na płataninę rzemieni i węzłów. Które utrzymywały go na wilku, a które były efektem pospiesznej naprawy?

W końcu poddał się i wyciągnął sztylet. Uwolnił się bardzo szybko, aczkolwiek na kostce została mu pętla. Udał, że jej nie widzi i odwrócił się do... swoich żołnierzy.

Wilki nawet nie miały zadyszki, a większość goblinów wydawała się zwarta i gotowa do

natychmiastowej szarży na miasto. Broń trzymali w pogotowiu, a poza tym żartowali i przechwalali się tak, jak to zwykle czyniły gobliny przed rzucając się w wir bitwy i paszczę śmierci przy okazji.

Wyjątkiem był Gratz, który zeskoczył z wilka, i usiadł na ziemi, mocując się z butami.

– Co robisz? – zapytał Jig, zapominając chwilowo o swoich problemach.

– Reg... regulamin mówi – stęknął kaprał, uwalniając się od obuwia – że po każdej dłuższej jeździe żołnierz zobowiązany jest wysuszyć się, aby zapobiec grzybicy i innym... paskudztwom.

Jig oniemiał ze zgrozy, widząc, jak bosy Gratz zaczyna rozpinąć pas.

– Nie ma na to czasu – powstrzymał go pospiesznie. – Wysuszymy się już w Avery, przy ciepłym ogniu.

Gobliny nagrodziły go wiwatami. Jig odwrócił się w stronę miasta. Brama była zamknięta, a pilnujący jej elf mógł wystrzelać połowę oddziału zanim zdążyliby do niej dotrzeć.

– Co regulamin mówi o zdobywaniu takich miast?

– Przy użyciu wielkich sił można przeprowadzić oblężenie, odcinając od dostaw oraz wsparcia i czekać, aż się poddadzą – wyrecytował Gratz.

Jig objął spojrzeniem swoje gobliny.

– A z mniejszymi siłami?

– Podjąć próbę sforsowania murów lub bramy – odparł Gratz, rozcierając stopy. – Tak czy owak, przy każdym ataku na ufortyfikowane miasto trzeba zakładać proporcje ofiar jak dziesięć do jednego. To oznacza, że każdy zabity obrońca to dziesięć trupów z naszej strony.

– Zaraz, co ty mówisz? Jest nas piętnastu, więc według twoich założeń damy radę zabić jednego lub dwóch ludzi, zanim zmiotą nas z powierzchni ziemi?

– Bystry jesteś! – uradował się Gratz. – Oczywiście, ten elf nad bramą zmienia te proporcje na piętnaście do jednego na ich korzyść.

Radosne zamieszanie wśród goblinów ucichło.

– A ponieważ siły atakujące składają się z goblinów – dodał Gratz – ich przewaga zwiększa się na dwadzieścia do jednego.

– Ale po naszej stronie mamy Jiga Smokobójcę – odezwała się Relka. – Obrońcę wiary, najwyższego kapłana Tymalouisa Ciemnogwiazdę. Zabójcę Strauma oraz Nekromanty. Pogromcę królowej chochlików. Poskromiciela Łotra. Towarzysza Ciapka. W twoim regulaminie

nie ma nic o Jigu, prawda?

– Ale ponieważ nie jest odbijaczem strzał i wielkim taranem, to i tak zginiemy zanim zdążymy zabić choćby jednego człowieka – powiedział Trok.

– Żadnych pyskówek! – warknął Gratz. – Jestem pewien, że nasz dowódca ma plan.

Trok popatrzył na Jiga ze złośliwym uśmiechem.

– No, to jak, sir? Jaki jest ten twój plan?

Właśnie. Plan. Jig osłonił oczy od słońca, przyglądając się goblinom pracującym w pobliżu bramy. Oczyszczyły już całą sekcję z kwiatów i teraz stojąc na drabinach, usuwały resztę z górnego pasa. Obserwował je stojący na platformie elf z łukiem w dłoni. Chyba nawet ten sam, który strzelał do Jiga podczas ucieczki. Przy wejściu stało kilku mężczyzn, którzy, jak się zdawało, pilnowali goblinów.

– Kluczem do opanowania Avery jest królowa Genevieve – zaczął Jig. – Musimy ją schwytać, koniecznie żywcem. – Jeśli była podobna do swych braci, prędzej umrze niż się podda, ale przecież gobliny o tym nie wiedziały. A Jig potrzebował tylko kilku minut, by z nią porozmawiać, albo raczej zmusić, aby go wysłuchała.

Z drugiej strony, jeśli faktycznie była podobna do braci, jest mało prawdopodobne, że posłucha choć jednego jego słowa.

– Potrzebujemy więcej żołnierzy – oświadczył Jig. – Genevieve przywlokła tu co najmniej czterdziestu naszych wojowników. Z tego co widzę, co najmniej połowa jeszcze żyje.

– Jak ich uwolnimy nie dając się przy tym zabić? – zapytał jeden z goblinów.

Jig przymknął oczy.

Powiedz Brafowi, że tu jesteśmy.

Począł, dając czas Ciemnogwiazdemu na przekazanie wiadomości. Po chwili jeden z pracujących na drabinie goblinów odwrócił się i osłoniwszy oczy, rozejrzał się wokół. Jig zmrużył oczy, chcąc upewnić się, że to Braf. W tym momencie goblin pomachał, omal nie spadając przy tym z drabiny.

– Jak to zrobiłeś? – wytrzeszczył oczy Gratz.

Jig westchnął ciężko.

Ciemnogwiazdy, czy mógłbyś z łaski swojej trzepnąć Brafa, zanim elf i ludzie zorientują się, że tu jesteśmy?

Braf wzdrygnął się, jakby ktoś dźgnął go czymś ostrym i szybko odwrócił się z powrotem

do ściany.

Dziękuję. Jig podszedł na sam skraj linii drzew. Braf, musimy porwać Genevieve i pomóc jej w powstrzymaniu Krwawej Billi.

Czemu mielibyśmy powstrzymywać Bule? Ciemnogwiazdy zgrabnie naśladował powolną, pozornie głupawą mowę Braf. Ciekawe czy odtwarzał też głos Jiga.

Ponieważ zamierza wszystkich zabić, odparł Jig. Gobliny, ludzi, wszystkich bez wyjątku. Chce wymordować obie armie. No i dlatego, że tego chce Ciemnogwiazdy. Jig obserwował więźniów. Nadal byli związani, co ograniczało ich swobodę działania. Mieli co prawda noże, ale niewiele znaczyły one wobec broni strażników. No i jeszcze ten elf na palisadzie. Ile razy w ciągu dnia Genevieve wychodzi poza mury?

Kilka, odpowiedział Braf. Za każdym razem, jak nas wyprowadzają z miasta i podczas powrotu też. Najgorzej jest rano. Jeszcze nie ma wiele światła i nikomu nie chce się iść do pracy. Noce też są okropne. I południa, jak się już pracuje dość długo i przypili potrzeba, a do obiadu daleko. Popołudnia też są beznadziejne. Właściwie to cały czas jest fatalnie.

Genevieve?, przystopował go Jig.

A, tak. Wieczorami wychodzi za miasto z Darnakiem, na spacer.

– Związane gobliny mają razem z nami szturmować miasto? – prychnął Trok.

Tak jakby niezwiązane stanowiły jakiegokolwiek zagrożenie dla miasta.

– Odwróć ich uwagę – oświadczył Jig i zwrócił się do wszystkich. – Poczekamy do wieczora. Wtedy Genevieve wyjdzie poza mury. Więźniowie zajmą czymś strażników, a my wykorzystamy ten moment i zaatakujemy. Bez względu na to, co się będzie działo, najważniejsze jest pochwycenie Genevieve.

– Genialne posunięcie! – zachwyciła się Relka.

Nie. Genialnym posunięciem byłoby wczolganie się podczas napaści Genevieve w najgłębszy korytarz i pozostanie tam do końca zamieszania. A także trzymanie się z dala, kiedy Billa zawlekła Relkę do świątyni. Czy w ogóle komuś poza goblinem udało się stanąć do walki przeciwko *obu* stronom sporu?

Jig?

Co? Trudno było stwierdzić, czy odzywa się do niego Braf czy Ciemnogwiazdy.

Czekaj... Cierń mi się wbił w ucho.

A więc Braf. Jig wyrzał z za drzewa, próbując spośród innych więźniów wyłowić

wzrokiem Braf. Nie było trudno wypatrzyć dłubiącego w uchu goblina. Zaraz... Jakim cudem udało mu się... Po krótkim namyśle Jig doszedł do wniosku, że nie chce wiedzieć.

Sluchaj, Jig, łatwiej byłoby, gdybyśmy nie byli związani.

Nie wątpię. Jig przesunął oczyma po palisadzie. Łatwiej byłoby także, gdyby Genevieve rozkazała strażnikom ugotować się na obiad, ale nie mam pojęcia, jak do tego doprowadzić, a ty?

No, zaraz pójdziemy z ładunkiem kwiatów do jednej z obór, rzekł Braf. Wartownicy patrzą tylko, żeby nikt nie uciekł. Nie zwrócą uwagi, jak ktoś do nas dołączy. Potem podczas pracy mógłbyś przepalić Ciapkem nasze więzy.

Czasami Jig zupełnie zapominał, że Braf tylko udaje głupiego. Pewnie dlatego, że tak wspaniale to robił.

Uśmiechnął się do siebie. Najlepszą częścią planu Braf'a było ocalenie go od ponownej jazdy na Łotrze. Zdecydowany odwrócił się do towarzyszy.

– Relka, będziesz dowodziła atakiem. Wiesz, co i jak. Starajcie się podchodzić jak najciszej. Im później was zauważą, tym mniej zostanie im czasu na reakcję. Pamiętajcie, musimy schwytać Genevieve żywcem!

– Nie zawiodę cię – obiecała Relka, salutując dokładnie tak samo służbiście i z takim zaangażowaniem jak Gratz.

Jig z trudem powstrzymał się od śmiechu. Ona martwiła się o to, czy go nie zawiedzie? Przecież to on, Jig, posyłał właśnie goblina do walki z ludźmi.

Pętla zsunęła mu się w końcu z kostki. Kopnął ją w kierunku Troka.

– Niech ktoś naprawi uprząż Łotra – rozkazał.

– A ty co? – zapytał Trok podejrzliwie.

Jig spojrzał ponuro na sterty kwiatów.

– A ja idę walczyć. Z kichaniem.

* * *

Brunatne źdźbła łaskotały go po twarzy, kiedy czołgał się przez pole. Otarł twarz i wyteżył wzrok. Goblina zaczynały schodzić z drabin. Z tyłu, zachodzące słońce zalewało ośnieżone góry pomarańczowym blaskiem. Nigdzie nie dostrzegł ani śladu wilczego szwadronu.

Dobrze. Jest szansa, że elf także go nie widzi.

Resztę drogi przebiegł przygarbiony, przystając na skraju pola. Teraz nie tylko widział złożone za budynkami kopy kwiatów, ale także je czuł. Oczy natychmiast zaczęły łzawić, a z nosa pociekło. Zakrył większość twarzy płaszczem. Ciąpek wdrapał mu się na ramię i tam przycupnął.

Starając się nie oddychać, Jig podpełzł do sterty i skulił się za nią tak, że był niewidoczny od strony palisady. Zginałby marnie, gdyby ktoś go dostrzegł. Choć z drugiej strony, dzięki temu nie musiałby już wdychać tego koszmarnego zapachu. Zrzucił kaptur na głowę i zaczął ćwiczyć nieoddychanie.

Jakiś pajaczek podpełzł zwabiony jego ciepłem.

Ciąpek skoczył. Krótki wybuch żaru upiekł pajaczkę i Ciąpek wycofał się do Jigowego kaptura, niosąc posiłek w przednich odnóżach. Jigowi zrobiło się żal małego stworzonka.

Zastrzygł uchem, wyłapując odgłosy zbliżających się goblinów. Przetarłszy oczy, wyrzał zza sterty kwiecica. Elf nie spuszczał oka z więźniów. Zanoszenie odciętych kwiatów do gospodarstw stanowiło najlepszą okazję do ucieczki, więc pewnie założył strzałę na cięciwę, aby w razie czego zniechęcić ich do tego. Jig wątpił, by po tamtej spektakularnej klęsce elf pozwolił któremuś z zakładników uczynić choć jeden krok w bok.

Tak jakby gobliny potrafiły współpracować ze sobą na tyle, żeby uciec. Nie były w stanie przeciąć więzów, a to oznaczało, że musiałyby biec razem. Gobliny rzadko kiedy robiły coś razem.

Nie, to nieprawda. Gobliny Billi współdziałały. Zgodnie maszerowały, wspólnie walczyły, a gdyby Billi i Isie się udało, ginęłyby ramię w ramię.

Szuranie grabi oznajmiło przybycie więźniów. Jig poczekał, aż wszyscy podejną do sterty, po czym wskoczył do szeregu tuż za Brafą.

– Jig! – rozpromienił się Braf. Także reszta goblinów, ku zaskoczeniu Jiga, pojaśniała na jego widok.

– Braf mówił, że z tobą rozmawia – powiedział jeden i wrzucił ramionami. – Myślałem, że to ludzkie jedzenie zgniło mu mózgu.

– Jak zamierzasz nas stąd wydostać? – zapytał inny.

– A możesz zrobić coś z tymi bąblami na moich rękach zanim uciekniemy?

– I z moimi stopami! Ledwie chodzę!

– Cicho! – syknął Jig, zerkając niespokojnie na palisadę. Elf wpatrywał się w nich jak sroka w gnat. Zauważył coś, czy nie? Pewnie nie, skoro Jig zachował jeszcze swą bezstrzałowość. Szybko przygarbił się, przybierając postawę z maltretowanego niewolnika, żeby nie odróżniać się od reszty. – Jak was uwolnię, macie zająć strażników – nakazał przyciszonym głosem.

– My? – Radość goblinów zaczęła w szybkim tempie znikać. – Mamy walczyć z uzbrojonymi ludźmi?

– I elfem? – dorzucił Braf, jak zawsze pomocny.

– Tylko przez chwilę, dopóki... moja armia nie zaatakuje. – Jig przygotował się na najgorsze, ale żaden z goblinów nawet nie prychnął. Właściwie robiły wrażenie uspokojonych.

Kichając i smarkając, Jig zaczął pomagać z kwiatami. Po kilku minutach gotów był odciąć sobie swędzący, ciekący nos.

W drodze powrotnej chwycił linę w zęby. Z daleka nie dałoby się dostrzec, że nie jest jednym ze związanych ze sobą goblinów. Kiedy dotarli do palisady, wszedł na drabinę z Brafem. Goblin przywiązany z tyłu siedział mu prawie na plecach, ale Jig miał nadzieję, że wszystko to nie potrwa długo. Sąsiad wdrapał się na niższy szczebel. Jig czuł jego oddech na karku i ze wszystkich sił starał się nie myśleć, że każdy goblin ma przy sobie nóż.

Nie wbiliby mu któregoś z nich teraz. Jeszcze nie. Był bezpieczny, dopóki potrzebowali go do pozbycia się więzów.

Potem, cóż, ten, kto odwraca się plecami do goblina, zasługuje na to, co go spotka.

Jig postawił Ciapka na linie. Tym razem trzeźwy, pajak nie miał problemu z uczepieniem się cienkiego sznura. Podniósł głowę, patrząc na Jiga.

– No, dalej. – Jig szturchnął go palcem, przesuwając kilka kroków w tył.

– Co z nim? – zaniepokoił się Braf.

– Nie jest wystarczająco przestraszony.

Jig zmartwiał natychmiast, po wypowiedzeniu tych słów, ale zanim zdążył je cofnąć, Braf wyciągnął rękę, żeby dźgnąć pajaka.

Nie trafił, ale zahaczył przy okazji o płaszcz Jiga, robiąc w nim dziurę. Ciapiek pomknął ku Jigowi, zostawiając za sobą dymiącą linę i skoczył mu na gors.

– Teraz taki gorący, że aż parzy – wycedził Jig przez zaciśnięte zęby. Usiłował złapać pajaka, ale ten wskoczył już do jednej z kieszeni.

Przytrzymując się drabiny jedną ręką, drugą Jig zaczął przeszukiwać płaszcz.

– O nie – jęknął słabo.

– Co się stało? – zapytał goblin pod nim.

Jig ze wszystkich sił starał się powstrzymać potężne kichnięcie. Nie udało mu się. Wstrząs zachwiał drabiną. Po wszystkim nabrał głęboko powietrza, wdychając kolejną porcję kwiatowego zapachu. Kichnął znowu i tym razem ręka ześlizgnęła mu się ze szczebla.

A potem znalazł się na ziemi, zgnieciony, pomiędzy Brafem i innymi goblinami. Z boleściwych okrzyków można było wywnioskować, że niektóre pospadały na swoje noże.

– Hej, co tam się dzieje?! – krzyknął elf, wymachując łukiem.

Jig usiłował się schować na sam spód zamieszania, ale gobliny już zaczęły wstawać.

Gdzie lina? Wypuścił ją, spadając. Jeden z kłów się chwia! Pewnie sznur go oblużował. Czy elf może zobaczyć stamtąd, że jeden więzień nie jest przywiązany do reszty?

– Ty, w liliowym płaszczu, co ty wyprawiasz?

– To fiolet, nie lila – obruszył się Jig pod nosem. Jeden ze strażników pobiegł do miasta, prawdopodobnie zawołać posiłki.

Jig nie drgnął. Nie musiał. Reszta goblinów odsunęła się od niego tak daleko, jak na to pozwalały więzy.

– Skąd jesteś? – zapytał elf. – Jakim cudem... – urwał, trafiony kamieniem prosto w czoło. Jęknął, przechylił się w przód i fiknął z palisady. Najwidoczniej Teodor nie wzmocnił wszystkich elfów.

Jig odwrócił się do grupki.

– Dzięki, Braf.

Braf podniósł kolejny kamień.

– Tyle czasu o tym marzyłem! – Triumfalny uśmiezek przypomniał Jigowi, że na długo przed tym, zanim został kapłanem, Braf był wojownikiem.

Jig podbiegł do elfa i kopnął łuk najdalej jak mógł. Elf co prawda się nie ruszał, ale lepiej było nie ryzykować. Ukląkł i odczepił mu od pasa nóż.

Wykuty z szarego metalu był lekki niczym piórko. Rękojeść z surowego drewna wydawała się ciepła w dotyku. Jig wypróbował ostrość krawędzi na elfie i rozpromienił się.

– Braf, chodź tu!

Braf podążył ku niemu, ciągnąc za sobą resztę. Jedno pociągnięcie sztyletem przecięło

więzy. Zanim pojawił się pierwszy strażnik, Jig zdążył uwolnić jeszcze cztery gobliny.

– Walczcie grabiami – pouczył je Jig. – Noże na nic się zdadzą przeciw włóczniom i mieczom.

U jego stóp zarył bełt. Kilku stojących na podestach ludzi celowało z kusz.

Jig zerwał się do biegu, ale zmienił zdanie i umknął pod ścianę. Ciernie nie pozwalały się do niej przykleić, ale i tak ludzie musieliby się bardzo mocno wychylić, żeby go trafić. Z góry dobiegały okrzyki, a od strony bramy tętent koni.

– Biegnijcie blisko ścian! – krzyknął. – Niech nas gonią!

Im dalej gobliny uciekną, tym dłużej brama pozostanie otwarta. Gdyby Relka i wilczy jeźdźcy się pospieszyli, zdążyliby dostać się do miasta i schwytać Genevieve.

Jig rzucił się za innymi, ale potknął się o elfa i runął na ziemię jak długi. Gobliny, jak to gobliny, nie obejrzały się nawet, porzucając go na pastwę losu.

Zaczął się podnosić, ale szybko zrozumiał, że ich nie dogoni.

Wyrwał z ziemi złamany bełt i wsadził go sobie pod pachę. Liczył, że mijający go ludzie uznają, że nie żyje. Jeśli nie, szybko awansuje na trupa.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch przy lesie i odwrócił lekko głowę. Nie miał pojęcia, że wilki rozwijają tak niesamowitą prędkość. Czoło szwadronu było już w połowie drogi do Avery, a z tego, co widział, ludzie jeszcze nic nie zauważyli.

Kilka koni przebiegło obok niego. Dudnienie podkutych kopyt kontrastowało z cichym stapaniem wilczych łap. Jig wstrzymał oddech, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Za końskimi przebiegły ludzkie nogi. Niektóre należały do strażników, inne do cywilów uzbrojonych w topory oraz włócznie. Zapewne wszyscy, którym nie podobał się pomysł sprowadzenia goblinów do miasta, pędzili teraz, by dać wyraz swemu niezadowoleniu.

– To podstęp! – Głos brzmiał znajomo, a jego źródło znajdowało się zdecydowanie za blisko, jak na gust Jiga. Nieopodal stała Genevieve, wskazując mieczem na pędzące ku bramie wilki. Jig zastygł w bezruchu, mając nadzieję, że go nie dostrzeże.

W górze świsnęła strzała, trafiając jednego z wilków. Zwierzę przekoziółkowało z jeźdźcem na grzbiecie. Ani wierzchowiec, ani goblin już nie wstali.

– Wszyscy do miasta! – krzyknęła Genevieve. – Zostawcie więźniów! Łucznicy, strzelać do wilków!

Jig zwarł szczękę. Ludzie zbyt szybko zauważyli oddział. Jeźdźcy nie zdążą dobiec do

palisady przed zamknięciem bramy. Znowu mijali go ludzie, jednak tym razem gniew na ich twarzach zastępowała trwoga.

– Ciebie też to dotyczy, Ginny! – krzyknął stojący gdzieś bliżej wrót Darnak. – Z murów wystrzelamy ich jak kaczki.

I tak kończy wielka armia Jiga. Pierwszy plan strategiczny, jaki opracował, zawiódł zanim żołnierze mieli szansę dobyć broni. Genevieve dotrze bez trudu do miasta, a potem spokojnie wybije wszystkie gobliny.

Chyba że ktoś ją powstrzyma.

– Jak ja tego nie cierpię – westchnął Jig, zerwał się i popędził za królową. Nie spieszyła się, a całą uwagę skupiała na wilkach.

Natomiast czekający przy bramie Darnak zauważył Jiga niemal natychmiast.

– Królowo, uważaj, za tobą!

Znajdował się za daleko, żeby do niego podbiec na czas, a z ostrzeżeniem też spóźnił się kilka sekund. Genevieve zaczęła się obracać i w tej samej chwili Jig skoczył jej na plecy, łapiąc jedną ręką za szyję, drugą zaś przystawiając do gardła elfi nóż.

– Każ ludziom zaprzestać walki! – Udało mu się! Schwytał...

Genevieve zamknęła jego przegub w kleszczowym uścisku, odpychając ostrze i jednocześnie wbijając łokieć w brzuch Jiga. Sztylet upadł na ziemię. Sięgnęła za siebie i chwyciwszy go za ucho, przerzuciła przez ramię.

Stała nad oszołomionym goblinem z nożem w ręku.

– Poznaję cię. To ty jesteś tym komisem, który brał udział w kradzieży mojego konia! – uklękła, przystawiając mu sztylet do piersi – Ty jesteś Jig, prawda?

A niech to lichy!

Darnak biegł ku nim, tupiąc ciężkimi butami.

– Królowo, zostaw tego goblina i wracaj do miasta!

Jig wstrzymał oddech, czekając na cios.

Nagle przefrunęła nad nimi ogromna kula futra i dziewczyna zniknęła.

– Ginny! – Darnak uniósł maczugę i zaatakował.

Jig przekręcił się na bok. Genevieve leżała przyciśnięta wielką łapą Łotra. Sam wilk wodził wzrokiem od niej do Darnaka, jakby nie mógł się zdecydować, czy zjeść swoją ofiarę przez zabiciem tej drugiej, czy może pożreć obie naraz.

– Łotr, leżeć! – krzyknął Jig. Wilczysko spojrzało na niego zbite z tropu.

Jig usiadł, przeszukując kieszenie. Znalazł jeden, ostatni palec.

– Siad – rozkazał, rzucając go Łotrowi.

Wilk usłuchał. Genevieve zdążyła wydać z siebie przerażony pisk, zanim zniknęła pod masywnym zadem zwierzęcia. Wystawały tylko jej wierzgające rozpaczliwie nogi.

– Puść ją, Jig – odezwał się Darnak. – Nie chcę z tobą walczyć.

Łotr warknął groźnie. Reszta szwadronu utworzyła wokół rozmówców krąg kłów, pazurów oraz mieczy. Darnak nie mrugnął nawet.

Jig zerknął na palisadę, gdzie stało kilku ludzi z kuszami gotowymi do strzału. Obserwowali Darnaka, czekając na rozkaz.

– Nie pozwolę ci jej zabić – oświadczył Darnak stanowczo. – Nie Ginny.

– Nie mam zamiaru jej zabijać.

– To czego w takim razie chcesz? – Darnak opuścił maczugę. – Jeśli przybyłeś tu uwolnić towarzyszy, proszę bardzo. Weź ich i odejź.

Jig odwołał gestem swoich żołnierzy. Oddalili się, choć Trok musiał szarpnąć wodze kilka razy, zanim Skunks go posłuchał.

Jig nie mógł wyznać Darnakowi prawdy. Nie tutaj. Nawet gdyby szeptał, uszy goblinów usłyszałyby każde jego słowo.

– Namów ją, żeby się poddała, a nikogo nie zabijemy.

Darnak rozejrzał się wokół. Większość zbrojnych wbiegła już za bramę. Darnak został sam, otoczony goblinami. W normalnych okolicznościach miałby przewagę nad Jigiem, ale nawet Darnak nie był w stanie walczyć z tyloma wilkami.

– Zaplanowałeś to, prawda? – zapytał.

– Zaplanowałem, tak, tyle, że nie do końca to.

Darnak roześmiał się nieoczekiwanie.

– Każdy dowódca polowy zna to uczucie.

Jig nie spuszczał oczu z jego maczugi. Może i Darnak nie mógł pokonać całego oddziału, ale na pewno zdążyłby zabić Jiga, zanim wilki by go dopadły.

– Wypuść Genevieve. – Darnak rzucił mu pod nogi maczugę, po czym odwrócił się i pomachał swoim ludziom. – Opuście broń, wszyscy!

Goblinoi strzeliłyby mimo rozkazu. Ludzie usłuchali.

– Łotr... – zaczął Jig i zawahał się. Jak mogła brzmieć komenda, polecająca wilkowi zejść z człowieka?

Gratz chrząknął niegłośnie.

– Może „na nogi”, sir?

– Na nogi, Łotr!

Wilk podniósł się, zniżając łeb i odsłaniając kły. Królowna, kaszląc i ciężko dysząc, wyczołgała się spod niego. Znudzoną zwykle minę zastąpił wyraz absolutnej zgrozy. Na widok Jiga zacisnęła dłonie w pięści. Plując sierścią, zaczęła macać wokół, szukając jakiejś broni.

– Spokojnie, Ginny – mitygował ją Darnak.

– Ten wilk – wykrztusiła królowna. – Ten wilk... On na mnie *usiadł!*

Darnak wybuchnął chichotem, który musiał szybko pokryć atakiem kaszlu.

– To koniec.

Szkoda, że Darnak nie miał racji. Jig rozejrzył się niepewnie.

– A gdzie Relka?

Trok wskazał na pole. Relka brnęła w śniegu, kulejąc i ciągnąc po ziemi miecz.

– Co jej się stało?

– Uparła się, żeby jechać na Łotrze zamiast ciebie. Kiedy ten zobaczył, że wpadłeś w tarapaty, rzucił się naprzód jak kot tunelowy z podpalonym ogonem. A Relka spadła. – Trok wzruszył ramionami. – Wygląda na to, że ktoś zapomniał o kilku linkach podczas naprawiania uprzęży Łotra – oświadczył z niewinną miną.

Rozdział 10

Tymalous Jesiennogwiazdy opróżnił kubek, przelitykając kilka ostatnich kropli... właściwie nie był pewien czego. Sądząc po smaku, mogło to być wszystko, od gnomiego piwa, do sfermentowanych sików lamparta. Beknął i zamówił kolejną porcję.

– Nie masz już dosyć, dziadku? – W głosie stojącego za barem mężczyzny pobrzmiwał jednocześnie podziw i irytacja. Barman był w średnim wieku, miał przebite uszy i bursztynowe kolczyki, jakie nosili akolici Rionisusa Żółtookiego. Za odpowiednią cenę był w stanie zorganizować dostarczenie każdej ziemskiej przyjemności, jaką klient sobie zażyczył. Dopóki odprowadzał lwią część zysków do świątyni, ludzie cesarza nie mogli go tknąć.

– Dosyć – powtórzył Jesiennogwiazdy, dostawiając kolejny pusty kubek do stojącej przed nim baterii. – Moi wyznawcy odeszli dawno temu. Moja gwiazda zniknęła z nocnego nieba. Większość towarzyszy zginęła, a ci, którzy pozostali, dybią na moje życie. I nikt już nie pamięta mojego imienia. I ty sugerujesz, że mam dosyć?

– A nawet więcej. Czas, żebyś...

– Nazywam się Tymalous Jesiennogwiazdy. – Odchylił się, opierając o jedną z poduch, które zaścielały podłogę niczym kolorowe odchody jakichś gigantycznych zwierząt. W karczmach Żółtookiego nie było krzeseł. Wzdłuż ścian ciągnął się bar, mniej więcej wysokości do kolan, zrobiony z dachówkowato ułożonych płytek zielonego łupku. – Powtórz moje imię, a zapłacę ci po dziesięciokroć za te siki – wskazał na kubki. – Jeśli nie powtórzysz, należesz mi następną kolejkę i zostawisz butelkę.

Karczmarz usiadł i życzliwie klepnął Jesiennogwiazdego po plecach.

– Słyszysz sam siebie? Wyznawcy, skradzione gwiazdy. Idź do domu, prześpij się, rano wszystko wyda ci się lepsze.

Jesiennogwiazdy uśmiechnął się odrobinę krzywo.

– Moje imię. – Mimo że nie podniósł głosu, kilku obecnych w knajpie klientów umilkło. – Powtórz je.

– Jasne, dziadku – ustąpił karczmarz. Zmarszczył brwi. – Jak to mówileś...?

– Tymalous Jesiennogwiazdy. – Przeczekał drugą turę jąkania oberżysty. Kątem oka dostrzegł, jak jeden z klientów podnosi rękę, czyniąc znak aligatora, odpędzający złe moce.

Karczmarz odwrócił się, sięgając po butelkę.

* * *

Zdobycie Avery okazało się najłatwiejszą częścią planu. Utrzymanie zwycięskiej pozycji, to co innego. Trzydziestka goblinów i kilkanaście wilków nie było w stanie długo kontrolować miasta tej wielkości. Wiedziała o tym Genevieve, wiedział o tym także Jig. To wyjaśniałoby wredny uśmieszek, z jakim królowa na niego patrzyła.

Choć niewykluczone, że dziewczyna wyobrażała sobie po prostu, co mu zrobi, gdy uda jej się uciec. Mimo że została związana i odebrano jej wszelką broń, Jig i tak czuł się, jakby stał przed smokiem, który lada moment go pożre.

– Musimy porozmawiać – oznajmił.

Genevieve nie przestawała się uśmiechać.

– W porządku – rzekł Darnak. – Ale może nie tu, na środku drogi?

Jig zgadzał się z nim bez reszty, ale jak do tej pory nie zdołał ująć trzech kroków, żeby ktoś nie zatrzymał go, pytając o rozkazy. A propos rozkazów...

– Wilki są głodne – powiadomił go podbiegający Gratz. Wraz z kapralem przybyło jeszcze trzech wilczych. – Pochłonęły tego elfa, ale nadal warczą. Naprawdę nie możemy ich nakarmić jakimś zakładnikiem? Tylu ich tu jest, że nikt nie zauważy braku jednego. Dopilnuję, żeby to był jakiś ranny i...

– Nie – zaprotestował Jig stanowczo – Porozmawiaj z Brafem. Ludzie muszą tu mieć jakieś składy żywności. Czekać, gdzie w ogóle zrobiliście wilczarnię?

– W tym dużym budynku, tam. Tym z drzewami o czerwonych liściach.

– Krwawe dęby – odezwała się Genevieve. – Umieściliście te bestie w domu burmistrza – zarechotała.

– To najsolidniejszy budynek, jaki udało nam się znaleźć – wyjaśnił Gratz. – Jak zaglądałem tam ostatnio, wilki mościły sobie legowiska z gobelinów.

– Biedny Detwiler – powiedziała Genevieve z fałszywym współczuciem. – Należało mu się za tę tchórzliwą ucieczkę na wieść o armii Billi.

– Cóż, jak wróci, będzie musiał wyczyścić szafę, zanim coś do niej schowa. A i wywaliłem pościel. Skunks znowu się wytarzał.

Nadbiegł Trok z kilkoma goblinami.

– Zamknęliśmy strażników – oznajmił, przepychając się przed Gratza. – W stajniach – dodał z mściwą satysfakcją. – Wrota zabarykadowane, a przy oknach pilnuje kilku naszych.

– A co z mieszkańcami? – zapytał Jig.

– Sami się pozamykali. Większość uciekła do tej wielkiej świątyni i zabarykadowała drzwi. – Trok zerknął na Gratza. – Boją się, że nakarmimy nimi wilki.

A więc wszystko w porządku. Jig zwrócił się do Darnaka i królowej.

– To kiedy podpalimy te stajnie? – zatrzymał go Trok. – Relka mówi, że jak dorzucimy do ognia odpowiedni gatunek drewna, dym nada mięsu smak i...

– Nikt nie będzie nikogo zabijał i zjadał! – zdenerwował się Jig. – Jeśli któryś goblin nie posłucha, zostanie stracony na miejscu.

Gratz zmarszczył w zamyśleniu czoło.

– Zaraz, a czy ten, kto wykona wyrok, nie złamie regulaminowego zakazu zabijania współtowarzyszy?

– Jeśli pozwolimy im żyć, zaraz uciekną – gderał Trok. – Wiesz, jacy są ludzie.

– Później się tym zajmę – warknął Jig.

– I pomyśleć, że ktoś taki nas podbił – szepnęła Genevieve.

Darnak zachichotał.

– Twoja matka powiedziałaaby, że w ten sposób bogowie uczą nas pokory.

– Co teraz, sir? – dopytywał się Gratz. – Znaczy, już zajęliśmy miasto. To powinno wystarczyć, żeby Billa nam wybaczyła. Może wyślesz do niej posłańca...

– Nie! – przeraził się Jig. Przełknął ślinę i spróbował znowu. – Nie. – Tak lepiej. Teraz brzmiał jak goblin, nie jak rozhisteryzowane ptaszysko. – Najpierw... najpierw muszę przesłuchać więźniów.

– Billa pozwoliłaby nam zjeść przynajmniej krasnoluda – wytknął mu któryś z goblinów. Jig poszukał go wzrokiem, ale nie mógł namierzyć mówiącego.

– Nie musimy nikogo zabijać – stwierdził Trok. – Weźmy tu nogę, tam rękę, ludzie przeżyją coś takiego, no nie?

– Nie będziemy zjadać jeńców! – huknął Jig. Bo inaczej nie uda mu się przekonać Genevieve, żeby go posłuchała. Już otwierał usta, żeby coś dodać, ale w tym momencie podbiegła Relka i szepnęła mu coś do ucha. – Nie będziemy zjadać więcej jeńców – poprawił z westchnieniem.

Sądząc z ich min, nie był to dobry sposób na zachowanie dowodzenia. Walczyli, zwyciężyli, a on odmawiał im możliwości świętowania sukcesu. Ile czasu minie, zanim z przywódcy stanie się obiadem?

– Wszyscy byli więźniowie gobliniscy niniejszym zostają wcieleni do armii – ogłosił i został nagrodzony jeszcze głośniejszym pomrukiem niezadowolenia. Gobliny, które pracowały w mieście, nie wiedziały, co to dla nich oznacza, jeźdźcy wilków zaś nie byli zachwyceni, że jacyś obcy stają się, ot tak, częścią ich oddziału. Ale Jig jeszcze nie skończył.

– Wszyscy, którzy brali udział w dzisiejszej szarży zostają awansowani do rangi... – zająknął się, nie mając pojęcia, jak dokończyć zdanie. W jakiej kolejności szły te stopnie? Gratz był kapralem, a Jig według jego słów, porucznikiem. – Do rangi... kapitana?

Tym razem rozległy się wiwaty i radosne okrzyki, więc Jig doszedł do wniosku, że trafił.

– Nie możesz awansować wszystkich. Będzie zbyt wielu sierżantów w oddziale. Poza tym trzeba po kolei przejść wszystkie stopnie i wypracować...

– Odmawiasz przyjęcia awansu... sierżancie Gratz?

Gratz obliznął wargi.

– Noo... Właściwie to zgodnie z regulaminem dowódca znajdujących się w terenie, w dużej odległości od armii, ma prawo do nadawania awansów.

– Dobrze – uśmiechnął się Jig. – Sierżancie Trok, jesteś odpowiedzialny za nowych rekrutów. Nikt nie zjada jeńców, zrozumiano?

Trok skrzywił się szpetnie. Wiedział, co Jig właśnie zrobił, ale zmilczał. Dobre i to.

Jig wytarł nos rękawem. Czuł się, jakby zamiast głowy miał jeden z faszeryowanych szczurów Golaki. Głupie elfy i ich głupie kwiatki i drzewka. Tyle tu ulic, budynków, ścieżek... Jak ci ludzie się tu poruszają?

– Gdzie moglibyśmy porozmawiać? – zwrócił się do Genevieve. – Znaczący, gdzie mogę was spokojnie przesłuchać?

Wskazała gęstą kępę obłuszczonej drzew, niedaleko bramy. Ciemne, szablaste liście pnączy okrywały pnie i gałęzie fioletowym kocem.

– Może tam? To najspokojniejsze miejsce.

– A co tam jest? – spytał Jig podejrzliwie.

Genevieve zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Cmentarz. – Zboczyła z drogi w śnieg. – Pomyślałam, że zapoznam cię z kilkoma

osobami, zanim dołączysz do towarzystwa.

Gratz wyszarpnął miecz z pochwy.

– Grożenie oficerowi armii Billi stanowi podstawę do...

– Zamknij się i chodź ze mną, Gratz. Relka, ty znajdź Brafa i przyprowadź go w tamte drzewa. – Relka i Braf były jedynymi goblinami w Avery, które usłyszawszy prawdę, nie zabijają go natychmiast.

Jig skierował kroki na cmentarz. – No? Idziecie czy nie?

* * *

Po wejściu pomiędzy drzewa, ociepliło się. Nie na tyle, by rozgrzać zmarznięty nos i palce, ale śnieg zastąpiło błoto, nie docierały tu także zimne podmuchy wiatru.

– Każde z tych drzew zasiano w ciele zmarłego elfa – powiedziała Genevieve, bawiąc się gałązką. – Niektóre z nich mają ponad sto lat.

– To elfy oddają swoich zmarłych na pożarcie drzewom? – zdziwiła się Relka.

– Dębizad byłby zachwycony – zauważył Gratz.

– Kto? – nie zrozumiał Braf.

Jig usiadł na ziemi, starając się nie dotykać żadną częścią ciała wystających korzeni elfich drzew.

– Chciałbyś tu zostać pochowany? – zapytała Genevieve. – Dopilnuję tego osobiście, jak przybędzie tu armia mego ojca.

– Zaraz, to twój ojciec prowadzi tu wojska? – zdumiał się Jig.

Genevieve przewróciła oczyma, przypominając Jigowi czas spędzony z jej braćmi.

– Wiemy, że armia Billi zmierza w tę stronę. Gdyby nie ta przekłeta pogoda, ojciec już by ją doścignął. Ale na przełęczach zalega śnieg i wojsko dotrze tu dopiero za kilka dni. Ale odbijemy Avery, a wtedy...

Jig zniżył głos, niemal do szeptu.

– Billi wcale nie zależy na tym mieście.

Tego Genevieve się nie spodziewała. Robiła wrażenie wręcz urażonej.

– A czemu niby nie chciałyby zająć tego miasta?

Jig mógłby do rana wymieniać powody, ale porzucił ten pomysł, kierując kolejne słowa

do Darnaka.

– Jeśli nie pomożesz, wszyscy zginą. I ludzie, i gobliny.

– Co ty opowiadasz, chłopcze?

Jig odsunął się gwałtownie, próbując jednocześnie obserwować wszystkich obecnych.

Gobliny wyglądały na zbite z tropu, Genevieve na rozdrażnioną.

– A więc napadliście na Avery, żebyśmy wam pomogli? – prychnęła.

Darnak uciszył ją gestem ręki.

. – Spokojnie, królewno. Jig nie jest głupi. Uratował mnie i twoich braci, kiedy wpadliśmy w pułapkę hobgoblinów.

– Niewątpliwie tylko dlatego, że ratował własną skórę – burknęła Genevieve.

– Niewątpliwie, aczkolwiek z tym samym skutkiem. – Popatrzył na gobliny, a potem na Jiga. Zapewne dostrzegł jego lęk. – Nie ubędzie nam od wysłuchania, co ma do powiedzenia.

– No, chyba że zamierza nas torturować w celu wyduszenia informacji – mruknęła dziewczyna.

Gratz pojaśniał natychmiast, dobywając z kieszeni wymiętoszony plik.

– Zapisałem całą masę technik zadawania męczarni. Hm... to nie, bo nie mamy katapulty.

Przy tym potrzebowaliśmy Dębizada. – Rozejrzał się nieprzytomnie. – Ma ktoś podkowę końską?

Jig odetchnął głęboko. Nie miał czasu na te bzdury.

– Sierzancie Gratz, daj mi miecz.

– Tak jest, sir. – Gratz wyszczerzył się radośnie, podając broń Jigowi. Gevevieve i Darnak zeszywnieli, jakby gotowali się do skoku i wytrącenia mu ostrza z dłoni. Co zwykle następowało w sytuacji goblin-jeniec. Samo schwytanie więźniów było niczym wobec pilnowania, by się nie wymknęli, zabijając przy tym strażników. Łatwiej było ich po prostu wrzucić do kotła i mieć *to* z głowy. Żaden zakładnik nie uciekł jeszcze po przetrwaniu.

– Nóż także. – Odebrawszy sztylet, Jig przekazał go Brafowi. – A teraz zdejmij koszulę.

– Co?! – Gratz zamrugał oszołomiony. – Znaczy, co, sir?!

– Koszulę. – Jig zerknął na królową. Nadal przypominała sprężonego do skoku kota tunelowego, ale ciekawość zaczynała brać górę nad czujnością.

Gratz posłusznie zdjął pancerz, a potem koszulę. Zatrząś się z zimna.

Genevieve wykrzywiła się, jakby połknęła muchę.

– To jest twój plan? Chcesz nas zabić widokiem nagich goblinów? – Zasalutowała mu, dotykając palcami czoła. – Muszę ci oddać hołd, to naprawdę demoniczny plan, z pewnością obniżył moje morale.

– Darnaku, spójrz na bliznę na ramieniu Gracza – poprosił Jig.

Krasnolud obejrzał ramię goblina.

– Jeśli chcesz, żebym go uleczył, to te cięcia są zbyt stare, żeby...

– Uleczyć to sam go mogę. – Jig machnął ręką. – Popatrz na znak, który tworzą. Jest magiczny.

– Jak to, sam możesz go uleczyć? – Darnak wytrzeszczył oczy.

– Darnaku, proszę – Jig wskazał na ramię Gracza.

– Nie rozumiem, sir – potrząsnął głową świeżo mianowany sierżant. – Srebrnozęby sam mi go wyciął, kiedy dostałem awans. – Potarł bliznę.

Darnak złapał rękę Gracza i przyjrzał się znakowi, ściągając krzaczaste brwi.

– Hm... To wygląda prawie jak runy... – Szarpnął ramię ku sobie, omal nie wrywając go z barku. – Chodź tu, potrzebuję lepszego światła.

Jig i Genevieve podążyli za nimi.

– Linie są koślawe – mruknął. – Może to tylko przypadek, że tworzą ten rysunek. Ludzie ciągle widzą jakieś mistyczne znaki i święte wizerunki w chmurach albo na lukrowanych bułkach. Prawda, królewno? Czy to nie jeden z twoich braci wypadł kiedyś z wygodki, wrzeszcząc, że zobaczył twarz Tallisa Vana w...

– Jest magiczny czy nie? – przerwał mu Jig.

– Może być, aczkolwiek nie mam zielonego pojęcia, skąd goblin miałby magiczne znaki na ramieniu. – Darnak uszczypnął obrzeże blizny. Gracz kwiknął boleśnie. – Skóra jest tu zimna – oświadczył.

– Może dlatego, że siedzi półnagi w środku zimy? – podsunęła Genevieve. – Jak ta magia miałaby w ogóle działać?

– Nie jestem pewien – przyznał Jig. – Ale ma chyba robić coś złego. Coś, co mogłoby zabić wszystkich w obrębie tego cmentarza, włącznie z Graczem.

– Coś w rodzaju samobójczego zaklęcia? – zapytał Darnak. – Aby powstrzymać pochwyconego żołnierza przed wydaniem informacji wrogowi? Jest taka sekta asasynów, którzy robią coś podobnego, ale nie podejrzewam, by gobliny odważyły się użyć takiej magii.

Gratz robił coraz większe oczy. Wyrwał się Darnakowi i odwrócił do Jiga.

– Dlaczego opowiadasz im takie dziwne rzeczy, sir? Srebrnozęby nie był żadnym magiem, a ta blizna to moja szarża. Wszyscy dowódcy takie mają.

– Ilu? – zapytał Jig.

Gratz przekrzywił głowę, marszcząc brwi.

– No, na każdy pluton trzeba liczyć najmniej dwóch, więc jakichś pięćdziesięciu jeśli chodzi o same gobliny. W jednostkach koboldów i orków jeszcze więcej.

Jig popatrzył na Genevieve.

– A teraz wyobraź sobie, co się stanie, jak nadejdzie twój ojciec. Billa będzie czekała z wojskami w dolinie. Wasi żołnierze zaatakują jej szeregi, przebijając się coraz głębiej, ku sercu armii.

– Hej, nie doceniasz naszych żołnierzy, sir – obruszył się Gratz. – Damy radę...

– Zamknij się – fuknął Jig. – Nie wiem, jaką magię Billa zawarła w tych znakach, ale założę się, że uaktywni je równocześnie. Setki run zabijających ludzi i potwory.

– To bez sensu – oświadczył Darnak. – Taka strategia uśmierciłaby więcej własnych żołnierzy niż wrogów. Nie wykluczam, że mogłaby nawet zwyciężyć, ale co z tego, skoro triumfowałyby na polu zasłanym trupami?

– O to właśnie jej chodzi. – Jig zerknął na gobliny. Relka stała jak urzeczona, spijając każde jego słowo. To akurat o niczym nie świadczyło. Relka słuchałaby go z takim samym napięciem, nawet gdyby Jig rozprawiał o różnych odcieniach grzybicy stóp.

Braf potakiwał do siebie. Pewnie Ciemnogwiazdy przekonywał go od środka. Gratz był wściekły. Jig odsunął się od niego przezornie, a potem podjął wyjaśnienia.

– Tylko w ten sposób może ściągnąć tu Noka.

Zapadło milczenie. Wreszcie Darnak odzyskał mowę.

– Masz na myśli boga śmierci?

Jig kiwnął głową tak energicznie, że okulary zsunęły mu się z nosa.

– Wszystko, co robi, od samego początku jest częścią planu, przy pomocy którego chce zwabić Noka. Tylko po to zebrała tak ogromną armię, chce poświęcić wszystkich żołnierzy, żeby...

– To nieprawda! – krzyknął Gratz. Poparzony przez Ciapka Jig zdołał odskoczyć, nim sierżant ruszył w jego stronę.

Gratz jednak zdołał uczynić tylko jeden krok, zanim Darnak nie złapał go za pasek, przytrzymując w miejscu. Goblin okręcił się i grzmotnął krasnoluda w szczękę.

Darnak zmarszczył się groźnie. Gratz zacisnął pięści. A potem uleciał pomiędzy gałęzie, strząsając z nich śnieg.

Darnak otrzepał ręce i rozmasował podbródek.

– Niezgorzej, jak na goblina. To co tam mówiłeś o Noku?

– Gdy Billa zabije tyle istot, ich śmierć przywoła Noka w dolinę. Potem, za pomocą miecza Isy...

– Isy? – przerwała Genevieve.

– To bogini zimowych wichrów – wyjaśnił Jig.

– Zimowych wichrów, hm? – Darnak zakręcił pasmo brody na palcu. – To wyjaśniałoby tę paskudną pogodę. I jak ta bogini miałaaby się nazywać?

Jig zamrugał, zaskoczony.

– Isa. Należy do Zapomnianych Bogów Wojny Cieni. Tak jak Tymalous Ciemnogwiazdy.

– Kto? – Darnak uniósł brwi.

Jig nie odpowiedział. Przecież to Darnak właśnie opowiadał mu o Ciemnogwiazdym. Co jest z tym krasnoludem?

– Mnie bardziej interesuje ta bogini, którą chce uwolnić Billa – stwierdziła Genevieve. – Jak ona się nazywa?

– Isa! – wrzasnął Jig.

Królewna pokiwała głową, ale Darnak nadstawił ucho.

– Wybacz, nie dosłyszałem. Możesz powtórzyć jej imię?

Braf parsknął śmiechem – Chyba ich złamałeś.

Możesz im je powtarzać cały dzień, Jig, a i tak nie zapamiętają, odezwał się Ciemnogwiazdy. Nasze imiona wymykają się ich pamięci już w chwili, gdy je wypowiadasz. Możesz mu je wyciąć na dłoni, a on i tak zapomni.

Jig potrząsnął głową.

To Darnak właśnie powiedział mi o tobie, jeszcze w tunelach. Jak mógłby...

Pogrzebałem trochę w jego umyśle. Ciemnogwiazdy nie zostawił mu czasu na przemyślenie nowiny, czy wyciąganie wniosków. Tak działa klątwa, którą rzucił na nas Nok.

To znaczy, że nikt nie może zapamiętać waszych imion?

Ciemnogwiazdy zachichotał perliście.

W każdym razie żaden przedstawiciel cywilizowanych ras.

Uhm. Cywilizowanych. Czyli ludzi, krasnoludów oraz elfów. Dziwna klątwa.

Nok zawsze starał się mówić uczenie, i pompatycznie. Przez całe wieki nie dopatrzył się luki we własnym zaklęciu. Isa jest widać dużo bystrzejsza, skoro od czasu, kiedy ją dostrzegła, udało jej się już zebrać taką armię.

– Nazywajcie ją Zima.

– Zima? – Darnak zmarszczył czoło. – Wydawało mi się, że mówiłeś... A niech mnie kobold kopnie. Mam to na końcu języka.

– Bogowie mają wiele imion – oświadczył Jig przemądrzale. – Ty akurat powinieś wiedzieć o tym najlepiej.

– No, fakt – przyznał Darnak. – Sam Ziemiotwórca ma ich ze dwadzieścia, jak nie więcej. Krasnoludy z północy mówią na niego Stary Stalowojaicy, bo jak mówi legenda, kiedyś, podczas kąpieli...

– Później opowiesz nam o Ziemiotwórcy – ucięła Genevieve. – Teraz powiedz lepiej, czy ten goblin mówi prawdę?

Krasnolud dotknął swojego wisiorka.

– Magia prawdy to złożona sprawa, ale Jig wierzy w to, co mówi.

– I rzeczywiście plan Billi mógłby się powieść? – indagowała go dziewczyna. – Zabijając obie armie, ściągnęłyby tu boga śmierci?

– Niewykluczone. – Darnak zacisnął srebrny młoteczek w dłoni. – Nok jest starym, pradawnym bogiem, ale bogów także obowiązują pewne prawa, podobnie jak ludzi. A nawet bardziej niż ludzi. Prawa ludzkie mogą zostać złamane, ale prawa wszechświata... Jeśli Billa postąpi dokładnie tak, jak należy, Nok nie będzie miał wyjścia, będzie musiał się pojawić. Nie chciałbym znajdować się wtedy w pobliżu, ale jeśli Billa dysponuje bronią zdolną zabić boga...

Braf zamarł z palcem w nosie.

– Skoro Nok jest bogiem śmierci, czemu nie powstrzyma Billi, zanim go przyzwie?

Relka łagodnie odsunęła mu rękę od twarzy.

W umyśle Jiga rozbrzmiał dźwięczny śmiech Ciemnogwiazdęgo.

Wygląda na to, że Nok i reszta moich drogich towarzyszy zaliczają siebie do istot cywilizowanych.

Jig parsknął, pojawiając się, do czego Ciemnogwiazdy zmierza.

Nok zmusił klątwą samego siebie do zapomnienia o was?

Nie popisał się oratorstwem, fatalny dobór słów, zaiste, fatalny. Oczywiście to nie tak, że mógłbym wejść do płomiennego królestwa Uxa i kopnąć go w jeden z jego zadków. Mogą sobie o nas przypomnieć, ale balansujemy na granicy ich pamięci. Dla śmiertelników to tak, jak wspomnienia z początku życia – mgliste i fragmentaryczne.

Pierwsze, co pamiętał Jig, to kły innego niemowlaka wpijające mu się w łydkę. W tym wspomnieniu nie było nic mglistego.

– Billa potrafi się ukryć – zmyślił. Nie był gotowy na objaśnianie szczegółów klątwy Zapomnianych Bogów komuś, kto zapamiętywał ledwie połowę z tego, co mówił.

– Ukryć – powtórzyła Genevieve. – Przed bogami.

– Właśnie.

– A więc jak zamierzasz ją powstrzymać, goblinie?

– Jeszcze nie wiem – przyznał Jig. Wyciągnął Ciapka z kaptura i zaczął gładzić szczeciniasty tułów. – Może twój brat mógłby użyć Laski Stworzenia, żeby zamienić ją w kamień, albo coś w tym stylu.

– Albo w rybę – odpowiedziała Relka.

Twarz Genevieve stężała.

– Nawet gdybym ci uwierzyła, mój ojciec prędzej by umarł niż przyjął pomoc goblina.

– Tak, ale to nie twojemu ojcu powierzono obronę tego miasta i jego mieszkańców – przypomniał jej Darnak.

– To prawda – zgodziła się królowa. – Dlatego właśnie wyśle tu Teodora, tak jak sugerował goblin. A potem się mnie wyrzeknie.

Darnak zaśmiał się wesoło.

– Ginny, pomyśl, skoro nie wyrzekł się ciebie, kiedy podpaliłaś jego tron, na pewno nie zrobi tego teraz.

Gobliny podskoczyły zaskoczone głośnymi okrzykami. Jig nawet nie drgnął. Szczerze powiedziawszy, zdziwił się nawet, że słyszy je dopiero teraz.

– Co to? – szepnęła Relka.

– Sądzę, że ludzie. Pewnie właśnie wydostali się ze stajni i są w trakcie rozbrajania goblinich strażników – rzekł Jig. – Reszta ludzi pewnie do nich dołączy i za chwilę razem,

uzbrojeni w łopaty, grabie i siekiery, będą ścigać swoich goblinich gnębieli.

– Gnębiliśmy ich niecałą godzinę! – obruszył się Braf.

Jig nie zwrócił na niego uwagi. Żaden szanujący się potwór nie zawracał sobie głowy więzieniem mieszkańców powierzchni. I tak zawsze uciekali. Taka była kolej rzeczy. Ledwie wrzuciło się ich do jakiejś dziury, zaraz się uwalniali, osłaniając zabitymi goblinami niczym tarczami i zabijając wszystkich, którzy stanęli im na drodze.

– Poślij wiadomość ojcu – powiedział do Genevieve. – Nie musisz mówić, że to pomysł goblina. Czy życie tylu istot nie jest ważniejsze od dumy twego ojca? – Przygryzł wargę. Głupie pytanie. Król Wendel był przecież ojcem Bariusa i Ryslinda.

Genevieve nie odpowiedziała. Krzyki zaczęły się przybliżać.

Braf popatrzył po obecnych.

– Nie powinniśmy czegoś zrobić, albo co?

– Pewnie tak. – Jig oparł się, nie wypuszczając z ręki Ciapka. Zaraz jednak odsunął się jak oparzony, przypominając sobie, czym są te drzewa.

– Darnak mówił, że byłeś ich przewodnikiem – odezwała się królowa dziwnie łagodnie. Patrzyła na Jiga tak, że miał ochotę zagrzebać się pod ziemią i już stamtąd nie wychodzić. – Uciekłeś im. Tak jak uciekłeś mnie. Powiedz, czy moich braci upokorzyłeś tak samo, jak to uczyniłeś ze mną?

Jig zacisnął pięści, wbijając sobie pazury w dłonie.

– Próbuję ocalić ci życie! I nam. W każdym razie części z nas.

– Nie unoś się, Ginny – mitygował ją Darnak. – To nie czas na...

– Ojciec powierzył mi Avery, ponieważ to nic nieznacząca miejscina – powiedziała Genevieve. – Jest zbyt blisko elfów. Stanowi marny cel taktyczny. I rządził nim niekompetentny tchórz. A teraz, przez tego goblina, odbierze mi je i odda równie niekompetentnemu braciszкови.

– Nie lekceważ Teodora i jego elfów – zirytował się Darnak. – Nie rozumiem co prawda obsesji twójego brata na punkcie tych drzewofili, ale trzeba przyznać, że uczynili z niego dobrego wojownika.

– Barius też był wojownikiem – wyrzuciła z siebie Genevieve. – Tak jak i Ryslind, w pewnym sensie. A jednak gobliny ich pokonały, tak jak mnie. A *ten* goblin był z nimi tak, jak teraz jest tu. – Zadarła głowę, wpatrując się w konary drzew. – Powiedz mi, Jigu, dowodziłeś atakiem na moich braci, czy po prostu zwabiłeś ich w jakąś pułapkę?

Do zdekcentrowanego coraz głośniejszymi okrzykami Jiga, jej słowa dotarły zbyt późno. Znajdował się za daleko, by powstrzymać Relkę przed...

– Jaką pułapkę? – zdziwił się Braf. – Myślałem, że zabiłeś ich laską.

Darnak zamknął oczy. Relka grzmotnęła Brafą w brzuch.

– Dzięki, Relka – szepnął Jig słabo.

– Zrobiłeś to, prawda? – Genevieve potrząsnęła głową. – Nie mogę w to uwierzyć. Jak ci idioci mogli dopuścić, żebyś położył te niebieskie łapy na lasce?

Jig sięgnął ukradkiem do miecza, ale królowna nie czyniła żadnych gwałtownych ruchów. Właściwie pośród innych emocji, jakie odzwierciedlały się na jej twarzy, wybijało się rozbawienie. Rozbawienie i znużenie.

– Okłamałeś mnie, Darnaku. – Dziewczyna zaczęła się trząść. Po twarzy spływały jej łzy i nie wydawała żadnych dźwięków. Wyglądała, jakby się śmiała.

Relka obejrzała się przez ramię.

– Ją złamałeś na pewno.

– Nie, nieprawda. – Genevieve przyciągnęła kolana do piersi. Darnak chciał do niej podejść, ale powstrzymała go gestem. – Wszyscy mówią, jak to moi waleczni bracia zostali zabici przez gobliny – podjęła, przecierając twarz rękawem. – Ale on? On jeden pokonał i Bariusa, i Ryslinda? On przemienił Darnaka w to dziwaczne ptaszysko? – Wpatrywała się w Jiga wstrząśnięta. – Odebrałeś im laskę, a potem oddałeś ją kucharce, dlaczego?

Jig wzruszył ramionami.

– Gdybym ją zatrzymał, któryś z goblinów zabiłby mnie i ją wziął. I tak przeżyłem swoje przez buty. – Powoli zdjął dłoń z rękojeści i odstawił Ciapka na ramię. Pająk był ciepły, ale nie gorący.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam prawdy, Darnaku? – Genevieve spojrzała na niego z wyrzutem.

– Znając was, nie chcąc żyć okryci hańbą, popełnilibyście samobójstwa. A ja zostałbym bez pracy.

Jig natychmiast pożałował, że krasnolud tego nie uczynił. Oszczędziłoby mu to wielu kłopotów.

Darnak poklepał królownę po plecach.

– Twoi bracia zginęli, bo byli okrutnymi, krótkowzrocznymi, małostkowymi osobami.

Twojemu ojcu bym tego nie powiedział, ale to prawda. Kochałem ich jak własnych synów, ale gdyby naprawdę byli moimi dziećmi, wtłukłbym im trochę rozsądku do tych zakutych łbów.

Braf stuknął Jiga w ramię.

– To jak w końcu, zabije cię ta królowa czy nie?

– Nie mam pojęcia – przyznał Jig zgodnie z prawdą.

– Gdyby Barius i Ryslind byli teraz na twoim miejscu, zaszlachtowaliby tego goblina, potem wycięli resztę w pień, a następnie rzucili się do bitwy z Billą – rzekł Darnak. – A jeśli Jig ma rację, zabiliby i siebie, i swoich ludzi.

– Mój ojciec...

– To twój ojciec wychował ich na patentowanych osłów – wszedł jej w słowo Darnak. – Co zrobiłaby twoja matka, gdyby tu była?

Kąciki ust Genevieve zadrgały.

– Przed czy po tym, jak podpaliłaby ci brodę za kłamstwa?

– Dopiero co ją odzyskałem! – przeraził się krasnolud, chwytając swoje cenne twarzowe owłosienie. – Niech tylko ktoś się zbliży, a posmakuje gniewu Ziemiotwórcy!

– Zrobiłaby wszystko, żeby ocalić jak najwięcej istot – odpowiedziała Genevieve.

Darnak przytaknął.

– Ojciec pozostawił twoje wychowanie matce, a to oznacza, że miała okazję wlać ci nieco oleju do głowy. To, jak postąpisz, zależy tylko od ciebie. Ale na śluby złożone Ziemiotwórcy przysięgałem lojalność twojej rodzinie, a to oznacza, że nie pozwolę ci się zabić przez ten twój cholerny upór – Darnak zawiesił głos. – Z całym szacunkiem, wasza wysokość – dodał po chwili wahania.

– Naturalnie – prychnęła Genevieve z przekąsem. Wstała i długo przyglądała się Jigowi. – Jest taki mały.

– Za pozwoleniem, wasza wysokość – uniósł się Darnak. – Niektórzy postrzegają nasz niski wzrost jako zaletę. Stanowi niewątpliwą przewagę, gdy wróg przedkłada walkę dystansową nad bezpośrednią. Jesteśmy zdecydowanie mniejszym celem.

– Darnaku, rozkaż naszym ludziom zaprzestać jakichkolwiek ruchów – powiedziała Genevieve. – Zbrojni mają się wycofać i czekać na dalsze rozkazy. Reszta... musi opuścić Avery jeszcze dzisiaj. Niech idą na północ, do Jasper Valley. Jeśli goblin ma rację, Billa nie będzie tracić czasu na ich ściganie.

Jig był tak zaskoczony jej decyzją, że w pierwszej chwili nie do końca zrozumiał, co się dzieje.

– To znaczy, że my też możemy odejść?

– O nie, goblinu. – Uśmiech królowny wystarczył, żeby Ciapek wypalił dziurki w tkaninie na ramieniu Jiga. – Zdobyliście Avery. Jest wasze. Jako władca tego miasta masz obowiązek zostać tu i go bronić. A nawet oddać za nie życie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Rozdział 11

Lekko pochyłe kamienie brukowe ułożono tak, by idący chodnikiem ludzie dryfowali w stronę świątyni, gdzie czekała na nich kobieta w szkarłatnych szatach. Zarysy wykończonych srebrem maski, którą miała na twarzy, sugerowały kształt czaszki.

Kopuła świątyni górowała nad innymi budynkami. Ludzie przechodzący pod monumentalnym łukowym portalem wyglądali jak dzieci. Wmieszane w zaprawę drobiny metalu skrzyły się w słońcu.

– Odgapił to ode mnie – mruknął Jesiennogwiazdy.

Wyłożone marmurem, spadziste przejście prowadziło do rozpalonego na środku świątyni ognia. Z otworu w kopule unosił się ciemny słup dymu, ostatni drogowskaz dla zmarłego, którego zwłoki dzisiaj palono. Wraz z dymem dusza ulatywała ku gwieździe Noka.

– Mojej gwieździe – wymamrotał Jesiennogwiazdy. Ze względu na odbywającą się w środku ceremonię, przystanął przed wejściem, niepewny, co dalej robić. W końcu zwrócił się do kapłanki.

– Ta maska to chyba lekka przesada, nie uważasz?

– Moja maska? – Kobieta dotknęła wypukłej kości jarzmowej.

– Szaty koloru krwi, maska w kształcie czaszki. – Po bliższych oględzinach okazało się, że maska zrobiona jest z gliny, na której wymalowano rysunek kości. Musiała być ciężka, nieprzepuszczająca powietrza i niewygodna.

– Nasz strój jest oznaką szacunku. Maski mają przypominać, że śmierć jest zawsze obecna wśród żywych. – Jej głos pobrzmiwał żarliwością właściwą młodości.

Ogień pogłębiał cienie w budynku. W mroku poruszały się sylwetki akolitów wrzucających w płomienie wilgotną słomę, aby wytworzyć więcej czarnego dymu. Ci, którzy stali najbliżej stosu, z trudem powstrzymywali kaszel.

– Myślisz, że Nokowi przeszkadzałoby, gdybyś nosiła spodnie? I może jakąś zwiewną chustę? I kapelusz, z szerokim rondem, chroniący przed słońcem?

Kapłanka odetchnęła kilkakrotnie, próbując się opanować, po czym wyćwiczonym gestem wyciągnęła ku niemu rękę.

– Większość ludzi zaczyna oddawać mu cześć u schyłku życia. Może poczułeś oddech Noka na karku, usłyszałeś jego ciche wezwanie? Wielu ofiarowuje datki świątyni, w nadziei, że

Nok odwróci wzrok od...

Jesiennogwiazdy wygrzebał z kieszeni monetę i wcisnął ją kapłance w dłoń.

– Przykro mi niszczyć twoją świątobliwą wizję, ale Nok zawsze zionął rybskiem. To dlatego, że bez przerwy zażerali się z Ipsepem morszczyzną.

Przez otwory w masce widział, jak kapłanka zмага się z jego słowami. Uśmiechnął się, podchodząc do wejścia. Uważając, by nie przekroczyć progu, wskazał na rzeźbienia portalu.

– A to co za biedak? Ten, co zwija się w agonii, rażony piorunami Noka?

– Ach, buntownicy. – Kapłanka wygładziła szatę, zadowolona, że rozmowa zeszła na znajome tory. – Podczas Wojny Cieni Nok walczył z piętnastoma demonami, a potem ujarzmił samą śmierć. To scena zwycięstwa nad jednym z demonów, wysłanym, aby...

– Wojna Cieni? – Jesiennogwiazdy pokręcił głową niedowierzająco. – Tak ją nazwali?

– Nazwano ją tak od demonów, które wypełzły z mroku, aby zaatakować...

– Demony? – Jesiennogwiazdy przesunął palcem po płaskorzeźbie. – Niezwykle przystojny, jak na demona. Choć tu ma odrobinę za długi nos. Wiesz, jak ma na imię?

– Gdy Nok zgładził demony, wymazał ich imiona ze zwojów...

– Zgładził, mówisz? – Jesiennogwiazdy skrzywił się, stukając w jedno z rzeźbień. – Rzeźbiarz się nie popisał. W rzeczywistości Nok ma duże uszy odstające jak wiosła na łódce. Sama zobaczysz.

Jesiennogwiazdy zapatrzył się w płomienie. Jakaś część jego duszy wyrwała się, by przejść pod tym łukiem, wkroczyć do królestwa Noka. Oddając się w jego ręce, przeciąłby trwające wieki pasmo znużenia i samotności. Nie wspominając o widowisku, jakie zafundowałby czcicielom oraz kapłanom. Teraz jednak, gdy od tego wszystkiego dzielił go jeden krok, nie potrafił się na niego zdobyć.

Grupka akolitów kręciła się przy wyjściu, bezszmerowo przemykając tam i z powrotem. Jesiennogwiazdy oparł się o mur, patrząc, jak jeden z nich przyjmuje datek od matki małej dziewczynki, a potem znika w mroku pod ścianą.

– Nie lękaj się. – Wielkoduszna akolitka, chcąc zapewne pomóc przelamać starcowi strach, chwyciła go za ramię i pociągnęła za próg.

Jesiennogwiazdy wyrwał się, ale wyniszczone wiekiem ciało nie zareagowało wystarczająco szybko. Stracił równowagę, a kapłanka była silna i koniecznie chciała spełnić dobry uczynek.

Jesiennogwiazdy zatoczył się i wpadł do świątyni Noka.

* * *

Nietrudno było znaleźć grupkę goblinów schwytaną w zasadzkę w zaułku za piekarnią, sądząc z zapachu chleba, jaki niósł się wokół budynku. Jig nie widział swoich żołnierzy spoza ludzi, ale słyszał charakterystyczne okrzyki, przerażone, ale jednocześnie aroganckie. Ludzie wymachiwali groźnie łopatom, widłami, siekierami oraz inną zaimprovizowaną naprędce bronią. Przewodził im młody mężczyzna, dzierżący w dłoniach dwa ogromne młoty.

– Jak zwykle, kowal – skwitowała na jego widok Genevieve. – Chyba to walenie młotem przez cały dzień coś im przestawia w głowach i potem przy pierwszej okazji rzucają się do bohaterских czynów.

Darnak wkroczył w rozwścieczony tłumek.

– Odstąpić, wszyscy! – ryknął.

– Wykończymy ich! – zakrzyknął kowal.

– Takiś skory do bitki, to proszę bardzo, dawaj tu te młotki, zobaczymy ileś jest wart. – Krasnolud skrzyżował ramiona na piersiach i czekał. – Jeśli nie, to lepiej słuchaj rozkazów królowny.

Kowal opuścił młoty. Jeden z goblinów natychmiast zaatakował i równie szybko padł na ziemię ze zmiądzoną ręką.

– Opuśćcie broń – wrzasnął Jig, choć po ryku Darnaka wypadł żenująco słabo. Kiedy ludzie się rozstąpili, ujrzał za goblinami szereg zbrojnych. Widocznie kowal wysłał kogoś, by uwolnił ich ze stajni.

– Każdy, kto chce zostać w Avery, może dołączyć do moich ludzi, gdy staniemy na murach, aby bronić miasta – zaczęła Genevieve. – Armia Krwawej Billi to nieprzebrane mnóstwo potworów, więc liczy się każdy mąż zdolny władać bronią. Ty, z łopata, trzymasz ten trzonek jak prawdziwy wojownik. Byłbyś świetnym...

Zagadnięty rzucił łopatę na ziemię.

– Bardzo mi przykro, królowno, cierpię na straszliwą podagrę. – Pokuśtykał kilka kroków, rozkładając przepraszająco ręce.

Jeden z goblinów wyszczerzył się i spiął do skoku, ale zanim wykonał ruch, runął na

ziemię, dźgnięty mieczem w łydkę. Dla pewności Trok nadepnął mu na ucho, przygniatając do ziemi.

– Dowódca kazał ci opuścić broń, żołnierzu!

– Nie rozumiem! – żołądkował się goblin, usiłując wydostać ucho spod Trokowego buta. Jig rozpoznał Dimaka, jednego z kawalerzystów. – Myślałem, że zajmujemy to miasto w imieniu Billi! A teraz mamy współpracować z ludźmi?!

Przekaż Brafowi, żeby przytrzymał Gracza.

Jig zbliżył się do Genevieve.

– Jeśli mi nie uwierzą, każ swoim ludziom ich zabić – szepnął.

– Pozwoliłbyś wybić własnych żołnierzy? – zdziwiła się królowa.

– Lepiej ja ich niż oni mnie.

Gracz wił się i miotał wleczony przez Brafa i Relkę dalej od zbiegowiska. Nadal był półnagi, a na jego ciele i twarzy widniały liczne siniaki i zadrapania po zderzeniu z gęstą koroną drzewa.

Jig nabrał tchu. Jeśli chodzi o goblina z plemienia, był raczej pewien, że go posłuchają, nawet jeśli nie uwierzą. Trudniej będzie przekonać wilczych jeźdźców. Ale musiał spróbować, to była jego jedyna szansa.

– Krwawa Billa zamierza nas zdradzić.

– Nie słuchajcie tego konusa! To zdrajca! – wrzeszczał Gracz. – Przyłączcie się do niego, a zostaniecie oskarżeni o bunt, tak jak on! Billa zatknie wasze głowy na włóczniach! Zje wasze wątroby! Na surowo!

– Pękłaby z przejeżdżenia – zauważył Braf i szarpnął wrzaskuna.

– I nie nazywaj Jiga konusem. – Relka trzepnęła go w ciemność.

Jig wskazał na bliźnię Gracza.

– To runy. Są częścią większego zaklęcia. Billa chce użyć magii do zabicia goblinów. I koboldów.

– Dlaczego Billa miałaby zabijać własnych żołnierzy? – Ku zaskoczeniu Jiga, pytanie to padło z ust jednego z ludzi.

– Bo jest orkiem, a my tylko goblinami – słowa te zabrzmiały gorzko, nawet w jego własnych uszach. – Myślicie, że Bille obchodzi, co się z nami stanie?

Wśród goblinów rozległy się groźne pomruki. Groźba dotyczyła Billi, czy jego?

– Billa poprowadziła nas ku tyłu zwycięstwom! – argumentował Gratz.

– To są jej zwycięstwa! – krzyknęła Relka. – A kto wygrał dla niej te bitwy? Kto okupił je własną krwią?

– Gobliny!

Jig przypomniał sobie układ kolumny marszowej. Jakikolwiek atak rozbiłby się o czołowe szeregi, szeregi goblinów, dając czas orkom na przygotowanie się do obrony lub ucieczkę.

– Mam już dość tego, że ciągle mnie ktoś wykorzystuje – rzekł Jig, mając nadzieję, że Ciemnogwiazdy słyszy każde jego słowo. – Zdecydujcie sami. Każdy, kto nadal chce walczyć dla Billi, niech bierze broń i walczy. Reszta, schować miecze.

Nikt nie uczynił ruchu, żeby zaatakować ludzi. Co więcej, żaden z goblinów nie rzucił się na Jiga.

– Uwierzili ci – szepnęła Genevieve. – Jakim cudem tak szybko pozyskałeś ich zaufanie?

– To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. – Jig pokręcił głową. – Są otoczone przez przeważające siły wroga. Gobliny uwierzą we wszystko, jeśli to pozwoli im przeżyć.

* * *

Jig podążał za Darnakiem i Genevieve przygarbiony, starając się nie podnosić wzroku. Szedł przez miasto pod ostrzałem groźnych spojrzeń stojących w oknach ludzi. Reszta mieszkańców płynęła ulicami, obładowana dobytkiem, kierując się ku bramie.

Dotarli do miejsca, gdzie ścieżki i ulice przecinały się na podobieństwo nici pośrodku pajęczyny. Trójkątne przestrzenie pomiędzy drogami zajmowały ogródki. W każdym rosło jedno rozłożyste drzewo, którego gęsta, spleciona korona dawała nieco osłony przed śniegiem. Mimo że większość liści opadła, drzewa były na tyle rosłe, że tworzyły razem rozległy, miejscami ażurowy baldachim. Niestety, na gałęziach roiło się od ptaków, więc choć na ziemi nie zalegał śnieg, pokrywała ją warstwa liści i ptasich odchodów.

– Elfie jastrzębie – wyjaśnił Darnak, widząc, że Jig przygląda się ptakom. – Kiedy Avery należało do elfów, hodowały tu ptaki pocztowe. Po odejściu elfów, jastrzębie pozostały. Nieszczerólnie przepadają za ludźmi. Zupełnie jak elfy. Przez te wszystkie lata samopas trochę się rozbisurmaniły.

Jastrzębie były niebieskie jak niebo. Czarne piórka wokół oczu tworzyły pasek

przypominający maskę albo okulary. Podobne ciemne linie miały także na piersiach. Naraz dwa ptaki zeskoczyły z gałęzi, pikując w stronę ciągniętego przez uchodźców wozu. Bezcelnie porwały jednego z wiezionych na pace królików i zanim ludzie zareagowali, wleciały w powietrze z ofiarą w szponach.

– Są wspaniałymi łowcami – powiedziała Genevieve. – I równie dobrymi złodziejaskami. Poza tym to najszybsze skrzydlate stworzenia, zaraz po smokach. I wybitnie inteligentne, co czyni z nich świetnych posłańców.

Przysiadłszy na środku drogi, Darnak wyjął kawałek pergaminu i poty przegrzebywał kieszenie, póki nie znalazł pióra oraz podróznego kałamarza. Naskrobał szybko wiadomość, po czym podał ją wraz z piórem królowi, która ją podpisała.

Następnie Genevieve zwinęła pergamin w ciasny rulonik i popatrzyła na Jiga.

– Potrzebuję kawałek twojego płaszcza – oświadczyła.

– Co?! – Jig cofnął się zaniepokojony.

– Ptaki zostały wytresowane tak, aby rozpoznawały kolory. Różne barwy wstążek oznaczały różne miejsca dostarczenia wiadomości. Zwykle używamy jedwabnych tasiemek, ale w zeszłym tygodniu ptaki wleciały do pokoju przez okno i ukradły cały zapas. – Wskazała na jedno z drzew, gdzie pomiędzy gałęziami Jig ujrzał nieprawdopodobnie kolorowe gniazdo.

Darnak odciął pasek ze skraju jego płaszcza i podał strzęp Genevieve, która obwiązała nim rulon i na końcu zaplotła sporą pętlę.

– Jak jastrzębie noszą... – zaczął Jig i urwał.

Genevieve podniosła pergamin tak, żeby pętla zwisała w dół. Z drzewa sfrunęły natychmiast cztery ptaki, nurkując w powietrzu. Trzy zakreśliły, odlatując, pozostały zaś przemknął obok, wcelował łebkiem prosto w pierścień i nawlekłszy go na szyję, wyrwał dziewczynie z ręki rulonik.

Jig poczuł, jak cieplejszy Ciapek zagrzebuje się głębiej w kieszeni.

Jastrząb zniknął już w oddali, powiewając wiadomościowym naszymnikiem.

– Nie zatrzyma się, zanim nie dotrze do ojca – rzekła Genevieve.

– To dobrze. – Fala ulgi, która ogarnęła Jiga, przyprawiła go aż o zawroty głowy. Teraz Teodor przywiezie laskę, powstrzyma Bille, Nok zostanie uratowany, a on nareszcie będzie mógł wrócić do domu.

– Zawrzyj wschodnią oraz zachodnią bramę – rzekła Genevieve do Darnaka. – Przy

północnych i południowych podwój strażę. I rozstaw ludzi na palisadzie.

– Co?! – podskoczył Jig. – Myślałem, że Teodor tu przybędzie i zatrzyma Bille?!

– Jej armia jest za blisko, chłopcze – wyjaśnił Darnak. Rozwiązał rzemienie sakwy i wyjął z niej sztywną, skórzaną tubę. – Szybciej będzie, jak ci to wszystko pokażę na mapie. – Zdjął płaszcz, rozpostarł go na ziemi i zaczął rozkładać na nim płachty pergaminu, obciążając rogi gałązkami, kałamarzem, sztyletem i innymi drobiazgami, jakie wpadły mu w ręce.

Każda mapa była istnym dziełem sztuki. Darnakowej sztuki, sądząc po tym, jak pęczniał coraz bardziej z każdym rozwiniętym rulonem. Cud, że koszula nie pękła mu na torsie.

– Ej, to wygląda jak goblin! – Jig wskazał na maleńką niebieską postać, wymalowaną przy jednej z gór. Wyteżył wzrok, próbując wywnioskować coś z plątaniny kolorowych linii i maleńkich notek, wyczelowanych skrupulatnie idealnym pismem Darnaka.

– To wasza góra i labirynty – wytłumaczyła Genevieve.

Kiedy wszystkie mapy zostały odpowiednio rozłokowane i rozprostowane, Darnak wyjął z sakwy drewniane pudełko. Po otwarciu okazało się pełne maleńkich ołowianych figurek. Wyciągnął spośród nich pomalowanego na niebiesko goblina, którego postawił na gwiazdce podpisanej Avery. Następnie tuż obok umieścił dwa uzbrojone żołnierzyki. Trzy figurki zupełnie zasłaniały miasteczko.

– To będzie jakaś setka zbrojnych, mniej więcej.

– Myślisz, że to odpowiednia chwila na popisywanie się zabawkami? – zapytał Jig.

Genevieve odwróciła głowę, ukrywając uśmiezek. Darnak aż poczerwieniał z oburzenia.

– To nie żadne zabawki! To narzędzia. Znaczniki. Niezastąpione w obrazowaniu sytuacji strategicznej i posunięć taktycznych.

Jig wziął figurkę goblina, podnosząc ją do oczu.

– Czemu namalowałeś mu na kłach krew?

– Dawaj to. – Darnak wyrwał mu ołowianą postać i z rozmachem ustawił na miejscu. – Taaak, a teraz armia Billi kieruje się w stronę waszej jaskini, prawda? – Wyjął z pudełka kilka kamiennych klocków z wrytymi na wierzchu liczbami 1000. Na bokach miały wymalowane różne potwory. Cztery sześciiany umieścił nieopodal jaskini. – Król Wendel wraz z Teodorem nadciągną od strony stolicy. – Po drugiej stronie gór stało parę klocków oraz dwie figurki, jedna w złotej, druga w srebrnej koronie. – Kiedy wiadomość do niego dotrze, będzie gdzieś tu.

Jak dla Jiga, armie były podobnej wielkości i znajdowały się w takiej samej odległości od

Avery.

– Nawet przy dobrej pogodzie ludzie Teodora będą potrzebowali jednego dnia więcej, żeby przejść przez przełęcz – orzekł Darnak, stukając palcem w narysowane góry.

– O ile w ogóle mi uwierzy. – Genevieve nie podniosła głowy znad mapy. – Znając ojca, wyrzuci wiadomość, uznając ją za bredzenie wystraszonego dzieciaka.

– Nie martw się skałą, do której jeszcze się nie dokopał. Jak myślisz, Jig, kiedy Billa opuściła waszą jaskinię?

– Może nawet jeszcze nie zauważyła naszej ucieczki.

Zauważyła, rozwiął jego nadzieje Ciemnogwiazdy. Isa jej powiedziała. Ścigają cię, Jig. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by cię chronić, ale ona jest ode mnie silniejsza.

Jig poczuł, jak wysycha mu w gardle. Z trudem przełknął ślinę.

– Ale najpewniej jest już w drodze.

Darnak szarpnął nerwowo brodę.

– Ma prostą, łatwą drogę po trakcie. – Przesunął klocki Billi ku Avery. Poruszony przypadkiem goblin wyrzucił się. Jig miał nadzieję, że to nie żaden omen. – Może tu dotrzeć nawet przed nocą. – Przełożył postać w koronie na drugą stronę gór. – Ted jest szybki, to nie ulega wątpliwości. A jego elfy mogą biec po śniegu jak po ubitej ziemi, choć wyglądają przy tym jak podrygujące błazny.

– Utrzymamy Avery – szepnęła Genevieve. – Z tego co wiemy, Billa nie ma ze sobą ciężkich machin oblężniczych. Miasto jest dobrze ufortyfikowane. Wrota wzmocnione elfią magią. Wystarczy, że powstrzymamy ją dzień, najwyżej dwa.

– Nawet mnie nie zdołałaś powstrzymać. – Jig zerknął na królową i odsunął się poza zasięg jej miecza. – A południowa część doliny? Może elfy...

Genevieve potrząsnęła głową.

– Elfy nie ruszą się, dopóki Billa nie zagrozi bezpośrednio ich granicy. Matka wynegocjowała z nimi traktat wiele lat temu. Żaden elf nie może postawić stopy na ziemi ludzi bez wyraźnego zezwolenia.

– To daj im zezwolenie! – zdenerwował się Jig.

– Najpierw musiałabym przekonać ojca. A on i tak uważa, że elfy chcą mu ukraść syna. – Dziewczyna postawiła żołnierzyki przed Avery. – Ludźmi obsadzimy palisadę. – Sięgnęła po goblina. – Twoje gobliny muszą dokończyć obcinanie kolcostalnika. Powinniśmy skończyć...

Która jest teraz?

– Nie rozumiem, o jakie gobliny ci chodzi? – zapytał Jig, wpatrując się w mapę.

– Twoje gobliny – powiedział Darnak. – Nie jest ich wiele, ale świetnie sobie do tej pory radziły. Oczywiście, nie będziemy ich wiązać.

– Zaraz, myślicie, że one tu jeszcze są? – Darnak i Genevieve stali obok, kiedy Jig mówił goblinom o zdradzie Billi. Słyszeli przecież, jak objaśniał wszystkim, co nastąpi i mimo to byli przekonani, że ktoś z jego plemienia jeszcze tu został? – Są pewnie już daleko stąd, gdzieś w lasach, patrzą tylko, żeby nóg nie połamać.

Królewna popatrzyła na Jiga.

– Ale *ty* tu jesteś.

Jig milczał. A gdzie miałby iść? Czy da się ukryć przed boginią?

– A tamta? – Darnak wskazał na drogę. – Ona też nie uciekła.

Jig nie musiał nawet patrzeć. I tak wiedział o kogo chodzi. Został przy nim akurat ten goblin, którego najchętniej by się pozbył.

– Mam coś dla ciebie – oznajmiła Relka, podając mu brązową bułkę z kawałkami spalonych liści na wierzchu. – Mówią, że elfie sandwicze. Zrobiłabym ci prawdziwego elfiego sandwicza, ale nie dopuszczają mnie do ichnich kuchni. No i nie mamy świeżego elfa.

Jig odgryzł kawałek pieczywa. Smakowało dokładnie tak, jak się spodziewał. Jeśli tym właśnie żywiły się elfy, to trudno się dziwić, że były takie chude.

– Bez reszty tych niebieskich utrapieńców będziemy musieli jeszcze rzadziej rozstawić ludzi – westchnął Darnak.

– A gdzie pójdą gobliny? – zainteresowała się Relka, patrząc na mapę.

Obrócili ku niej głowy jak jeden zaskoczony mąż.

– To jeszcze tu są? – wykrztusił Jig.

– A gdzie miałyby być? – Relka wzruszyła ramionami. – Większość odpoczywa w stajniach. Chyba przywykły. Na słomie jest cieplej niż na gołej skale, jak w domu, a poza tym...

– Odpoczywają?!

– No, przecież nie wydałeś im żadnych rozkazów – przypomniała mu Relka.

Jig chciał coś powiedzieć, ale język mu stanął kołkiem. Gobliny z wilczego szwadronu były w armii już długo, więc ich instynkt przetrwania mógł się stępić, ale czemu zostały gobliny z labiryntów? No, chyba że pikle dokumentnie wyżarły im mózgi.

– Chodźmy – zdecydował Darnak, zwijając mapy. – Zostawianie żołnierzy samopas to pierwszy stopień do jatki. Jako dowódca powinienes o tym wiedzieć.

Tak jakby goblinom do wszczęcia rzezi potrzebny był jakiś szczególny powód...

* * *

Genevieve pierwsza zauważyła dym. Ruszyła pędem, zostawiając resztę w tyle.

Kiedy dobiegli na miejsce, zastali rozpalone na środku drogi ognisko. Twarze kilku stojących nieopodal mężczyzn miały zielonkawy odcień.

Trok obejrzał się, słysząc nadchodzących.

– Generale Jig!

Reszta obecnych goblinów wzniosła radosne okrzyki. Zaniepokojeni ludzie sięgnęli po broń. Z oddali dobiegło wycie wilków.

– Dimak – warknął Trok. – Chyba rozkazałem ci nakarmić te bestie!

Dimak skulił się kornie.

– Wybacz, sir. – Złapał coś z ogniska i pognał tam, skąd dochodził hałas.

– Czym będzie je karmił? – zapytał Jig, spoglądając na trzymany w ręku nadgryziony sandwich. Próba podania wilkom czegoś takiego równała się samobójstwu.

– Mieliśmy z Grappokiem mały spór o to, kto ma dowodzić pod twoją i Reiki nieobecność – odparł Trok, prostując ramię. Na barku widniały dwa świeże ślady kłów. – Wyszło na moje.

– Nie rozumiem – zaczął Jig. Mimo niepokoju machinalnie przybliżył się do ognia. Robiło się coraz zimniej, palce aż piekły, mrożone lodowatymi podmuchami wiatru. – Zaraz, dlaczego nazwałeś mnie generałem? A w ogóle co ty tu jeszcze robisz? Myślałem, że już dawno jesteś w lesie.

– Doszliśmy do wniosku, że trzeba cię awansować – oświadczył Trok lekko. – Teraz, po odłączeniu się od Billi, to twoja armia.

– Już my pokażemy Billi, że nie wolno zadzierać z goblinami! – wykrzyknął któryś goblin. Reszta nagrodziła go wiwatami.

– Ale ona ma tysiące potworów! – przypomniał Jig. – Wybije was co do jednego!

– Widzicie? – odezwał się ten sam goblin. – Generał Jig nie owija niczego w bawełnę!

Żadnych kłamstw!

Teraz również wzniesli radosne okrzyki. Idioci.

Jig odciągnął Troka na bok.

– To szaleństwo! – Jig mówił piskliwym szeptem, tak, żeby pozostali go nie usłyszeli. – Widziałeś armię Billi. To, że ludzie zamierzają tu popełnić zbiorowe samobójstwo, to zrozumiałe. Oni już tak mają. To głupcy. Ale gobliny?! My uciekamy, kiedy wróg przeważa nas liczebnie. Lub nam dorównuje siłą. A także kiedy mamy przewagę mniejszą niż dwadzieścia do jednego. Zapomniałeś?!

– Ty zostałeś.

– Ja też jestem głupcem. Poza tym nie mogę uciec, bo Isa...

– Nie jesteś głupcem – przerwał mu Trok. – Jesteś skamlącym, chuderlawym, irytującym konusem. Ale nie głupcem.

– Nie? Nie? – Jig machnął mniej więcej w stronę bramy. – Nie było cię, jak prowadziłem atak na żołnierzy Genevieve? Kilka goblinów na wilkach przeciwko całemu miastu?

– Zamknij się, sir. – Trok zerknął na pozostałe gobliny. – Myślisz, że nie plotkowaliśmy o tobie? Że nie opowiadaliśmy sobie, jak to każdy z nas mógłby ci jedną ręką złamać kark? Że nie wspominaliśmy, jak Porak wieszał cię za nogę nad zsysem albo wrzucał ci ukradkiem nietoperze guano do piwa?

– Czekaj, naprawdę zrobił *coś* takiego? – Jig był pewien, że nic nie może popsuć mu apetytu bardziej niż ten elfi sandwicz.

– Byłem przy tym, jak wróciłeś po zabiciu Strauma – ciągnął Trok. – Pamiętam, jak za tobą poszli i jak odciągnąłeś ich od naszej grotty, samiuteńki. Widziałem, jak pomagałeś wszystkim walczyć z chochlikami i ich ogrami. Byłem jednym z tych, których wysłałeś jako wsparcie do hobgoblinów. Myślałem, że i tak zginiemy, więc wołałem zginąć szybko, od maczugi ogra, niż walczyć z tymi paskudnymi chochlikami. Przeklęte robale i ta ich magia. Ale ty? Ty zszedłeś na dół i zabiłeś wszystkie, co do jednego. – Wyrwał Jigowi bułkę i cisnął ją w śnieg. – To dzięki tobie ja i Relka wydostaliśmy z tego bagna – wskazał Genevieve. – Wyprowadziłeś nas stąd i znalazłeś drogę do Billi. A potem, jak się okazało, że jest podłym, dwulicowym orkiem, znów uciekłeś. Zabiłeś Srebrnozębego, po czym wróciłeś tu, odbiłeś naszych i opanowałeś miasto pełne ludzi.

– Odebrali je nam zaraz – zauważył Jig.

– To nieistotne! – syknął Trok. – Wiem, że nie jestem taki sprytny, jak ty, ale lubię walczyć. Wszyscy lubimy. Jesteśmy wojownikami, robimy to, co umiemy najlepiej, I lubimy wygrywać. A goblinom nie zdarza się to zbyt często.

To prawda.

– Ciężko cię nazwać nawet namiastką wojownika, nie warto cię zabijać, nawet na kotlety. Ale jesteś mądry. Skoro ty zostajesz, my też. Nawet jeśli przegramy, to będzie wspaniała bitwa. – Trok wyszczerzył się wesoło. – Poza tym, jeśli tu zostaniesz sam i zginiesz, to kto zrobi ze mnie wodza po śmierci Grell?

Zacisnął łapsko na ramieniu Jiga i powlókł go do ogniska.

– Lepiej się pospiesz, bo ci zeżrą twoją porcję Grappoka.

* * *

Jig siedział w ciemnej stajni, trzęsąc się z zimna. Narzucił koc na głowę, przyciskając uszy do czaszki. Nawet gdyby nie był zbyt przerażony, to i tak nie zasnąłby w hałasie, jaki robiły chrapiące gobliny. Ile już godzin siedział tu, wpatrując się w mrok i usiłując nie myśleć o tym, co rychło miało nastąpić? Był niemal wdzięczny losowi, kiedy drzwi uchyliły się i stanął w nich Darnak.

– Hej, Jig, Genevieve chce z tobą porozmawiać – zawołał krasnolud szeptem.

Jig zaszczekał zębami.

– Chodzi o Bille, tak? Zbliża się, prawda?

Darnak był ledwie ciemniejszym kształtem na prostokącie granatowego nieba, ale Jig dostrzegł, jak przekrzywia po ptasiemu głowę.

– Skąd wiesz?

– Pogoda. Robi się coraz zimniej.

– Fakt. Ten wiatr jest nienormalny. – Darnak poczekał, aż Jig owinie się w koc i zabierze Ciapka, który usnuł pajęczynę przy jednej z belek.

Przy bramie migotały latarnie. Jig zauważył, jak jedna na moment rozbłysła i zaraz potem zgasła, zdmuchnięta wiatrem.

– Gdzie idziemy?

– Tam.

– O nie...

Zewnętrzny szereg drzew porastały ciernie, wśród których zółciły się pojedyncze zmalretowane kwiaty. Wewnętrzny krąg tworzyły drzewa o gładkiej, śliskiej korze, Darnak natomiast wskazywał jeszcze inne, wyróżniające się rozłożystością i masywnością pni, które porastał jakiś dziwny grzyb. Wystająca, brązowa grzybnia w formie talerzy tworzyła coś w rodzaju stopni, wystarczająco szerokich, aby zmieściła się na nich ludzka stopa.

– Nie przejmuj się – pocieszył go krasnolud. Postawił nogę na najniższym występie, chwycił najwyższy, do którego sięgał i podciągnął się w górę. – Tygodnie minęły, zanim zacząłem tu włączyć bez strachu. – Potrząsnął głową. – Wsadzanie krasnoluda na drzewo jest wbrew naturze. To tak, jakby kazać rybom latać i budować gniazda.

Jigowi zaschło ze strachu w gardle i ustach. Aczkolwiek to i tak nic w porównaniu z nosem, który był zupełnie zlodowaciały od środka i na zewnątrz. Skoro grzyb utrzymał ciężar Darnaka plus całej jego zbroi i wszystkiego, co nosił w nieodłącznej sakwie na plecach, to tym bardziej utrzyma Jiga.

Chyba że masa Darnaka go osłabiła. Jig obejrzał się na stajnie.

– A może jednak Genevieve zejdzie na dół?

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię tam wtargał.

Zaciskając zęby, Jig złapał krawędź pierwszej grzybni i zaczął wdrapywać się za Darnakiem. Wyżej wiatr był jeszcze bardziej porywisty. Pewnie zwałby Jiga, gdyby Darnak nie chwycił go za ramię i nie wciągnął na platformę.

Genevieve stała owinięta w koce i futra. Na górze nie paliło się żadne światło.

– Wypocząłeś, goblinie? – zapytała.

– Nie. – Zrobiwszy jeden krok, Jig przywarł kurczowo do ręki Darnaka. Platforma okazała się zaledwie plecionką z liści i gałęzi. Śnieg przesypywał się przez szpary, ale mimo to powierzchnia była mokra i śliska. W dodatku konstrukcja ugięła się i trzeszczała pod stopami. – Tęsknię za labiryntami.

Darnak zachichotał.

Platforma miała szerokość dwóch stojących obok siebie ludzi, jednak obaj musieliby stać zbyt blisko krawędzi, jak na gust Jiga. Wzdłuż podestu, po obu stronach, ciągnęły się balustrady wysokości mniej więcej do pasa. Jig podczołgał się pod jedną z nich. Podobnie jak podłoga, uplecione gęsto z gałęzi oraz liści, osłaniały nieco od wiatru. Pionową ściankę zamykała od góry

gruba, płożąca się łodyga winorośli, tworząc coś w rodzaju poręczy. Jig chwycił się jej obiema rękami i w miarę możliwości starał się nie ruszać.

Zastrzygł uszami. Wychwycił dobiegający z oddali warkot bębnow.

– Bramy zabezpieczone? – zapytała Genevieve.

Darnak przytaknął.

– Nie zdążyliśmy z całym kolcostalnikiem, ale dolny pas jest oczyszczony w całości. Nikt nie będzie się chciał wspinać na górę. Drzewa nie są tak porządnym materiałem na fortyfikacje jak krasnoludzki kamień, ale powinny wytrzymać.

Genevieve zerknęła na Jiga.

– Nadchodzi Billa.

– On wie – zapewnił ją Darnak.

Jig odetchnął głęboko, po czym szurnął na drugą stronę, uczeplił się zewnętrznej balustrady i wyjrzał. Patrząc na armię Billi rozważał, czy nie lepiej od razu rzucić się z palisady i mieć to z głowy.

Rozrzucone punkciki zapalonych latarni migotały wzdłuż drogi jak okiem sięgnąć. Wyobraźnia płata mu figle, czy rzeczywiście armia Billi powiększyła się odkąd widział ją po raz ostatni? A może to w porównaniu z mizerną załogą miasta wydawała się taka ogromna? Uszy drgały mu przy każdym huku bębnow.

Genevieve przystawiła do oka drewnianą tubę.

– Gobliny maszerują na czele. Z przodu i po bokach biegają koboldzie drużyny zwiadowcze.

– Co to takiego? – Jig wskazał na tubę.

– Luneta. Soczewki, które pozwalają zobaczyć z bliska wroga – wyjaśniła królowa. Prawie nie mrugała, wpatrując się z natężeniem w nadciągające wojska. – Goblinie, jak twoi żołnierze zareagują w obliczu takiego zagrożenia? Jesteś pewien, że będą wypełniać twoje rozkazy i wykonywać swoje obowiązki?

Jig popatrzył na nią, jakby wyrosły jej wilcze uszy.

– To gobliny, zapomniałaś?

Genevieve westchnęła ciężko.

– Billa nie ma raczej kłopotu z opanowaniem swoich żołnierzy. Może gobliny potrzebują silnej ręki?

Jig zgadzał się zupełnie, ale brzmiąca w jej głosie pogarda sprawiła, że pięści same mu się zacisnęły.

– Wiesz, w jaki sposób Billa zdołała zebrać tak wielką armię, królewno? Powiedziała im... Powiedziała *nam*, że jeśli do niej dołączymy, już nigdy nie będziemy musieli przejmować się takimi ludźmi jak ty, czy twoi bracia.

Genevieve już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale przygryzła wargę i odwróciła się ku coraz bliższym masom potworów.

– Musimy ich powstrzymać co najmniej jeden dzień. Darnak, każ wszystkim strzelcom stanąć na obwarowaniach. Niech nikt nie strzela bez mojego rozkazu. Mamy ograniczoną ilość pocisków. Goblinie, obudź swoich. Rozstaw ich w parach wzdłuż ścian.

Jig nie drgnął.

– Co z nami zrobisz, jak to wszystko się skończy?

– Pomyślę, jak to wszystko się skończy. O ile oczywiście przeżyjemy. – Przyłożyła lunetę do oka. – Wywiad nie wspominał, że Billa ma też skrzydlate potwory.

Jig przetarł okulary skrajem płaszcza. Biorąc pod uwagę stan jego okrycia, działania te nie bardzo polepszyły stan soczewek. Jednak gdy założył je z powrotem na nos, dostrzegł majaczące na osrebrzonym księżycem niebie ciemne punkty.

– Smoki? – zastanawiał się Darnak. Jig przysunął się bliżej pnia ze stopniami.

– Nie, nie ten kształt skrzydeł – zaprzeczyła Genevieve. – I ogony mają bardziej ptasie niż gadzie.

– Nadlatują z północy – zauważył Darnak. – Gdyby Billa wysłała część sił przez góry, zwiadowcy dawno by nam o tym donieśli.

– To elfie jastrzębie – szepnęła Genevieve, opuszczając bezsilnie rękę z lunetą. – Niosą na grzbietach ludzi.

– Teodor.

Usta królewny wykrzywiły się w kwaśnym grymasie.

– Pewnie zmienił je za pomocą laski.

Przeżywszy swoje jadąc na wilku, na samą myśl o lataniu na ptaku Jigowi zakręciło się w głowie. Złapał się barierki, obserwując nadlatujących. Z tej odległości rozróżniał już zgarbione sylwetki podniebnych jeźdźców.

Przywódca dobył płomienistego miecza. Czemu gobliny nigdy nie miały magicznej

broni? Wojownik pozdrowił królową, unosząc miecz i zatoczył koło, kierując się na palisadę. Jig nie wątpił, że to Teodor. Nie widział dokładnie rysów twarzy jeźdźca, ale nie sądził, by dumny książę oddał komuś dowodzenie.

– Uważaj! Goblin! – krzyknął Teodor, a jego ptak zanurkował ku platformie.

Nie, nie platformie. Jigowi. Szpony wielkości gobliniej stopy rozcapierzyły się tuż nad jego głową.

Jig rzucił się w bok, ledwie unikając ognistego ostrza.

Niestety, bok oznaczał w tym wypadku przerwę w balustradzie. Jig wykręcił się desperacko, próbując złapać krawędź któregoś z grzybowych stopni.

Nie udało mu się.

Rozdział 12

Chór akolitów zgubił rytm i zamilkł, spoglądając w stronę wejścia. Tymalous Jesiennogwiazdy leżał na wytartych płytach posadzki, czekając na reakcję Noka. Co to będzie, znowu pioruny, a może Nok tymczasem nauczył się czegoś nowego? Jesiennogwiazdy stawiał na błyskawice. Nok nigdy nie był szczególnie kreatywnym bogiem. Tymalous miał tylko nadzieję, że przy okazji widowiska nie zginie zbyt wielu ludzi.

– Zraniłeś się? – Kapłanka uklękła, dotykając delikatnie jego ramienia. Zdjęła maskę, a jej młoda twarz odzwierciedlała przestach. Niewątpliwie mieli tu jakieś zasady zakazujące napadania na staruszków. – Wybacz, chciałam ci tylko pomóc przełamać lęk przed wejściem.

Kiedy chór podjął śpiew, Jesiennogwiazdy rozejrzał się wokół. Wyczuwał obecność Noka – nie różniła się od zwyczajnej bytności bogów we własnych świątyniach. Ale mimo wyęzania zmysłów, nie zauważył najmniejszej zmiany w atmosferze, która świadczyłaby o tym, że bóg śmierci go zauważył.

– Bo dlatego tu przyszedłeś, prawda? – indagowała kapłanka. – Żeby przygotować się na śmierć?

Jesiennogwiazdy podniósł się z podłogi.

– Przyszedłem, bo... Bo jestem znużony. – Znużony samotnością, znużony życiem w ciele śmiertelnika, znużony nieustającą obawą.

Serce podeszło mu do gardła. Przystąpienie progu tej świątyni było tym samym, co podejście do Noka i walnięcie go w nos. Mimo to Jesiennogwiazdy nie wyczuwał nic.

– On mnie nie widzi.

– Każdy w końcu idzie do królestwa Noka – stwierdziła kapłanka surowo. – Twój czas zapisany jest w zwojach.

– Nok wymazał moje imię ze zwojów – szepnęła Jesiennogwiazdy, powtarzając zasłyszane wcześniej słowa kapłanki. Zaczął się śmiać. – Rzucił na nas klątwę, skazał na zapomnienie, a teraz... Sam mnie nie pamięta.

Obecni w świątyni ludzie zaczęli zwracać na niego uwagę. Odprawiający ceremonię kapłan przerwał recytację. Kapłanka złapała Jesiennogwiazdego za ramię z zamiarem wyprowadzenia na zewnątrz, ale wywinął się jej.

– Jestem tu, Noku! – Setki lat ukrywania się, uciekania nie miały znaczenia. Był

niewidzialny. Płakał i śmiał się jednocześnie, do utraty tchu.

Zalegające pod ścianami cienie poruszyły się. Jesiennogwiazdy nie zauważył czających się w mrocznych zakamarkach akolitów, dopóki nie znaleźli się tuż przy nim. Rzucił się środkiem nawy głównej, roztrącając zdumionych wiernych. Wyminął najwyższego kapłana i wskoczył na obmurowanie wypełnionej ogniem studni.

– Tymalous Jesiennogwiazdy żyje!

Płomienie buchnęły, a w świątyni powiało chłodem.

– Ups! – Jesiennogwiazdy zagryzł wargę. Może trochę przesadził z tymi prowokacyjnymi wrzaskami. Zszedł ostrożnie z murku, pozwalając, aby akolici, schwytawszy go pod ramiona, poprowadzili do wyjścia.

W połowie drogi do wyjścia odwrócił się do kapłanki.

– To ciało służyło mi dobrze ponad sto lat. Zadbaj o nie. Moneta w kieszeni powinna wynagrodzić kłopoty, jakie sprawilem.

Akolici podtrzymali upadającego starca, ale Tymaloussa Jesiennogwiazdego nie było już w ciele. Musi zapamiętać, żeby nie afiszować się ze swoim przetrwaniem. Co prawda na Noka zadziałała jego własna klątwa, ale nie oślepiła go całkowicie. Wystarczy, że wzorem jego akolitów, Jesiennogwiazdy będzie trzymał się mrocznych zakamarków. Będzie żył pod osłoną ciemności.

Dźwięk srebrnych dzwoneczków wydawał się przytłumiony, kiedy wkraczał do ruin swojej świątyni. Tymalous Jesiennogwiazdy... Tymalous Ciemnogwiazdy był w domu.

* * *

Lewe nozdrze Jiga zapiekło żywym ogniem. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał po uniesieniu powiek, był szczeciniasty odwłok. Ciąpek, który siedział uczepony tylnymi odnóżami krawędzi okularów, wychylił się ponownie i przednimi przypalił mu nos.

– Przestań! – zaskrzeczał Jig. Pająk wycofał się na głowę. Ciekawe, czy próbował go ocucić, czy też może sprawdzał jego zdatność do spożycia.

– Jig!

Przekręciwszy głowę, zobaczył schodzących po drzewie Darnaka oraz Genevieve. Teodor już był na ziemi.

Co to jest, że przy każdym spotkaniu z księciem Jig ląduje na płask? Zebrał siły, aby wstać, ale przy pierwszym ruchu z ust wyrwał mu się jęk. Kolano bolało, jakby ktoś zmiażdżył je kamieniem.

– Spokojnie, chłopcze – zawołał Darnak. – Masz szczęście, że nie grzmotnąłeś o ziemię głową. Upadek z takiej wysokości mógł być śmiertelny.

– Gobliny mają twarde czaszki – zbagatelizował Jig, sięgając do zranionego kolana. Jak się okazało, ramię było w niewiele lepszym stanie. Legł z powrotem, położył zdrową rękę na wybitym barku i zaczerpnął magii leczniczej Ciemnogwiazdego. Zaciśnął zęby. Uzdrawianie stawu było wystarczająco nieprzyjemnym procesem, Ciemnogwiazdy mógłby przynajmniej zrobić coś z tym pykaniem, które odzywało się w ramieniu.

– Odsuń się, Darnaku! – krzyknął Teodor, wymachując płomiennym mieczem. Ruszył ku Jigowi i oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia. – Na Prastary Dąb, jest ich więcej!

Jig zastrzygł uszami, wsłuchując się w odgłosy goblinich kroków.

– Co zrobiłeś Jigowi?! – wrzasnęła Relka.

– Cisza, wszyscy! Uspokójcie się! – ryknął Darnak głosem przypominającym pękającą górę i wskoczył pomiędzy Jiga i księcia. – Nie są naszymi wrogami, Teodorze.

– To gobliny! – nie ustępował książę.

– Dezerterzy z armii Billi. – Genevieve stanęła przy Darnaku. – Jig ryzykował życiem, aby nas ostrzec. Przekazał nam informacje na temat planów Billi. Informacje, do których twoi zwiadowcy nie dotarli.

– I wy mu uwierzyliście?

Genevieve zawahała się tylko ułamek sekundy.

– Magia Darnaka ujawniła, że mówi prawdę. Poza tym nie ma wątpliwości, że Billa kieruje się do Avery. Nie masz nic lepszego do roboty, tylko wymachiwać tym elfim mieczykiem przed nosem naszych sojuszników?

Jig poruszał ramieniem, zastanawiając się, kiedy to awansował na *sojusznika*.

– Ale to przecież gobliny! – powtarzał książę, zupełnie jakby Genevieve mogła jakimś cudem nie zauważyć niebieskiej skóry, wielkich uszu i wystających kłów.

– Wybacz, że ci przerwę, książę, ale zmieniłeś się jakoś, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni – zmarszczył brwi Darnak.

Jig zamrugnął oszołomiony. Wcześniej nic nie zauważył. Choć trudno się dziwić, bo był

zajęty unikaniem szponów i ognistego ostrza. Przetarł zaśniewane okulary i przymrużył oczy.

– Laska Stworzenia to prawdziwy skarb – zachwycił się Teodor i wskazał na szczyt palisady, gdzie przysiadł gigantyczny elfi jastrząb. – Jak inaczej zdołałbym dotrzeć do Avery na czas, by ocalić was przed gniewem Billi?

– A te uszy? – skrzywił się Darnak.

Teodor odrzucił włosy, teraz dużo dłuższe i bardziej lśniące niż przy ostatnim spotkaniu.

Musnął opuszkami spiczaste koniuszki uszu i uśmiechnął się. – Laska pozwoliła mi wydobyć prawdziwe ja.

– Osiemnaście lat pomagałem wychowywać tego młokosa – mruknął Darnak. – Zmieniałem mu pieluchy, osobiście wykułem pierwszy mieczyk, przywoływałem nawet moc samego Ziemiotwórcy, żeby likwidować pryszczę. Cztery lata walczyłem z jego pryszczami! A on przemienia się teraz w elfa. *W elfa!*

Teodor puścił jego słowa mimo uszu i z dumą poklepał swój pas. Z fioletowego pokrowca wystawał czubek drewnianej pałki. Schował miecz do pochwy, która wisiała po przeciwnej stronie.

– Wzmocniłem nią pancerze, ulepszyłem broń, a nawet utwardziłem naszą skórę. – Przejechał palcami włosy. – Elfy nawet włosy mają lepsze niż ludzie. Zebrałem się zaraz po otrzymaniu wiadomości i leciałem tu non stop, a patrzcie, ani jednego kołtunka! – Skrzywił się odrobinę. – Choć trzeba przyznać, że opadają na oczy. Muszę zapleść przed atakiem. No, siostrzyczko, powiedz, chcesz, żebym coś zrobił z tym twoim nosem?

– Mam lepszy pomysł – powiedziała Genevieve z niezmaconym spokojem. – Wsadź sobie tę laskę...

– Takie możliwości, a nawet porządnej brody sobie nie zapuścił – burknął Darnak.

Zanim Teodor otworzył usta, wtrąciła się Genevieve.

– Co ojciec powiedział na temat tego wszystkiego? Ostatnio źle reaguje, jak ktoś wspomina przy nim o magii. Tudzież o elfach.

Teodor spiekł raka.

– Noo, tak do końca, to mu nie powiedziałem. Ale patrz, siostrzyczko, jestem silny, szybki! – Wyciągnął laskę, unosząc ją nad głowę. Jig próbował czmychnąć, ale gwałtowny ruch sprawił, że poczuł, jakby w kolanie miał armię maleńkich krasnoludów, walących wielkimi młotami. – Goblinsy przez cały czas miały ją w zasięgu ręki. Gdyby tylko wiedziały, jaki skarb

znajduje się w ich posiadaniu, też mogłyby się przemienić w jakieś wspaniałe istoty.

– Ale wtedy nie bylibyśmy już goblinami – zauważył Jig.

Teodor popatrzył na niego, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o obecności goblinów.

– Taka krótkowzroczność przyczyni się do wyginięcia waszej rasy. – Zagwizdał i dwa wielkie jastrzębie sfrunęły tuż obok niego. Reszta Teodorowych elfów po prostu zeskoczyła z palisady, lądując lekko na śniegu. Nie wydawały się w ogóle zainteresowane Jigiem, którego chwilę temu omal nie przyprawiły o śmierć. Głupie elfy.

Jastrzębie były obładowane bronią i pancerzami. Jeden z elfów *zaczął* rozdawać je reszcie.

– Sprawimy Billi krwawą łaźnię. – Teodor zachichotał rozbawiony własnym żartem. – Polecę tam z moimi elfami i zniszczę ją. Gdy nadejdzie ojciec ze swoimi wojskami, siły Billi będą w kompletnej rozsypce!

– Armia to zaledwie wierzch calizny, chłopcze – rzekł Darnak. – Billa ma do dyspozycji własną magię i...

– Billa jest orkiem – przerwał mu Teodor. – To taki goblin, tylko trochę większy.

– Jest orkiem, który stworzył ogromną armię – przypomniała Genevieve. – Orkiem, który bez przeszkód przemaszerował przez nasze ziemie, terroryzując naszych poddanych i...

– Za bardzo się przejmujesz, siostrzyczko – prychnął Teodor. – Dobrze się spisałaś, wzywając mnie tutaj, ale tu kończą się twoje zmartwienia. Idź do miasta i przygotuj mnie i moim przyjaciom jakiś porządny posiłek. Śniadanie zwycięzców. Coś specjalnego, żeby uczcić triumf. Na ciepło. – Poklepał się po brzuchu.

– To mnie ojciec powierzył obronę Avery i mam obowiązek...

– I odwaliałaś wspaniałą robotę – przerwał jej brat. – Mieszkańcy uciekli, a miasto opanowały gobliny. Ojciec będzie pod wrażeniem.

Genevieve spurpurowiała. Darnak ostrzegawczo położył dłoń na jej ramieniu.

– Każ swoim ludziom przynieść jedzenie dla jastrzębi – rzucił na odchodnym Teodor. – Może nakarmimy je goblinami? Rozwiązaliśmy dwa problemy za jednym zamachem.

Genevieve odczekała, aż znaleźli się poza zasięgiem głosu, a potem zwróciła do Reiki.

– Ktoś wspominał, że jesteś czymś w rodzaju kucharki?

Relka przytaknęła.

– Co więc polecałybyś na książęcą ucztę?

Relka potarła w zamyśleniu brodę.

– Ja najbardziej lubię pieczone w żarze szczury z sosem klakowym, podawane na czernidlakach. Najlepsze są ogony.

Genevieve rozciągnęła usta w uśmiechu.

– To na co czekasz? Słyszałaś, książę Teodor zażyczył sobie posiłku. Jestem pewna, że po spichrzach buszują całe stada szczurów.

* * *

Jig wraz z resztą goblinów stał na skraju ulicy, przyglądając się, jak Teodor i jego elfy dosiadają jastrzębi. Część ptaków przysiadła na kalenicach, zmuszając jeźdźców do wdrapywania się na dachy. Nie, żeby to w czymkolwiek elfom przeszkadzało.

– Jak pospadają, zamawiam ciemne mięsko – powiedział Trok cicho.

Jig nie zwrócił na niego uwagi. Teodor posiadał Laskę Stworzenia. Musiał tylko zbliżyć się do Billi i zamienić ją w coś niegroźnego. Tylko generał mogła uaktywnić zaklęcie wycięte na ramionach goblinich i koboldzich dowódców. Kiedy Billa zginie...

Opadły mu ramiona. Kiedy Billa zginie, ludziom już nic nie będzie stało na przeszkodzie. Armia Wendela przybędzie lada dzień i rozbije wojska potworów, zmuszając je do wpełznięcia z powrotem do jaskiń oraz pod ziemię. Dla tych, które przeżyją rzeź, wszystko znów będzie po staremu.

Billa działała przy wydatnym wsparciu bogini, ale sama boginią nie była. Jig znalazł potęgę laski. Teodor mógł jej użyć z dużej odległości, pozostając poza zasięgiem lodowego miecza. Wystarczy, że obniży lot, a może zmieniać Bille i jej eskortę do woli. A przynajmniej dopóki się nie zmęczy. Laska bowiem wyczerpywała siły tego, kto się nią posługiwał.

Z tego, co wiedział Jig, Billa nie miała w armii latających potworów, a strzały i kamienie są nieskuteczne wobec utwardzonych magicznie pancerzy Teodora i elfów. Tak jak w przypadku elfiego zwiadowcy w lesie za bagnami, zwyczajna broń będzie się od nich odbijała, nie wyrządzając żadnej krzywdy.

Czemu więc Jig nadal tkwił tutaj, zamiast uciekać z Avery najdalej, jak się da?

Nie mógł się skupić. Położył uszy, rozdrażniony wyciem i szczekaniem wilków. Przeklęte bestie nie zamykały paszczy od chwili, gdy w mieście wylądowały jastrzębie. Do tego jeszcze ten

harmider, który robiła nadciągająca armia Billi. Tysiące potworów, zawodzących, wygrażających i wyrzaskujących drwiny pod adresem wroga, łomocących bronią o pancerze. \

To część ich strategii. Próbują was wyprowadzić z równowagi i zdekoncentrować, poinformował go Ciemnogwiazdy.

– I udaje im się! – Jig naciągnął na głowę kaptur, który wiatr natychmiast zerwał. Narzucił go z powrotem, łypiąc spode łba na jastrzębie. Teodor wdrapał się już na swojego wierzchowca, wsunął nogi pod skrzydła i pomachał pozostającym w mieście obrońcom. Wyglądał imponująco, oświetlony pierwszymi promieniami wschodzącego słońca.

– Zatocz w powietrzu kilka kręgów, żeby się wzbić – mówił Darnak. – Im wzlecisz wyżej, tym większego pędu nabierzesz, pikując. Nie trzymaj ptaka zbyt długo w miejscu, zanim zaatakujesz. To pochłania zbyt wiele energii, a niedobrze byłoby zmęczyć jastrzębia. I...

Jastrząb rozpostarł skrzydła, a jego krzyk wybił się ponad wycie wilków. Przebiegł parę kroków, po czym machnął skrzydłami, podrywając się w górę. Reszta ptaków zeskakiwała z dachów, siejąc popłoch wśród goblinów i dopiero nad ziemią wzbijała się w powietrze.

Darnak pobiegł za nimi i nie przestając wykrzykiwać porad, począł wdrapywać się na platformę.

Jig krążył pod palisadą, obserwując znikające w oddali ptaki. Naraz coś plasnęło tuż przed nim i w następnej chwili poślizgnął się na śniegu. Zamachał ramionami, starając się odzyskać równowagę. W kolanie coś chrupnęło nieprzyjemnie. Najwyraźniej nie najlepiej się spisał, lecząc staw.

Rozejrzał się wokół. Ulice Avery upstrzone były „niespodziankami” pozostawionymi przez jastrzębie wierzchowce. Wszędzie leżały odchody gigantycznych ptaków. Jig jęknął z obrzydzeniem i podskoczył na jednej nodze do najbliższego budynku, żeby oczyścić podeszwę o róg domu.

– Mogło być gorzej – pocieszyła go podbiegająca Relka i wskazała na tarzającego się po śniegu goblina.

– Dajcie mu jakąś szmatę – skrzywił się Jig. – Nie powinnaś przypadkiem *gotować* posiłku dla księcia Teodora?

– Właśnie to robię. Dlatego przyszłam. – Podała mu poczerńiałego szczura. – Pomyślałam, że może chcesz spróbować.

Jig wyrwał jej przysmak z ręki i wgrzył się w gorące mięso, pospiesznie łykając wielkie

kęsy. Nie wiedział, że jest aż tak głodny. Kiedy ostatnio jadł? Z trudem powstrzymał się od pochłonięcia reszty w całości i zachował nawet ogon dla Ciapka.

Pająk uczeplił się Jigowego płaszcza sześcioma odnóżami, przednimi sięgając po mięso. Jig odwrócił się, osłaniając pupila od wiatru. Nawet mimo tyłu odnóży silniejszy poryw mógł oderwać Ciapka od tkaniny, ciskając nim...

– O nie! – Jigowi krew się ścięła w żyłach. Wsadził pospiesznie pająka wraz ze szczurzym ogonem do kieszeni i okręcił się, spoglądając w niebo. Jastrzębie zniknęły już za palisadą. Stojący na platformie ludzie machali do nich, radośnie pokrzykując.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Relka.

Jig rzucił się ku ogrodzeniu.

– Darnak! Genevieve! Musimy zatrzymać księcia Teodora! – Wicher wtłaczał mu słowa z powrotem do ust.

Przeklinając zaczął wdrapywać się na grzybowe stopnie. Podest okupywali ludzie, którzy obserwowali nadchodzącą armię. Jig torował sobie drogę łokciami, dopóki nie dostrzegł w tłumie krasnoluda. Darnak wszedł na swoją sakwę, żeby lepiej widzieć lecącego pod niebem wychowanka. Tuż obok niego stała Genevieve. Z kamienną twarzą i lunetą przy oku śledziła wzrokiem jastrzębie.

– Darnak! Musisz ich zawrócić! – krzyknął Jig.

Genevieve prychnęła lekceważąco.

– Nawet gdyby był w stanie nas usłyszeć, nie posłuchałby. Moi bracia nie pozwalali, żeby ktokolwiek mówił im, co mają robić. A już na pewno nie wyobrażam sobie, żeby Teodor słuchał rozkazów, i to goblina.

Jig przepchnął się pomiędzy nimi do barierki i wspiał się na palce. Czoło armii Billi wylało się na pola. Gobliny oraz koboldy rozproszyły się, strzelając z łuków i ciskając włóczniami, ale nie dosięgły ptaków. Ludzie wiwatowali, kiedy część pocisków spadła na głowy potworów.

Kilka elfów wyciągnęło ostrza, które płonęły jak miecz Teodora. Jig spodziewał się raczej, że będą strzelały z łuków, ale widocznie nawet elfy nie były w stanie naciągać cięciw i sterować wielkimi ptakami jednocześnie.

– Billa go zabije, jeśli nie zawróci!

Darnak i Genevieve spojrzeli na Jiga wstrząśnięci.

– Co ty mówisz?

– Isa go zabije.

– Kto? – zmarszczył brwi Darnak.

Jig miał ochotę go uderzyć.

– Bogini, którą czci Billa. Bogini *zimowych wiatrów*.

Darnak pierwszy zrozumiał zagrożenie. Odwrócił się gwałtownie, omal nie spadając przy tym z plecaka.

– Żołnierze! Za bramy! *Natychmiast!* – krzyczał. – Musimy...

– Za późno – szepnęła Genevieve, upuszczając lunetę.

Jig złapał się poręczy z całej siły, zmagając się z gwałtownym podmuchem. W dolinie elfy pikowały w dół, jakby postrącał je jakiś niewidzialny olbrzym. Lądowały tuż przed szeregami orków. Niektóre zeskakiwały z ptaków, rzucając się do walki, inne usiłowały poderwać jastrzębie do lotu.

Darnak odchylił się pod wpływem siły wiatru. Próbując utrzymać równowagę, machał ramionami. Wyglądał, jakby próbował latać. Jig schylił się i podniósłszy lunetę, przyłożył ją do oka.

– Nic nie widać! – poskarżył się.

Darnak, nie odrywając wzroku od jastrzębi, odebrał mu przyrząd, przekreślił i oddał.

Tym razem gdy Jig przyłożył oko do lunety, miał wrażenie, że siedzi na dachu stodoły jednego z gospodarstw pod miastem, dosłownie na wyciągnięcie ręki od Teodora i jego poturbowanych elfów. Jakimś cudem wszyscy przeżyli awaryjne lądowanie, ale żaden z jeźdźców nie wydawał się zdolny do walki.

Orki rozstąpiły się, przepuszczając zmierzającą ku elfom Bille. Jeden ze schwytych dobył ognistego miecza. Gwałtowne porywy ograbiły jego ruchy z gracji właściwej elfiej rasie. Billa natomiast wyglądała, jakby wiatr ją omijał. A jej ostrze nie miało żadnego kłopotu z przebiciem magicznie utwardzonej zbroi.

– Użyj laski, bałwanie! – denerwował się Darnak. – Użyj tej cholernej laski, do licha!

Teodor, zupełnie jakby usłyszał krasnoluda, wyciągnął Laskę Stworzenia z pokrowca i skierował ją na Bille.

Billa machnęła mieczem.

– Niech Ziemiotwórca ma nas w swojej opiece – wyszeptał Darnak.

Laska Stworzenia była najpotężniejszym magicznym artefaktem, jaki znał Jig. Co, prawdę mówiąc, niewiele znaczyło. Ale Jig widział na własne oczy, co potrafi laska. Stworzona przez Ellnoreina, jednego z najznamienitszych magów w historii, mogła powoływać do życia smoki i niszczyć całe góry. Przez całe milenia ballady opiewały jej moc jako równą boskiej.

Miecz Billi rozciął ją wpół jak suchy patyk. Pod kolejnym ciosem padł Teodor. Potem generał odsunęła się, robiąc miejsce swoim żołnierzom. Księżę i elfy zniknęli pod masą orków. W powietrze ulatywały niebieskie piórka wielkości dorosłego mężczyzny. Kilku jastrzębiom udało się przedrzeć. Biły skrzydłami, roztrącając wrogów.

– Teodor – szepnęła Genevieve zdruzgotana.

Billa zwróciła twarz ku palisadzie, patrząc prosto na Jiga.

Jig pisnął, odskakując do tyłu. Zaczął przepychać się ku zejściu, ale silny powiew przewrócił go na kolana.

Przerażony przycisnął się plecami do balustrady, szukając osłony przed wichrem. Znajdujący się najbliżej niego ludzie, uderzeni ogromną siłą, padli na czworaka. Wielu z nich jednak nadal czepiało się barierki, obserwując skutki nieudanego ataku księcia. Dlatego też to Jig jako pierwszy dostrzegł wir śniegowych płatków, który gęstniał z każdą chwilą, tworząc biały kształt wysokiej, pulchnej kobiety.

Uciekaj stamtąd, Jig!

Jak? To coś jest pomiędzy mną i drzewem!

To nie jest coś, zwrócił mu uwagę Ciemnogwiazdy. To ha.

Jig rozpoznał kobietę z wizji, którą zesłał na niego bóg. Płatki szepiały się w masę o coraz wyraźniejszej formie i detalach. Skóra Isy była kryształowo przezroczysta. Lodowe palce zacisnęły się i rozprostowały. Bogini miała na sobie coś w rodzaju śniegowej szaty, zdecydowanie zbyt skąpej jak na taką pogodę. Całun śniegu przylegał do krągłej figury niczym najcieńszy jedwab.

– Witaj, Jigu. – Spojrzała na Darnaka, a potem potoczyła wzrokiem po reszcie znajdujących się na platformie ludzi. Kiedy poruszała głową, z jej włosów opadały białe płatki. Jigowi natychmiast stanął przed oczami Braf, który ostatnio cierpiał na paskudny łupież, tak zjadliwy, że nawet magia Ciemnogwiazdego nie mogła sobie z nim poradzić.

Jig podczołgał się do Darnaka i szarpnął go za kaftan.

– Nie teraz – syknął krasnolud wpatrzony w pole. Wicher targał mu brodę, a po

policzkach płynęły łzy.

Jig szarpnął tym razem za brodę.

– Co u... – Darnak okręcił się na pięcie. – Na sfajczoną brodę Ziemiotwórcy! Co to jest?!

Isa rozpostarła ramiona i temperatura spadła tak nisko, że Jig musiał zamknąć usta, żeby ślina mu nie zamarzła. Położył uszy i sięgnął do kieszeni, żeby sprawdzić, co z Ciapką. Pająk leżał nieruchomo, zwinięty w ciasną kulkę. Jig wyjął go na zewnątrz, zamknął w dłoniach i przytulił do piersi.

– Jam jest Isa, bogini zimowych wichrów. Lodowa panna. Jestem tą, która sprowadza śniegi północy i która odsyła je u schyłku zimy.

– Co powiedziała? – przekrzywiła głowę Genevieve. – Jak ma na imię?

Isa westchnęła, wypuszczając z ust białą chmurkę oddechu.

– Nieważne.

Kompletnie zwariowała, szepnął Ciemnogwiazdy. Nawet tak ograniczona morfizacja wymaga ogromnej energii! Zwróci uwagę Noka zanim jeszcze będzie gotowa do walki!

– Chciałam dać twojemu bogu jeszcze jedną szansę. – Isa uśmiechnęła się, lecz efekt, jaki jej lodowe zęby uczyniły na Jigu, nie był szczególnie korzystny. Kucnęła przy nim. – Billa wolałaby oczywiście, żebyś zamroziła ci krew w żyłach i przyniosła jej jako lodowy deser.

Darnak przewrócił Jiga na podłogę i przystąpił do bogini, ściskając oburącz maczugę.

– Za Teodora! – krzyknął i zadał Isie cios w głowę.

Zbrojne żelazem drewno rozpadło się w drzazgi. Isa otrzepała ramię ze śniegu.

Zaraz potem od jej szyi odbiła się strzała. Bogini machnęła ręką i trzech łuczników Genevieve spadło z palisady.

Po roztrzaskanej maczudze i strąceniu trzech ludzi tylko idiota mógł wpaść na pomysł, żeby ponownie zaatakować. Jig zerknął na Genevieve, ale dziewczyna była mądrzejsza od braci. Choć stała już z obnażonym mieczem, nie próbowała go unieść. Drugą dłoń zacisnęła na poręczy.

– Jestem Genevieve Wendelson, królowna Adenkary. Jak mniemam, to ty jesteś boginią, która zamordowała mi brata?

– To Billa go zabiła. Ja dałam jej tylko broń.

Isa odwróciła się plecami do królowny, pochylając ku Jigowi. Jej oddech osiadał na soczewkach szronem.

– Chciałbyś być tym razem po stronie zwycięzców, Tymalousie? Znow mógłbyś być

prawdziwym bogiem. Twe imię sławiono by, jak świat długi i szeroki.

Dopóki nie zjawilaby się reszta bogów, aby zniszczyć nas na zawsze, mruknął Ciemnogwiazdy. W jego głosie pobrzmiwał smutek.

– Cokolwiek nas dzieliło, należymy do siebie, Tymalousie. Nie mów, że nie myślałeś o mnie przez ten czas. – Bogini przesunęła pieśczołliwie palcami po uchu Jiga.

Jig nie wiedział, czy zamierza go zabić czy pocałować. I nie miał pojęcia, która opcja przeraża go bardziej. Pocałunek lodowej bogini... Pamiętał sytuację, która miała miejsce jakiś miesiąc wcześniej, kiedy spadł pierwszy śnieg. Jeden z goblinów sprowokował Brafę do liźnięcia metalowej tarczy, która leżała na zewnątrz. Nawet po interwencji leczniczej Ciemnogwiazdego Braf sepleniał jeszcze przez kilka dni. Jig nie miał ochoty przymarznąć ustami do bogini.

Właściwie to całkiem przyjemne, zapewnił go Ciemnogwiazdy. Wic polega na tym, żeby... Nie chcę wiedzieć!

Jig rozwarł palce, sprawdzając, co z Ciapkami. Pająk skulił się z zimna, zaciskając szczękoczułki i zaiskrzył, próbując się ogrzać. Biedny Ciapek był u granic wytrzymałości. Podobnie zresztą jak Jig.

Genevieve zarzuciła Isie na głowę płaszcz.

– Teraz, Darnaku!

Krasnolud przyskoczył, pomagając królownie przesunąć boginię ku krawędzi podestu.

Plan był niezły. Skoro Isa składała się ze śniegu oraz lodu, powinna bez trudu ślizgać się po powierzchni pomostu. Ale może stopy przymarzły jej do plecionki, albo była za ciężka, tak czy inaczej, nawet nie drgnęła. Jedną ręką zerwała z głowy płaszcz, rzucając go na wiatr. Drugą złapała Genevieve za gardło.

Duszając dziewczynę, nie przestała przemawiać do Jiga tym straszliwym, łagodnym głosem.

– Znów mógłbyś być bogiem Jesiennej Gwiazdy, nieść ulgę i spokój swoim wyznawcom. To twoja prawdziwa natura. – Wstała, podnosząc Genevieve. Darnak chwycił leżący na platformie miecz królowny i wraził go w ramię bogini. Bez efektu.

Tymalous Ciemnogwiazdy westchnął ciężko.

Ona wcale za mną nie tęskni. Po prostu mnie potrzebuje. Kiedy Nok umrze, jego klątwa straci moc i reszta bogów przypomni sobie o nas. Isa nie da rady im wszystkim. Jedyne jej szansą jest zawarcie z nimi układu, wynegocjowanie pokoju. Moja moc mogłaby jej to umożliwić.

Jig miał wrażenie, że słyszy w jego głosie rozczarowanie.

– No? – ponagliła Isa.

Powiedz jej... Ciemnogwiazdy zawahał się. Powiedz jej, że moja prawdziwa natura każe mi chronić syna, tak jak jej prawdziwa natura każe jej być bezduszną, zimną...

– Mówi, że się zastanowi – powiedział Jig.

Mgielka uniosła się z nosa Isy.

– Z pewnością. – Nim Jig się spostrzegł, chwyciła go za gardło. Ciapek rozżarzył się tak, że sparzył mu dłoń. – Może zachęcę go do zmiany zdania.

Darnak grzmotnął boginię ramieniem w bok. Zmarszczyła brwi, ale na szczęście dla krasnoluda, miała już obie ręce zajęte, inaczej bowiem zapewne zrzuciłaby go z palisady.

– Wybacz, Ciapku – szepnął Jig. Korzystając z chwilowej nieuwagi bogini, przeniósł pupila dokładnie nad jej głowę. Ciapek zapłonął, przeczuwając, co zaraz nastąpi. Jig nie pamiętał, żeby kiedykolwiek rozgrzał się aż tak bardzo. Syknąwszy z bólu, upuścił ognistego pajaka we włosy Isy.

Z czubka lodowej głowy uniosła się para. Oczy bogini rozszerzyły się z zaskoczenia. Wypuściła Jiga oraz Genevieve z rąk i sięgnęła, żeby strącić pajaka, ale ten zdążył już wtopić się w jej czaszkę. Zrobiła zeza, gdy Ciapek przepłynął jej za twarzą. Biedak próbował się wydostać, ale gmerając gorącymi odnóżami tylko poszerzał dziurę.

– Przeklęte gobliny – syknęła Isa, rozbryzgując wodę z ust. – Billa...

W tym momencie Ciapek dotarł do gardła i Isa runęła na kolana. Wicher ucichł, a siarczysty mróz nieco zelżał.

Nie żyje?, zapytał Jig.

Trzeba czegoś więcej, niż przestraszonego pajaka ognistego, żeby zabić boga.

Isa przewróciła się nieomal na stopy Darnaka, który pomagał wstać królownie. Jig podpełzł do bogini, obserwując, jak Ciapek wytapia sobie wyjście przez lodowy kark. Nie przestając parować, wspiał się Jigowi na nogę i przeciąwszy szczękoczułkami tkaninę spodni, ukąsił go w udo.

Jig zacisnął zęby, żeby nie wrzasnąć, a pajak podreptał obrażony do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

* * *

Po zejściu z palisady, Jig zastał na dole czekającą na niego grupkę goblinów na czele z Trokiem, Relką i Brafem. – Uwaga na lód! – krzyknął z góry Darnak.

Jig odskoczył w ostatniej chwili, unikając zgniecenia ziemską formą bogini, którą Darnak wraz jednym z ludzi zepchnęli na ulicę. Posąg roztrzaskał się, zasypując wszystko wokół lodowymi odłamkami.

– Co to było? – zapytał Trok.

– Nic takiego. – Jig nie miał zamiaru ogłaszać wszem i wobec, że figura była cielesną postacią boskiej istoty, którą Billa ma po swojej stronie.

Podobnie jak i ty, Jig.

Tak? A potrafisz władać pogodą i pojawić się cieleśnie wśród żołnierzy Billi i ciskać nimi na prawo i lewo?

Braf przerzucił włócznię do lewej ręki, prawą podniósł z ziemi kawałek lodu i zaczął go ssać.

– Już po wszystkim? W co księżę zamienił Bille?

Jig podskoczył przestraszony urywanym skrzeknięciem. Jeden z elfich jastrzębi zniżał lot, krwawiąc obficie z piersi. Drugi przysiadł na palisadzie, a siedzący na nim elf zaczął schodzić. A raczej zsuwać się z jego grzbietu.

Pierwszy ptak skierował się wprost na drzewa w centrum miasta, wywołując tym oburzone protesty mniejszych braci.

– Nie zamienił jej, prawda? – dopytywała się Relka.

– Billa zabiła księcia – powiedziała Genevieve. Masując bolącą szyję, zwróciła się do Jiga. – Jakim cudem zwykły ork zebrał tak ogromne siły?

– Jest prorokiem – odrzekł Jig. – Prorokiem okrutnego, straszliwego boga. – Patrzył jak jakiś beżpański pies szurnął przez ulicę, dopadając kawałka lodu, po czym zadowolony uciekł, unosząc w zębach stopę.

– Walczyłeś już z Billą. – Genevieve przekrzywiła głowę, przyglądając się uważnie Jigowi. Na jej gardle, w miejscu, gdzie zaciskała palce Isa, widniały czerwone pręgi. – A teraz powstrzymałeś... Jak ona się nazywała? Nieważne. Ocaliłeś mi życie.

– Ocaliłem swoje życie – sprostował Jig. – Większość to zasługa Ciapka.

Genevieve uśmiechnęła się blade.

– Może w takim razie powinniśmy posłać do walki z Billą twojego pająka.

Darnak wychylił się przez balustradę.

– Królowno! Mamy tu jastrzębia od twojego ojca i kobolda od Billi!

Genevieve pomachała na znak, że słyszy.

– Goblinie... – zaczęła.

– Jig – wtrąciła Relka. – Nazywa się Jig Smokobójca.

Genevieve zacisnęła usta, ale przytaknęła.

– Jig. Nie wierzyłam twoim towarzyszom, kiedy mówili, że zabiłeś moich braci. Teraz wierzę.

Jig odstąpił, sięgając po sztylet. Uśmiech Genevieve należał do tych złowróźbnych. Przypominał minę, jaką często przybierała Grell. Szczególnie zaraz przed tym, jak wyznaczała Jiga do wykonania jakiegoś wyjątkowo paskudnego zadania.

– Mój ojciec wydał edykt, na mocy którego każdy goblin przyłapany na ziemiach ludzi, ma zostać zgładzany od ręki – rzekła królowna. – Za uśmiercenie książąt Bariusa oraz Ryslinda niniejszym skazuję cię na rozplatanie i poćwiartowanie.

– Rozplatanie i poćwiartowanie? – Jig popatrzył niepewnie na gobliny, które robiły wrażenie równie co on zbitych z tropu. Kilka wyciągnęło miecze, wyczuwając w niezrozumiałych słowach groźbę. Ciemnogwiazdy poszeptał w umyśle Jiga, objaśniając obrazowo terminy. Nie oszczędził mu przy tym szczegółów. Nogi ugięły się pod Jigiem. Biedak klapnął w śnieg. – O...

– Jednakże daruję ci życie – ciągnęła Genevieve – jeśli zabijesz Krwawą Bille.

Relka zaśmiała się głośno.

– Myślisz, że Jig Smokobójca ulęknie się twoich groźb, człowieczyco?

Jig milczał. Genevieve nie była tak straszna jak Isa czy Billa, ale w przeciwieństwie do nich stała tuż obok. Nie wątpił, że gobliny pokonałyby ją, atakując jednocześnie, ale co by to dało, prócz zatargu z resztą ludzi? A za murami czekały Billa i Isa, ta ostatnia rozwścieczona zapewne tym, że Jig stopił jej głowę.

– Czemu ja? – wychrypiał.

– Bo Billa i jej bogini chcą ciebie. – Genevieve trąciła nogą kawałek Isy. – Możesz się do niej zbliżyć.

– Pewnie że mogę – przystał Jig. – Na odległość nie da rady nakarmić moimi oczami

wilków.

Powiedz, że zrobisz to, jeśli oszczędzi wszystkie gobliny, podpowiedział mu Ciemnogwiazdy.

Co?!

Powiedz, że pójdziesz walczyć z Billą, ale tylko jeśli przekona ojca do pozostawienia goblinów w spokoju.

A co ze mną? Co z moim życiem? Spokojnym, czy nie, jakimkolwiek?!

Będę przy tobie.

Jakoś mnie to nie pociesza, ciekawe, dlaczego...

Cóż jednak miał począć. Stał na z góry przegranej pozycji.

– Dobrze, pójde stawić czoła Billi, ale pod warunkiem, że ludzie zostawią gobliny w spokoju. Na zawsze.

– To zależy od mojego ojca, nie ode mnie – rzekła Genevieve. – Ale postaram się.

Jig aż zamrugał, oszołomiony, że tak łatwo się zgodziła. A gdzie duma? Gdzie złość i upokorzenie wynikające z faktu, że jest zmuszona układać się z goblinem?

– I miecz. Chcę nowy miecz – dodał.

– Dobrze.

– I coś do jedzenia, byle nie pikle.

Usta Genevieve drgnęły lekko.

– Coś jeszcze, gob... – zerknęła na Relkę – Jig?

– Dam ci znać, jeśli coś przyjdzie mi do głowy.

– W porządku – rzekła królowa na odchodnym. – Niedługo wrócę. I mam nadzieję, że przedstawiś mi swój plan. – Z tymi słowy odwróciła się i zaczęła wchodzić na platformę.

Jig wstał, sprawdzając ostrożnie stan nóg. Kolana trzęsły się nieco, a udo w miejscu ukąszenia drżało, ale nie przewrócił się.

– To co teraz? – zapytał Braf.

Jig podrapał się po udzie.

– To świetne pytanie. – Miał ochotę uciec jak najprędzej, ale gdzie? Wszystkie bramy pilnie strzeżono, a gdyby chciał przejść przez palisadę, schodząc po drugiej stronie, nadziałby się na te przeklęte kolce. Nie wspominając o tym, że poza miastem czyhała na niego Billa. Isa tropiąca Ciemnogwiazdę równała się sforze koboldów puszczonej śladem Jiga. Nie było

takiego miejsca, gdzie mógł się bezpiecznie ukryć.

To nie do końca prawda, odezwał się Ciemnogwiazdy.

To znaczy?

Czas, abyś stał się prorokiem Tymalouisa Ciemnogwiazdego.

Zaraz, chcesz powiedzieć, że mówileś poważnie? Naprawdę chcesz, żebym walczył z Bulą? Jig aż usiadł, do głębi wstrząśnięty.

Już raz stawileś jej czoła i zwyciężyłeś.

Uciekłem, zanim zdążyła mnie zabić. To nie to samo. A nie sądzę, żeby pozwoliła mi wsadzić sobie kolejną pochodnię w twarz.

Pomogę ci.

Jak? Znów mnie ogłupisz? Jig potrząsnął głową. *Dzięki, ale nie. Mogę dać się zabić i bez twojej pomocy.*

Nie ogłupiłem cię, tylko uwolniłem od lęku.

To to samo, mruknął Jig.

No cóż, Jig. Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Do czego?

Milczenie Ciemnogwiazdego było bardziej przerażające niż jakiegokolwiek słowa.

– Znów do siebie bełkoce – zauważył Trok.

Zareagował tylko Braf, który uniósł brwi.

– Na pewno?

– Na pewno – prychnął Trok. – Nie widzisz, jak rusza ustami?

– Hm, no cóż, skoro tak mówisz. – Braf zamrugał, Jig zaś w tym momencie pojął, że drugi kapłan nie rozmawiał wcale z Trokiem. Braf skupił na nim nieobecne chwilowo spojrzenie.

– Przykro mi, Jig.

– Przykro? A to dlaczego?

Odpowiedzią był niespodziewany wybuch żaru, w kieszeni, gdzie siedział Ciapek. A potem Braf grzmotnął go w głowę drzewcem swojej włóczni.

Rozdział 13

Wszechświat krył tajemnice nieznane nawet bogom. Kraina bogów była przedłużeniem ich samych, światem zbudowanym na niechętnych kompromisach, ulegającym nieustannym zmianom podług kaprysów jego mieszkańców.

Tymalous Ciemnogwiazdy wpatrywał się w płonąca czernią gwiazdę Noka. Mroczne płomienie pochłaniały światło, nawet to światło promieniujące z wewnątrz. Nokowi na pewno nie przyjdzie do głowy przeszukiwać własnej gwiazdy. A nawet jeśli, szanse na znalezienie mniejszej, świecącej w jego gwieździe były w najgorszym wypadku niewielkie.

Świątynia ukryta była równie dobrze. Ciemnogwiazdy zbudował ją w królestwie Xapthluksa, śpiącego boga. Oczywiście trzeba będzie opuścić to miejsce zanim Xapthlux się obudzi, ale ponieważ nie miało to nastąpić przez kolejne półtora tysiąca lat, Ciemnogwiazdy postanowił nie martwić się na zapas.

W ogóle przestał się martwić. Po kilku wiekach jego moc zaczęła powracać. Co jakiś czas wychylał się, pomagając potrzebującym tyle, ile mógł bez zwracania na siebie uwagi innych bogów. Głównie jednak spał. I sprzątał. Królestwo Xapthluksa było wyjątkowo zapyziałym miejscem.

Nie wiedział, co obudziło go tym razem. Rozejrzał się, westchnął i wyjął ścierkę z nicości.

Odległy głos wbił mu się w pierś niczym ostrze. Próbował się uspokoić, ale dzwoneczki przy stroju zdradzały jego zdenerwowanie. Wołanie było ciche. Urywana, belkotliwa namiastka modlitwy, ale po tylu wiekach ciszy...

– Tu chyba pisze Tymalous Jesiennogwiazdy. – Głos należał do chuderlawej niebieskoskórej istoty o wielkich klach – sądząc po wyglądzie, goblina. Stwór siedział w zadymionej grocie, mrużąc oczy nad poślódką tomiskiem. – Ciężko przeczytać. Ten człowiek zakrwawił całą okładkę.

– Powinniście ją zanieść wodzowi – rzekła wielka goblina dzierżąca w dłoni chochlę. Drugą rękę trzymała na wystającym brzuchu. – Choć nie pojmuję, czemu nie może używać w wychodku porostu, jak wszyscy.

Mniejszy goblin wyjrzał z groty.

– Będzie potrzebował połowę tej książki naraz, po tym, jak zeżre tyle tego człowieka – zaśmiał się. – Patrz, Golaka, jak...

– Rusz się! – Golaka wytrąciła mu księgę z ręki. – Już dość kłopotów mi narobiłeś – rzekła, pokazując na wydęty brzuch. – Jeśli masz tu zostać, musisz pomagać! Jak nie, to możesz wracać do syfiarni i babrania się w mazi.

– Przecież pokroilem tego herosa i podałem go wojownikom, no nie? Poza tym chcę się dowiedzieć, jakim cudem ta drużyna dotarła żywa do jaskini Strauma. Wyobrażasz sobie posiadanie takiej magii? Ten też by uciekł, gdyby jaszczurnik go nie załatwił kolcem. Pomyśl tylko, Golako, gdybyśmy mieli ich broń i magię, moglibyśmy wygrać wreszcie z hobgoblinami, moglibyśmy obronić się przed tymi awanturnikami z powierzchni, moglibyśmy...

Chochla Golaki brzęknęła o skalę.

– Powiedziałeś kolec jaszczurnika?! – Złapała mniejszego goblina za ramiona, stawiając go na nogi.

– No tak to wyglądało. Kilka dziurek w jednej linii i ciekła z nich krew, która nie krzepła. Ale nie jestem pewien. Wiesz przecież, że słabo widzę.

– To znaczy, że nakarmiłeś wojowników zatrutym mięsem! – wrzasnęła Golaka.

Mniejszy goblin pobladł. W większej grocie rozległy się krzyki.

– Gdzie ten kurdupłowaty Jarik?! Jego żarcie zaszkodziło wodzowi!

Przerażony Jarik wyrwał się Golące, dopadł stołu i złapał nóż kuchenny leżący obok dzbana. Nagle jednak zmienił zdanie, rzucił nóż i chwycił za ucho naczynia.

– Piwo klakowe dla wszystkich! – wydarł się i pierwszemu goblinowi, który wpadł do kuchni, wepchnął w ręce dzban. – Najlepsze piwo Golaki dla najlepszych wojowników!

Pomysł był niezły i prawie się udało. Do czasu, kiedy trucizna jaszczurnika zabiła wreszcie wodza, większość wojowników była zbyt pijana, by zwrócić na to uwagę.

Niestety, pijane gobliny to brutalne gobliny, więc gdy biednemu Jankowi skończyło się piwo, rezultat libacji był oplakany Ciemnogwiazdy westchnął, patrząc, jak Golaka niesie zakrwawioną księgę do wychodka.

– Tymalous Jesiennogwiazdy, co? – mruzczała. – Co za głupie imię.

Ciemnogwiazdy siadł na skraju świątyni, spuszczaając nogi w pustkę.

Pamiętały jego imię!

Te nędzne, brutalne, prymitywne gobliny pamiętały jego imię! Niestety, nie wyglądały na istoty, które myślały o jakichś tam bogach. I trudno się dziwić. Jesiennogwiazdemu nie przychodził do głowy żaden bóg, który zniżyłby się do posiadania wyznawców wśród goblinów.

Jedyny goblin, który zadawał sobie pytania, który zastanawiał się, który mógł zostać łącznikiem pomiędzy swoim plemieniem a Tymalousem Ciemnogwiazdym, piekł się właśnie na różnie Golaki.

Ale kto wie, może jego potomek...

* * *

– Miło cię znowu widzieć, Jigu Smokobójco.

Na niebie migotały miliony gwiazd. Powietrze było suche i pyliste, ale lepsze to niż drażniący aromat tych okropnych kwiatów – katar i łzawienie zniknęły jak ręką odjął. Jig usiadł i dotknął palcami twarzy. Po okularach nie było ani śladu, ale widział doskonale. Tylko raz przeżywał coś takiego – podczas wizyty w świątyni Tymalouisa Ciemnogwiazdego. W *prawdziwej* świątyni, nie w grocie w labiryntach.

Jig spojrział w kierunku, z którego dochodził głos.

Bóg stał oparty o zniszczoną ścianę, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Nie zmienił się, odkąd Jig widział go ostatnim razem. Nadal był niski, chudy, nadal miał takie same srebrzyste włosy, przerzedzone na czubku głowy. Można by go wziąć za człowieka, gdyby nie te dziwaczne oczy. W oczodołach, w miejscu gdzie powinny znajdować się gałki oczne, ziała smolista czerń, w której złociły się dwie miniaturowe gwiazdy.

Jig cofnął się przestraszony.

– Kazałeś Brafowi mnie zabić!

Ciemnogwiazdy sprawiał wrażenie odrobinę zmieszanego.

– Kazałem mu pozbawić cię przytomności – sprostował. – To wcale nie takie proste, jak by się wydawało. A wiesz... Braf to Braf. Nie martw się, Darnak robi, co może, żeby zasklepić ci czaszkę. Jeśli cię to pocieszy, Braf złamał sobie przy okazji włócznię.

Dziwne, ale Jigowi faktycznie zrobiło się lepiej na duszy.

– Nie boli cię od tego głowa? – zainteresował się. – No wiesz, od tych gwiazd w oczach.

Ciemnogwiazdy wzruszył ramionami.

– Dzięki temu widzę w ciemnościach, to niezła rzecz. – Miał na sobie to samo luźne odzienie z czarnego jedwabiu, ozdobione wzdłuż nogawek oraz rękawów srebrnymi dzwoneczkami. Dzwoneczki zadzwoniły, kiedy przetarł oczy. – Choć muszę przyznać, że po tej

eksplozji Laski Stworzenia, wszystko wydaje mi się takie nieostre. Może będę musiał pożyczyć od ciebie okulary.

– Laska wcale nie wybuchła.

– Taka ilość skumulowanej energii magicznej wyzwolona bez zaklęcia, które mogłoby ją zaabsorbować? Wyglądało to tak, jakby w jednej chwili utworzył się i implodował miniaturowy świat. Ciesz się, że nie posiadasz boskiego wzroku – zachichotał Ciemnogwiazdy.

– Jak to było?

– Głównie fioletowo. – Bóg znów potarł oczy. – Słuchaj, Jig, są rzeczy, które musisz dobrze zrozumieć. Począwszy od powodu, dla którego Zapomniani Bogowie rozpętali swoją wojnę. Nigdy nie zastanawiałeś się, dlaczego ja, Isa oraz wielu ruszyliśmy do walki?

Jig potrząsnął przecząco głową.

– Bezimienni bliźniacy, dwaj bogowie początku, są kompletnie bezmyślni. Niewiarygodnie potężni, ale głupi jak gob... W każdym razie bezmózdzy.

– I dlatego ruszyliście na wojnę? Bo są głupi? – Gdyby Jig hołdował takiemu postępowaniu, musiałby wypowiedzieć wojnę połowie plemienia.

– Niektórzy, owszem, właśnie dlatego. Uważali, że tak ogromna moc powinna należeć do istot, które potrafiłyby z niej mądrze korzystać.

– Czyli do nich, jak rozumiem?

– Naturalnie. – Ciemnogwiazdy podniósł odłamek muru wielkości pięści i obrócił go w rękę. – Właśnie do tej grupy należała Isa.

– Dlaczego jej pomogłeś? – zapytał Jig, szczerze zaintrygowany. Poza tym liczył na to, że im dłużej Ciemnogwiazdy będzie mówił, tym dłużej tu zostanie. A świątynia, choć zrujnowana, była jedynym miejscem, gdzie czuł się bezpiecznie. No i tylko tu widział dobrze bez okularów.

– Aby to pojąć, musisz zrozumieć, na jakich zasadach działa wszechświat. – Ciemnogwiazdy przesunął dłonią po głowie, odgarniając włosy z twarzy. – Wszechświat... Składa się z warstw.

– Jak ogrze babki?

Ciemnogwiazdy znieruchomiał na moment z otwartymi ustami.

– Jak co?

– W zeszłym roku po bitwie z ogrami zostało nam mnóstwo resztek. Golaka zrobiła taki deser, warstwa ogrzego mięsa, sos grzybowy, siekane wątróbki szcurze i znów warstwa

ogrzyny. To wszystko posypała wiórkami niebieskiej pleśni, żeby dodać tego specjalnego, słodkawego posmaku. – Na samo wspomnienie tej delikcji Jigowi pociekła ślinka.

– Nie, wszechświat nie jest taki jak ogrza babka – oświadczył Ciemnogwiazdy surowo. Położył na ziemi kamień i przejechał palcami po jego powierzchni. – Wy, śmiertelnicy, widzicie tylko jego górną warstwę. Rzadko kiedy któryś z was potrafi dostrzec jego głębię, a jeszcze rzadziej do niej sięgnąć.

– Więc jesteśmy jak te wiórki na deserze Golaki?

Bóg przewrócił gwiazdkami w oczach.

– Niech ci będzie. Tak, wy wiórkami, a my, bogowie, sosem grzybowym. Najważniejsze to zdać sobie sprawę, że wy, pleśniowe wiórki... – uśmiechnął się. – Podoba mi się ta metafora.

– Masz tu coś do jedzenia? – rozejrzał się Jig.

– Nic jadalnego dla goblinów, przykro mi.

Jig przetrząsnął kieszenie, ale nie znalazł w żadnej nic zdatnego do jedzenia. Ciapek nie towarzyszył mu w tej podróży, co było zrozumiałe, ale szczurzy ogon także zniknął.

– Rzecz w tym, że wy, pleśniowe wiórki, żyjecie w świecie, który opiera się na warstwie grzybów. To znaczy, świecie bogów. Nie widzicie, co dzieje się w naszym świecie, ale to, co robimy, ma na was wpływ.

– Jak na przykład kiedy przechyla się kociołek i wszystkie grzyby zjeżdżają na jedną stronę? – Jig obliznął się ze smakiem. – Potem górne mięso się zapada i ktoś dostaje same grzyby, bez mięsa.

– Jak nie przestaniesz z tą spożywczą obsesją, strącę cię w próżnię – rzucił Ciemnogwiazdy od niechcienia.

Jig przełknął głośno ślinę, po czym kiwnął głową.

– Dwaj bogowie początku walczyli ze sobą, odkąd powstał wszechświat. Wyobraź sobie żywe stworzenia kotłujące się na dole twojego deseru. Pomyśl, co w końcu mogłoby się stać z górnymi warstwami.

Jig pokiwał gorliwie głową.

– Czasem Golaka dodaje...

– Nie chcę wiedzieć! – przerwał mu bóg pospiesznie. – Chodzi o to, że ich walka spowoduje kiedyś upadek wszechświata. Twojego świata, naszego, wszystko ulegnie zniszczeniu. – Blask gwiazdek w jego oczach przygasł lekko. – Myślałem... Wierzyłem, że

możemy ich powstrzymać. Że możemy ocalić wszechświat przed całkowitą destrukcją.

Jig popatrzył w niebo.

– Jak sądzisz, ile czasu minie zanim...

– Tego nie wie nikt. Wszechświat jest przepastny i rozległy. Może przetrwać miliony lat.

Może nawet miliardy.

– Dobrze. – Jig odetchnął z ulgą, ale jednym okiem wciąż zerkał ku gwiazdom.

– Podczas wojny dowiedziałem się, że jestem kiepskim, nie, fatalnym wojownikiem. –

Ciemnogwiazdy z zażenowaniem wrzucił ramionami. – Jestem bogiem Jesiennej Gwiazdy, mam pieczę nad upływem czasu, zmianami pór roku. Łagodzę lęk przed śmiercią, stwarzam możliwości dla nowego życia. Jestem pomniejszym bogiem, Jigu, nie żadnym wojownikiem. – Skrzyżował ręce na piersiach. – Dlatego chcę, abyś został moim bojownikiem.

Jig wskazał na siebie.

– Zapominasz chyba, że jestem goblinem?

– Ale jesteś także śmiertelnikiem. A ja bogiem.

Jestem tym, czym byłem i czym będę po wsze czasy.

– Hm?

Ciemnogwiazdy westchnął.

– Śmiertelnicy mogą się zmieniać. Bogowie nie. Pomogę ci pokonać lęk, Jig. Dam ci szansę, abyś stał się czymś więcej niż tylko goblinem.

– Ale ja nie chcę być niczym innym. – Jig pokręcił głową. – Chcę być goblinem.

– Twoje plemię cię potrzebuje. Możesz uratować swoich i przed Billą, i przed ludźmi.

Masz okazję powstrzymać Bille. Ocalić gobliny, mojego syna, wszystkich.

Jig potrząsnął głową. Laska Stworzenia została zniszczona. Skoro Teodor nie zdołał powstrzymać Billi, jakim cudem miałby to zrobić on?

Ciemnogwiazdy zacisnął palce na jego ramionach i podniósł w górę. Przez mgnienie oka Jig sądził, że bóg ciśnie go w pustkę otaczającą świątynię. Ale Ciemnogwiazdy postawił go ostrożnie przy resztkach portalu.

– Isa jest silniejsza ode mnie, ale i ja posiadam moc, Jigu Smokobójco. Tysiące lat oszczędzałem *się*, nabierając sił. Regenerując magię. Odbudowując to miejsce.

Jig spojrział na skraj posadzki, tam, gdzie pokruszony kamień urywał się, prowadząc w nicość.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem świetnym budowniczym – przyznał Ciemnogwiazdy.
– Ale Jig, wszelka moc, jaką posiadam, jest do twojej dyspozycji. Nie mogę walczyć z Billą zamiast ciebie, ale mogę cię chronić.

Jig zastrzygł uszami. Podobało mu się to, co słyszał. Aczkolwiek Ciemnogwiazdy mówił wcześniej, że Isa jest od niego potężniejsza.

– A co, jeśli się nie zgodzę?

– Jesteś śmiertelnikiem. Masz wolną wolę, możesz wybrać swój los.

– Świetnie. W takim razie...

– Choć przypuszczam, że nie spodobałyby ci się konsekwencje odmowy. – Ciemnogwiazdy poklepał go po ramieniu i odstał. Sunąc palcami po resztkach ściany świątynnej, nucił „Balladę o Jigu”.

– Jakie konsekwencje? – Jig wiedział, że nie powinien zadawać tego pytania, ale nie był w stanie się powstrzymać.

– Jeśli odmówisz, odbiorę ci wszystko, co ode mnie otrzymałeś. – Bóg nie patrzył na niego. – Będzie tak, jakbyś nigdy nie posiadał żadnej mocy.

Włącznie z uzdrowicielską.

Do Jiga powoli dotarło, co mówi Ciemnogwiazdy. Bez tej magii większość ran, które otrzymał, skończyłaby się śmiercią. Najgorzej było, gdy w zeszłym roku podczas wojny z chochlikami jeden goblin dźgnął go nożem. A te wszystkie skaleczenia, zadrapania, ugryzienia, poparzenia...

– Kłamiesz! Przed chwilą powiedziałeś, że jesteś bogiem, który chroni i łagodzi. Nie możesz zabić swojego wyznawcy!

Ciemnogwiazdy wzruszył ramionami, podzwaniając dzwoneczkami.

– Ale ty przecież nie będziesz już moim wyznawcą.

– Ale i tak nie możesz...

– Może i nie. – Bóg odwrócił się i Jig spostrzegł, że ledwie powstrzymuje się od śmiechu. Drżała mu dolna warga, a w oczach migotały iskierki, dosłownie. – Ale wiesz, wy gobliny macie pewną cechę. Jesteście tchórzami. Nie mówię tego, żeby cię obrazić, absolutnie. Tchórzostwo jest znacznie skuteczniejszą metodą na przetrwanie niż heroizm. Ale oznacza także to, że choć jesteś prawie pewien, iż blefuję, nie zaryzykujesz.

Jig patrzył na niego dłuższą chwilę.

– Proszę, nie rób mi tego. – Dziwne, bać się utraty lęku. Ale to właśnie lęk pomagał goblinom przetrwać.

– Przykro mi, Jig. – Rozbawienie boga zniknęło. Wydawało się, że jego słowa nie są czczym frazesem. Wyciągnął rękę, kładąc dłoń na piersi Jiga. – Twoje plemię cię potrzebuje. Ja cię potrzebuję.

* * *

Jig spróbował usiąść i natychmiast tego pożałował. Ciemnogwiazdy odebrał mu lęk, ale Jig znacznie chętniej pozbyłby się uczucia mdłości. W głowie huczało mu jak w bębnie, a gdy dotknął czaszki i popatrzył na dłoń, okazało się, że palce były zakrwawione.

– On żyje! – Krzyk Troka omal nie spowodował ostatecznej eksplozji w Jigowej czaszce. Goblino otoczyły leżącego ciasnym kręgiem.

– Oczywiście, że żyje. Ziemiotwórca jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. – Darnak powstrzymał Jiga od kolejnych prób wstawania. – To była paskudna rana, ale będzie zdrów raz-dwa.

– To dobrze. – Genevieve, z wyrazem irytacji na obliczu, stała obok Troka.

Jig zmrużył oczy, spoglądając na niebo. Czy słońce nie było przypadkiem po drugiej stronie miasta? I czemu to Darnak go leczy?

– Gdzie jest Braf?

– Jest w kolejce do leczenia. I przepytywania – odparł Darnak.

Leczenia? Jig znowu usiłował się podnieść, ale krasnolud był stanowczy. Goblin równie dobrze mógłby próbować przesunąć górę. Poprzestał więc na kręceniu głową i wyteżaniu wzroku. Soczewki były pomazane krwią i zasypane śniegiem, ale udało mu się dostrzec leżącego nieopodal nieruchomego Brafa.

– Co się stało?

Trok rozchichotał się radośnie.

– Relka mało go nie zabiła. Wielki, groźny Braf powalony, pozbawiony przytomności przez podkuchenną.

– I trzeba mi było dać dokończyć! – wrzasnęła Relka, która miotła się i wierzgała, przytrzymywana przez kilka goblinów. Miała mokrą twarz. Upadła na śnieg podczas szamotaniny z Brafem? I dlaczego w ogóle go zaatakowała?

Wy, gobliny, jesteście nieprawdopodobnie tępe, wiesz?

Na szczęście Jig już dawno nauczył się ignorować Uszczypliwe uwagi boga.

– No, już lepiej – mruknął Darnak i łomot w głowie Jiga zelżał. Krasnolud pomógł mu usiąść. – Wiesz może, co skłoniło go do roztrzaskania ci głowy? Ja osobiście podejrzewam, że szpieguje dla Billi.

– Braf? Szpiegiem? – Mimo bólu Jig musiał się uśmiechnąć. – Ktoś namieszał mu z głowie, to wszystko. Czasem się zdarza. Relka, nie musisz go zabijać.

– Ale on... – zająknęła się i siąknęła nosem. Uspokoila się, ale gobliny na wszelki wypadek jej nie puszczały. Wykręciwszy się, spojrzała na Darnaka. – Naprawdę nic mu nie będzie?

– Jest jak nowy – zapewnił ją krasnolud i poklepał Jiga po głowie wystarczająco mocno, by znów go przewrócić. – Powiedz mi, Jig, kiedy *to* udało ci się zdobyć nowy płaszcz?

– Nowe, co? – Jig szarpnął tkaninę, podnosząc ją do oczu. Płaszcz był nadal potargany i poplamiony, a na krawędziach miał te same okropne wzorki, tyle że teraz widniała na nim dodatkowa ozdoba, dokładnie w miejscu, gdzie Ciemnogwiazdy dotknął go dłonią – wyszyty czarną i srebrną nicią znak gwiazdy i błyskawicy.

– Przypomina trochę jej wisiołek – zauważył Darnak, wskazując na Relkę.

– Prawda? – Jig powiódł palcem po hacie.

Spodobał mi się jej projekt.

– Czemu tu jesteś? – zapytał Jig, zwracając się do królowny. – Myślałem, że poszłaś przeczytać wiadomość od ojca.

– To było sześć godzin temu.

– Uleczenie głowy trwało chwilkę, ale strasznie długo nie mogliśmy cię ocucić – wyjaśnił Darnak.

Sześć godzin. To wyjaśniałoby zmianę położenia słońca. Jig zadrżał. Wieczorem robiło się jeszcze zimniej.

Genevieve potarła czoło ze znużeniem.

– W górach spadł śnieg. Ojciec dotrze tutaj nie wcześniej niż jutro. Wtedy... Wtedy zamierza zaatakować.

– Co?! – Nowina nie przeraziła go, dzięki interwencji Ciemnogwiazdego, zresztą. Jednakże nieobecność lęku pozostawiała wielkie przestrzenie dla innych emocji. Niepokoję,

złości, gniewie nawet odrobiny rozpaczy. – Nie powiedziałaś mi o zamiarach Billi? Przecież ona tego właśnie chce!

– Nie uwierzył mi. Rozkazał utrzymać Avery i nie wykonywać żadnych ruchów, dopóki nie przybędzie. Ale nawet jeśli zdąży na czas, wątpię, żeby chciał słuchać.

– Wendelowie są strasznie uparci, nawet jak na kryłów. Zamknie uszy na każdy plan, który pozwoli przeżyć żołnierzom Billi. – Darnak potrząsnął smutno głową. – Przykro mi, Jig. Nie powinienem mu mówić o śmierci Teodora. Może posłuchałby, gdyby nie...

– Mój ojciec? Miałby słuchać? – zaśmiała się Genevieve. – Zbyt długo byłeś ptakiem, Darnaku. Mnie nie słuchał nigdy, a twoje zdanie przestało się liczyć w momencie, kiedy przyniosłeś wieść o śmierci Ryslinda i Bariusa.

– A inne wieści? – dopytywał się Jig – Mówiliście, że kobold przyniósł jakieś posłanie od Billi. Czego chce?

– Zaproponowała, że puści mnie wolno wraz ze wszystkimi ludźmi z miasta – odrzekła Genevieve. – W zamian mam tylko wydać ciebie.

Rozsądne. Po co marnować własnych żołnierzy, skoro ludzie mogą go jej przynieść na tacy? Jig spojrział po sobie, sprawdzając swoje uzbrojenie. Miał co prawda odebrany elfiemu trupowi sztylet, ale Ciemnogwiazdy nie obdarował go żadną boskopochodną bronią.

Wiesz, że nie jestem najlepszy w tych sprawach, przypomniał mu bóg.

Jasne. Haftowanie – nie ma problemu, broń – nie ma mowy.

– I co jej odpowiedziałś? – zapytał, kładąc dłoń na rękojęści.

Genevieve uniosła brew, muskając głowicę swojego miecza, jakby prowokowała go do ataku.

– Że jesteś podstępny, wstrętny tchórzem, któremu udało się uciec. Poprosiłam, żeby dała nam czas do jutra, do wieczora. Mamy cię schwytać i oddać w jej ręce.

– I co? Zgodziła się?

– Owszem. – Darnak ukrył dłonie w brodzie, prawdopodobnie żeby je ogrzać. Wyglądało to tak, jakby miał czarną, sfilcowaną mufkę. – Z tego, co mówiłeś, Billi nie zależy na Avery. Woli oszczędzać żołnierzy na królewską armię. Chce, aby zginęło jak najwięcej istot, a w przypadku ataku na miasto, straciłaby niepotrzebnie kilkuset wojowników. O tylu mniej zginęłoby w rzezi mającej przykuć uwagę Noka.

Jig już miał pytać dalej, ale przeszkodził mu okrzyk Reiki.

– Jig! Uważaj!

Jig się odwrócił. Spomiędzy budynków pędził ku niemu goblin. Jig przymrużył oczy i przekreślił głowę, usiłując znaleźć choć jeden czystszy kawałek soczewki. Pomiedzy smugami krwi i płatkami śniegu rozpoznał w biegnącym Gracza.

– Zdrajca! – wrzeszczał Gracz, celując w Jiga kuszą. – Regulamin wymaga, abym aresztował cię za zdradę. Rozkazuję ci... – Gracz poślizgnął się na zamrożonej kałuży, wystrzelając przypadkowo i trafiając Jiga pod obojczyk. Uderzenie nie było tak straszne jak, powiedzmy, cios smoczym ogonem, ale jego siła wystarczyła, by odrzucić Jiga kilka kroków. Chwiejąc się, Jig machał ramionami i próbował odzyskać równowagę.

Gracz nadbiegał, dobywając miecza. Skąd wziął tyle broni? Przecież miał być zamknięty w...

– Czemu jeszcze stoję? – wyszeptał Jig. Spojrzał po sobie. Bełt leżał w śniegu, kilka kroków dalej. Na płaszczu nie było śladu rozdarcia, choć Jig aż nadto wyraźnie czuł, jak na piersi tworzy się wielki siniec... Dokładnie pod wyhaftowanym znakiem Ciemnogwiazdęgo.

Ale potrafię zrobić całkiem niezły pancerz, stwierdził bóg chełpliwie.

Niewiele mi to pomoże, jak grzmotnie mnie w twarz. Jig wyjął nóż, wychodząc Graczowi naprzeciw. Może przeciwnik potknie się znowu i nabije na własne ostrze? Jig raczej wątpił w taki obrót sprawy. Gracz był wyszkolonym żołnierzem. Przynajmniej na tyle, na ile dało się wyszkolić goblina.

Jig potoczył wzrokiem wokoło. Reszta goblinów już robiła zakłady, szczerząc się w przewidywaniu dobrej zabawy – tak, jak to zwykle czyniły gobliny. Ale te tu także są ponoć żołnierzami. *Jigowymi* żołnierzami.

Przystanął, chowając nóż.

– A wy co tak stoicie, leniwe tępaki? – wrzasnął, starając się odtworzyć groźny grymas i gniewny ton Srebrnozębego. Z min goblinów wynikało, że osiągnął sukces. Nie pozwalając im ochłonąć, wskazał na Gracza, krzycząc: – Brać go!

Gobliny z wrzaskiem rzuciły się na napastnika. Żołnierz czy nie, Gracz w głębi serca pozostał goblinem. Rzucił miecz, odwrócił się i czmychnął.

Jig uśmiechnął się z zadowoleniem. Zaczynało mu się podobać to generałowanie.

* * *

W kantynie koszarowej stał największy stół w mieście, co czyniło z niej najlepsze miejsce na rozłożenie map Darnaka. Niestety, koszary mieściły się w elfickim budynku, a stół wymagał porządnego strzyżenia. Wyrastające z boków gałązki łaskotały Jiga pochylającego się nad rozpostartymi na blacie pergaminami. Otarł oczy, starając się nie kichnąć.

Zapalone świece osadzono w kinkietach ukształtowanych z żywej winorośli. Przeróżnie słodki zapach aromatyzowanego wosku pogłębiał cierpienia Jiga.

Darnak rozstawił swoje figurki. Większość skupił koło Avery, te reprezentowały armię Billi. Kilka rozmieścił w lasach po jednej i drugiej stronie.

– Billa rozesłała drużyny zwiadowcze na wypadek, gdybyś próbował uciec.

U wejścia do doliny postawił kilka klocków.

– Gdy Wendel przybędzie na miejsce, prawdopodobnie wyśle przodem kawalerię, w nadziei, że konni zmiotą po prostu szeregi potworów.

Trzecie nagromadzenie figurek, po drugiej stronie doliny, przedstawiało elfy.

– Gdyby udało nam się zepchnąć Billę za granicę, elfy by nam pomogły...

– Żołnierze Billi nie będą uciekać – oświadczył Jig. – To pewnie wbrew jakimś zasadom regulaminu.

– To nieistotne – odezwała się Genevieve. – Musimy rozbić armię Billi zanim przybędzie mój ojciec.

– Król kazał ci się nie wychylać – zauważył Darnak.

– Wiem. – Podniosła kilka posążków swoich żołnierzy, ustawiając z nich linię przed Avery.

Jig przyjrzał się mapie. Darnak nie miał specjalnej figurki przedstawiającej Billę, wykorzystał więc spory szarawy kamień. Kamień ten otaczało kilka tysięcy potworów, czyli parę metalowych klocków z liczbami oraz rysunczkami.

Jig zmarszczył brwi, pochylając się nad blatem. Figurki, które Genevieve usytuowała przed murami miasta, to były gobliny. Ta najbardziej wysunięta wyglądała dość dziwnie. Podniósł ją, przysuwając sobie do oczu. Na oczach goblina Darnak wymalował ametystowe soczewki.

– Obiecałeś, że zabijesz, Bille, pamiętasz? – powiedziała Genevieve.

– Twoje gobliny poprowadzą cię, udając, że jesteś więźniem. – Darnak rozsunął siły Billi,

po czym przestawił w utworzony korytarz gobliny. – Kiedy będziesz odpowiednio blisko, zaatakujesz. To straceńczy plan, ale będziesz miał przewagę zaskoczenia. Błędem Teodora był atak frontalny. Równie dobrze mógł wysłać Billi liścik z dokładną godziną podjęcia działań.

– W każdym razie *jednym* z jego błędów – zastrzegła Genevieve.

– Zgubiła go pewność siebie – stwierdził Darnak cierpko.

Jig wpatrywał się w mapę. Zbytnią pewność siebie na pewno nie będzie problemem goblinów. Przesunął figurki bliżej kamyka-Billi.

– Powiedzmy, że jakimś cudem uda nam się zaskoczyć i zabić Bille. Co dalej?

Darnak zaczął skubać swoje pióro. Królowa nie podniosła oczu znad mapy.

Jig poprzestawiał klocki-potwory tak, że otaczały gobliny.

– Żaden z nas nie przeżyje.

– Mówiłem ci, że ten jest bystry – rzekł Darnak cicho.

W tym momencie każdy rozsądny goblin rzuciłby się do ucieczki. Jig jednak nie drgnął.

– Najbliżej będą orki. To one nas zabiją. A potem ruszą na Avery.

– Niekoniecznie – zaprotestowała Genevieve. – A nawet jeśli, palisada powinna wytrzymać do przybycia ojca.

– Liczymy na zamieszanie – dodał Darnak. – Śmierć przywódcy będzie dla nich prawdziwym ciosem, znacznie obniży morale. Poza tym będą musieli wybrać kogoś, kto poprowadzi atak w miejsce Billi.

Jig spróbował wyobrazić sobie chaos, który zapanuje. Kiedy ginął wódz goblinów, mądrzejsze gobliny natychmiast uciekały, powracając dopiero po kilku dniach, gdy spośród pozostałych wyłonił się już nowy przywódca. Biorąc pod uwagę, jaka masa potworów tworzyła armię Billi, lepiej byłoby nie przebywać nigdzie w pobliżu, kiedy wszystko się zacznie. Choć z drugiej strony, Jiga to nie dotyczy – i tak będzie martwy.

Genevieve zdjęła z Darnakowej mapy klocki-potwory.

– Przy odrobinie szczęścia zrezygnują i wrócą do domów. Wyobrazasz sobie minę mojego ojca, jak przybywa wraz ze swoją armią i zastaje puste pole bitwy? – zawołała z uniesieniem i nagle zmarszczyła brwi. – A co, jeśli gobliny zdradzą? Skoro on jest w stanie przewidzieć przebieg wypadków, to może reszta także? I przyłączą się do Billi, żeby ocalić życie?

– Na pewno nie Relka. – Potrząsnął głową Darnak. – Odnoszę wrażenie, że ona weszłaby

za nim w paszczę smoka. Kilka innych także. A co to reszty, Jig powiedział im, o co tak naprawdę chodzi Billi.

– Musimy to zrobić szybko. – Jig obrócił w ręce maleńkiego goblina w okularach. Zastanawiał się, czy Darnak mógłby dokleić mu maleńkiego pajaka. – Żeby nie dać im czasu na rozważania.

– A więc o świcie – zdecydowała Genevieve. – Słońce wstaje niemal dokładnie za Avery. Światło ich oślepi, da wam przewagę.

Jig kiwnął głową. Jeśli ma poprowadzić gobliny do bitwy, musi załatwić jeszcze kilka spraw. Wstał i ruszył do wyjścia.

– Zaczekaj, Jig – zatrzymała go królowa. Po chwili wahania podniosła z podłogi jakieś podłużne zawiniątko. – Obiecałam ci miecz.

Jig przyjął pakunek, zaskoczony jego niewielkim ciężarem.

– Należał do Teodora – rzekła Genevieve. – Stanowił parę z tym, który miał przy sobie, gdy poległ. Elfy podarowały mu oba ostrza, kiedy pierwszy raz zakradł się do ich lasu.

– Naprawdę uważasz, że twój brat chciałby, abyś dawała go goblinowi? – wyraził wątpliwość Darnak.

– Wprost przeciwnie – uśmiechnęła się Genevieve, kładąc rękę na ramieniu Jiga. – Mój ojciec wydał edykt nakazujący zabić każdego goblina, bez ostrzeżenia. Najcelniej zranisz go, odnosząc sukces tam, gdzie jego syn poniósł klęskę.

Jig uśmiechnął się tak szeroko, że aż zabolęły go szczęki. Za długo je zaciskał. Genevieve miała swoje wady, ale z pewnością wiedziała, jak zmotywować goblina.

Rozdział 14

Dziecko było małe, chude, pokraczne i miało komicznie wielkie uszy.

– Jesteś pewna, że to coś jest Golaki? – Jedna z pracujących w żłobku opiekunek, zgarbiona, pomarszczona goblina, pakuwała do przewijaka. Poruszała się o kulach. – Na szczurach jest więcej mięsa.

Druga goblina szturchnęła trzymanego niemowlaka szponem w brzuszek. Malec odepchnął słabo jej palec.

– Mizerota. Nawet nie płakał.

– W tym akurat nie ma nic złego. – Starsza opiekunka wetknęła sobie do ust cukrowy supełek. – Mogłabyś się od niego nauczyć trzymania paszczy na kłódkę.

– Uważaj sobie, Grell. – Młodsza przytrzymała dziecko jedną ręką, drugą sięgając po miecz. Machnęła ostrzem w kierunku rozmówczyni. Dziecko przekreśliło głowę, śledząc wzrokiem zrudziały od rdzy sztych. Było typem obserwatora. Jeśli ta goblina nie będzie uważała, malec spadnie na głowę. A wtedy Ciemnogwiazdy spuści jej takie manto, jakiego świat nie widział.

– Odlóż to. – Grell odepchnęła miecz laską. – Pamiętaj, jak mnie zabijesz, będziesz sama zmieniała pieluchy. – Wykrzywiła się złośliwie. – Pamiętasz te suche owoce, które znalazłam przy ostatniej drużynie tych łobuzów z powierzchni? Kilka smarkaczy je wyniuchało. Przez parę dni dyżur pieluchowy będzie prawdziwą przyjemnością. Ale nie ma sprawy, dziabnij mnie tym nożykiem i sama sobie podcieraj im tyłki.

Druga goblina popatrzyła na miecz, jakby miała ochotę się na niego nabić. Ostatecznie poprzestała na westchnieniu i schowała ostrze do pochwy.

– Może ty posprawdzaj pieluchy, a ja wyniosę tego pokurcza kotom tunelowym.

Tymalous Ciemnogwiazdy potrząsnął głową. Ten pokurcz miał spore możliwości, jak na goblina. Poza tym wyglądał pociesznie z tymi wielkimi kłapciatymi uszami, które opadały mu wiecznie na ślepkę. Ciemnogwiazdy nie mógł pozwolić mu tak umrzeć.

Skoncentrował się na Grell, ale przepędziła go z umysłu jakby odganiała muchę. Skupił więc wysiłki na młodszej opiekunce. Ta była stuprocentowym goblinem – agresywna, brutalna, nie cofnęłaby się przed niczym, żeby osiągnąć swój cel.

– Czekał – powiedziała. – Mam lepszy pomysł.

– Ty masz jakiś pomysł? – prychnęła Grell. – A myślałam, że widziałam już wszystko.

Podszepty Ciemnogwiazdego padły na podatny grunt.

– Założę się o tydzień zmieniania pieluch – powtarzała natchniona goblina – że nie dasz rady utrzymać karakona przy życiu do pierwszej pełni.

Grell, postukując laską, podeszła do drugiej niańki, aby wziąć niemowlę.

– Miesiąc.

– Niech będzie miesiąc – przystała młodsza, muskając rękojeść miecza.

– Tylko spróbuj, a nakarmię cię tymi pieluchami.

Ciemnogwiazdy uśmiechnął się do siebie. Zaczynały mu się podobać te gobliny.

* * *

Jig popatrzył krzywo na swój nowy miecz. Ostrze było lekkie jak piórko i twardsze niż stal. Czy jakiś goblin posiadał kiedykolwiek równie wspaniałą broń?

Jeśli nawet, to prawdopodobnie ją wyrzucił. I Jig by mu się nie dziwił, biorąc pod uwagę prawdziwą naturę elfickiej broni magicznej. Była ona nie tylko wytrzymała, lekka i niesamowicie ostra, ale także jarzyła się pomarańczowo w obecności orków, ogrów oraz... goblinów. Za każdym razem, gdy Jig spojrział na miecz, płonąca klinga wypalała mu pod powiekami podłużną plamę.

– Głupie elfy – mruknął pod nosem, po czym odwrócił się do Darnaka. – Możesz to jakoś wyłączyć?

Krasnolud zachichotał rozbawiony.

– Ta stal zapamiętuje blask żaru ze swego wykuwania. Ciesz się, że nie pamięta także gorąca. – Zamknął pudełko z figurkami i wcisnął je do sakwy.

Właściwie to podgrzewany miecz nie byłby taki zły. Może przynajmniej rozgrzałby mu palce. Genevieve poszła wydać rozkazy swoim żołnierzom, więc Jig i Darnak pozostali w koszarach sami. Jig schylił się, żeby podnieść leżącą pod stołem figurkę.

– Zostaw ją sobie – rzekł Darnak. – A co do miecza, to magia z czasem się wyczerpie. Większość elfickich ostrzy traci moc po około tysiącu lat, może nieco więcej. Najwyżej dwóch.

Miecz dawał tyle światła, co zapalona pochodnia lub latarnia. Mimo to i tak był dużo lepszą bronią niż obłuzowany nóż kuchenny, który Jig niegdyś nosił przy pasku. Choć w sumie nóż czy miecz, to bez różnicy. Miecz Jiga pozwalał mu uniknąć wbicia sobie po ciemku sztychu

w stopę. Miecz Billi pozwalał jej zabić boga.

Z rozmyślań wyrwały go delikatne poruszenia płaszcza. To Ciapek wypełził z kieszeni i wspinał się w górę, ku kołnierzowi. Szedł ostrożnie, przyczajony, jakby na coś polował. Zatrzymał się na gorsie, tuż pod brodą, po czym przestawiając kolejno każdą nogę, odwrócił się ku mieczowi.

– Wy, gobliny, trzymacie dziwne zwierzęta – stwierdził Darnak.

Ciapek dał susa. Zrobił to tak nagle, że Jig omal nie upuścił miecza. Pająk wylądował na płazie, zsunął się i wpadł w śnieg.

Natychmiast rzucił się ku nodze Jiga i zaczął wspinaczkę. Przystanął na górze i przyczaił się.

Jig uśmiechnął się wesoło. Ciapek myślał pewnie, że ma do czynienia z gigantycznym świetlikiem. Zaczekał, aż Ciapek skoczy i w ostatniej chwili odsunął ostrze.

Następnym razem pająk poszedł po rozum do głowy i po prostu zbiegł po jego ramieniu. Usadowiwszy się przy rękojeści, usiłował odgryźć kawałek klingi. Po kilku nieudanych próbach odwrócił się, łypiąc na Jiga z wyrzutem we wszystkich ośmiorgu oczach.

– Nie patrz tak na mnie, nigdy nie mówiłem, że to jest jadalne. – Jig pogładził Ciapka po szczeciniastym tułowiu. – Mam do ciebie prośbę, Darnaku.

– Genevieve tu dowodzi, nie ja.

– Nie, nie o to chodzi. Czy mógłbyś się zaopiekować Ciapką?

Darnak przekrzywił głowę, przyglądając się pająkowi z uwagą.

– To Ciapek? Byłem przekonany, że został zmiażdżony podczas twojej walki z Bariusem?

– Yyy... Udało mu się przeżyć. – Czy podziękował kiedyś Ciemnogwiazdemu za ten cud?
Nie.

Jig schował miecz i wyciągnął dłoń z pająkiem ku krasnoludowi.

– Nie zasłużył, by zginąć tu ze mną.

Darnak wysunął ku niemu rękę. Jig popchnął pająka delikatnie, potem mocniej. Ciapek przykulił się, parząc Jiga stopami. W końcu Jig chwycił go za tułów drugą ręką i przeniósł na dłoń krasnoluda.

– Nie pozwól mu zbliżyć się do brody, chyba że będziesz się chciał jej szybko pozbyć. I staraj się trzymać go w cieple. Jak będzie po wszystkim, możesz go zanieść do labiryntów. W korytarzach pod naszymi grotami jest pajęcze gniazdo. Jeśli umieścisz go w pobliżu zsypu,

powinien odnaleźć drogę.

Darnak starał się trzymać pająka jak najdalej od siebie.

– Nie lepiej dać tę bestię innemu goblinowi?

Jig potrząsnął głową.

– Gobliny za nimi nie przepadają. Ogniste pająki są zmorą syfiarzy. Zakradają się do destylatorni i syfni, uwielbiają syfie. Jak byłem mały, jeden z syfiarzy przestraszył pająka, który siedział w kotle. Wybuch zabił cztery gobliny i ogłuszył dziewięć innych.

Darnak miał minę, jakby Jig wręczył mu właśnie wilczy balasek. Wolną ręką skrzył brodę i zatknął ją za koszulę.

– Jesteś pewien, że to ja właśnie mam się nim opiekować?

– Jeśli obiecasz, że się nim zajmiesz, to wiem, że to zrobisz. – Jig zerknął na mapę. – Jest bezpieczniejszy z tobą, niż tam, ze mną.

– To fakt – zgodził się Darnak. – Obiecuję ci, zajmę się tą bestią, znaczy Ciapkiem, jak potrafię najlepiej, a potem odstawię go do domu. Masz na to moje słowo.

Jig pogrzebał w kieszeniach, szukając czegoś dla Ciapka, ale znalazł tylko mały palec trollowy, cały w fioletowych kłaczkach. Jednak Ciapek nie wykazał zainteresowania przekąską. Jig poczuł się tak, jakby to jemu w gardle stanął ogromny trollowy palec. Zamrugnął i odwrócił się ku drzwiom.

– Jig! – Do pomieszczenia wpadł Trok, obtupując śnieg z butów. – Złapaliśmy Gracza. Jest na zewnątrz. Nikt nie wiedział, gdzie się podział.

– Hm. – Świetna wiadomość. Może Ciapek przyjmie kilka kawałków Gracza w ramach prezentu pożegnalnego.

– No? To co, idziesz go zabić?

– Jak to, to on jeszcze żyje?

– Twierdzi, że jako jest dowódcą, przepisy nakazują nam oddać go zwierzchnikowi w celu przesłuchania.

– Trok, to przepisy Billi. – Jig usłyszał za plecami chichot Darnaka. Westchnąwszy, naciągnął kaptur i poprawił miecz przy pasie. Nowy był szerszy niż poprzedni i zahaczał o połe płaszcz. – Dobra, sam się zajmę Graczem. A dla ciebie mam inne zadanie.

– Tak? A co? – W głosie Troka brzmiała podejrzliwość.

– Został mi jeszcze tylko jeden trollowy palec, a pewnie reszcie też się kończą. Będziemy

potrzebowali więcej. Przed nami bitwa, wilki muszą nas słuchać. – Wskazał na miecz Troka. –
Może zaznajomisz gobliny z tą nową grą, sieknij palca?

– Tak jest, sir! – rozpromienił się Trok.

– Co to sieknij palca? – zapytał Darnak po wyjściu wojownika.

– Nie chcesz wiedzieć. – Jig otworzył drzwi, wychodząc na zimno.

* * *

Prawie połowa goblinów poszła za Trokiem, zainteresowana grą w sieknij palca. Reszta pilnowała Gracza, posiniaczonego, pokrwawionego, ale żywego. Przekonanie goblinów do pozostawienia go przy życiu było nie lada wyczynem; widok Reiki, znacząco obracającej w rękach płonąca pochodnię, mówił sam za siebie. Jedno słowo Jiga, a prawdopodobnie Upiekłaby Gracza na miejscu, na środku ulicy.

Braf stał kilka kroków dalej, nie spuszczać oka z *Gracza*. Tudzież Reiki. Nie zdążył się jeszcze ogarnąć po laniu, jakie goblina sprawiła mu za znokautowanie Jiga.

Gobliny ucichły na widok zbliżającego się Jiga. Gracz wyprostował się godnie.

– Zgodnie z regulaminem, jako jeniec wojenny mam prawo *do...*

Relka chrząknęła wymownie. Gracz zerknął na nią i zamilkł.

– Jak zdołałeś uciec? – zapytał Jig.

– Ludzie nie mają tu porządných lochów – prychnął Gracz. – Związali mnie więc i zamknęli w piekarni, razem z czerstwym chlebem.

Jig skrzywił się na samą myśl.

– Próbowałem przegryźć więzy. To nie były te przeklęte elfie liny, o których opowiadałeś, ale i tak nie dałem rady. Myślałem, że już po mnie. I wtedy przypomniałem sobie, co o takich sytuacjach mówi regulamin.

Jig jęknął. I nie był wyjątkiem.

– Zgodnie z przepisami, aby uwolnić się z wrażeń więzów, należy sobie wywichnąć kciuki.

Jig spojrzał na niego z odrobiną szacunku.

– Naprawdę to zrobiłeś?

Gracz pokręcił głową.

– Próbowałem. Ale tylko wrzasnąłem i zemdlałem. Jak oprzytomniałem, stał nade mną jeden z ludzi, więc go kopnąłem w bebechy i odebrałem broń. Ten sposób też jest opisany w regulaminie.

Jig doszedł do wniosku, że musi koniecznie przeczytać ten regulamin.

– A potem zaatakowałeś mnie na oczach moich żołnierzy – stwierdził Jig, machając w stronę goblinów. – Co zasady mówią na ten temat?

– Są trochę niejasne w tym względzie – przyznał Gratz. – Zuchwałość jest kluczem do sukcesu. Ale też najkrótszą drogą do śmierci.

Zuchwałość. Niech mu będzie. Jig odstąpił od więźnia i podniósł głos tak, żeby go słyszały wszystkie goblino.

– O świcie zaatakujemy Bille – ogłosił. Rozległo się parę wiwatów, ale na obliczach co mądrzejszych goblinów odbiła się troska. Jig zignorował jedne i drugie. – A ty ten atak poprowadzisz – zwrócił się do Gracza.

To ucięło radosne okrzyki.

– Jesteś pewien, że Darnak dobrze wyleczył ci głowę? – zapytał Braf, przyglądając mu się podejrzliwie. – Bo wiesz, mocno cię walnąłem.

Jig odwrócił się, ruszając w stronę palisady.

– Niech ktoś zabierze Gracza, a reszta niech idzie się zdrzemnąć. – Zastrzygł uchem, nasłuchując poruszeń żołnierzy i stąpnięć ewentualnego zamachowca. On na pewno próbowałby zabić szaleńca, który kazałby mu ruszyć do ataku na armię Billi. Gobliny były chyba jednak zbyt oszołomione, żeby normalnie zareagować.

Jig wdrapał się po drzewie, bez wahania wkraczając na podest. Pewnym krokiem dołączył do Darnaka i Genevieve, obserwujących nieprzyjacielskie wojska.

– Dawajcie tu Gracza! – krzyknął na dół.

Relka chwyciła zdrajcę za ramiona i wywlekła na platformę. Jig odczekał, aż podejda do barierki. Na górze panowała ciemność. Wygaszono wszystkie pochodnie oraz latarnie, prawdopodobnie dlatego, żeby łucznicy Billi mieli utrudnione zadanie.

– Co robisz? – Genevieve oderwała od oka lunetę i spojrzała na Jiga.

– Planuję poranny atak.

Gratz przywarł kurczowo do poręczy. Jig nawet jej nie dotknął. Nie bał się, że spadnie. W ogóle niczego się nie bał. Dlatego też bez lęku podszedł do Gracza, chwycił go za jedyne ucho i

przetargał na przeciwną stronę podestu, tę z widokiem na armię.

– Chcesz zaatakować *to?!?* – wybałuszył oczy Gratz. – Trzeba było mnie zabić. Byłoby szybciej.

– Co mówi regulamin Billi na temat szturmowania miasta? – zapytał Jig, patrząc na przedpoła Avery. Jak okiem sięgnąć, w ciemności migotały punkciki ognisk. Żołnierze zajęli także gospodarstwa. Przynajmniej jeden budynek płonął, choć Jig wątpił, by został podpalony celowo. Wokół zabudowań kręciły się spanikowane gobliny. – Billa ma tysiące potworów. My mamy...

– ... osiemdziesięciu siedmiu ludzi i dwadzieścia dziewięć goblinów – dopowiedziała Genevieve.

– I jednego krasnoluda – dodał Darnak.

– Ze względu na pogodę – zaczął Gratz – Billa zapewne zdecyduje się uderzyć szybko, pełną siłą. Zuchwale, jak wspominałem. Każe otoczyć miasto i zaatakuje ze wszystkich stron jednocześnie. Wykorzysta drabiny oraz wieże oblężnicze...

– Jakie drabiny? – przerwał mu Jig. – Widziałeś tu jakieś drabiny? A tym bardziej wieże oblężnicze? – Nie, żeby wiedział, co to są wieże oblężnicze.

– Machiny oblężnicze zostawiliśmy w Pottersville – przyznał Gratz. – Trochę się popsuły podczas poprzedniego szturmu i...

– To czemu nie budują nowych? – zdziwił się Jig. – Tyle tu wokół drzew, a oni nic nie robią. Czekają? Billa dała Genevieve czas do jutra na podjęcie decyzji o poddaniu miasta.

Gratz potrząsnął głową.

– Ale to bez sensu. W przypadku ludzi zwlekanie zawsze okazuje się błędem. To daje im czas na wymknięcie się z miasta sekretnym przejściem, albo wysłanie niebudzącego podejrzeń dziecka po pomoc, a potem zanim się obejrzyysz, nagle wyskakuje nie wiadomo skąd jakiś mag z wielkimi posiłkami i wszystko można o wychodek rozbić.

Jig wzruszył ramionami i oparł się o barierkę, plecami do wrażeń wojsk.

– W takim razie to jakiś podstęp – mruknął. – Billa pewnie ukradkiem przemieszcza oddziały, formując szyk bojowy.

Gratz potrząsnął żywo głową.

– Nie znam takiego szyku. Większość z nich po prostu śpi!

– Mówiłeś, że straty przy szturmowaniu ufortyfikowanego miasta są jak jeden do dziesięć

na niekorzyść atakującego, tak?

– Billa stawia na czele gobliny oraz koboldy – rozważał Gratz. – To będzie jakieś piętnaście do jednego.

– Ale ma niezmierzoną masę potworów – ciągnął Jig. – Mogłaby zdobyć Avery przed jutrzejszym południem, prawda? Wtedy jej wojska siedziałyby bezpieczne w obrębie murów. Nie uważasz, że to byłoby najlogiczniejsze posunięcie?

Gratz przytaknął niechętnie.

– Zupełnie nie rozumiem. Żadnego sprzętu oblężniczego, żadnych saperów.

– Nic by tu nie działali. System korzeniowy kolcostalników jest bardzo rozległy i głęboki.

Jig zmarszczył brwi, usiłując zrozumieć, co ma sapanie do zdobywania miasta. Wiadomo, że przy szybkim biegu zaczynało się sapać, ale żeby zatrudniać do tego specjalnych żołnierzy...? No nic, to nieistotne. Widział wyraźnie, że Gratz jest już skołowany, teraz wystarczyło tylko lekko popchnąć.

– Takie rozmieszczenie wojsk ma sens – rzeki. – Front kampanii zwrócony jest ku północy. Stamtąd nadejdzie armia króla Wendela. Billa na niego czeka.

– To głupie, czemu miałyby tak postępować? – Gratz zacisnął palce na poręczy.

– Bo kiedy opowiadałem o jej planie, mówiłem prawdę. Billi nie zależy na pokonaniu ludzi. Ona chce ich zabić, chce urządzić rzeź z udziałem jednego i drugiego wojska.

– Nie!

Relka ruszyła ku nim, ale Jig powstrzymał ją gestem.

Gratz odwrócił się do niego. W jego głosie brzmiały błagalne tony.

– To niemożliwe! Billa jest naszą wyzwolicielką. – Podrapał się po bliźnie na ramieniu.

Ruch ten zrodził w głowie Jiga pewien pomysł.

– Jeżeli nadal nie jesteś przekonany, mógłbym spróbować aktywować zaklęcie wyryte na twoim ramieniu, co ty na to?

Gratz spojrzał na wzór na skórze.

– Tylko musimy cię spuścić na dół, bo nie wiemy, jaki ma zasięg ani siłę – kontynuował Jig. – Genevieve, masz jakąś linę? Musi być dość daleko, ze względu na nieznane efekty.

– Nie! – Gratz zamrugał i zmarszczył czoło, jakby nie był pewien, kto właściwie krzyknął. – Nie – powtórzył już spokojniej i pewniej.

Genevieve wpatrywała się w Jiga z takim samym natężeniem, co gobliny.

– Mógłbyś to zrobić?! Aktywować zaklęcie? Można by było w ten sposób zlikwidować całą armię Billi!

Nie ma szans, odezwał się Ciemnogwiazdy. *Każde z zaklęć zawiera runę tworzącą magiczną więź z Isą. Trzeba by było zerwać każdą po kolei, a żaden z nas nie ma tyle siły, żeby odebrać Isie kontrolę. Wątpię, czy byłbyś w stanie aktywować nawet zaklęcie Gracza.*

Nie muszę.

– Nie, nie mogę – powiedział na głos. – Zaklęcia stworzyła Billa i tylko ona jest w stanie nad nimi panować.

Gratz pogranatował, chwytając Jiga za gors.

– Ale mówiłeś...!

Jig kopnął go w goleń.

– A ty mi uwierzyłeś! W głębi duszy wiesz, że ta blizna jest nie tylko szarżą. – Wgryzł się w przedramię Gracza i zaciskał szczęki, aż ten nie puścił. Wtedy z boku zaatakowała Relka, przewracając Gracza z takim impetem, że aż zadrżał podest.

Jig ukląkł i wyrwał leżącemu wystający zza pazuchy plik kartek. Kawałki pergaminu były wymięte, brudne i utyłane krwią. Pomachał nimi Graczowi przed nosem.

– A czy to, że Billa planuje wszystkich zabić, nie podpada pod ten punkt o zdradzie?

– Armia jest jej, więc technicznie rzecz biorąc nie może popełnić zdrady – wydyszał Gratz.

Jig stłumił chęć wypróbowania swojej nowej broni.

– O wschodzie słońca gobliny udadzą, że biorą mnie jako jeńca. Zamierzamy podejść najbliżej jak się da, a potem ja zabiję Bille. – Przynajmniej taki był plan. Jak do tej pory, jego plany zawodziły z irytującą powtarzalnością. – Twoje dowodzenie uwiarygodniłoby podstęp. Billa *cię zna*.. Wszyscy cię znają. Nawet koboldy mówiły, że jesteś nadętym, lizusowatym, nadgorliwym służbistą.

– To prawda – mruknął Gratz i nagle, ku zdumieniu Jiga, zaczął się śmiać. Objął się, trzęsąc tak gwałtownie, że omal nie spadł. Po policzkach płynęły mu łzy.

– Gobliny mają strasznie dziwaczne poczucie humoru – skwitowała Genevieve.

– Mogła to zrobić – zanosił się Gratz. – Billa stworzyła armię. – Otarł twarz rękawem. – Mogłaby naprawdę pokonać ludzi. Mogłaby zwyciężyć, Jiga.

Z miasta dobiegł ich krzyk goblina. Genevieve błyskawicznie dobytek miecza. Jej żołnierze unieśli kusze.

– To pewnie Trok – uspokoił ich Jig, ale przekrzywił głowę, nadstawiając ucho. Krzyk ucichł, zastąpiony mieszaniną śmiechów i szyderczych docinków. Jig miał nadzieję, że przed wyruszeniem zdąży jeszcze uleczyć przegranych. Złapał Gracza za ramię. – Królowa dała mi słowo. Jeśli zabiję Bille, zadba, żeby ludzie zostawili gobliny w spokoju.

Gracz chwycił się poręczy i podciągnął się, wstając.

– Billa wystrychnęła nas na dudka. – Trzęsącą się ręką wyciągnął resztę zmaltretowanego regulaminu. – Zawsze myj dokładnie stopy pomiędzy palcami – szepnął.

– Co?!

– Pierwsza zasada, jakiej się nauczyłem. – Gracz popatrzył w dal, na wojska. – Jeśli nie utrzymujesz czystości, łapiesz grzyby i inne paskudztwa.

– Bardzo mądra zasada – zgodził się Darnak. – I tyczy się nie tylko palców u stóp. Mój kuzyn, Dinla, jednego lata za długo siedział w kopalni i nabawił się okropnej grzybicy pachy. W życiu nie widziałem czegoś podobnego.

Stojąca za nim Genevieve pozieleniała.

– Musisz ukryć miecz – rzekł Gracz. – Przepisy zabraniają więźniowi posiadania broni. Jeśli ktoś go zauważy, od razu będzie wiedział, że coś jest nie tak. – Przeciągnął się i strzelił palcami. – Nigdy nie lubiłem tych śmierdzących orków. Wiecznie się wywyższały i nadymały, jakie to są lepsze od nas.

– Więc pomożesz nam? – upewnił się Jig.

Gracz przytaknął.

– Nie kłamie? – zwrócił się do Darnaka.

– Hm?

– Kiedy opowiadałem wam o Billi, Genevieve kazała ci użyć jakiegoś zaklęcia, żeby sprawdzić, czy nie kłamie. – Jig wskazał na Gracza. – Czy on mówi prawdę? Bo jeśli zamierza mnie wydać Billi, to lepiej zrzucmy go na dół, a dowodzić będzie Trok.

– Zdrada dowódcy pozwala zwierzchnikowi... Chwileczkę... – Gracz wertował pospiesznie swoje kartki. – O, mam. Pozwala zwierzchnikowi przerobić skórę winowajcy na pled. – Wepchnął regulamin za pazuchę. – Jesteś moim dowódcą, generale Jig. Nie uśmiecha mi się robienie za pled.

– Mówi poważnie. – Darnak potrząsnął głową, jednocześnie zdumiony i jakby smutny.

Jig nie był zaskoczony. Gratz był podobny do Reiki. Teraz, kiedy przestał wierzyć w Bille, zwrócił się ku Jigowi. Jeszcze trochę, a Relka zawiesi mu na szyi gwiazdę. Gobliny są strasznie głupie.

Wiara daje im odwagę. Przewyciężyli lęk bez boskiej interwencji, zauważył Ciemnogwiazdy. Staną przy tobie i zginą za ciebie.

No właśnie.

* * *

Jig nie spał wiele tej nocy. Może teraz, będąc bojownikiem Tymaloua Ciemnogwiazdego, nie potrzebował już tyle snu. A może myśl o zaatakowaniu wojsk Billi nie mogąc pokonać jego odwagi, pokonała zmęczenie? W głowie kotłowały mu się różnorodne feralne scenariusze, a za nimi krążyło pytanie, który z nich skończy się jego śmiercią. Spaliłby się chyba ze wstydu, spadając z wilka i łamiąc kark, ale to przynajmniej byłaby szybka śmierć. Znacznie gorzej rysowała się wizja poślizgnięcia się na śniegu tuż przed atakiem na Bille.

Nie mogąc dłużej usiedzieć w miejscu, przeszedł na palcach koło chrapiących goblinów i opuścił stajnię. Opatuliwszy się szczelniej kocem, pospieszył ku palisadzie.

Ku jego zaskoczeniu, Genevieve nie opuściła swojego stanowiska na platformie.

Jig zaznaczył swoją obecność siarczystym kichnięciem. Tyle dobrego, że wraz ze wszystkim innym zbliżał się moment, kiedy uwolni się wreszcie od tych przeklętych roślin. Kilku żołnierzy ruszyło w jego stronę, ale królowa powstrzymała ich gestem. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast tego zmarszczyła z obrzydzeniem nos.

– Co to za dziwny zapach?

– Jaki zapach? A, to. – Jig wyciągnął z kieszeni woreczek i podał go królowi.

Genevieve zajrzała do środka i krew odpłynęła jej z twarzy.

– Kończyły nam się trollowe palce – wyjaśnił. – Trok mówił, że najgorzej było przekonać wszystkich do zżucia butów. W ten sposób chyba łatwiej zaliczyć wielopalcowe cięcie. Uzdrowiłem ich, na ile mogłem. Jeźdźcy bez problemu dosiędą wilków, natomiast reszta... cóż, jakoś za nami pokuśtykają.

– Gobliny! – sarknęła Genevieve, rzucając Jigowi woreczek pod nogi. Jeden z palców

wypadł z sakiewki, potoczył się kawałek i zniknął w szczelinie plecionki. – Moi bracia latami robili wszystko, żeby ojciec zwrócił na nich uwagę; ciężko pracowali, żeby zasłużyć sobie na jego szacunek, a ostatecznie udało im się tylko dać się zabić. – Westchnęła, wspierając łokcie na poręczy. – Nigdy nie obwinałam was o śmierć Bariusa i Ryslinda. Zawsze uważałam, że to przez niego zginęli.

– Nie, twój ojciec ich nie zabił, to ja zamieniłem ich w pstrągi. – Właśnie po to goblin potrzebował swojego strachu. Lęk powstrzymałby go przed powiedzeniem czegoś tak nieprawdopodobnie głupiego. Skulił się, przygotowując na gniew Genevieve. W najlepszym wypadku, cios w szczękę, w najgorszym, rozplatanie mieczem.

Nie doczekał się ani jednego, ani drugiego.

– Matka twierdzi, że jestem zbyt surowa. Ojciec przez całe życie walczył o to królestwo. Pamiętam, jak uczył moich braci fechtunku. *Śmiał się.* – Pokręciła głową. – Nigdy nie śmiał się, mając na głowie tę głupią koronę.

– Może powinien ją komuś oddać?

– Mama mówiła to samo, nieoficjalnie. Żartowała nawet, że należałoby zmienić prawo tak, żeby koronę mogła dziedziczyć najmłodsza córka. Wtedy mogliby z ojcem abdykować, osiedlić się w Silver Lake i całymi dniami łowić ryby albo obserwować gryfy na urwiskach. Kiedy powiedziałam jej, że zdzieriałabym tą koronę pierwszego, kto chciałby mi ją wsadzić na głowę, uśmiechnęła się, oświadczając, że to tylko dowodzi, iż jestem mądrzejsza od braci.

– Niezbyt to wiele. – Oho, znowu. Ale Genevieve tylko się zaśmiała.

– I to mówi goblin, który z garstką swoich próbował zająć miasto.

– Ej, udało nam się! – Jig starał się, żeby nie brzmiało to tak defensywnie.

– Tylko dlatego, że nie posłuchałam Darnaka, gdy mi się kazał schować w mieście. – Ziewnęła, pogmerła w płaszczu i wyciągnęła z kieszeni długą, drewnianą fajkę. Podeszła do najbliższej latarni i odpaliła kołeczek, który przytknęła do tytoniu. – Krasnoludzki. Uspokaja mnie, a poza tym miło choć kilka razy zaczerpnąć powietrza, które nie mrozi płuc. Ale nie mów ojcu. Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział.

Jig zdołał przetrzymać się od przewrócenia oczyma.

– Postaram się zachować to dla siebie.

Wydmuchnęła chmurkę dymu, którą natychmiast rozwiał zimny poryw.

– Zasługujesz na lepszy los.

– Powiedz to Tymalowskiemu Ciemnogwiazdemu.

– Komu?

– Nieważne – westchnął Jig. Próbował policzyć ogniska, ale szybko się poddał.

– Ciekawe, co powiedziałby ojciec, widząc mnie rozmawiającą z goblinem. – Jej uśmiech wydawał się wymuszony. Machinalnie oderwała listek od poręczy i zrzuciła go na dół. – Nie dziwię się, że nas nienawidzicie.

– To nie tak. – Jig pokręcił głową. – Nie nienawidzimy was. W każdym razie nie jakoś bardziej niż jaszczurniki, hobgobliny, koty tunelowe czy inne stworzenia, które nas mordują.

– Uhm.

Jig miał problem z odczytaniem wyrazu jej twarzy.

– Powinieneś się trochę przespać – rzekła królowa. – Nikt nie ginie szybciej niż zmęczony żołnierz.

– Chyba że goblin.

Genevieve zachichotała cicho. Wydmuchnęła dym na wiatr i zapatrzyła się w księżyc. Jig odwrócił się, żeby odejść, ale zmienił zdanie.

– A ty nie idziesz spać?

– Idę. – Zaciągnęła się głęboko. – Darnak opowiadał nam o krasnoludzkich dowódcach, którzy w noc przed bitwą chodzili, sprawdzając, jak się mają ich ludzie. – Spuściwszy głowę, dodała: – Poza tym, mam koszmary.

Jig zaczął schodzić po drzewie. Trzymał ręce na najwyższym dysku, kiedy znów się odezwała.

– Wiem, że to nic nie znaczy, ale naprawdę mi przykro.

Mówiła z chrypką, jakby była pijana, ale w jej oddechu nie dało się wyczuć alkoholu. Ludzie to dziwne stworzenia...

* * *

Już czas, Jig.

Głos Ciemnogwiazdego wyrwał Jiga ze snu, w którym Billa i jej orki obrzucali go ziemniakami. Zamrugał, przetarł oczy, po czym zahaczył druciki okularów za uszy. Widok tych wszystkich chrapiących, śliniących się goblinów nie był szczególnie zachwycający.

Wrota stajni rozwarły się i do środka zajrzał Gratz.

– O, już nie śpisz? – Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– A ty co tu robisz? – Myśl, że Gratz jest na wolności i kręci się w pobliżu, budziła w Jigu nerwowość.

– Sprawdzalem co u wilków, sir. Pomyślałem, że lepiej się upewnię, czy dostały coś do jedzenia. Nie za dużo, oczywiście. Głodny wilk to ostry wilk, nie?

– Jasne. – Jig skierował się ku wyjściu, zatrzymując się po drodze, by obudzić Troka. – Zbierz jeźdźców – powiedział, tłumiąc ziewnięcie.

– Sam sobie je zbieraj, ty kościsty kur... – Trok przetarł oczy. – Eee... Przepraszam, sir. – Przechylił się i grzotnął leżącego obok goblina w brzuch. – Ty, obudź wszystkich i lepiej się pospiesz.

Nie do końca o to chodziło Jigowi, ale zadziało. Wkrótce cały oddział stał przez stajniami, drząc na zimnym wietrze. Niebo przybrało grafitowoniebieską barwę. Księżyc już zaszedł, a większość gwiazd zbladła. Daleko ponad palisadą pojawiła się delikatna smużka czerwieni.

– Piękny poranek – wykrzyknął truchtający ku nim Darnak. Za krasnoludem wlokła się Genevieve i kilku mężczyzn.

Ciemne podkowy pod oczami upodabniały nieco królownę do szopa. Jej twarz wyrażała współczucie.

– Wierz mi, mogło być gorzej – mruknęła. – Jak obudził mnie, zaczął *śpiewać*.

Jig uśmiechnął się pod nosem i poprawił miecz. Z pochwy wydostawała się pomarańczowa poświata. Wrócił do stajni po koc, zarzucił go na plecy i rogiem owinął miecz.

– Gratz, weź kilka goblinów i przyprowadźcie wilki.

– A śniadanie? – odezwała się Relka.

– Żołnierze Billi zaraz będą mieli pobudkę – rzekł Darnak. – Jeśli zaatakujecie teraz, zaskoczycie ich podczas posiłku. Będą się ociągali z odejściem od jedzenia, a to da wam odrobinę przewagi.

– Masz. – Relka wręczyła Jigowi kawałek mięsa tak suchego, że aż się łamało. – Zwędziłam to ludziom.

– Co to? – Jig powąchał mięso podejrzliwie.

– Mówili na to bekon – Relka łypnęła na Darnaka. – Możemy jeść podczas przygotowań.

Żaden goblin nie powinien umierać na głodno.

Jig ugryzł kawałek i wędzony, pikantny posmak wypełnił mu usta, powodując ślinotok. Pochłoniął resztę mięsa i uśmiechnął się błogo.

– Jesteś pewna, że to ludzkie jedzenie? To jest dobre!

Relka podała mu kolejny tłusty pasek i odwróciła się do goblinów. Wkrótce cały oddział Jiga radośnie wycierał palce o ubrania, włosy oraz o siebie wzajemnie.

Wilki przybyły wśród powarkiwań i skomleń. Gratz, Trok i kilka innych goblinów prowadziło je na napiętych linkach. Bestie szarpały się i wrywały, ale pętle, które miały na szyjach, zostały zawiązane na gardłach, więc im mocniej ciągnęły, tym głębiej w krtań wrzynały im się supły.

Dla Łotra nie było to żadną przeszkodą. Ugryzł w rękę prowadzącego go goblina i wyrwał się naprzód. Z ociekającymi granatową krwią kłami popędził ku Jigowi, wlokąc za sobą sznur.

Darnak wyciągnął maczugę i zasłaniał sobą królownę. Ludzie dobywali broń, gobliny zaś, jako te mądrzejsze, przepychały się, żeby zejść wilkowi z drogi. Jig chwycił sakiewkę, którą dostał od Troka. W ostatniej chwili zdążył wyciągnąć z niej skostniały palec.

– Łotr, siad! – skrzeknął Jig, ciskając palec.

Łotr wywinął się w powietrzu, chwytając przysmak i zderzył się z Jigiem, obalając go na ziemię. Nie przestając przeżuwać, schylił łeb, chuchając na swojego ulubieńca.

– Fe! Palcowy oddech – zatchnął się Jig.

Relka chwyciła linkę Łotra, próbując ściągnąć bestię z Jiga. Łotr nawet nie zwrócił na to uwagi. Dopiero gdy na smyczy uwiesił się także Darnak, wilk cofnął się opornie, uwalniając Jiga.

Łącznie z Łotrem, trzynaście wilków. Czternaście, jeśli liczyć Grzyba, który nadal kulał od rany po strzale odniesionej podczas szturm na miasto. Jig usiłował podejść do Grzyba, żeby go uleczyć, ale próba ta omal nie kosztowała go dłoni.

Podniósł się, otrzepując sierść z płaszcza. To niesamowite, jak te zwierzęta linieją.

– Wybrałeś już tych, którzy z tobą pojedą? – zapytała Genevieve.

– Tak – Jig ściszył głos. – Kilku naszych i kilku z armii Billi. Ci najgłupszy, nie domyśla się, jak to będzie wyglądało. Ja i Gratz pojedziemy na Łotrze.

Dobrze, że Ciemnogwiazdy nadal tłumił jego strach. Do rejterady wystarczyłaby już sama wizja jazdy z goblinem, który poprzedniego dnia próbował go zabić, a na myśl o ponownym dosiadaniu Łotra uciekłby na koniec świata.

Jig rozdał palce, które udało się zdobyć Trokowi i patrzył, jak gobliny wspinają się na grzbiety wilków. Kiedy przywiązywały się do uprzęży, przypomniał sobie, jak zginął Srebrnogwiazdy.

– Przytróćcie się porządnie, ale miejcie pod ręką miecz lub sztylet. Gdyby coś poszło nie tak, odetnijcie się, żeby wilk was nie przygniół.

Darnak chrząknął.

– Nie mnie uczyć gobliny jazdy na wilkach, ale może spróbowalibyście węzła ruchomego?

– Czego? – zdumiał się Gratz.

Darnak podszedł do jednego z wilków, nie zwracając uwagi na wielkie, rozdziawione szczęki. Może i jego bóg potrafił odbierać strach? A może krasnoludy w ogóle nie znają strachu? Zwinął sznur, tworząc małą pętlę, a po kilku kolejnych ruchach zawiązał drugą.

– Będziecie bezpieczni jak dzieci – powiedział zaciskając pętlę. Potem złapał za jeden koniec. – W razie czego pociągnijcie za to. – Szarpnął i węzeł puścił.

Jig obserwował gobliny dosiadające wilków. Trok, który jak zwykle jechał na Skunksie, sprawiał wrażenie najszcześniejszego wojownika pod słońcem. Relka siedziała już bezpiecznie na Brzyduli, Braf zaś za pomocą dodatkowej porcji palców odwracał uwagę Grzyba, lecząc tymczasem jego łapę.

– Sir? – zająknął się Gratz. – Chyba... Łotr raczej nie pozwoli mi się dosiąść bez ciebie.

Jig kiwnął głową i minął go, podchodząc do wilka. Łotr liznął go po twarzy, nieomal wywracając na śnieg. Jig odepchnął jego łeb i wspiął się na grzbiet. Uda i krocze bolały go od samego wspomnienia poprzedniej jazdy.

Podniósł ręce, pozwalając Darnakowi przywiązać się do zwierzęcia. Drugi taki sam węzeł krasnolud zawiązał mu na przegubach. Każdy na widok tak spętanego Jiga uznałby, że ma przed sobą jeńca. Następnie Darnak poprawił koc, ukrywając pod nim Jigowy miecz.

Gratz wdrapał się na wilka, usadowił z tyłu i wychylił się, sięgając po wodze.

– Czeka! – wrzasnął Jig, uwalniając się z więzów i zsunął się na ziemię.

– Co się stało, sir? – zaniepokoił się Gratz. – Coś nie tak?

Relka zeskoczyła z Brzyduli.

– Otrzymałeś jakiś znak od Ciemnogwiazdego?

– Nie do końca – zaniebieszczyl się Jig. – Tylko... Jeśli mam jechać na Łotrze, muszę

jeszcze skorzystać z wychodka.

Rozdział 15

Jig był niesamowity! Samolubny, tchórzliwy i absolutnie niegodny zaufania, ale przy tym bystry, zaradny i ambitny. Niestety, był także całkowicie pochłonięty walką o utrzymanie się przy życiu, więc mało kiedy myślał o świecie znajdującym się poza górą... Aż do teraz.

Czy herosi, którzy go porwali, zdają sobie sprawę, jak bacznie Jig ich obserwuje? Jak chłonie każde ich słowo, śledzi każdy ruch, żeby dowiedzieć się, jak zostać takim jak oni bohaterem?

A czy sam Jig zdaje sobie sprawę, że już nim jest? Wyszedł cało z zasadzki, w którą ludzie wciągnęli jego towarzyszy, a potem sam ocalił siebie oraz porywaczy od śmierci w hobgobliniej pułapce. Odegrał nawet rolę w przewycięzaniu przeszkód, jakimi naszpikował swoje tunele Nekromanta. Teraz wszyscy odpoczywali po pracowitym przeszukiwaniu tych właśnie korytarzy.

Nadarzyła się okazja, na którą Ciemnogwiazdy czekał tak długo. Widział, jak Jig pożera krasnoluda wzrokiem, zafascynowany jego umiejętnościami uzdrawiania. Ciemnogwiazdy szturchał ostrożnie umysł Jiga, aż ciekawość goblina przewyciężyła wreszcie strach.

– Opowiedz mi o bogach – zwrócił się do krasnoluda.

Ciemnogwiazdy zbierał siły. Przy braku czcicieli musiał sam podtrzymywać więź łączącą go ze światem śmiertelników. Teraz musiał poczekać na odpowiedni moment.

Darnak zaczął mówić. Mówił i mówił. Reszta poszukiwaczy skarbu uciekła w odległe krańce jaskini. Jigowe myśli błądziły coraz dalej od przedmiotu wykładu. A Darnak mówił i mówił.

Kiedy przerwie dla nabrania oddechu? Jig nie prosił o pogadankę na temat miłosnych preferencji Olina Brzozy, jednego z bogów lasu, a już na pewno nie o szczegółowe opisy chorób, które w następstwie gnębiły go przez kolejne wieki.

Ciemnogwiazdy uśmiechnął się na wspomnienie starego towarzysza. Nazywali go Olinem Sękorózzim.

A krasnolud mówił i mówił. Chcąc nie chcąc, Ciemnogwiazdy musiał przyznać, że jest pod wrażeniem. Darnak znał historie bogów lepiej niż większość samych zainteresowanych.

W końcu gaduła przerwał na moment, żeby zwilżyć gardło. Ciemnogwiazdy skupił się, koncentrując moc na jednym zawiązku myśli i modląc się, aby zakiełkowała w umyśle krasnoluda.

Zachichotał, zdając sobie sprawę, że wcześniejsze eufemizmy Darnaka jego samego skłoniły do roślinnych porównań.

Krasnolud beknął głośno.

– Dalej są jeszcze Zapomniani Bogowie. – Darnak zmarszczył brwi, najwyraźniej nieco stropiony i pociągnął z buklaka.

Jig siedział tępo zapatrzonej w przestrzeń. Z kącika ust sączyła mu się nitka śliny. Był zmęczony i znudzony do utraty zmysłów. Ciemnogwiazdy zebrał się w sobie i szturchnął Jiga z całej siły.

– Co mówileś?

Ciemnogwiazdy skupił się znów na Darnaku, który zamrugnął, wyrwany z transu.

– Hm? A, piętnastu Zapomnianych Bogów Wojny Cieni?

– Tak, kim byli?

Ciemnogwiazdy czuł, że jego więź z umysłem krasnoluda zaczyna słabnąć.

Pamiętaj, błagał w myślach. Klątwę rzucił bóg, więc inny bóg powinien teoretycznie przełamać ją choćby na moment. Pamiętaj, do cholery!

– Weźmy na przykład takiego Ciemnogwiazdego. Pozbawili go rozumu, oskórowali ostrzami błyskawic i porzucili na pustyni.

Darnak głądził jeszcze przez chwilę, ale więź osłabła i w końcu zniknęła. Czy to wystarczy?

– Zaraz, co to ja mówiłem? – zastanawiał się krasnolud po kolejnej porcji napitku.

Ale to już nie miało znaczenia. Ciemnogwiazdy czuł zainteresowanie Jiga, odbierał jego myśli i postanowienie.

Po raz pierwszy po tysiącach lat samotności, Tymalous Ciemnogwiazdy znów miał wyznawcę.

** * **

Jig nie spuszczał ręki z węzła, gotów rozwiązać go w razie cienia kłopotów. Drugą dłonią przytrzymywał poły koca, pilnując, żeby nie rozsunęły się i nie odkryły miecza. Skrzywił się, pochylając głowę. Żałował, że nie może narzucić kaptura. Niestety, jego twarz musiała być wyraźnie widoczna. To zaś oznaczało, że przez cały czas czuł na karku oddech Gratza.

Brama Avery zamknęła się za nimi. Biorąc pod uwagę jej gabaryty, można by się spodziewać huku, lub co najmniej głochej trzaśnięcia. Dźwięku, który podkreśliłby dramatyzm sceny, w której samotny, mały goblin jechał na spotkanie swej śmierci. Jednakże jedynym odgłosem, jaki wydały elforośle wrota, było irytujące skrzypnięcie.

Jig nie sądził, że to w ogóle możliwe, ale z dołu armia Billi wydawała się jeszcze większa. Wokół dość niskich płomieni ognisk skupiały się skulone z zimna gobliny i koboldy. Żołnierze Billi obozowali nie tylko na polach, ale też na trakcie, nie było więc żadnej wyraźnej drogi prowadzącej do sztabu.

Gratz pokierował Łotra wprost ku jednostkom goblinów, omijając koboldy. Liczyli na to, że gobliny będą mniej podejrzliwe wobec współplemieńców. Nawet jeśli, to i tak przerywały swoje zajęcia, żeby obserwować przejazd grupy.

Gratz trzymał Łotra krótko, pilnując, żeby wilk nie zбочzył w stronę piekącego się na ognisku królika lub nie interesował się za bardzo wyjątkowo cuchnącym goblinem, który przemknął obok.

Otaczały ich znajome zapachy – woń dymu z palącego się mokrego drewna, swąd spalonego mięsa, żołnierskie smrody, odór owczych odchodów. Jig nie zdawał sobie sprawy, że tak bardzo przywykł do nich podczas swojej krótkiej przygody z armią Billi. Naraz wiatr się zmienił, przynosząc ze sobą przemożny smród Skunksa.

W pewnej chwili zbliżył się do nich goblin ściskający w rękach włócznie.

– To ty, Gratz? Co się stało ze Srebrnozębym?

Jig wstrzymał oddech. Nie bał się odpowiedzi Gracza. Jego uczucia nie miały nic wspólnego z lękiem. Chodziło tylko o to, że Gratz był goblinem i w tym momencie miał najlepszą okazję, żeby wydać Jiga.

– Pokurcz go zabił. – Gratz trzepnął Jiga w ciemność. – Billa ma dla niego coś specjalnego.

– Pochylił się ku Jigowi. – Wybacz, sir. Wiem, że przepisy zabraniają mi uderzyć wyższego stopniem oficera, ale jeśli zachowywałbym się w stosunku do ciebie tak, jak wobec wyższego stopniem oficera, nikt nie uwierzyłby...

– Zamknij się – syknął Jig.

Żołnierz wyszczerzył się do Jiga.

– Staraj się nie krzyknąć zbyt głośno, jak będzie cię zabijała. Niektóre jednostki jeszcze śpią.

Jig postarał się przybrać wystraszoną minę. Czuł się dziwnie, zmuszając mięśnie twarzy do wytworzenia grymasu przerażenia. Miał nadzieję, że nie przesadził.

Gobliny szeptały i wytykały przejeżdżającą grupkę palcami, ale nikt nie próbował ich zatrzymać.

Więść o ich przybyciu rozniosła się lotem błyskawicy. Z tyłu dobiegało Jiga coraz bardziej poirytowane burczenie Gracza.

– Regulamin nakazuje wystąpić zbrojnie przeciw każdemu, kto próbuje wejść na teren obozu. Powinni nas zatrzymać zanim doszliśmy do pierwszych strażników. – Spiorunował wzrokiem goblinińskiego włócznika. – Ten nie wie nawet, jak porządnie trzymać broń. Pochód kilkunastu wilków oznacza tylko czoło oddziału. Poza tym powinien przeszukać więźnia, żeby sprawdzić, czy nie próbuje czegoś przemycić.

– Ale to właśnie robię – zauważył Jig. – Przemycam miecz.

– Wiem. Tym bardziej karygodne zaniechanie. Gdyby Srebrnozęby...

Graczowi przerwało trzeszczenie gałęzi. Z naprzeciwka, obsypując wszystko śniegiem, nadciągał Dębizad. Kilka rozespanych goblinów nie zdążyło umknąć. Ich wrzaski wwierały się Jigowi w uszy.

– Co to ma znaczyć? – huknął Dębizad, zatrzymując się dokładnie przed Jigiem.

– No, tak lepiej – ucieszył się Gracz. – Aczkolwiek nie powinien w ogóle pozwolić wejść nam aż tak daleko na teren...

Jig grzmotnął go łokciem pod żebra.

Gracz pokrył stęknieniem kaszlem.

– Ludzie postanowili wydać Jiga Krwawej Billi oraz puścić nas wolno! – krzyknął do drzewa.

Jeźdźcy, trzymając się planu, wznieśli radosne okrzyki, wymachując bronią nad głową. Jig przyglądał się Dębizadowi, usiłując zgadnąć, czy gałęziasty potwór uwierzył. Ale jak miał odczytać wyraz twarzy drzewa?

Czy drzewo w ogóle widziało? Na pierwszy rzut oka nie posiadało oczu. Pewnie w lecie, w pełnym ulistnieniu, miało jeszcze gorzej. Czy ktoś przycinał mu gałęzie?

– Billa z pewnością będzie chciała usłyszeć, skąd ta zwłoka w schwytaniu winnego – zatrzeszczał Dębizad.

– Zaraz jak tylko oddam jej więźnia, zdam pełny raport – powiedział Gracz, prostując się z

szybkim salutem.

– Zaprowadź wilki do zagrody – polecił Dębizad, wskazując jedno z gospodarstw. – Mam przejąć jeńca, to rozkaz Billi. Najwyraźniej to jakiś spryciarz.

Jig czekał na odpowiedź Gracza, ale ta nie nadeszła. Dębizad stał nieruchomo, jakby... wrósł w ziemię.

– Gracz? – szepnął Jig, mając nadzieję, że Dębizad nie ma tak wyczulonego słuchu, jak gobliny.

– Tak, sir? – odszepnął Gracz.

– Powiedz coś temu drzewu!

– Ale co?

Jig jęknął zniecierpliwiony. Naturalnie, że Gracz nie wiedział co robić. Regulamin nie wspominał o sytuacji, w której plan zaczyna się walić, a dowódca nie może wydać nowych rozkazów, bo udaje więźnia.

Rozejrzył się wokół. Znajdowali się mniej więcej w połowie pierścienia goblinów. Zbyt daleko na odwrót, a nie dość blisko, żeby mieli jakąkolwiek szansę dotarcia do Billi.

Jig zdążył przywyknąć, że jego plany zawodzą. Jak zresztą plany wszystkich goblinów. Liczył jednak, że choć trochę posunie się naprzód, zanim wszystko legnie w gruzach.

– Jakiś problem, goblinie?

To jego wyobraźnia, czy faktycznie wyłowił w tonie Dębizada nutę nadziei? Może drzewo nie miało już dawno okazji porzucić sobie goblinem?

Zanim jednak on czy Gracz zdążyli otworzyć usta, do przodu przepchnął się drugi wilk. Jadąca na nim Relka zamierzyła się mieczem na pień.

– Na chwałę Jiga i Ciemnogwiazdego! – wrzasnęła.

Zabieranie najgłupszych goblinów nie było mądrym pomysłem. Jig szarpnął linę, rozwiązując supeł. Uwolnił ręce, ale przy okazji nabawił się paskudnych otarć na przegubach.

– Uformować dwa szeregi! Rozdzielić się! – krzyknął. – Wyminąć go i do Billi!

Gracz już ciągnął wodze Łotra, kierując ich na prawo. Reszta wilków ruszyła falangą, rozdzielając się przed pniem niczym rzeka opływająca kamień. Albo raczej wielkie, złe drzewo, które lubiło rzucać goblinami. Nikt nie chciał znaleźć się w zasięgu jego gałęzi.

Nikt oprócz Reiki, która runęła na Brzyduli wprost na Dębizada. Drzewo wyciągnęło ku niej gałęzie i goblina cięła je mieczem.

Ostrze zaklinowało się, a Dębizad zaczął podnosić konary. Już w powietrzu Relka szarpnęła linę, uwalniając się z uprzęży. Drzewo oderwało ją drugą gałęzią, trzecią chwytając jednocześnie wilka. Potem wykonało obrót i rzuciło obiema istotami w Jiga.

– Szybciej! – krzyknął Jig, wbijając pięty w boki Łotra i schylił się przed przelatującą mu nad głową Relką. Jeśli chodzi o Brzydulę, Dębizad wyświadczył im przysługę. Skowycząca wilczyca wpadła w zastępujące im drogę gobliny, roztrzając je i robiąc przejście dla Łotra.

Jig dobył miecza i zaczął nim wywijać nad głową. Przy takiej masie goblinów wokół, elfie ostrze jaśniało niczym latarnia. Liczył, że blask pomoże reszcie podążać za nim w tym chaosie.

Pierwsze szeregi goblinów rozpierzchły się w popłochu. Prawdopodobnie większe wrażenie uczyniły na nich wielkie szczęki Łotra niż miecz, ale Jig nie porzucił nadziei, że jarzące się ostrze też trochę pomogło.

– Ku chwale Jiga i Ciemnogwiazdego! – wrzasnął Gratz ogłuszająco.

Jig pogranatował, kiedy reszta goblinów podjęła okrzyk.

– Orki to co innego – ostrzegł Gratz. – Nie przestraszą się i nie cofną jak gobliny. – Wskazał na żołnierzy Billi, którzy właśnie formowali szyk bojowy, unosząc tarcze i włócznie, żeby przełamać szyk nieprzyjaciela.

Cofną się, cofną, oświadczył Ciemnogwiazdy.

Żar ogarniający ciało był jedynym ostrzeżeniem przed tym, co nastąpiło. Ciało Jiga zapłonęło czerwonym blaskiem. Przedtem, podczas walki z elfem, emanował światłem na kształt małego gobliniego ogniska. Teraz wyglądało to tak, jakby Łotr wioził na grzbiecie samą Jesienną Gwiazdę. Choć słońce jeszcze nie całkiem wzeszło, wokół Jiga pojaśniało jak w dzień. Purpurowy dzień. Ale jednak dzień. Orki odstąpiły chwiejnie, unosząc ramiona i zasłaniając twarze tarczami.

Jig obejrzał się na towarzyszy. Nie reagowali na blask, choć wojsko Billi cofało się, oślepienie.

Jedna z zalet godności bojownika Tymalouisa Ciemnogwiazdego. Istnieje szansa, że Nok, albo jakiś inny bóg, zwrócą na nas uwagę, ale teraz trochę za późno, żeby się o to martwić, prawda? W głosie Ciemnogwiazdego brzmiała absurdalna wesołość, nie wspominając o chełpliwości.

Jig z uśmiechem wczepił się w sierść Łotra, który lekko przeskoczył pierwszy szereg

orków i położył zmarznięte uszy po sobie.

Czy ta Jesienna Gwiazda oprócz światła daje też ciepło?

Owszem, ale nie polecam. Chyba że chcesz zamienić się w popiół nim twój wilk zrobi jeszcze jeden krok.

Gdzie ta Billa? Obóz orków wyróżniał się spośród obozowisk innych ras obecnością namiotów i wozów. Billa musiała tu być, pewnie gdzieś bliżej centrum, ale który namiot należał do generała?

Gratz uniósł miecz nad głowę.

– Uformować włócznie!

Większość wilków, z Łotrem na czele, zeszła się w szereg. Dwa gobliny – Braf oraz inny wojownik z labiryntów – spojrzały po sobie stropione, po czym wróciły do okładania wroga. Nie mieli pojęcia, o co chodzi z tym formowaniem włócznie, ale ścisk i chaos bitewny pomogły im wpasować się mniej więcej w linię.

Żołnierze Billi byli oślepieni i zdezorientowani, więc jeźdźcy łatwo przebijali się naprzód. To jednak prowadziło do kolejnego zagrożenia – chwilowa przewaga uderzyła goblinom Jiga do głowy. Szyk rozpadł się, zmieniając w pojedynczych wojowników, walczących każdy sobie. Któryś zaatakował nawet kozę, która znalazła się zbyt blisko zamieszania. Cios powalił zwierzę, ale ostrze zaklinowało się i wywichnęło goblini bark.

Jig jęknął, policzywszy wilki. Teraz dysponował już tylko ośmioma, licząc Łotra.

– Tam! – Trok galopował rozpromieniony, wskazując mieczem namiot.

Billa stała na śniegu boso, w nocnej koszuli, z przytroczonym do pleców mieczem. Wyglądała na rozespaną, jakby właśnie wygrzebała się z posłania. Czy ona sypia z tym mieczem?

– Oddział! Za mną! – zawołał Gratz. – To znaczy, za Jigiem!

Obaj zgodnie szarpnęli wodze, kierując Łotra ku Billi. Billi oraz opancerzonym i uzbrojonym po zęby orkom, które ustawiły się przed nią, tworząc mur.

Czemu światło nie oślepiło ich jak pozostałych?, denerwował się Jig.

Ponieważ Billa ich chroni, tak jak ja chronię twoje gobliny i wilki.

Trok spiął swojego wilka do ataku.

– Lewe skrzydło, bierzemy tego paskudnego!

– Którego paskudnego? – odwrzasnął Braf.

A potem oddział rzucił się na orki. Jig ujrzał, jak jeden goblin pada, ale jego wilk siłą rozpędu zbił wroga z nóg. Trok schylił się, przecinając innemu ścięgno Achillesa.

Łotr staranował trzeciego, ale zderzenie spowolniło i jego, pozwalając orkom podejść bliżej. Jig ujął miecz oburącz i wysunął ostrze przed siebie, blokując inne, dużo większe, które z pewnością odcięłoby mu głowę i przy okazji zabiło Gratz. Siła ciosu Sparaliżowała na moment jego ramiona.

– Jak parujesz, trzymaj miecz pod kątem! – krzyknął Gratz. – Nie musisz zablokować ostrza, wystarczy, że je odbijesz na bok!

Jig poczuł ciekącą po twarzy strużkę krwi. Widocznie skaleczył się w czerep własnym mieczem. Nawet tego nie poczuł.

Źle wymierzony cios posiniaczył mu żebra, ale nie przebił się przez tkaninę płaszcza. Będzie musiał Podziękować za to Ciemnogwiazdemu.

Zamieszanie robiło się coraz większe i Jig zrezygnował ze śledzenia sytuacji. Zgiełk panował tu gorszy niż w domu, kiedy Golaka uwarzyła nową porcję piwa. Chociaż rzeź wyglądała mniej więcej tak samo.

Nieopodal Billa wymachiwała mieczem, wykrzykując rozkazy. Gobliny dzieliło od niej jeszcze tylko parę orków.

Wygrywają! Nagłe uświadomienie sobie bliskiego zwycięstwa omal nie wytrąciło Jigowi miecza z ręki. Gratz miał rację. Zuchwałość była kluczem do zwycięstwa.

– Bierzcie przywódcę! – wrzasnęła Billa.

Jeden z orków obejrzał się na nią.

– A który to?

Mijając pytańskiego, Jig zamachnął się, uderzając go w nogę. Ostrze przecięło grube okrycie i zbroję jak pajęczynę.

Może te elfie miecze nie są takie złe.

– Ten świecący, kretynie! – odkrzyknęła Billa.

Jeszcze tylko jeden goblin stał pomiędzy nią a Jigiem. Jig wyjął z sakiewki jeden z ostatnich palców i rzucił go orkowi, który machinalnie złapał przedmiot. Łotr kłapnął szczęką, odzyskując przysmak wraz z jadalnym opakowaniem.

Billa skoczyła ku niemu i zamachnęła się mieczem jak siekierą. Łotr zawył, zataczając się na bok z odciętą łapą.

Jig zdołał uwolnić się w ostatniej chwili przed jego upadkiem. Świat zawirował, a Jig wylądował na śniegu bogatszy o kolejne sińce, tym razem na zadku.

Gratz nie miał tyle szczęścia. Osłonił głowę rękami, chroniąc ją przed skutkami amoku Łotra. Biedny wilk oszalał ze strachu. Nie krwawił, lodowy miecz zamroził brzegi rany. Przynajmniej chwilowo. Ale zwierzę warczało i kąsało wszystko w zasięgu kłów, włącznie z Gratzem.

Pozostałe gobliny otoczyły Bille, która cofnęła się ostrożnie. Twarz miała poznaczoną ranami i bąblami – pamiątki po poprzednim spotkaniu z Jigiem.

Nie licząc rannego Łotra, Jigowi zostało pięć wilków, z czego jeden nosił na grzbiecie martwego goblina. Braf przyciskał dłoń do głębokiej rany na boku, Jig wyczuwał ciepło magii Ciemnogwiazdowego, kiedy drugi kapłan się leczył. Dobrze mieć taką moc pod ręką. Trok miał złamany miecz i zakrwawione nogi, ale szczerzył się jak wariat.

Większość orków leżała martwa w śniegu. Jak na gobliny, sprawili się wprost nieprawdopodobnie dobrze.

– Jakie rozkazy, generale? – zapytał Trok.

Jig wskazał na Bille. Pewnie był jakiś odpowiedni na tę chwilę szyk, ale nie miał pojęcia, co by to miało być.

– Brać ją!

Jig zdołał zrobić dwa kroki, nim wichur podciął mu nogi. Silny poryw porwał jego płaszcz, ciągnąc furkoczącą tkaninę i przeginając Jiga do tyłu. Znając swoje szczęście, nie mógł wykluczyć, że zaraz zginie straszliwą śmiercią – zaduszony przez własne okrycie. Gmerał palcami przy zapięciu, ale miał tak zgrabiałe ręce, że nie był w stanie skutecznie nimi operować.

Dobrze, że przynajmniej miał okulary, które chroniły nieco oczy. Dzięki temu widział, jak inne gobliny kulą się na ziemi, zasłaniając twarze.

Część wilków wyrwała się, więżąc pod sobą jeźdźców. Orki, które wyszły cało z pogromu, zginały się wpół, walcząc z siłą wiatru, ale były tak samo bezradne, jak Jig. Tylko Krwawa Billa stała wyprostowana, jakby moc wichru nie miała na nią wpływu. Szata łopotała jej wokół łydek, a włosy kotłowały się na wszystkie strony. Mina orczyca przypominała Jigowi wyraz pyska kota tunelowego, który bawił się swoją ofiarą.

Pomocy!, pisał Jig.

Robię co w mojej mocy. Isa jest ode mnie silniejsza.

Jig dźwignął miecz do pozycji obronnej. Podmuchał w płaz i Jig omal nie odciął sobie ramienia, zanim udało mu się odwrócić ostrze równoległe do wiatru. Usiłował wstać, ale ilekroć się podniósł, poryw popychał go na śnieg. Właściwie to nawet pojechał kawałek po śniegu.

– Ku chwale Ciemnowiazdego! – Wicher próbował wtłoczyć Relce okrzyk z powrotem do ust. Goblinka kuśtykała z trudem, podpierając się mieczem. Najwyraźniej w pewnej odległości od Billi siła wiatru słabła. A to znaczyło, że najsmardziej trzymać się z dala od niej.

Relka podeszła bliżej. Jeden z orków kulących się nieopodal Jiga, odwrócił się i ruszył ostrożnie w stronę goblinki. Przy drugim kroku wicher pchnął go, rozpędzając do nieopanowanego biegu. Żołnierz zamierzył się toporem, zbliżając do przeciwniczki wielkimi susami.

Relka uniosła miecz, straciła równowagę i upadła. Nie miała szans podnieść się i obronić. A nawet gdyby zdołała wstać...

Jig przerzucił miecz do lewej ręki, przy czym wiatr omal mu go nie wyrwał. Już ostrożnie sięgnął po sztylet, zamachnął się i zastygł w bezruchu.

Wojownicy potrafili rzucać nożem. Kiedy Jig próbował dokonać tej sztuki, zamieniała się w farsę. Teraz wyobraził sobie, jak unosi rękę, a wiatr wytrąca mu sztylet. Z jego szczęściem, ostrze pewnie wbiłoby mu się gdzieś poniżej pleców.

Zamiast więc miotać nożem, Jig podrzucił go delikatnie do góry.

Wicher Billi porwał sztylet, ciskając go z siłą większą niż byłby w stanie zrobić to Jig. Nóż ze świstem pomknął w powietrzu. Rękojeść uderzyła orka w głowę. Żołnierz potknął się o Relkę, padając twarzą w śnieg. Jig odwrócił się z uśmiechem do Billi.

Świetna robota, pochwalił go Ciemnogwiazdy.

Kiedyś powiedziałaś mi, że po śmierci przyjdę do ciebie, rzekł Jig, nie spuszczając oka ze zbliżającej się Billi. To prawda?

Tak.

To dobrze, bo lada moment się tam pojawię i wierz mi, jak cię dopadnę, to...

Więcej wiary, Jigu Smokobójco, przerwał mu niewzruszony bóg. Wstrzymaj się z uderzeniem, dopóki ci nie powiem.

Jakim uderzeniem? Czy Ciemnogwiazdy naprawdę wierzył, że Jig zdoła zadać choć jeden cios, zanim Billa posieka go na kawałki?

Nie mogę jednocześnie oślepić orków i chronić cię przed wiatrem, więc uważaj.

– Isa przygotowywała się do tego całe wieki – zagrzmiała Billa. – Myślisz, że pozwoli, aby przeszkodził jej jakiś goblin?

– Raczej nie – odparł Jig.

Teraz!

Oślepiająca czerwień przygasła, przywracając światu ponure śnieżno-błotne barwy. W tej samej chwili wiatr ucichł. Jig nadal słyszał jego wycie, ale nie czuł podmuchów. Zupełnie jakby był tym ostrzem, które odwrócił, by wichur je opływał.

Mniej introspekcji, więcej reakcji!

Co to jest introspekcja? Hm... Tak. Jig skoczył naprzód z ostrzem skierowanym w brzuch Billi.

Miecz orczycy był nieodpowiednio ustawiony, by odparować cios, ale udało jej się wygiąć, unikając śmierci. Ostrze Jiga rozdarło jej koszulę nocną, ale nie wyrządziło krzywdy. Jig zachwiał się i odskoczył, uchylając się przed ciosem Billi, która najwyraźniej postanowiła pozbawić go głowy.

Potknął się o coś i spojrzał w dół; wokół kostek płatał mu się luźny pas tkaniny. Odrobinę bliżej i wraz z kawałkiem płaszcza, straciłby również nogę.

Billa cofnęła się o krok i bacznie przyjrzała Jigowi spod zmarszczonych brwi.

– Isa nalega, żebyś cię zabiła. Pierwszy raz odkąd ją znam, jest taka wściekła. Co jej zrobiłeś?

– Stopiłem jej głowę moim pajakiem.

Billa parsknęła śmiechem. Przez krótki moment przez jej straszny gniew przebiła się czysta wesołość. Wytarła nos rękawem koszuli, po czym uniosła miecz, zasłaniając się ostrzem.

Jig przesunął się w bok, starając się znaleźć najdogodniejsze miejsce do ataku. Billa miała dłuższy miecz. A także ramiona. Zanim uda mu się przyskoczyć do niej, zdąży go zabić.

Musi to zrobić szybko. Odwrócić uwagę orczycy tak, żeby odsłoniła bok, a potem rzucić się w tę stronę i wbić jej ostrze w brzuch. Gdy znajdzie się blisko, dłuższa główńia stanie się zawadą. Billa nie będzie mogła nim swobodnie manewrować; zabraknie jej miejsca na zamachy. Choć z drugiej strony, wystarczy, jeśli go skaleczy..

– Znowu ci leci krew z nosa – powiedział, przekrzywiając głowę.

Billa podniosła rękę, przy okazji opuszczając nieco miecz. Jig wrzasnął, starając się jak

najwierniej odtworzyć spanikowany okrzyk wojenny goblinów i ciał ją w stopę.

Zasłoniła się błyskawicznie, ale Jig nie ustąpił, unosząc miecz do ciosu w brzuch i...

Billa odskoczyła, wciągając brzuch. Jig zdołał ją jeszcze drapnąć sztychem, po czym jego głowy dosięgnął! potężny kułak.

Upadając, upuścił miecz i natychmiast przetoczył się, w ostatniej chwili unikając kopniaka w twarz. Splunął krwią.

Szkoda, że nie dałeś mi też hełmu.

Przykro mi.

Rozżarzony miecz był wyraźnie widoczny na śniegu. Niestety, również dla Billi. Odkopnęła go dalej.

Jig rozejrzał się wokół. Ocalałe gobliny i wilki otaczał coraz ciaśniejszy krąg orków. A nad nimi trzeszczał Dębizad. Żołnierze najwyraźniej czekali, aż Billa wykończy przeciwnika. A tym samym dowiedzie, jaka jest silna i straszna.

Jig sięgnął po sztylet, ale przypomniał sobie, że rzucił nim, ratując Relkę. Tę samą Relkę, która znów zaczęła śpiewać.

*Spoglądam na Jiga,
co walczy rozżarzonym mieczem
Przeciw wstrętnej orczyca,
co jej krew z nosa ciecze
I choć blask jego przygasa,
a orkowie mają nas w szachu
Przy nim nie czuję strachu*

Billa potrząsnęła ze zdumieniem głową.

– Ona tak zawsze?

– Często – przyznał Jig, próbując się podnieść. – Przykro mi. – Wiedział, że to nie strach powoduje drżenie nóg, musiała więc być to wina uderzenia w głowę.

Przykro mi. Naprawdę sądziłeś, że uda mi się pokonać Bille?

Czy poczuje cios, którym Billa zakończy jego życie? Orczyca była szybka, a jej miecz magicznie ostry. Ból prawdopodobnie potrwa mgnienie oka. Chyba że celowo uczyni to tak, by

przedłużyć jego cierpienie.

Billa skierowała sztych wprost na jego gardło.

Pchnięcie dotarło niżej i było inne niż się spodziewał. Przypominało uderzenie w pierś. Jig poleciał do tyłu i grzmotnął o ziemię z taką siłą, że aż zadzwoniło mu w uszach.

Wiatr umilkł. Nikt nie wydał żadnego dźwięku. Wytracony z równowagi nagłą ciszą, Jig spojrzał w dół.

Tkanina na gorsie była cała. Ale przecież płaszcz Ciemnogwiazdego nie mógł zatrzymać miecza Isy. I czemu ciągle słyszy to dzwonięcie?

Skoczył na równe nogi, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Przed nim stał Tymalous Ciemnogwiazdy. Jeszcze nie zdążył opuścić rąk po tym, jak odepchnął Jiga. Dzwoneczki na rękawach zadzwoniły, kiedy sięgał, by dotknąć lodowego ostrza, które wystawało mu z brzucha.

– Nie boli cię? – zapytał Jig.

– Boli i to bardzo. – Ciemnogwiazdy zacisnął palce na klindze i stęknął, gdy Billa próbowała je wyrwać.

– Ocaliłeś mnie.

– To mój obowiązek. – Bóg skrzywił się z bólu. – Choć miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Nie było krwi. Czy bogowie w ogóle mają krew? Jednak po chwili z pomiędzy palców Ciemnogwiazdego zaczęła wyciekać woda.

– Nie! – krzyknęła Billa, usiłując wyszarpnąć miecz. Bez skutku, ostrze nawet nie drgnęło. Strużki wody spływały po rękojeści, kapiąc na śnieg.

– Mógłbyś? – Ciemnogwiazdy wskazał rozjarzony miecz, po czym odwrócił głowę, a z jego oczu wystrzeliły gwiazdy, które pomknęły ku Billi.

Jig ruszył w stronę leżącej na ziemi broni, ale drogę zastąpiły mu dwa orki, uzbrojone w maczugę i topór. Nim Jig zdążył pomyśleć, uniosły oręż i... runęły na plecy, uszione.

Jig podniósł wzrok na Ciemnogwiazdego.

– Jestem bogiem ochrony, spokoju i spoczynku. – Puścił oko, ale głos miał nabrzmiąły cierpieniem. – Wyglądały na zmęczone.

– Powstrzymajcie go! – wrzasnęła Billa i potknęła się, omal nie upadając. Nadal ścisnęła w dłoni miecz Isy, ale teraz z ostrza pozostał tylko kawałek przy rękojeści, poniżej miejsca, gdzie

trzymał je Ciemnogwiazdy. Klinga nadal się kurczyła, topniejąc jej w rękach. Orczyca cisnęła pozostałość na bok i runęła ku mieczowi Jiga.

Jig nie próbował jej prześcignąć. Schylił się, chwytając maczugę, którą upuścił żołnierz i wymierzył jej cios w nogę. Billa upadła, łapiąc się za kolano.

Kiedy Jig usiłował zamierzyć się ponownie zbyt wielką bronią, został odepchnięty na bok.

Ubranie Gratza zwisało w zakrwawionych strzępach. Na ramieniu widniały płytkie ślady wilczych zębów. Zamierzył się na Bille, ściskając miecz w rozdygotanych dłoniach.

Przez krótką chwilę wpatrywali się w siebie, po czym Gratz rzekł:

– Karą za zdradę jest śmierć. – Wraziwszy jej ostrze w pierś, dodał: – Sir.

Nikt nie wydał głosu, kiedy Billa zatoczyła się do tyłu ze sterczącym z piersi mieczem. Głuchą ciszę maciło jedynie chrapanie dwóch orków.

– Co z mieczem Isy? Został zniszczony? – zapytał Ciemnogwiazdy.

Jig podniósł z ziemi rękojeść. Była zimna, ale już nie lodowata; po główni nie pozostał żaden ślad. Podał resztkę miecza bogu, który obrócił ją w rękach. Na ziemię kapnęło kilka kropel wody.

Ciemnogwiazdy uśmiechnął się i usiadł na ziemi, w jednej dłoni trzymając szczątek miecza, drugą przyciskając do brzucha. Nie było widać żadnej rany, ale bóg wyraźnie cierpiał. Jig bez namysłu przykucnął, nakładając rękę na jego ciało i spróbował uleczyć obrażenie, jednak bez efektu.

– Czerpiesz... – wykrztusił Ciemnogwiazdy i zaniósł się kaszlem.

Czerpiesz moc leczenia ode mnie. To na nic.

W tłumie potworów rozległy się szepty. Oszołomienie tym niespodziewanym obrotem sprawy szybko minie i może zrobić się gorąco. Gobliny już zaczęły odsuwać się od orków. Orki łypały wilkiem na gobliny. Kilka koboldów, które przybiegły, by sprawdzić, co się dzieje, podskakiwało z tyłu, usiłując coś zobaczyć.

Jedyną osobą, która w ogóle nie dostrzegą, co się wokół niej dzieje, była Relka, która nie odrywając oczu od Ciemnogwiazdego, podkuśtykała bliżej.

– Kto to jest? – wyszemrała, ledwo oddychając i zacisnęła rękę na wisiorku tak mocno, że pomiędzy palcami pojawiła się krew.

– Osoba, która mnie w to wszystko wpakowała – odparł Jig.

– Mam do tego talent – zachichotał Ciemnogwiazdy.

Relka zatrzymała się na wyciągnięcie ramienia od niego. Po raz pierwszy w życiu Jig widział na jej twarzy niepewność. Zerknęła na niego, potem znów na Ciemnogwiazdego, jak szczur, który zastanawia się, w którą stronę uciekać.

– Jesteś nim, prawda? Jesteś Tymalous Ciemnogwiazdy.

Bóg skłonił lekko głowę.

– Billa chciała mnie zabić, dlaczego mnie odepchnąłeś? – zapytał Jig.

Bo nie miałeś zamiaru się uchylić. I dlatego, że był to jedyny sposób, by dostać w swoje ręce miecz Isy i zniszczyć go. Rozkaszał się znowu i rozdzwonił. Dziwna kombinacja dźwięków. Mówilem przecież, że będę cię chronił.

– Pokurcz zabił Bille – wrzasnął jakiś ork.

Dobra robota, stwierdził Jig i wskazał na Gratza.

– Właściwie to on ją zabił.

– Zaraz. – Braf zmarszczył czoło. – Czy to znaczy, że teraz on dowodzi armią?

Nim Jig zdążył odpowiedzieć, inny ork potrząsnął groźnie bronią.

– Nie mam zamiaru przyjmować rozkazów od jakiegoś wymoczkwatego goblina!

Gobliny sięgnęły po swój oręż.

– Lepiej od wymoczka niż od śmierdzącego orką!

– Jedni i drudzy cuchną! – wykrzyknął kobold.

Jig stawiał, że zginie z rąk orka. To one stały najbliżej, miały najlepsze zbroje i pancerze. Jednak zamiast mrozącego krew w żyłach strachu, poczuł smutek. Cała praca Billi rozpadła się wraz z jej śmiercią. Potwory znów zwrócić się przeciwko sobie, dziesiątkując się wzajemnie, a te, które ocaleją z pogromu, pochowają się w swych norach, gdzie nadal dręczyć ich będą ludzie i reszta różnego autoramentu awanturników, herosów oraz poszukiwaczy rozmaitych bzdur.

Nie sądziłem, że kiedyś to powiem, ale chyba jesteś zbyt wielkim optymistą.

Jig spojrział na boga, który wskazywał na północ.

Może rana pozbawiła Ciemnogwiazdego sił i bóg nie mógł już wysysać strachu z Jiga, a może był jakiś limit lęku, który dawało się ująć. W każdym razie chmura strzał, nadlatująca z krańca doliny, wystarczyła, by obrócić w pył całą boską odwagę Jiga.

– Na zdechłego orka! – wyrwał mu się zduszony pisk.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Relka.

– Nacziaga armia Wendela.

Rozdział 16

Cielesna postać Tymalouisa Ciemnogwiazdego, leżąca aktualnie na śniegu i obserwująca panikującego bojownika nie miała widocznej rany. Niestety, w świątyni sprawy miały się inaczej.

Kałuża krwi na posadzce była coraz większa. Ale bałagan!

– Widywałam cię w lepszej formie. – W progu stała Isa. Wokół jej białej szaty wirował śnieg, a oddech zamieniał się w szadź. – No wiesz, Tymalouisie? Żeby aż tak poświęcać się dla goblina?

– Lubię tego goblina – wycharczał Ciemnogwiazdy.

– Nie warto było, i tak zginie. Jeśli moje orki go nie zabiją, zrobią to ludzie. – Isa przesunęła dłonią po rozwianych włosach, zupełnie jakby sprawdzała, czy nie siedzi w nich żaden pająk. – Przecież nie tego chciałeś.

Ciemnogwiazdy dźwignął się, opierając o ścianę.

– Wiem.

Isa wkroczyła do świątyni.

– Co ty sobie wyobrażałeś? Jak mogłeś się tak rzucić pomiędzy Bille a tego goblina? Chyba za bardzo wziąłeś sobie do serca to całe chronienie.

– Taki już jestem – uśmiechnął się bóg. Oczy Isy miały barwę lodowców i skrzyły się, kiedy była zła.

– Oszczędziłabym twój pupilka – rzekła. – Gdybyś tylko...

– Gdybym pomógł ci zabić mojego syna?

Isa odwróciła się gwałtownie i Ciemnogwiazdy nie mógł powstrzymać chichotu. Tysiące lat śmiertelni poeci łączyli gniew i złość z żywiołem ognia. A mogło być raczej, gdyby klątwa Noka nie zatarła ich wspomnień o Isie i jej charakterku.

– Jak zawsze krótkowzroczny – prychnęła. Nadal stała plecami do niego, ale wychwycił w jej tonie nutę bólu. – Kto powstrzyma mnie następnym razem? Zbiorę nową armię, odtworzę miecz...

– Zrobienie go zajęło ci wieki.

– Na tym polega piękno klątwy Noka, kochany – roześmiała się bogini. – Zapomnieli o nas. Mam czas do końca świata.

Ciemnogwiazdy przymknął oczy, wspominając jej ostatnią przemowę o nieuchronności

zwycięstwa. *Wojna omal ich nie zabiła, ale Isa niczego się nie nauczyła. Nie potrafiła. Była zimowym wichrem, powracającym niezmiennie co roku. Niepowstrzymanym i nieuniknionym.*

– Iso, jak sądzisz, co się stanie, gdy ta rana odbierze mi życie?

– Przykro mi, Tymalousie. – Zwróciła się ku niemu. – Pomogłabym ci, gdybym była w stanie, ale wiesz, że nie posiadam daru leczenia.

– Nie o to chodzi. – Z trudem opanował atak kaszlu i skrzywił się na widok świeżej krwi przesączającej się przez palce. – Kto pojawia się przy śmierci boga?

Isa zeszywniała.

– Jest kilku bogów śmierci – wyszeptała. – Nie musi to być...

– Jest moim synem, Iso. Przyjdzie po mnie i wróci mu pamięć.

– Zaplanowałeś to! – Syknęła, ruszając ku niemu z zaciśniętymi pięściami, ale zmitygowała się. Przyspieszenie jego śmierci byłoby równoznaczne z popędzaniem Noka. – Nie jestem gotowa! Bez miecza...

– Powinnaś odejść. Zaczynaj od nowa. Zwodziłaś go tyle czasu, może nawet znów o tobie zapomni. Choć wiem skądinąd, że trudno jest wymknąć się śmierci, gdy doda już twoje imię do swej listy.

– Celowo pozwoliłeś, aby Billa cię zabiła. Chciałeś zniszczyć miecz i napuścić na mnie tego zdrajcę!

– Liczyłem, że uniknę tej części z zabijaniem, ale poza tym, owszem – rzekł Ciemnogwiazdy, rozkładając ręce. – To mój syn.

Śnieg sypnął mu w oczy, a kiedy biały pył opadł, Isy już nie było. Tylko cienka warstwa szronu srebrzyła się na kamiennych blokach.

– Przykro mi z powodu twojego orka! – krzyknął Ciemnogwiazdy i zachichotał. – Trzeba było sobie przygadać goblina.

* * *

Strzały spadły niczym ulewa, zasypując głównie koboldy – nie wiadomo jednak, czy celowo czy też tylko te potwory znajdowały się w ich zasięgu. Atak posiał panikę w szeregach koboldów. Ranne wyły i skowytały, zdrowe tratowały broczących krwią pobratymców.

– Myślałem, że ludzie mają przybyć dopiero za dzień czy dwa – zauważył Trok.

– Genialne posunięcie z ich strony – zachwycił się Gratz. – Wykorzystali Jiga, aby zlikwidować Krwawą Bille, a tym samym pogрузić nasze siły w chaosie.

Tyle że gdyby Jigowi się nie powiodło, strategia ta zniszczyłaby całą armię króla, gdyż Billa zdolalaby aktywować zaklęcie.

– Gobliny wydały nas ludziom! – rozdarł się potężny ork o nagim torsie i mięśniach jak łańcuchy górskie. Blizna wskazywała, że należy do ścisłego kręgu najwyższych oficerów Billi. Chyba że jakiś wilk przeżuł mu ramię.

– Nie, to ludzie wydali nas innym ludziom! – zaprzeczył Braf.

Orki nie słuchały.

– Zabić ich! Zabić wszystkich! – zawołał inny, a reszta podjęła okrzyk. Półgoły ork ruszył ku Trokowi, wywijając ogromnym toporem. W połowie drogi o skroń rozbiła mu się kula ze zmrożonego śniegu i błocka.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Jigowi, który ocierał ręce o płaszcz. Sam Jig nie był pewien, co zaskoczyło go bardziej – to, że zdobył się na rzucenie kulą w orka, czy to, że w niego trafił.

Znów odebrałeś mi strach?

Nie, tym razem cała zasługa jest twoja.

Jasne. Nie trząsłby się tak, gdyby Ciemnogwiazdy rzeczywiście pozbawił go lęku.

Ork machnął na Jiga toporem.

– Utopić go w błocie!

– Sam się utop – odpyskował Jig i objął się ramionami, żeby ukryć drzenie.

Mówiłeś, że musiałbyś wyrwać Billi i Isie więź, żeby przejąć kontrolę nad zaklęciem w bliznach, masz dość siły, żeby...

Ciemnogwiazdy uśmiechnął się, przymykając oczy.

Billa nie żyje, a Isa jest... ma co innego na głowie. Pokieruję tobą, ale sam będziesz musiał je aktywować.

Ork śmiał się, unosząc broń, ale reszta odsunęła się, chcąc lepiej widzieć jego popis. Potężny wojownik napiął mięśnie i wziął zamach... zabijając goblina za plecami. Zamrugał, zaskoczony, ale wzruszył ramionami i wytarł ostrze o spodnie.

– Czeka! – zaskrzeczał Jig. – Muszę wziąć miecz! – Odwrócił się, oddalając od przeciwnika. Dziesięć kroków powinno wystarczyć.

Lepiej dwadzieścia.

Jig cofnął się dalej. Stojący za orkami Braf odciągnął gobliny na bok. Pewnie Ciemnogwiazdy ostrzegł go, co Jig zamierza zrobić.

– Hej! Tu jest twój miecz! – krzyknął jakiś ork, podnosząc broń i rzucając ją Jigowi, który schylił się w ostatniej chwili, o włos unikając przebicia własnym ostrzem.

Skup się na bliźnie.

Jig zaczął się trząść, a skóra pokryła się gęsią skórką. Chłód promieniował od wewnątrz, jakby krew zamarzała mu w żyłach. Najgorzej było z kłami. Zlodowaciały tak szybko, że przywarły do warg.

Skoncentruj się, napomniął go Ciemnogwiazdy.

Jig kiwnął głową i odwrócił się do orka. Mimo odległości czuł znak wycięty na skórze orka, a przenikliwe zimno zaatakowało już jego gałki oczne. Lodowe punkty były rozsiane po całej armii Billi, ale Jig skupiał się tylko na jednym.

Żeby uaktywnić zaklęcie, musisz sobie wyobrazić, że topisz lód w obrębie blizny.

Jig zacisnął powieki. Nadal widział bliznę, unosiła się w ciemności jak błękitna plama zimna. Teraz musiał tylko...

Dobiegło go nierówne skrzywienie śniegu pod stopami. Cofnął się gwałtownie, otwierając oczy. Pomiędzy nim a orkiem stała Relka, z uniesionym do ciosu, zbroczonym krwią mieczem.

– Prędzej zginę, niż pozwolę ci skrzywdzić Jiga Smokobójcę!

– Nie ma sprawy. – Ork wzruszył ramionami.

Teraz, Jig! Stop lód!

Jig wstrzymał oddech, wyobrażając sobie, że na dłoni siedzi mu Ciapka. Nieomal czuł, jak przerożenie pająka parzy mu skórę. Modląc się, by Ciemnogwiazdy miał rację, rzucił Ciapka w orka.

Jego wyobraźnia okazała się czerpać zbyt wiele z rzeczywistości. W wywołanej w umyśle scenie Ciapka poleciał po łuku, wylądował w śniegu i odwrócił się, łypiąc na Jiga z wyrzutem.

Wyobraziłeś go sobie, Jig!, zdenerwował się Ciemnogwiazdy. Jak mogłeś nie trafić we własnej wyobraźni?!

Jig skoncentrował się ponownie, tym razem przywołując obraz wijących się na ramieniu orka białych glizd, będących przysmakiem Ciapka.

Obraz rozmazał się. Czyżby zamarzały mu oczy? Miał nadzieję, że Ciemnogwiazdy

będzie w stanie je uleczyć. Skierował całą uwagę na wizji.

Wymaginy Ciapek pognał w kierunku orka, wskoczył mu na ramię i zaczął ucztować dokładnie w miejscu blizny.

Pospiesz się, Jig.

Jig usłyszał zbliżającego się orka. Zaciskając pięści, wyobraził sobie podchodzącą do Ciapka Golakę, z chochłą w jednej i kociołkiem w drugiej ręce. Jig nie przepadał za pająkówką, ale zupa ta posiadała zapalonych wielbicieli wśród goblinów. I to dosłownie. Ryzyko trafienia na gruczoł ogniowy i przepalenia sobie języka stanowiło smaczek tej potrawy.

Wymyślony Ciapek podniósł łebek znad biesiady i zareagował tak, jak zareagowałby każdy, stojąc w obliczu wygłodniałej Golaki. Żar natychmiast roztopił lód z blizny, a Jig krzyknął zelektryzowany mrozącym podmuchem, który przeniknął go na wskroś.

Wiatr zniknął tak szybko, jak się pojawił. Jig nie wiedział, co z tego wydarzyło się tylko w jego wyobraźni, ale zimno było na tyle realne, by przymrozić mu kły do policzków. Rozwarł szczęki, odrywając zęby i potoczył wokół spojrzeniem.

Soczewki zaszyły mu mgłą, pochylił więc głowę, patrząc ponad oprawkami.

Nieopodal na śniegu leżało nieruchomo kilka orków. Pośród nich stał *niedoszły zabójca* Jiga, nadal z wzniesionym nad głową toporem.

Naraz z kręgu wyskoczył jakiś kobold, podbiegł do leżących i kopnął najbliższego. Ręka orka odłamała się, odpadając.

Kobold zaskowyczał triumfalnie, porwał zdobycz i czmychnął do towarzyszy.

Z oddali dobiegał świst strzał opadających na krańcowe szeregi armii, ale tumult, jaki wywoływały, wydawał się odległy i przytłumiony, jak echo w długim tunelu. Jig schował miecz i objął się, usiłując choć trochę opanować dygotanie.

– Kto to zrobił? – zapytał jeden z pozostałych z przyżyciu orków.

– Jig Smokobójca – wyrwał się Trok, wskazując na Jiga. – Nowy dowódca byłej armii Billi.

– Chyba że ktoś ma coś przeciwko, jak tamci? – dodała Relka, krzyżując ręce na piersiach. Obrzuciła zlodowaciałe orki okiem zawodowca. – Ciekawe, jak długo można trzymać tak zamrożone mięso.

– Jakie rozkazy, sir? – zapytał Gratz, stojąc z mieczem unurzonym we krwi Billi. Orki popatrywały na Jiga, mamrocąc coś między sobą.

Ile dadzą mu czasu, zanim znów zaatakują? Ciemnogwiazdy słabł coraz bardziej, a magia dosłownie zamrażała od środka, wątpił więc, czy zdoła aktywować kolejne zaklęcie. Musiał zapanować nad wszystkimi, zanim skoczą sobie do oczu i wytluką się wzajemnie, ku uciesze ludzi.

– Oddziały koboldów, wycofać się poza zasięg łuków – zdecydował.

– A po co? – zaśmiał się któryś z orków. – Ludzie zabijają kilka psów i co z tego? Czym się tu przejmować?

– Głupi ork! – Jeden z koboldów wyprysnął spośród tłumu i przemknąwszy pomiędzy dwoma orkami, dziabnął żartownisia nożem w nogę.

– Dość! – Jak ta Billa to robiła? Nadciągała nieprzyjacielska armia, a potwory myślały tylko o tym, żeby walczyć ze sobą.

Relka pociągnęła go za rękaw, wskazując na coś. Twarz Jiga rozjaśniła się w uśmiechu.

– Pamiętajcie, jaka jest kara za burdy podczas pełnienia obowiązków! – krzyknął. Jego głos utonął w jazgocie. A może gdyby ork i kobold nie hałasowały tak bardzo, usłyszałyby nie tylko jego, ale też nadchodzącego Dębizada. Nagle ork chwycił kobolda, a sekundę później Dębizad chwycił ich obu. Zaraz potem nad polami pofrunęły dwa żywe pociski.

– Dębizadzie, masz pozwolenie rzucić każdym następnym, który sprzeciwi się rozkazom – powiedział Jig.

– Ej, nie jesteś... – tyle zdołał powiedzieć ork, zanim poleciał za poprzednią dwójką.

Dębizad nie przejmował się rangami czy lojalnością, byle tylko mógł sobie porzucać. Jig zdawał sobie sprawę, że nawet przy jego pomocy nie zdoła zbyt długo utrzymać dowództwa, ale wątpił, by ktokolwiek przeżył wystarczająco długo, by miało to jakieś znaczenie.

– Zaraz ruszą do natarcia, prosto na nas. – Jig wspiał się na palce, próbując coś zobaczyć. Orki zasłaniały mu widok, ale pomiędzy ich głowami udało mu się dostrzec ruch na krańcu doliny, a wśród drzew sylwetki strzelców.

– Zbocza są zbyt strome i zaśnieżone na atak frontalny. – Gratz potrząsnął głową. – Konie nie dadzą sobie rady, a ludzie będą musieli uważać, schodząc. Ale potem dokończą sprawę. Kiedy rozbiją główny trzon naszych wojsk, król wyśle za rozproszonymi jednostkami oddziały tropicielei z psami.

I nie poprzestanie na tym. Wie, gdzie znajduje się wejście do goblinich jaskiń i wie, że zostało ponownie otwarte. Dopiero co stracił kolejnego syna. Nie spocznie, póki nie zginie

ostatni goblin.

– Krwawa Billa powiodłaby armię do zwycięstwa!

Nawet czujne uszy goblina nie wyłowiły krzykacza z tłumu.

– Billa nie żyje – powiedział i odwrócił się do Gracza. – Ile mamy wilków?

– Z naszych przeżyło tylko parę. Ale jest druga jednostka goblinów i tam mają kilka wilczych szwadronów. Wszystkich będzie jakoś z osiemdziesiąt.

W porządku.

– Trok, każ wszystkim dosiąść wilków i niech przygotowują się do odwrotu.

– Gobliny – prychnął jeden z orków pogardliwie. – Pierwsze do ucieczki, tchórze.

Jig zgadzał się z nim w głębi duszy. To był doskonały opis goblinów. Pomyślał o znajomych korytarzach i grotach, o zapachu syfii, twardym obsydianie pod stopami, smaku golakowej kuchni...

Z zadumy wyrwały go głośnie ryki.

– Trolle się wyrwały – powiedziała Relka. Jig nie widział wielkich niewolników, ale wyraźnie słyszał, jak przedzierają się przez szeregi. Sądząc z wrzasków, bardziej interesowała je ucieczka niż zemsta.

Jeśli miał coś zrobić, musiał działać natychmiast, zanim więcej spraw wymknie się spod kontroli.

– Przejmiecie Avery – zwrócił się do orków.

– Jakim cudem? – zdumiał się Gracz. – Nie mamy przecież machin oblężniczych, pamiętasz?

– Ależ mamy – uśmiechnął się Jig, wskazując na Dębizada. – Mamy jego. Dębizadzie, co powiesz na rzucenie po kolei całym oddziałem orków?

Korona drzewa zadrżała. Prawdopodobnie był to dobry omen, oznaka niecierpliwego oczekiwania, ale niewykluczone, że poruszył ją po prostu podmuch wiatru.

– Myślisz, że jesteś wystarczająco dobry, żeby wrzucić ich na palisadę?

– Zaraz sprawdzimy. – Dębizad wyciągnął konar po orka.

– Nie stąd! – powstrzymał go Jig.

Orki cofnęły się w popłochu.

– Nie pozwolę się rzucić... sobą rzucać – zaprotestował jeden.

Jig założył rękę na rękę.

– Rozumiem, że się boicie. Sam skakałem z tego ogrodzenia i chociaż nic mi się nie stało, nie cieszyłaby mnie perspektywa powtórzenia czegoś takiego. Jednak jeśli nie jesteście wystarczająco twardzi...

Skoczyłeś?, parsknął Ciemnogwiazdy.

Skoczyłem, spadłem, co za różnica?

Taka, że miałeś pod ręką Darnaka, który mógł cię poskladać.

Orki już pognały w stronę Avery. Kroczący za nimi Dębizad złapał kilka po drodze, rzucając na próbę w stronę palisady. Jig zastanawiał się, jak czują się ludzie, widząc drzewo miotające orkami, które lecą w powietrzu krzycząc i wymachując bronią. Nawet jeśli większość orków zginie podczas upadku, Dębizad zdoła postrzącać obrońców. A wystarczy, że tylko kilku przerzuconych przeżyje, żeby otworzyć bramy.

Jig odwrócił się do goblinów i koboldów. Te ostatnie zdążyły już cofnąć się poza zasięg strzał. Naprawdę były szybkie.

– Gdy Wendel zobaczy, co robimy, przyspieszy natarcie i wyśle posiłki do Avery. – Jig żałował, że nie podkradł Darnakowi kilku map. Łatwiej byłoby mu planować posunięcia, mając przed sobą rozrysowaną okolicę.

– Wtedy rzucimy się do ataku? – zapytał Gratz.

Jig potrząsnął głową.

– Nie zapominaj, że jesteśmy goblinami. Wtedy rzucimy się do ucieczki.

* * *

Już same bębny goblinów były koszmarem. Kiedy do ich warkotu przyłączyło się ryczenie orczych rogów oraz świdrujące skowyty koboldów, kakofonia stała się nie do wytrzymania. Jig położył uszy i zgrzytając zębami, zerwał z leżącego orka płaszcz. Materiał był zakrwawiony, ale wytrzymały. Zamocował płaszcz na dwóch włóczniach, związując rękawy i rogi pól.

– Pomóście mi.

Braf i Relka przenieśli ostrożnie Tymalouisa Ciemnogwiazdę na płaszcz i chwyciwszy końce włóczni, zaczęli podnosić. Braf zaklął, puszczając nosze z jednej strony.

Jig starał się nie rozplakać.

– Może spróbuj złapać włócznie *za* grotem.

– A tak. – Braf spróbował ponownie. – Czy bóg nie powinien być cięższy?

Na dźwięk wycia, choć przygotowany, Jig aż podskoczył. Obejrzał się przez ramię. Avery mijala właśnie wataha wilczych jeźdźców pod dowództwem Troka. Koboldy gnały na złamanie karku w przeciwną stronę. Niech Wendel ich ściga.

Przyrzeknij mi coś, Jig.

Hm?

Ciemnogwiazdy uśmiechnął się słabo.

Nie pozwól im mnie zjeść.

Jig popatrzył na niego. Bóg nie krwawił, ale wyglądał jak... cóż, jak ktoś, kto został przeszyty mieczem. Był jeszcze bledszy niż zwykle, a jego oczy przygasty.

Jig wiele już w życiu widział, ale myśl o śmierci boga nie mogła pomieścić mu się w głowie. Bogowie nie umierają. Ludzie, orki, koboldy, gobliny – jak najbardziej. Szczególnie gobliny. Ale nie bogowie. Nieśmiertelność jest nierozwalną częścią natury boskiej.

Beze mnie uciekalibyście szybciej, zauważył Ciemnogwiazdy.

Dlatego właśnie to Braf i Relka cię niosą, nie ja, odrzekł Jig.

– Jak wejdziemy w las, patrzcie, żeby się nie zapędzić poza granicę z elfami – ostrzegł towarzyszy.

– A skąd będziemy wiedzieć, czy to już terytorium elfów? – zapytał Braf.

– Jeśli zaczniemy padać przebici strzałami, znaczy że poszliśmy za daleko.

Przestraszeni niespodziewanym krzykiem elfiego jastrzębia, omal nie upuścili Ciemnogwiazdego. Z Avery nadlatywały dwa ogromne ptaki. Jig zmrużył oczy, próbując dostrzec, czy niosą jeźdźców.

Gdy ptaki doleciały do pierwszych szeregów armii, kilka goblinów i koboldów rzuciło w nie włócznie. Większość chybiła, a nawet te, które trafiły, nie wyrządziły im krzywdy. Pewnie Teodor utwardził ich pióra lub skórę, tak jak swoim elfom.

Jeden z goblinów podskoczył, próbując dosięgnąć napastnika mieczem. Jastrząb zawrócił, zatapiając szpony w karku goblina, uniósł wrzeszczącą, wierzgającą ofiarę do góry, po czym wypuścił.

Dla ptaka tych rozmiarów Jig był nieledwie szczurem. Kościstym szczurem. Istniała więc szansa, że jastrząb wybierze jakiś tłustszy kąsek.

Jak zwykle szczęście mu nie sprzyjało. Ptaszysko przechyliło się ostro i zanurkowało.

– Zupełnie jakby leciały na nas – zauważył Braf.

Jig przypadł do ziemi i podczołgał się pod nosze.

Braf i Relka puścili Ciemnogwiazdego, który wylądował na Jigu i sięgnęli po broń.

Ani ukrywanie się, ani broń na nic się zdały. Jastrząb machnął po prostu wielkim skrzydłem, przewracając Brafa, a drugim zbił z nóg Relkę, po czym chwycił Jiga w szpony.

– Jig! – wrzasnęła Relka, zrywając się i przyskoczyła do ptaszka. Uczepiwszy się drugiej nogi, wyciągnęła się, sięgając nożem do pierzastej piersi. A potem ziemia zaczęła się oddalać.

– Spokojnie tam na dole. – Na tle nieba pojawiła się przesłonięta zwichrzonymi włosami twarz Darnaka. – A, nic dziwnego, że ciężko jej się wznosić. Skoro twoja przyjaciółka tak bardzo chciała polecieć z nami, mogła złapać ptaka Genevieve.

Jig próbował odpowiedzieć, ale pisk, który wydobył mu się z ust, utonął w łopocie skrzydeł. Lecieli wysoko ponad czubkami drzew. Jig widział w dole malejącą figurkę Brafa, który stał obok noszy z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Za nimi podążał drugi ptak z kurczowo uczepioną piór Genevieve. Za królową powiewał, furkocząc, czarny płaszcz.

– Puście nas! – wrzasnęła Relka. Obejmując nogę ptaka nogami i jedną ręką, drugą usiłowała wbić nóż w stopę.

– Hej, żadne takie! Co zrobisz, jak zranisz tę bestię? Rozłożysz własne skrzydła? Bo ostatnio jak widziałem goblina, żaden ich miał. – Darnak zostawił w mieście swój plecak, podobnie jak zbroję. Zapewne chciał w ten sposób odciążyć ptaka. Zabrał ze sobą jedynie maczugę.

– Czego chcecie?! – krzyknął Jig.

Genevieve podleciała z boku.

– Ojciec wysłał moim ludziom rozkaz, żeby zatrzymali mnie za „kolaborowanie z wrogiem”. Skłamał co do czasu przybycia armii, bo nie chciał, żebym zrobiła coś głupiego.

– Jak na przykład uciekała na jastrzębiu brata? – zachichotał Darnak.

– Ale czemu tu przylecieliście? – zapytał Jig. – To znaczy, dlaczego mnie porwaliście?

– Dałam słowo, że nie pozwolę wyrządzić ci krzywdy – wyjaśniła Genevieve. – Nie jestem w stanie pomóc twoim żołnierzom, ale przynajmniej zaniosę cię do domu. Przykro mi, Jig, to wszystko, co mogę zrobić w tej sytuacji.

Darnak przechylił się, żeby pogłaskać swojego wierzchowca po szyi. Jeszcze trochę i

mógłby spaść. Z tak bliska Jig dostrzegł skórzane pasy uprzęży, za pomocą której krasnolud kierował ptakiem.

– Uważaj!

– Spokojnie, chłopcze – zaśmiał się Darnak. Wiesz, gdybyś mi dwa lata temu powiedział, że mi się *to* spodoba, nazwałbym cię wariatem. Unosić się w powietrzu, bez ograniczeń. Niesamowita sprawa.

Jig wykręcił głowę, chcąc zobaczyć Brafa i Ciemnogwiazdę, ale byli za daleko. Z tej wysokości gobliny wyglądały jak rozbiegane niebieskie mrówki.

Miał nadzieję, że okulary mu się nie zsuną. Co prawda trzymały się dobrze, ale...

Nieopodal, pomiędzy drzew wynurzała się armia Wendela. Żołnierze łączyli się w szeregi i dalej maszerowali w równych kolumnach. W słońcu lśniły tarcze piechoty. Idący za nimi strzelcy nie przestawali szyc z łuków. Widać było także konie, ale zgodnie z przewidywaniami Gratza, jazda rzuciła się w galop, ścigając potwory.

Wkrótce kolumna rozdzieliła się na dwie grupy, z których jedna zaatakowała orki, próbujące przejąć miasto, druga zaś rozproszyła się, rozpoczynając pogoń za goblinami oraz koboldami.

Sytuacja przypominała akcję oczyszczania tuneli, podczas której gobliny szły ławą przez korytarze oraz pieczary, płosząc szczury i inne szkodniki.

Zwykle po drugiej stronie czekała druga grupa, łowiąca gryzonie dla Golaki. W tym przypadku druga część obławy mogły stanowić elfy, strzelające do wszystkiego, co przekroczy ich granicę.

Starając się nie poruszać gwałtownie, Jig podniósł głowę.

– Nie orientuję się zbyt dobrze na otwartej przestrzeni, ale czy przypadkiem nasza jaskinia nie jest gdzieś tam?

– Hm. – Darnak zmarszczył czoło. Jastrzębie leciały dokładnie w przeciwnym kierunku, zbliżając się do armii Wendela. – Jak każde inteligentne stworzenia i te ptaszyska lubią mieć swoje zdanie.

Bez słowa ostrzeżenia krasnolud przerzucił ciężar na prawą stronę. Ptak przechylił się niebezpiecznie.

Jig zacisnął powieki, ale to tylko pogorszyło stan rzeczy. Czuł dokładnie, jak poranny bekon próbuje wyrwać mu się z żołądka nieodpowiednią stroną. Na szczęście jastrzęb szybko

wyrównał lot. Ale nie zmienił kierunku.

– Płaszcz! – krzyknęła Genevieve. – Pozbądź się płaszcza, Jig!

– Och, tylko nie to! – Ptaki zostały wytresowane, żeby reagować na barwy. Kiedy królowna wysyłała wiadomość do ojca, poprosiła Jiga o strzępek płaszcza, Jig usiłował zrzucić okrycie, ale uniemożliwiały mu to zaciśnięte na korpusie szpony.

– To znaczy, że lecimy do twojego pałacu? – zapytała Relka.

– Nie, one nie latają do określonych miejsc, tylko ludzi – rzekł Darnak. – Zmysły elfich jastrzębi działają inaczej niż nasze, ptaki wiedzą dokładnie, gdzie w danym momencie znajduje się król. A kiedy dostaną już przesyłkę do dostarczenia, powstrzymać je może jedynie śmierć.

Nawet jeśli miecz Jiga zdołałby przebić utwardzoną magicznie skórę ptaka, zabicie go byłoby kiepskim wyjściem.

– Nie boję się – oświadczyła Relka. – Ciemnogwiazdy...

– Ciemnogwiazdy umiera. – Nieoczekiwanie dla samego Jiga, w wypowiedzi tej zabrzmiał gniew. Z tego, co wiedział, bóg mógł już nawet nie żyć. Na samą myśl o tym poczuł bolesny skurcz w żołądku.

Jeszcze żyję, odezwał cię Ciemnogwiazdy. Choć nie tak planowałem spędzić swoje ostatnie chwile. Wleczony po śniegu, z zadkiem Brafa przed oczyma. Mógł przynajmniej złapać nosze od strony mojej głowy.

– Ojciec mnie zabije – stwierdziła Genevieve.

– Ciebie zabije? – wrzasnął Jig.

Jeszcze chwila i byli na krańcu doliny. Pomiedzy drzewami zieleniły się rozrzucone na sporej przestrzeni jaskrawe placki. Namioty, jak się domyślił. Biorąc pod uwagę natężenie panującego w obozowisku ruchu, większość żołnierzy musiała wyruszyć w pościg za potworami. Jastrzębie zeszyły niżej, pozwalając dostrzec więcej szczegółów. Ludzie rozbili obóz obok zamrzniętego strumienia. Namioty rozstawili w okręgach, z najokazalszym pośrodku.

Na terenie obozowiska było mnóstwo koni, kręciły się także inne zwierzęta – szare, przysadziste miniatury koni i większe, ciemniejsze istoty o zakręconych rogach, które stały przy wielkich wozach. Przypominały kozy, ale miały dłuższą sierść. Zawartość fur skrywały grube plandeki, ale z jednej ludzkiej wyładowywali beczki. Blżej centrum znajdowały się ogniska, przy których siedzieli mężczyźni oraz kobiety, którzy topili śnieg.

Jastrząb Darnaka zmierzał ku jednemu z największych namiotów. Genevieve podążała za

nim, choć pewnie wolałyby odlecieć stąd jak najdalej.

A przecież mogła, w końcu jej ptak nie miał żadnej „przesyłki”.

Na czubku wielkiego namiotu wisiał zielono-biały proporzec. Znajdujące się w pobliżu zwierzęta na widok ptaszyska rozbiegły się wystraszone. Jastrząb zniżył lot. Jig z trudem opanował mdłości podczas opuszczania. W końcu ptak zawisł na wysokości górnych połąci namiotów i wypuścił ofiary ze szponów. Jig spadł w śnieg, a chwilę potem dołączyła do niego Relka.

W mgnieniu oka otoczył ich krąg zbrojnych. Najwyraźniej król zatrzymał część jednostek w obozie. Jig nie mógł pojąć, po co żołnierzom takie ilości broni do przypilnowania dwóch goblinów. Po podniebnej przejażdżce ledwie stał na nogach, a co dopiero mówić o walce.

Darnak zeskoczył z jastrzębia, który wylądował nieopodal i przeszedł przez pierścień, roztrącając strażników.

– Bardzo mi przykro – mruknął, kładąc rękę na swojej maczudze. Genevieve posunęła się krok dalej. Dobyła miecza i zasłoniła sobą Jiga.

– Jesteśmy tu po to, by rozmawiać z królem – rzekła. – Spróbujcie nas powstrzymać.

– Nie chciałbym być na waszym miejscu, jak będziecie tłumaczyć, dlaczego podziurawiliście córkę Wendela włóczniami – dodał krasnolud.

Jeden z żołnierzy opuścił broń.

– Ależ wasza wysokość, gobliny...

– Gobliny przybyły błagać króla o litość. – Genevieve rzuciła Jigowi przepaszające spojrzenie.

– Bojownik Tymalouza Ciemnogwiazdego nie błaga o litość! – uniosła się Relka.

Jig odchrząknął.

– Właściwie to...

– Pokonał Krwawą Bille i sam jeden ocalił całą armię króla. – Relka przyjęła wyzywającą postawę. – To twój ojciec powinien mu dziękować na kolanach.

Genevieve wywróciła oczami.

– Jak staniecie przed obliczem króla, nie pozwól się jej odzywać.

– Gobliny muszą oddać broń – oświadczył inny żołnierz.

Jig podał swój miecz Darnakowi, Relka zrobiła to samo ze swoim uzbrojeniem.

– Darnaku, co z Ciapkiem? – szepnął Jig.

Krasnolud pokazał mu metalową puszkę wiszącą u paska, która po bliższych oględzinach okazała się niewielką drucianą klatką z otwieraną górą. W środku siedział Ciapek, radośnie pożerający wielką ćmę.

– Użyłem do jej wykonania odrobinę magii Ziemiotwórcy – powiedział Darnak. – Twoje *zwierzątko* nie jest najpiękniejszym stworzeniem na świecie, ale po pewnym czasie idzie przywyknąć. Można by przywiesić taką klateczkę w namiocie, przy latarni, a zająłby się pewnie tym całym robactwem, które ciągnie do światła.

Jig wepchnął palec do klatki, żeby pogłaskać pająka. Szczelbelki okazały się mocniejsze niż na to wyglądały, choć właściwie trudno się było dziwić, biorąc pod uwagę, kto ją wykonał. Krasnoludy pewnie i skarpetki robiły z arkuszy wzmacnianej blachy.

– Lepiej go zatrzymaj – rzekł Jig.

– Nie ma sprawy. – Darnak klepnął go po ramieniu. – Ale nie trać nadziei, chłopcze.

Jig przekrzywił głowę, nasłuchując odgłosów bitwy. Armia Wendela zajęła już pewnie większość doliny. Potwory, przyparte przez wojska do granicy elfów, musiały uciekać na boki. A to oznacza, że lada moment...

Rytm wybijany przez goblinie bębny zmienił się z szybkiego sygnału odwrotu na trójmiarowy. W tej samej chwili koboldy zaskowyczały jednym głosem, a po chwili dołączyło do nich niższe, głośniejsze wycie wilków.

– Brzmi, jakby zbierali się do ostatecznego uderzenia – zauważył jeden z żołnierzy.

Darnak zmarszczył brwi i odwrócił się do Jiga, ale zanim zdążył coś rzec, Genevieve złapała goblina za ramię, wpychając do namiotu.

– Nie odzywaj się, dopóki ci nie powiem – szepnęła.

Namiot, choć wielki, był zatłoczony jak przedsionek do gobliniej kuchni, kiedy Golaka robiła ogrze flaczki. Wydawało się, jakby w obrębie płóciennych ścian król zgromadził całą armię przybocznych. Jig przeciskał się, omal nie depcząc po palcach groźnym, ponurym wojom w zbrojach.

Straże rozstąpiły się niechętnie, robiąc przejście dla królowny.

W namiocie panował półmrok. Na środku, nieopodal długiego stołu, paliło się ognisko. Dym uchodził przez dziurę w suficie.

W rozpostartych na blacie pergaminach Jig rozpoznał Darnakowe mapy. Nad planami pochylał się korpulentny mężczyzna o krótko przyciętych, siwych włosach. Ubrany był w ciężkie

czarne futro, na skroniach zaś nosił złotą koronę. Ozdoba wyglądała na wyjątkowo niewygodną. Opierała się na uszach, odginając je na zewnątrz i upodabniając go trochę do gobliniego dziecka.

Genevieve i Darnak popchnęli Jiga w stronę ogniska. Potknął się, omal nie wpadając głową w płomień.

Genevieve westchnęła cicho, wskazując na Jiga.

– Ojczy, pozwól, że przedstawię ci goblina, który zabił Krwawą Bille.

Wykonując zadanie, któremu nie podołał twój syn. Te słowa nie zostały wypowiedziane, ale obecni usłyszeli je tak samo wyraźnie, jak poprzednie.

Błada, krostopata twarz króla stężała. W szeregach wojowników słychać było pomruki niezadowolenia.

– Przybył, aby w zamian za ten czyn prosić cię o łaskę – ciągnęła Genevieve. – Aby rzucić ci się do stóp i...

– Mogę się już poddać? – zapytał Jig, nie przestając strzyc uszami w stronę wejścia, gdzie najlepiej było słyszeć odgłosy bitwy. Zerknął przez ramię, ale żołnierze otaczali ich zwartym kręgiem, uniemożliwiając ucieczkę.

– Tchórzliwy pomiot – mruknął król. Jego głos przypominał dźwięk zardzewiałego miecza wysuwanego ze zbyt ciasnej pochwy. Wstał, opierając się o brzeg stołu i zwrócił oczy na Jiga. – Co miałbym według ciebie zrobić, goblinie? Pozwolić tym dzikim hordom buszować po moich ziemiach i zabijać ludzi? Oddać Avery orkom, które właśnie szturmują umocnienia?

– Twoich ziemiach? – Relka wystąpiła naprzód, stając obok Jiga i pokazała palcem Genevieve. – Ona i jej brat napadli na naszą górę! Zabili część naszych wojowników, a resztę zabrali jako niewolników! Masz szczęście, że Jig nie zmiotł was wszystkich z powierzchni ziemi!

Genevieve chwyciła Relkę za ucho, odciągając do tyłu. Darnak westchnął, kręcąc głową.

Król spurpurowiał. Dokładnie taki sam kolor przybierała twarz Bariusa na chwilę przed tym, jak uderzał Jiga. Ciekawe, czy Wendel robi to osobiście, czy też może królowie mają w zwyczaju zrzucać aktywność ruchową na innych?

– Wiele mu zawdzięczamy, ojczy – rzekła Genevieve, a kącik jej ust powędrował ku górze. – Poza tym zobacz jaki jest słodki, te wielkie okulary i...

– Słodki? – Król popatrzył na Jiga, jakby miał ochotę wywrócić dzielący ich stół i złapać go za gardło.

– Ech, Genevieve, Genevieve, zawsze musisz ciągnąć gryfa za ogon – mruknął Darnak.

– One zamordowały twoich braci! – warknął król.

– I ocaliły córkę – wypaliła Genevieve. – Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Taka sytuacja miała dobre strony – już nie Jig stanowił główny cel gniewu Wendela. Czy królowie mogli bić swoje córki? Jeśli byli podobni do goblinich wodzów, wolno im było wszystko. Jednak Genevieve sprawiała wrażenie gotowej mu oddać.

– Jak myślisz, ojczu, co powie mama na wieść, że kazałeś aresztować jej jedyną córkę?

Król uciekł spojrzeniem w bok.

– Zrobiłem to dla twojego bezpieczeństwa.

– *Bezpieczeństwa?! G*dybym nie uciekła, tkwiłabym teraz w Avery, które, jak sam wspomniałeś, atakują teraz orki! – Przygryzła wargę, a kiedy znów się odezwała, jej ton mroził. – Zrobiłeś to, żebym nie przeszkadzała ci prowadzić tej twojej wojenki.

Jig zastanawiał się, czy zdołałby wymknąć się cichcem w tym zamieszaniu.

– Potwory atakują! – krzyknął ktoś przed namiotem.

To wykluczało próby wymykania się cichcem.

Wojownicy rozstąpili się, przepuszczając zdyszanego żołnierza, który wpadł do środka.

– Panie, gobliny atakują, pędzą przez dolinę, prosto na nasz obóz.

– Straceńcze posunięcie – powiedział król. Pochylił się nad mapą, na której przesunął kilka klocków. – Posłać im na spotkanie włóczników.

– Są już *za* włócznikami.

– Jakim cudem? – wykrztusił król.

Zanim ktokolwiek się odezwał, do namiotu wpadł kolejny żołnierz.

– Koboldy! Wyminęły nasze szeregi i biegają tutaj!

Jig skulił się, cofając. On dokładnie wiedział, jak to się stało. Wilcze szwadrony pognały aż za Avery, a potem zawróciły. Mogły prześcignąć każdą z jednostek Wendela. Obiegly ścigające ich wojska bokiem, nie zwalniając i natarły na obóz. Kiedy żołnierze rzucili się za nimi w pościg, z drugiej strony wymknęły się koboldy. Nie były co prawda tak szybkie, jak wilki, ale potrafiły prędko biegać, a żaden z potworów nie tracił czasu na walkę z wrogiem. Pewnie jakaś część padnie pod strzałami łuczników, ale większość dotrze do obozu. Idealny manewr oskrzydający. Gratz powinien być zachwycony.

Genevieve odwróciła się, patrząc na Jiga. Król uczynił to samo.

Jego twarz w gniewie marszczyła się jeszcze bardziej. Wyciągnął lśniący miecz i obszedł

stół.

– Zdrada! Przybyłeś tu prosić o łaskę, żeby zyskać czas dla swoich żołnierzy!

– Wcale nie! – zaskrzeczał Jig.

– A ty. – Wskazał mieczem na córkę. – Ty *pomagałaś* tym istotom! Aresztować ją! – zagrzemiał. – Darnaka też! I zabić gobliny!

Oslupiały Darnak nie zdołał zareagować wystarczająco szybko, kiedy Relka wyrwała mu swój miecz.

– Ku chwale Ciemnogwiazdego! – krzyknęła, rzucając się na króla.

Zrobiła jeden krok, zanim padła przebita bełtem. Król podszedł do niej i wraził jej miecz w trzewia.

Wszystko stało się tak szybko. Jig podbiegł do Reiki, nie zwracając uwagi na zbliżających się do niego żołnierzy. Bełt utkwił w ramieniu; tę ranę przeżyje. Jednak gdy król wyszarpnął miecz, z brzucha Reiki wytrysnęła fontanna krwi.

Jig przycisnął do rany obie ręce.

Pomóż!

Nie mam już sił, Jig. Przykro mi.

Jig nacisnął mocniej, starając się spowolnić krwawienie. Ostrze króla przeszło ją tuż obok blizny po ranie, którą rok wcześniej zadał jej Jig.

Umiera, bo w ciebie wierzyła, bo próbowała bronić gobliny, bo postąpiła tak, jak ty nam kazałeś. Pomóż jej!

Magia powoli zaczęła napływać mu do palców. Wcześniej moc Ciemnogwiazdego rozgrzewała dłonie Jiga aż parzyły. Teraz ledwie czuł pulsowanie w opuszkach.

– Ojczy, nie!

Jig odwrócił głowę i z krzykiem padł plackiem. Królewskie ostrze rozdarło mu płaszcz na plecach i przecięło skórę. Jig przetoczył się i odczołgał, o mały włos nie wsadzając rąk w ogień. Kiedy wygiął się, dotykając rany, poczuł na palcach krew. Ciemnogwiazdy musiał być naprawdę słaby, skoro nie był w stanie podtrzymać magii ochronnej w płaszczu. Nie wróżyło to nic dobrego.

Król podążył za nim, próbując ciąć po nogach. Ale przynajmniej nikt nie próbował Jiga zastrzelić z kuszy. Bali się, że trafią przypadkiem władcę. A więc musiał tylko trzymać się blisko króla. I dokończyć leczenie Reiki. I wymyślić jakiś sposób na wydostanie się z namiotu. Oraz

obożu.

Żołnierze stanęli przy wyjściu, blokując mu drogę ucieczki. Gdziekolwiek odwrócił głowę, widział las ciężko obutych nóg. Próbował wpełznąć pod stół, ale Wendel chwycił go za skraj płaszcza, przytrzymując w miejscu. Jigowi udało się wyszarpnąć, ale król już zamierzył się mieczem.

– Czekaj! – krzyknął Jig. – Jeśli chcesz ze mną walczyć, zrób to honorowo. W pojedynku.

Król i tak go zabije, a w ten sposób przynajmniej żołnierze będą trzymać się z daleka. O ile, oczywiście, Wendel wierzył w te bzdury o honorze, tak jak jego synowie...

– Zaszlachtowanie nieuzbrojonego więźnia jest niehonorowym postępkiem, godnym goblina, nie króla – dodał.

– To prawda – wycedził Wendel.

Darnak przypadł do niego, chwytając za ramię.

– Wendel, nie bądź id... – ugryźł się w język. – Wasza wysokość, to nierozsądne. Powinieneś dowodzić naszą obroną, a nie tracić czas na jakiegoś goblina.

Miecz zadrżał w dłoni króla. A był to miecz wielki, z grawerowanym ostrzem i ozdobną głowicą w kształcie głowy zwierzęcia, wysadzana szmaragdami oraz brylantami.

– Zabiły moich chłopców, Darnaku.

– A ja zabiłem więcej goblinich synów, niż mógłbym zliczyć. I przed, i po tym, jak pozbawili życia książąt. Twoja córka przyrzekła im koniec rzezi w zamian za zgładzenie Krwawej Billi.

– Genevieve przekroczyła swoje kompetencje.

– Owszem. Tak samo ty zrobiłeś, kiedy byłeś młody.

– Dostyc, Darnaku. – Wendel podniósł miecz Reiki i rzucił go Jigowi. Ten ledwie zdążył chwycić rękojeść, kiedy król zaatakował.

Jig odtoczył się, niestety, wprost do ogniska. Ból w poparzonej ręce był okropny, ale po tylu latach z Ciapkiem Jig przywykł do oparzeń. Odczołgał się, otrzepując żar, kiedy na skraju płaszcza pojawiły się pomarańczowe płomyki. Co poniektórzy żołnierze zaczęli rechotać.

Podczas gaszenia płaszcza coś ukłuło go w dłoń. Cofając się, włożył rękę do kieszeni w nadziei, że może Ciemnogwiazdy zostawił tam jakąś broń.

Jego palce natrafiły na małą figurkę ołowianego goblina, którą podarował mu Darnak. Nie mając lepszych pomysłów, cisnął laleczką w króla.

Goblin trafił Wendela w czoło, tuż pod koronę. Władca cofnął się, zaskoczony. Na skórze, w miejscu uderzenia pojawiła się krew, która zaraz spłynęła po grzbiecie nosa.

Jig skoczył.

Wendel okazał się szybszy, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Zbił ostrze Jiga w dół i odepchnął. Ostrze ledwie zadrapało mu nogę. A potem drugą ręką wymierzył Jigowi cios w szczękę.

Broń wypadła Jigowi z ręki, gdy padał na ziemię. Przed oczyma miał sufit namiotu, zaś w ustach czuł posmak krwi. Wendel miał ciężką rękę. Jig usiłował usiąść, ale namiot zawirował, przyprawiając go o mdłości.

Król rozdwoił się. Jakby jednego było mało. A dwóch Wendelów miało dwa ogromne miecze. Jig zamrugał, zmuszając wzrok do scalenia dwóch postaci. Przed którym mieczem powinien się uchylać?

Wendel zamachnął się. Jig wrzasnął, prawie zagłuszając łupnięcia, które rozległo się w tej samej chwili.

Smukłe, lśniące ostrze skrzyżowało się z poobijaną maczugą tuż nad głową Jiga. Obie bronie podtrzymywały miecz króla.

– Śmiesz podnosić rękę na władcę? – huknął Wendel.

– Podniosłem ją, by wesprzeć twą córkę – rzekł Darnak. – By wesprzeć przyszłą królową Adenkary.

– Przysięgałeś mi wierność.

– Tobie i Jeneve. – Głos Darnaka nie wskazywał, by blokowanie ciosu króla kosztowało go choć odrobinę wysiłku. Żołnierze wstrzymali oddechy. – To ona mnie przeklnie, jeśli pozwolę wam się pozabijać i będzie miała do tego pełne prawo. Pomagałem wychowywać twoje dzieci od niemowlęctwa i patrzyłem na śmierć zbyt wielu z nich. Nie pozwolę, by Genevieve zginęła z powodu tej samej głupoty, która zgubiła resztę. Stoimy w obliczu ataku wrogich wojsk. Są już na obrzeżach naszego obozowiska. Ten, którego chcesz zabić, jest jedyną istotą zdolną powstrzymać ich od wybicia nas co do nogi.

Wendel spojrzał na Genevieve, która odepchnęła jego ostrze na bok.

– Poza tym – dodała Genevieve lekko – jeśli go zabijesz, nie dowiemy się, jakiej trucizny użył.

– Trucizny? – zdumiał się król.

Genevieve wskazała na jego nogę.

– Podczas ataku na ich górę dowiedziałam się, że gobliny zatrują swe ostrza.

– Pff. Darnak mnie uleczy. – Wendel odtrącił córkę, ponownie biorąc zamach.

– Za pozwoleniem, wasza wysokość – przeszkodził mu Darnak – ale gobliny to znani truciele. Stosują wyjątkowo paskudne jady. Nie znając pochodzenia toksyny, mogę utrzymać cię przy życiu, ale nie ręczę za jakość tego życia. Skutki uboczne mogą być naprawdę fatalne.

Jig przenosił wzrok to na Darnaka, to na Genevieve próbując zrozumieć, co właśnie się dzieje. Oboje przecież wiedzieli, że gobliny nie zatrują swojej broni. Biorąc pod uwagę, ile ran po przypadkowych samookaleczeniach leczył Jig, połowa plemienia wytrułaby się w ciągu roku.

Blefowali. Tak jak Grell. Tyle że oni robili to, by chronić jego.

– Ostrze było zatrute? – warknął Wendel, patrząc na goblina.

Jigowi udało się usiąść, nie tracąc przy okazji zawartości żołądka.

– Cóż, w końcu jestem goblinem, czyż nie?

– Natychmiast wyznaj, jakiego jadu użyłeś, inaczej...

– ... mnie zabijesz? – dokończył Jig, zerkając na Relkę. Była blada, ale oddychała. – I tak to zrobisz. A ile goblinów umierało, wiedząc, że pozbawiło życia samego króla?

Władca powoli opuścił miecz.

– Czego chcesz, goblinie?

– Układu. Takiego, jaki zawarłeś z elfami. – Przez rozbitą, opuchniętą wargę trochę sepleniał. – Chcę, żebyście przestali nas zabijać.

Ciekawe, co jest silniejsze, nienawiść króla do goblinów czy wola przeżycia? Sądząc z jego miny, nie różniły się zbyt wiele.

Żołnierze zaczęli się nerwowo wiercić. Nawet Darnak wzdrygnął się, zaskoczony głośnym wyciem wilka.

– Ha, tak jakby te bestie miały cię posłuchać – prychnął król.

– Posłuchają. – Głos Reiki przypominał raczej pisk niemowlęcia, a z ust pociekła jej krew. – To Jig Smokobójca.

Jig miał nadzieję, że się nie myli.

Powiedz Brafowi, żeby przebił się do doboszy i orków. Niech przestaną atakować. To nie ma być odwrót, niech czekają na mój znak.

Odpowiedziało mu milczenie.

Ciemnogwiazdy? Jigowi serce podeszło do gardła.

A potem nagle warkot bębnow zmienił się w miarowy, pulsujący rytm. Sekundę później zagrzmiały rogi.

Jig przysunął się szybko do Reiki. Ledwie wyczuwał magię Ciemnogwiazdego, ale wszystko, co do niego docierało, przelał w ranę.

– Panie, gobliny... – zająknął się wyglądający na zewnątrz żołnierz – zatrzymały się.

– Jak to możliwe?! – Po raz pierwszy w głosie króla ponad nienawiść przebiło się zainteresowanie.

– Dzięki potędze Tymalouisa Ciemnogwiazdego – powiedziała Relka, dotykając wisiorka.

– Kogo? – zapytał Wendel.

Boga zidiociałych goblinów. Jig przyszczypał brzegi rany, próbując złączyć je na siłę. Co ona sobie myślała?! Za każdym razem, kiedy Jig był już pewien, że widział szczyt jej szaleństwa, ona udawała, że nie widział jeszcze nic. A to czepiała się jastrzębia, a to rzucała z mieczem na króla, a wszystko to za boga, który...

Aż podskoczył, słysząc cichy, napięty śmiech Ciemnogwiazdego.

Myślisz, że robiła to dla mnie?

A jak? Odkąd ją ranilem, nie przestawała kłapać o twojej chwale, potędze i tak dalej.

A myślałem, że jesteś mądry. Jak na goblina. Milczenie, które zapadło po tych słowach, przedłużało się. Jig zaczął się już denerwować. *Mogła zostać ze swoim umierającym bogiem, ale ona poszła za tobą. Jak sądzisz, dlaczego tak postąpiła?*

Bo jest wariatką!

Znowu ten cichutki chichot.

Pewnie tak.

– Każ ludziom się wycofać, ojczy – rzekła Genevieve. – Podpisz traktat z goblinami.

– Twoi synowie nie żyją – poparł ją Darnak. – Nic ci ich nie zwróci. A utrata męża oraz córki załamie królową.

Wendel przygarbił się, otarł krew z twarzy, po czym kiwnął głową.

– Antidotum, goblinie.

Jakie antidotum? Ach, tak, trucizna.

– Masz je, prawda? – Spojrzenie Genevieve mogło z powodzeniem konkurować ze spojrzeniami Grell.

Nie zdejmując ręki z rany Reiki, Jig sięgnął do kieszeni.

– Połknij to, a nic ci nie będzie.

Król cofnął się gwałtownie. Jig nie miał zbyt wielu okazji widzieć takiej grozy na obliczu, czy to człowieka czy goblina.

– To palec od nogi...

– Został namoczony w krwi jaszczurnika – zmyślił Jig. – Jest w niej coś, co znosi działanie trucizny.

– To *palec od nogi* – powtórzył Wendel.

Darnak podał mu manierkę.

– Zapij tym, panie. Krasnoludzkie piwo jest tak mocne, że zabije smak.

Jig nie zwracał na nich uwagi. Czuł, jak pod ręką mięśnie Reiki regenerują się i zrastają pod leczniczym wpływem magii. Nawet nie próbował wyciągać bełtu z ramienia – jeśli uda mu się zasklepić poważniejszą ranę, powinna przeżyć.

Wzdrygnął się, kiedy z zewnątrz dobiegły go podniesione głosy. Przynajmniej jeden z nich należał do goblina. Co oni tam robili? Nie słyszeli bębnow? Jeśli teraz zaatakują, cały plan legnie w gruzach.

Kilku żołnierzy dobyło broni. Genevieve i Darnak spojrzeli na Jiga, który pokręcił głową. Sam nie wiedział, co się dzieje.

Głosy zbliżyły się, a potem kłapy namiotu zostały odrzucone. W trójkącie oślepiającego blasku stały dwie sylwetki.

– Jig? – Głos Troka.

Mniejsza postać pacnęła większą w ramię.

– Widzisz? Hessafa wiedziała, że śmierdzący goblin tu jest! Zapach nie kłamie!

Rozdział 17

Jig nie miał pojęcia, że tyle istot może pomieścić się na zboczu góry. Rozglądając się, usiłował opanować drzenie. Cały skalisty stok mrowił się od koboldów, obsiadły także gałęzie dla lepszego widoku. Przybyła nawet delegacja orków. Reszta odeszła już, anektując wyższe, niezadrzewione partie góry. Najwyraźniej *lubili* śnieg i wiatry. Pewnie dawały im więcej sposobności popisywania się, udowadniania, jakimi to są twardzielami. Plotka niesła, że kilka kąpało się nawet nago w na wpół zamarzniętym jeziorze.

Orki są dziwne. A może lodowata woda likwidowała świąd? Podczas ataku na Avery niektóre obchodziły palisadę w poszukiwaniu drogi, która umożliwiłaby uniknąć rzucania przez drzewo. W trakcie tych poszukiwań natknęły się na pnącza zwane przez ludzi trującym bluszczem. Już zwykły trujący bluszcz jest koszmarem, a co dopiero taki, który wyrósł na elfiej ziemi...

Hobgobliny już dyskutowały nad tym, jak przenieść pnącza, które mogłyby z powodzeniem zastosować w swoich pułapkach.

Zebrane przy wejściu do jaskiń gobliny tłoczyły się jak pikle w beczce. Jig skrzywił się, starając odepchnąć nieprzyjemne wspomnienie.

Mniejsza grupa hobgoblinów stała z boku, łypiąc groźnie i poszczekując bronią. Najwyraźniej podczas nieobecności Jiga oraz wojowników hobgobliny rozbestwiły się i napadły na grotę goblinów, tłukąc wszystko, co odważyło im się sprzeciwić. Kiedy Jig oraz reszta wrócili, próbowały znowu.

Dębizad zrzucił ze zbocza dziewięć, zanim reszta uciekła. Wzięły odwet, napuszczając na gobliny swoje koty tunelowe.

Łotr wraz ze swoją sforą szybko rozwiązał problem. Brafowi udało się zaleczyć odciętą łapę, a trzynogi wilk nie był ani odrobinę mniej groźny. Jig miał tylko nadzieję, że wilki nie zasmakują w kotach tunelowych.

Na razie wilczarnia została urządzona w niewielkiej pieczarze znajdującej się powyżej wejścia do labiryntów. Jig musiał wymyślić, czym karmić bestie. Może wódz hobgoblinów podaruje wspaniałomyślnie kilku wojowników, którzy dokuczali kiedyś Jigowi?

Jig spuścił głowę i uciszył umysł, spodziewając się ostrej reprimendy za takie mściwe goblinie myśli, ale ta nie nadeszła. Jig nie słyszał boga już od czterech dni, odkąd opuścił

królewski namiot.

Westchnąwszy, pogłaskał Ciapka, który siedział zadowolony w klatce przy jego pasku. Od czasu bitwy, którą ludzie ochrzczili „ostateczną klęską Billi” pogoda znacznie się poprawiła. Śniegi stopniały i na zewnątrz można już było stać, nie trzęsąc się. Przynajmniej nie z zimna. Okutał się szczelniej płaszczem, próbując nie myśleć o tym, co właśnie ma nastąpić.

– Idą – szepnęła Relka.

Z naprzeciwka szła królowa Genevieve, za którą podążał Darnak oraz świta złożona z żołnierzy. Twarz dziewczyny była zarumieniona od wspinaczki, ale jaśniała uśmiechem.

Stojący obok Reiki Gratz gorączkowo grzebał w swoich karteluszkach. Twarz oraz ramiona usiane miał strupami po niefortunnym uwięzieniu pod rozszalałym z bólu wilkiem. Jig bał się, że Gratz będzie chciał wziąć odwet na Łotrze, ale były kapral był zachwycony. Trudno było powstrzymać go przed chwaleniem się „ranami wojennymi”, jak je nazywał.

– Pamiętasz swoją kwestię – denerwował się. – Zgodnie z protokołem musisz odezwać się pierwszy.

Jig zerknął na Troka, który położył dłoń na rękojeści, jakby proponował, że uciszy Grata. Pokręcił głową, po czym powrócił do obserwowania nadciągających gości.

Królowa miała na sobie nowy czarny tabard, tym razem obrzeżony złotem. Na głowie zaś nosiła cienką srebrną przepaskę, która wywarła ogromne wrażenie na koboldach.

Darnak zaplótł brodę w warkocze. Miał też nową maczugę z polerowanego czarnego drewna. Koboldy, które zaledwie podziwiała diadem królowy, omal nie pospadały z drzew na widok zbroi krasnoluda. Masywny tors, barki oraz uda okrywała lśniąca blacha, pomiędzy nimi zaś, na nogach i ramionach, pobrzękiwała kolczuga. Biorąc pod uwagę ogrom sakwy, którą Darnak dźwigał na plecach, Jig dziwił się, że krasnolud jest w ogóle w stanie iść.

Genevieve przystanęła. Zebrane na stoku potwory poczęły szeptać.

A, tak. Jig postąpił krok naprzód.

– Witaj, królowo Genevieve, w... – zająknął się. Pozostałym rasom się to nie spodoba. –
W Goblinshire.

– Gdzie?! – zdumiał się szeptem stojący za nim Braf, a potem rozległo się głuche łupnięcie, jakby laska uderzyła w goblinią czaszkę. Jig rozluźnił się nieco. Bał się, że Grell nie da rady.

– Witaj, mości goblinie – odpowiedziała Genevieve i powoli wyciągnęła miecz z pochwy.

Potwory ucichły; niektóre sięgnęły po broń, inne zaczęły przeszukiwać wzrokiem okolice. Genevieve nie miała ze sobą oddziału, który mógłby stanąć do walki, ale w grę wchodziła jeszcze pułapka.

Właściwie, patrząc na surową minę królowny, Jig sam miał ochotę dobyć miecza, mimo że wyjaśniono mu dokładnie, czego ma się spodziewać.

Teraz powinien uklęknąć i spokojnie dać Genevieve możliwość zakończenia ceremonii przypiętowania traktatu. Ceremonii, podczas której królowna kładła mu miecz na ramieniu. Tuż przy szyi. W miejscu, gdzie jednym ruchem mogła rozplątać mu gardło.

Gratz kaszlnął, popędzając Jiga ukradkowym machnięciem ręki.

Jig popatrzył na miecz.

– Grell jest wodzem, może to ona powinna...

– Dokończ to zdanie, a powiem Golące, żeby rzuciła cię na pożarcie wilkom – warknęła Grell.

Jasne. Jig opadł na kolano, wstrzymując oddech. W namiocie króla Genevieve ocaliła mu życie. Raczej nie powinna go teraz zabić.

Płaz wylądował na barku tak ciężko, że zapewne będzie miał siniaka.

– W imieniu Wendela, króla Adenkary, w uznaniu za... – Genevieve kaszlnęła. Wargi jej drżały, jakby ledwo powstrzymywała się od śmiechu – ... zasługi wobec korony, nadaję ci tytuł barona, pana na Goblinshire i oddaję pieczę nad wszystkimi jego mieszkańcami. Powstań, Jigu z Goblinshire.

Jig podniósł się dopiero, kiedy jej miecz znajdował się bezpiecznie w pochwie. Wtedy podszedł do niego Darnak, zawieszając mu na szyi zieloną wstążkę ze srebrnym medalionem. Tyle razy Jig wyśmiewał się z naszyjnika Reiki, ale to, co sam miał nosić, było dużo gorsze. Na krążku znajdował się ten sam idiotyczny herb, co na zbroi Genevieve.

W ciszy, która nagle zapadła, wszyscy wyraźnie usłyszeli mruknięcie Grell.

– Jeśli zechce odebrać mi pokój, uduszę go tą jego wstążeczką.

Jig obrócił medalion w rękach, przyglądając się wygrawerowanemu odyńcowi. Cóż, przynajmniej zwierzę z kłami.

Ludzie zaczęli uderzać dłońią o dłoń; gest i hałas zaskoczył potwory – te stojące najbliżej żołnierzy sięgnęły po broń.

– Oni klaszczą – wyjaśnił pospiesznie Darnak. – Żeby ci pogratulować. Genevieve kazała

im to zrobić pod groźbą pozostawienia niesubordynowanych tutaj, w roli twoich służących.

Sądząc po minach, żołnierze tak samo cierpieli, klaszcząc, jak Jig, słuchając oklasków. Zgodnie z wymogami formalnymi, aby traktat miał moc, nad ziemiami goblinów musiał sprawować władzę baron. Trudno powiedzieć, kto był bardziej zdjęty zgrozą, król czy Jig. Jednakże tak stanowiło prawo ludzi i w żaden sposób nie dało się tego obejść.

Jig był przekonany, że właśnie w tej chwili król dokłada wszelkich wysiłków, by zmienić przepisy. Podobnie jak gobliny dokładały właśnie wszelkich wysiłków, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Darnak rozwinął gruby zwój z jagnięcej skóry. Na dole, pod podpisem króla, uczepiono kolorowe sznureczki i woskowe pieczęci. Darnak wyjął niebieskie pióro, umoczył je w podróżnym kałamarzu przymocowanym do pasa sakwy, po czym podał je Jigowi.

Jig naskrobał podpis, robiąc przy okazji kleksa. Zwróciwszy pióro Darnakowi, dołączył do potworów.

– To wszystko? – zdziwił się Braf.

– Chyba tak. – Jig zerknął na Genevieve. – Góra oficjalnie należy do nas – dodał.

Królowa wyraźnie traciła panowanie i zachodziła obawa, że lada moment zaśmieje mu się w twarz.

– Przekonałam ojca, żeby darował ci pierwszą ratę podatku, więc nie musisz się o to martwić aż do lata.

A Jig sądził, że żołądek bardziej już boleć nie może.

– Podatku?

– Pozwolę ci osobiście rozmówić się w tym temacie z wodzem hobgoblinów – stwierdziła Grell, nie ukrywając rozbawienia.

– Jako baron jesteś zobowiązany do utrzymania porządku w... Goblinshire – ciągnęła Genevieve. – W razie wojny, możesz zostać wezwany do przybycia na czele swych oddziałów i wspomżenia obrony Adenkary. Za parę dni przybędzie tu wysłannik dworu, który powiadomi cię o pozostałych powinnościach oraz zobowiązaniach, jakie pociąga za sobą godność barona.

Po wrednym uśmiešku widać było, że już myśli, którego człowieka ukarać przykrym obowiązkiem.

Darnak położył mu dłoń na ramieniu.

– Powodzenia, Jig. Goblinshire ma zanego obrońcę. Niezwykłego, przyznaję. Nieraz

jednak dowiodłeś, że zaradny z ciebie chłopak. Nie przejmuj się tym nowym tytułem. Z taką praktyką wśród tchórzliwych, zdradzieckich, skrytobójczych goblinów masz lepsze przygotowanie do polityki, niż większość żółtodziobów.

Wyglądało na to, że ceremonia dobiegła końca. Genevieve wyjęła fajkę i ruszyła w dół zbocza.

Świszczący rechot za plecami Jiga zakończył się atakiem kaszlu. Biedna Grell śmiała się tak bardzo, że ledwo dawała radę podierać się na laskach. Jig już chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie Trok pociągnął go za rękaw.

– Nie brzmi to najlepiej, nie? – ucieszył się, kiwając w stronę Grell. Minę miał jak dziecko, które po raz pierwszy ma posmakować elfiego sufletu Golaki. – Pamiętaj, co mi obiecałeś.

– Pamiętam, pamiętam – warknął Jig. Wokół niego zaczęły tłoczyć się potwory. Głównie gobliny, ale i hobgobliny, orki, koboldy, wszystkie przepychały się, by z nim porozmawiać. Jig miał ponure przeczucie, że tak właśnie będzie odtąd wyglądało jego życie.

– Gratz! – zawołał.

– Tak, baronie generale? – Trzasnął obcasami służbista.

Jig przewrócił oczami.

– Zajmij się nimi. – Nim Gratz zareagował, Jig pędził już za odchodzącymi. – Królewno! Zaczekaj!

Genevieve przystanęła.

Jig przysunął się do dziewczyny nieznośnie blisko i ściszył głos.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałaś ojcu prawdy o Bariusie i Ryslindzie?

Królewna pokręciła głową.

– Jakiej prawdy? Że byli idiotami, którzy nie powinni w ogóle tu przychodzić? Nawet gdybym chciała, to jeszcze wiele wody upłynie, nim zechce ze mną rozmawiać.

– Nie martw się, Ginny – pocieszył ją Darnak. – Twoja matka nad nim popracuje i wszystko szybko wróci do normy. Przekonała go przecież, żeby cofnął edykt skazujący mnie na banicję. A pamiętasz, wyglądało to tak, jakby zamierzał wypowiedzieć wojnę wszystkim krasnoludom.

– Niektórzy twierdzą, że spotkała cię surowsza kara – mrugnęła Genevieve. – Zostałeś zwolniony ze służby króla i przydzielony jego córce.

– W istocie, okrutny wyrok – zaśmiał się Darnak.

Królewna zwróciła się do Jiga z uśmiechem.

– Poza tym, dopóki jestem jedynym człowiekiem, który zna tę prawdę, mam pewność, że mogę liczyć na twoją przyjaźń.

– Nie rozumiem? – Jig potrząsnął głową.

– Moi bracia nie żyją, a to czyni mnie jedyną spadkobierczynią tronu. Jeśli ludzie dowiedzą się, że baron Goblinowa zabił dwóch książąt, przyjdą tu i wybiją wszystkie potwory. A to oznacza, że jeszcze długo będziemy przyjaciółmi – błysnęła zębami. – Mój ród nie cieszy się ostatnio wielką popularnością. Przyda mi się paru nowych przyjaciół.

Takie rozumowanie było bliskie gobliniemu umysłowi.

– Jasne! – uśmiechnął się Jig.

Naturalnie, że nim manipulowała, ale jeśli zamierzała to czynić nadal, będzie musiała utrzymać go przy życiu. Czegóż więcej Jig mógłby pragnąć?

– Dzięki za uleczenie zęba – zwrócił się do Darnaka.

– Nie mnie dziękuj, a Ziemiotwórcy – odrzekł krasnolud, dotykając amuletu.

Jig usiłował sam uleczyć ząb, rozchwierutany ciosem Wendela, ale niestety. Będzie musiał przywyknąć na nowo do różnych obrażeń, które w gobliniej grocie były na porządku dziennym. Nie zdawał sobie sprawy, jak rozpieściła go posiadana przez ostatnie lata moc uzdrawiania.

Darnak wetknął palec do klatki Ciapka.

– Masz dbać o swojego przyjaciela, słyszysz?

Genevieve wstrząsnęła się z obrzydzeniem. Ludzie widocznie nie potrafili docenić porządnego pająka.

– Chodź, Darnaku, przed nami długa droga.

Jig został jeszcze przez chwilę, upewniając się, że potwory nie zastawiły na ludzi żadnej pułapki, ale przede wszystkim dlatego, że nie był jeszcze gotów, żeby wrócić na górę i podjąć się nowej roli.

Stanowisko barona było jeszcze gorsze niż stołek wodza.

– Zaplanowałeś to wszystko, prawda? – powiedział, zadzierając głowę. Zdjął okulary i wytarł je skrajem koszuli. – Nie mam pojęcia, jak to zrobiłeś, ale wiem, że to wszystko twoja sprawka.

– Znów do siebie gada?

Jig krzyknął zaskoczony i okręcił się, dobywając miecza.

– Relka?

Schyliła się, ponosząc leżące w błocie okulary.

– On nie umarł, wiesz o tym.

– Krwawa Billa przeszła go bogobójczym mieczem – warknął Jig, wrywając jej okulary z rąk. – I w przeciwieństwie do ciebie, Ciemnogwiazdy nie miał pod ręką krasnoludzkiego kapłana, który mógłby go uzdrowić.

Według tego, co mówił Braf, Ciemnogwiazdy po prostu... zniknął. Brafowi wydawało się, że przed śmiercią szepnął coś w rodzaju „Dobrze cię znowu widzieć”. Dziwne. Jig podejrzewał, że w otaczającym ich zgiełku bitewnym, Braf nie usłyszał dokładnie słów boga.

– Tymalous Ciemnogwiazdy był jednym z Zapomnianych Bogów – podjęła Relka. – Sam widziałeś, że ludzie, krasnoludy i inne „cywilizowane” rasy, nie potrafiły nawet zapamiętać jego imienia.

– I co z tego?

Relka wskazała na wejście do labiryntów.

– Patrz, gobliny, orki, koboldy, hobgobliny żyją razem, nie zabijając jeden drugiego. W każdym razie nie nagminnie. Zawarliśmy układ z ludźmi. Goblin został baronem – rozłożyła ramiona. – Jig, Ciemnogwiazdy nas ucywilizował. Dlatego przestał do ciebie mówić. No, nie jesteśmy aż tak ucywilizowani, żeby zapomnieć jego imię, w każdym razie jeszcze nie, ale wystarczająco, by go już nie słyszeć.

Jig w życiu nie spotkał się z równie głupią teorią. Choć znając Ciemnogwiazdego, brzmiała dość prawdopodobnie.

Czy bóg mógł jakimś cudem przeżyć ranę od miecza Isy?

– Naprawdę w to wierzysz?

– Ja to wiem.

Relka jest głupia. Ale gula w gardle Jiga zmalala nieco. W końcu Ciemnogwiazdy był bogiem. A Jig tylko goblinem. Jakże mógł wydawać sądy o tym co możliwe, a co nie?

– Relka... Kiedy Ciemnogwiazdy umierał... albo nie umierał... Wtedy, w dolinie, dlaczego z nim nie zostałaś? Czemu... – urwał, doszedłszy do wniosku, że będzie potrzebował kilku kufli klaka, zanim zada to pytanie. – A zresztą, już nic.

Spojrzał na medalion, który dała mu Genevieve. Dziwne, że tak mały przedmiot mógł powstrzymać ludzi przed zabijaniem potworów. W każdym razie otwarcie. To i jego podpis na kawałku skóry.

– Gdzie ten tak zwany baron?! – ryknął ktoś. Czyli wódz hobgoblinów, który gnał ścieżką w stronę Jiga. Za nim podążał zdenerwowany Gratz. – Twoje skretyniałe gobliny zniszczyły nam trzy pułapki!

– Wybacz, panie – krzyczał zdyszany Gratz. – Nie chciał stać w kolejce i... – urwał na widok wielkiego miecza przed nosem.

– Jak to się stało? – zapytał Jig.

Bliznowata, pomarszczona twarz hobgoblina spomarańczowiła z wściekłości.

– Jeden wpadł do wilczego dołu i złamał nogę. Drugi uruchomił zapadnię z kamieniami, nad którą pracował Charak, a trzeci... No, to trzecie to nie była pułapka. Ale moje hobgobliny zdenerwowały się trochę tamtymi dwoma i ten twój goblin wpadł przypadkiem na włócznię Renloka. Jedenaście razy, łamaga.

Zanim Jig zdołał obmyślić akuratną odpowiedź, z góry zbiegł Trok. Po piętach deptał mu hobgoblin z wielką szramą na twarzy – Charak, konstruktor pułapek, lepiej znany wśród goblinów jako Sznyt.

Trok podszedł tak blisko do wodza hobgoblinów, że prawie stykali się torsami.

– Jeden z twoich kotów tunelowych wlaźł do wilczej zagrody! To już któryś raz! I zabił przy okazji dwa moje gobliny!

Gratz chrząknął znacząco.

– A, tak. – Trok dziobnął palcem Jiga. – Dwa *jego* gobliny!

Jig jęknął rozpaczliwie. Nie dość, że dokuczał mu żołądek, to zaczęła boleć go głowa. Nie było rzeczy, która doprowadzałaby hobgobliny do większej furii, niż zabicie jednego z ich tresowanych kotów tunelowych.

– Zostało coś z tego kota?

Sznyt wyszczerzył się radośnie.

– A kto mówił, że się biły?

Hm. Czy koty tunelowe mogły parzyć się z wilkami? Tylko tego jeszcze było trzeba... Bandy mieszańców biegającej po labiryntach i pożerającej wszystko w zasięgu kłów.

Jig popchnął Troka w stronę Sznyta.

– Idź i pomóż im odzyskać tego ich kota. – Jeśli dopisze mu szczęście, może jakiś wilk zje Troka, zdejmując mu jeden kłopot z głowy. – Gratz, ty siądziesz z wodzem hobgoblinów i ustalicie zasady regulujące polowania oraz zastawianie pułapek.

Miał nadzieję, że obaj natychmiast wdadzą się w kłótnię i zostawią go w spokoju. Dopiero kiedy odeszli, zdał sobie sprawę, że reszta potworów gdzieś zniknęła. Na zboczu panowała cisza!

– Gdzie są wszyscy? – zapytał Relkę.

– Od rana przygotowywałyśmy z Golaką kilka hobgoblinów z różna. Pewnie się właśnie dopiekły.

Jigowi aż zaburczało w brzuchu na samą myśl o specjałach. Hobgobliny mogły być złe, że straciły paru wojowników, ale nawet one nie potrafiły oprzeć się kuchni Golaki. Ciekawe, czy baronowi przysługuje repeta.

Odwrócił się, ochoczo ruszając w stronę wejścia do jaskiń, ale nagle przystanął.

– Co się stało?

Jig nadstawił uszu. Pomiedzy drzewami nie było nikogo. Wiatr trzeszczał gałęziami, a z oddali dobiegały wrzaski Troka wyklócającego się z wodzem hobgoblinów.

– Nic, tylko wydawało mi się... Nieważne. – Pewnie wyobraził sobie cichutkie echo dzwoneczków.

Potrząsnął głową.

– Chodź, Relka, zjedzmy parę hobgoblinów.

Zaiste, cywilizowane.